24762

ŁADNY CHŁOPIEC.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

WARSZAWA.
Nakład Maurycego Orgelbranda.
1879.

24762

Ładny chłopiec

Józef Ignacy Kraszewski

Maurycy Orgelbrand, Warszawa, 1879

Pobrano z Wikiźródeł dnia 7 kwietnia 2026

ŁADNY CHŁOPIEC.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

TOM II.

WARSZAWA.
Nakład Maurycego Orgelbranda.

1879.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 8 Ноября 1879 года.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska № 20.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

ŁADNY CHŁOPIEC.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

WARSZAWA.
Nakład Maurycego Orgelbranda.

1879.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 8 Ноября 1879 года.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska № 20.

I • II • III • IV • V • VI • VII • VIII • IX

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

I.

Dwóch ich na poddaszu siedziało, stary i młody. Izba w któréj się mieścili, miała pretensyą nazywać się pokojem, i choć wysoko umieszczona, była dosyć porządną i czystą. Godzina popołudniowa dnia letniego, choć jedyne okno stało otworem, i choć wiaterek w niém czerwoną firanką poruszał — napełniała mieszkanie skwarem nieznośnym. Niebo téż, na którém ani chmureczki widać nie było, rozpalone do ołowianéj jakiéjś bladości, barwę swą lazurową straciło.

Pokoik był w rodzaju tych, które studentom, kancellistom i komisantom początkującym się najmują; wązki, niziuchny, ledwie mogący sofę, całą obitą perkalem, stół i kilka krzeseł, a w kącie piec pomieścić.

Jednakże niebieskim papierem okryte ściany, pewne o czystość staranie i porządek, wesołym go czyniły. Drzwiczki ztąd otwarte, prowadziły do alkowy ciemnéj, w któréj całe, na świat się wychylać nieśmiejące gospodarstwo, tuliło. Nad sofą wisiało parę fotografii, na stole kilka książek leżało, zwiędły bukiet w kącie na gierydoniku dogorywał.

Mężczyzna siedzący na sofie, na wpół leżał, na łokciu sparty; młodszy stał przed nim z uwagą się przysłuchując, temu co tamten z powagą wygłaszał. Człowiek był już podżyły, lecz zdrów jeszcze i silny. Na głowie włos siwy postrzyżony nizko, jeżył mu się jak szczotka — twarz miał

rumianą, oczy małe niebieskie, rysy pospolite i wiekiem a życiem starte. Mógł niegdyś być bardzo przystojnym, dziś w ulicy ani pięknością, ni brzydotą, ni fiizionomii oryginalnością niczyjegoby nie zwrócił wzroku. Z pięknych młodzieńców życie tysiące robi takich, z pozwoleniem, kulfonów. Jednakże twarz ta niczém się nie odznaczająca, pospolita, miała sobie właściwą powagę, która i w całéj postaci człowieka się rozlewała. Była to suknia wdziana dla ludzi, tak przynajmniéj wyglądała i zdawała się pożyczoną.

Wpatrując się w nieco obrzękłe oblicze starego, można było dostrzedz po za tą powagą, sztuczną, w wejrzeniu siwych źrenic, w pewném ust sfałdowaniu siedzące skryte szyderstwo, a pobywszy z nim dłużéj, można było uczuć, że grał kogoś, i sobą nie był.

Gra ta wszakże chwilami się zdradzała, gdy się ożywił i zapomniał, lecz zaledwie poczuł to, powracał do przybranéj sztywności pierwszéj.

Ubiór na nim był czysty, prosty, skromny, lecz staranny.

W nim także widniała myśl przyzwoitego pokazania się światu. Śnieżnéj białości kołnierzyk, czarna chustka zręcznie zawiązana, kamizelka pod szyją zapięta, szary surdut, jaki przystał nie młodemu człowiekowi, dawały mu postać emeryta niby, expedagoga, lub kogoś z téj kategoryi ludzi, co się długo w jedném miejscu wysiedzieli. Na rękach nie spracowanych, białych, widać było parę pierścieni, a między niemi jeden z krwawnikiem herbowym. Skromny łańcuszek srebrny trzymał zegarek. Twarz wygolona czysto do włosa, czerstwa była, choć pomarszczona.

Młodzieniec stojący przed nim, niemal był anomalią pod strychem, tak śliczném, arystokratyczném był zjawiskiem. Coś pieszczonego, trochę niewieściego, nie raziło przy wielkiéj jego młodości, gdyż nie miał nad lat dwadzieścia.

Ubiór chłopaka mówił, że o téj piękności swéj młodzieńczéj dobrze wiedział.

Biała i rumiana twarzyczka ślicznego owalu, któraby i panienki nie zeszpeciła, oczy czarne ogniste razem i łzawe jakieś, uśmieszek wdzięczny koralowych ustek, czoło białe, krucze w pukle się zwijające włosy, składały się na całość uroczą. — Przytém postać cała, aż do nóg i rąk białych, utrzymanych starannie — odpowiadała maseczce. Na mężczyznę był może nadto ładny. Wyrazu téż brakło na twarzy, która wyglądała jak biała nie zapisana kartka.

Skromna izdebka na poddaszu nie widywała pewnie zdawna tak starannego stroju, jaki okrywał młodego antinousa. Musiał z innych zapewne życia przyjemności uczynić dla niego ofiary, bo ubrany był jak paniczyk, leżały na nim suknie jak ulane, a najmniejszy szczegół toalety był wykwintnie i z myślą dobrany. Elegancik spozierał téż kiedy niekiedy ku małemu zwierciadełku zawieszonemu za sofą. Na twarzyczce malowało się zadowolenie z siebie. A jednak i troska jakaś marszczyła mu czoło.

Stary prawił monolog, niedopuszczając rozmowy, zwolna, dydaktycznie, jakby z katedry wygłaszał coś, niekiedy rąk ruchem dodając wyrazistości swéj mowie. Młodzieniec słuchał, może znudzony, roztargniony nieco — lecz z cierpliwością przykładną, jakby już był do tego nawykłym.

— Wy, młodzi — mówił starszy — wy, młodzi — zwykle życie zjadacie jak zieloną paszę, nie dając dojrzéć kłosom. Jest to w naturze młodości, że chciwą jest używania, głodną i fałszywe sobie robi pojęcia o wszystkiém!

— Ideały, mosanie, ideały! serce! uczucia! poświęcenia! romanse, same romanse! Jest to tak jakby kto stawił na kartę, któréj w całéj talii niema. — Bo — niema!

— Wszystkim wierzycie, wszystko bierzecie za dobrą monetę; każdemuście gotowi rozpiąć się do koszuli i do naga pokazać... Hołdujecie prawdzie, szlachetności, i tym podobnym istotom wymyślonym — *être de raison*, mosanie — głupstwom... A tu, kto zechce żyć i być szczęśliwym, musi być komedyantem, musi łgać — bo bez blagi nie ma nic. — Tak — nic.

Spojrzał na młodzieńca, który się uśmiechał, nie biorąc tego na seryo. Obraził się stary i podniósł a wyprostował.

— Blagi się ucz! tak — dodał stukając palcami po stole. Dziwisz się że ja ci to mówię? hę! komu innemu sekretu tego nie wyjawię, ale ciebie szczęśliwym chcę widziéć — krew mnie do ciebie wiąże, dzieci własnych nie mam, interesujesz mnie! Widzę ze wszystkiego iż masz skłonność młodzieńczą, do téj naiwności głupiéj, co was wszystkich gubi. Chcę ci oszczędzić smutnych doświadczeń i zmarnowania lat drogich, mój Bolku — dla tego jestem z tobą otwarty. Ucz się zawczasu blagi!

Potrząsł połami szaraczkowego surduta.

— Widzisz, na starość bym nie chodził w skromnym sieraczku, gdybym wcześniéj to wiedział co dziś tobie

mówię. Prawdą i prostą drogą do niczego nie dojdziesz, sentymentami się brukuje gościniec do łachmanów. Łgać trzeba, komedyantem być i blagi się uczyć. Masz i twarzyczkę ładną i sprytu dosyć — ale na tém nie koniec! Ludzie ciebie wyzyskają, wyduszą jak cytrynę i rzucą precz — lepiéj żebyś ty z nich sok wycisnął dla siebie.

— Jedno z dwojga na świecie, albo być duszonym lub dusić — pośredniego niema nic.

Znowu popatrzał na Bolka.

— No, tak, potwierdził — nie ma nic.

— Wujaszek dziś w przedziwnym humorze, słowo daję! — odezwał się śmiejąc Bolko.

— To nie jest humor — zawołał z powagą starszy — to silne, niewzruszone przekonanie. Przyszła godzina że ci potrzeba było oczy otworzyć. Jesteś moim siostrzeńcem, nie mam ci czém pomódz, na obwinięcie palca nic ci dać nie mogę, moja emerytura ledwie mi na życie starczy. Daję ci co mam najdroższego, owoc życia — doświadczenie — zdobytą prawdę!

— Bez blagi do niczego nie dojdziesz! Szelmostwa i świństwa robić nie życzę, są to rzeczy nie opłacające się, nie ma na nich rachuby — ale — ale pomiędzy ideałem a świństwem jest przestrzeń znaczna, po któréj rozumny człowiek bezpiecznie kroczyć może — *Est modus in rebus.*

Palec położywszy na nosie, stary emeryt chrząknął.

— Rozumiesz ty to? — spytał.

— Rozumiem tylko, że wujaszek jest w obawie, abym jakiego głupstwa nie zrobił.

— A no tak — rzekł emeryt — głupstwo powszednie,

maleńkie, nie pociągające za sobą konsekwencyi, na jakie młodość jest narażoną — rzecz prawie nieunikniona; ale z was niektórzy umieją palnąć takie, za które całe życie pokutować trzeba.

Bolko milczał, emeryt się obejrzał do koła z pewną obawą.

— Niech wujaszek śmiało mówi, nie mamy innych sąsiadów co by nas podsłuchiwać mogli, nad jaskółki. W istocie zwijały się one około okna, pod którem gniazdo miały.

— Wyglądasz jak paniczyk! — rzekł emeryt. Natura cię uposażyła pod tym względem wspaniale. Ojciec twój wyglądał jak parobek, matka była do mnie podobną — tobie się dostało paniczykowate oblicze, iż przysiądz można, żeś wysokiego rodu! Panu Bogu dziękuj za to, ale nie bądź że też głupim, pierwszemu lepszemu spowiadać się z tego żeś synem ekonoma i goły jak bizun.

Młodzieniec się zarumienił i nadąsawszy nieco — dorzucił.

— Ojciec zarządzał majątkiem u hrabiów.

— Co tam! zarządzał! — odparł wuj — ekonomem był i typem starego ekonoma, co nawykł w bizun tylko wierzyć. Mama sama czasem krowy doiła — co prawda — ale — *distitiguo*! — to między nami. Powiedzże mi naprzykład, gdy się radzca spyta, u którego dajesz tym smarkaczom lekcye — coś zacz? Co odpowiesz...

Bolko pomilczał chwilę.

— Cóż ja mu się mam tłómaczyć! — odparł — co to do kogo należy.

— Przepraszam cię, rozumny człek z niefortunnego położenia umie korzystać. Staje się, mosanie, melancholijnym... spytany, wybąkuje o nieszczęściach jakie familią dotknęły. To go czyni interesującym. Przypadkiem się wygaduje z hrabiami, z któremi rodzinę jego łączyły ścisłe stosunki. Nie jest to kłamstwo, ale zręczne zużytkowanie materyału jaki Pan Bóg dał! Przytém należy milczącym być i tajemniczym, a w gustach, smakach, jadle wybrednym, zaręczając, że się jednak do wszystkiego nawykło... Trzeba — grać! dodał emeryt. — Blaga! tak! Blaga może wiele, lecz powinna być jak perfumy paryzkie delikatną... *fine*... umiejętną.

To mówiąc jedną rękę podniósł i palcami przebierał w powietrzu, Bolko się uśmiechał.

— Ale wujaszek może bo ma mnie za dziecko — dodał po chwili — przecież sam wuj widzi że ja się ubrać umiem, choć często nie bardzo mam co zjeść, że się staram dobrze zaprezentować...

— I dla tego — wtrącił emeryt, iż widzę w tobie pewną zdolność, chciałbym cię na dobréj drodze utrzymać, pokierować. Człowiek z talentem daleko zajść może...

Zamilkł nieco nauczyciel i w formie konkluzyi, zamknął mowę swą axiomatem.

— Ale trzeba łgać!

To mówiąc wstać już myślał z kanapy, lecz coś mu jeszcze do głowy przyszło.

— Mówi się to między nami, *sub rosa* — rzekł. Pospolitemu tłumowi sekreta się te nie otwierają; owszem, kochanku — szlachetność, ofiarność, bezinteresowność

trzeba nieustannie wywieszać, stroić się w nie, aby lepiéj okryć kontrabandy!

— Taki świat! to darmo! Żyjemy na nim, trzeba się wykręcać aby nas nie zmiażdżono.

— Proszę cię! proszę, gdybym ja miał rozum za młodu, gdybym takiego wuja posiadał jak ty, czybym dziś był kiepskim emerytem z parą tysiącami złotych pensyi!! Ja! ja! Ludzie stokroć głupsi odemnie, osły, co nic nie umieli, bałwany — porobili karyery — ja! nic.

— Opatrzyłem się za późno! Chciałem iść prostą drogą, wierzyłem że poczciwość zwycięża — a nieprawda!! Zwycięża intryga, fałsz, podłość! Co my temu winni? Tak jest! tak jest!

Rozgorączkował się nieco profesor, ale natychmiast uspokoił i wrócił do równowagi.

— O tóż dla tego iż chcę byś w podobną do mojej nie wpadł jamę, mówię ci to tak otwarcie. Co za moralność! powiesz — a ja ci powtarzam, między złem a dobrém jest przestwór znaczny, ścieżka pośrednia — którą trzeba się umiéć pokierować tylko — wszystkie dziesięcioro przykazań co do litery zachować trzeba, na to nie ma rady, stoi za niemi kodeks i policya — a z temi się zadzierać niech Bóg uchowa — ale po za płotem dziesięciorga, zwinny człek się przeciśnie i da sobie rady...

Wstał wreszcie professor, wyciągnął się i rzekł już innym głosem.

— Piekielny dziś skwar! Cóż ty robisz z sobą?

Wpatrzył mu się w oczy, jakby chciał przeczytać w nich, czy młodzieniec już się kłamać nie nauczył.

— Wieczorem jest muzykalne jakieś zebranie u radzcy, rzekł Bolko, był tak grzeczny, że mnie na nie zaprosił, wiedząc iż lubię muzykę...

— Bardzo dobrze! mów że lubisz muzykę, unoś się nad poezyą, exaltuj — ale zawsze na zimno! na zimno... Więc wieczorem u radzcy! Bardzo dobrze, powtórzył emeryt. — Wiesz, to człowiek bogaty jak Krezus, wielu synków?

— Dwóch...

— Bez synków by się było obeszło! i to, aż dwóch — mówił stary. — Przecież córka, śliczna panna, w najgorszym razie kilkakroć sto tysięcy miéć będzie — zwłaszcza że jest i matki faworytą, która jéj skrzywdzić nie da, i u ojca w łaskach... Mówią że i utalentowana — ale to tam mniejsza! kobiety noszą się z talentami póki za mąż nie pójdą, potém na uprawę ich nie mają czasu! A, kokietka?

— To skromna i nieśmiała jeszcze panienka... — rzekł Bolko.

— Jakże ci — w guście? — spytał stary.

Bolko się śmiać zaczął dziwnie jakoś.

— Wcale nie patrzę na nią — rzekł — na nic by się to nie zdało.

— Dla czego? dla czego? — podchwycił żwawo emeryt. Miéj to sobie za pewnik, że na świecie się wszystko robi przez kobiety — nic bez nich. Jest tylko dwojaka szansa — kto się niemi nie posługuje, tym one się posługują. Zakochać się, niech cię Bóg uchowa... najwyższe głupstwo, ale dobrze się obrachowawszy, postarać o to, aby się zakochano! dlaczego nie!

— Z tém wszystkiem — mówił profesor szukając

kapelusza — z tém wszystkiem, dla ciebie czas wielki jeszcze, nim chomąt sobie włożysz na szyję. Pobrykać ostrożnie nie wadzi, aby się zbytniego ognia pozbyć...

— Niemcy mają doskonałą wychowania metodę. U nich uniwersytet starczy za krwi upuszczenie, młodzieńcowi cugle na kark rzucają — hulaj! Jak się lat cztery, pięć, wybryka, wyswawoli, wyszaleje, wraca do domu wymokłym śledziem i do powszedniego życia doskonały. Niema niebezpieczeństwa, już się tam nic nie zapali, bo się wypaliło wszystko! Jednakże i z tą metodą — ostrożnie! Zdrowia trzeba szanować!

To mówiąc emeryt kładł rękawiczki letnie jedwabne...

— A zatém pozostajesz w domu? — zapytał.

— Ani odwagi, ani ochoty nie mam iść na takie gorąco! — rzekł Bolko...

— Ja zaś — jeszcze cieniem się przejdę, w szachy zagram — odparł stary, jeśli się okazya trafi na cudzą wieczerzę — nie odmówię — nie? to się skromnym kotletem u Poziemkiewiczowéj ograniczę — i — spać!!

Bolko pożegnawszy go, wychodzącemu drzwi otworzył, a że na poddaszu było trochę ciemno, przeprowadził aż do wschodów, i zwolna do swojéj izdebki powrócił.

Stanął zamyślony u stolika, jak gdyby ważył co słyszał od wuja, pokręcił głową, uśmiechnął się, popatrzał w lusterko, poprawił włosów, zapuścił w oknie firankę, i zdjąwszy surdut na sofie się spocząć położył.

Twarzyczka jego przed chwilą bez wyrazu, obojętna, prawie znudzona, stopniowo teraz zaczęła się ożywiać jakimś ogniem wewnętrznym. Młodzieniec marzył, myśl

poruszała mu krew, dawała jéj obieg żywszy i fiziognomię czyniła wyrazistszą, dojrzalszą. Gdyby wujaszek zobaczył go teraz, możeby niewidział potrzeby dawać mu nauk, które instynkt naturalny, szczęśliwie obdarzonego chłopaka, zastępował. W oczkach czarnych błyszczała chytrość i przebiegłość, usta się uśmiechały dziwnym sarkazmem, starszym niż człowiek, w którym on mieszkał, kryć się i objawiać umiał.

Marzenie to poruszało go tak dalece, że mu nie dawało spokojnie wyleżéć na sofie; zrywał się, opierał o stół, prostował, ręce zakładał, włosy rozrzucał, — widać było, że z siebie i swych planów był rad bardzo.

Nie mogąc już odpoczywać, począł chodzić, zatrzymując się czasem przed zwierciadełkiem, jakby czuł potrzebę porozumienia się, za jego pośrednictwem, z samym sobą.

Zwierciadło mu zwracało jego rysy szlachetne, uśmieszek mądry, wejrzenie bystre, a nadewszystko piękną twarzyczkę, z którą właściciel już umiał co chciał zrobić.

Ubiegło tak dobre pół godziny w téj kontemplacyi samego siebie, Bolko spojrzał na zegarek leżący na stole. Była to srebrna, gruba, stara, niepozorna cebula, któréj do kieszeni wziąść nie mógł — a łańcuszek bardzo elegancki ale prosty wiszący u kamizelki, nic nie utrzymywał — czekał.

Godzina była jeszcze wczesna — gorąco zawsze dopiekające na poddaszu, do roboty nie miał ochoty najmniejszéj młodzieniec, upadł więc znowu na sofę, i ze stolika dobył w szufladce ukrytą książkę, która do zabicia czasu dopomódz mu miała.

Nad czytaniem upłynął kwadrans, gdy na ciemném poddaszu, gdzie drzwi nie łatwo było znaléźć nie obeznanemu z miejscowością, posłyszał Bolko nieśmiałe kroki. Nastawił ucha niewstając, zmarszczył się — widocznie przybywająca wizyta — która tylko jemu mogła być przeznaczoną — w smak mu nie szła. Niespieszył więc z ułatwieniem jéj do drzwi przystępu.

Pan Bolesław u siebie przyjmować w ogóle nie lubił, nie dawał nikomu adresu swego, wstydził się zbyt skromnéj izdebki pod strychem. Wuj i ci co do niego mieli interesa, w niewielkiéj liczbie — o mieszkaniu jego wiedzieli.

Chodzenie po strychu zniecierpliwiło go wreszcie, nie było mu końca, wstał żywo, otworzył drzwi i wyjrzał...

— Kto tam?

Szybko zbliżyły się kroki ku nagle rozświeconemu wnijściu, i słusznego wzrostu młodzieniec, równego wieku z Bolkiem, ubrany niepokaźnie, pokazał się gospodarzowi poddasza. Uśmiechał się on do Bolka, który zrazu nie zdawał się go poznawać, choć światło nie mogło być temu przyczyną, bo wprost padało z izdebki, na twarz przybywającego gościa.

— Pana Bolesława dobrodzieja! — odezwał się głos gruby z akcentem rubaszno wesołym.

— Ah! Bazyli! — wykrzyknął jakby pomięszany nieco Bolko, ustępując od progu — proszę cię! Co za gość.

Wchodzący dorodny ale nie piękny mężczyzna, dobrze zbudowany, zdrów — miał fiziognomię rozumną i poważną, a pomimo to jakąś dobroduszną wesołością ożywioną. Ubrany był przyzwoicie a skromnie, a w stroju

ani wykwintności ni zbytku o nie starania i pamięci widać nie było. Na twarzy czerstwéj, jasnéj panował spokój dojrzalszych lat, a gdy się ożywiła, wyraz rozumny czynił ją niemal piękną, choć nią nie była. Bazyli należał do tych ludzi, których pokochać można, zapominając, iż im na wdzięku zbywa. Miał w sobie coś niepospolitego, oznajmującego istotę do wybranych należącą. Piękność Bolka gasła przy jego charakterystycznéj twarzy, i wydawała się jakby lalką z fryzyerskiéj wystawy.

— Ale zkądżeś się mógł o moim dowiedzieć adresie? — dodał Bolko.

— Istnym przypadkiem — rzekł Bazyli stawiąc kapelusz na stole i powolnie rozglądając się do koła. — Zaszedłem do kawiarni, gdziem spotkał Morczykowskiego, dowiadywałem się u niego o kolegów, wymienił mi twoje nazwisko, nie mogąc wskazać adresu, gdy siedzący przy szachach jakiś siwy, z głową ostrzyżoną, poważny jegomość...

(Bolko się zarumienił.)

— Był tak grzeczny, że zwróciwszy się ku mnie, mieszkanie twe mi wskazał.

— Mój wuj, professor — szepnął dławiąc się tém Bolko.

Bazyli siadł był na sofie i dobywał cygaro.

— No? jakże ci się wiedzie? co robisz? — spytał. — Mów mi naprzód o sobie, potém ja powiem co mnie tu przypędziło.

Twarz gospodarza, powlokła się melancholicznym obłokiem.

— A! kochany kolego — rzekł — ty wiesz, są ludzie

których zowią dziećmi szczęścia; ja się mogę dzieckiem nieszczęścia nazywać! Wiesz jaka nikczemność pozbawiła mnie stopnia w uniwersytecie i karyery... Być może iż się to da naprawić późniéj, tymczasem, z powodu ciosów, jakie naszą rodzinę dotknęły, znalazłem się bez resursów chwilowo, i zmuszony jestem żyć z lekcyi — z mizernych lekcyi!

Zapalający cygaro Bazyli nic na to nie odpowiedział długo, a po przestanku dodał.

— Trzeba się raz zdecydować na jakiś zawód, parę lat jeszcze pomęczyć i stopień otrzymać. Wiesz, dodał, żem zwykł mówić prawdę — zmieniałeś fakultety, łatanina była w twoich studyach — rzucałeś się, rwałeś, to ci do egzaminów przeszkodziło.

Bolko się zaczerwienił i zaperzył.

— Proszę cię — drudzy gorzéj odemnie rzucali się, mniéj pracowali, przecież stopień otrzymali. To była intryga, podłość, prześladowanie.

Bazyli głową pokiwał, widocznie się sprzeczać nie chciał.

— W twoim wieku — przebąknął powoli, — wszystko się da naprawić, masz czas, popracujesz...

— A! dobrze ci to mówić! — zawołał Bolko — tobie coś do portu dopłynął. Ja, teraz zbity z tropu, sam nie wiem co mam począć. Myślałem jak wiesz zostać prawnikiem, adwokatem, coś podobnego... tymczasem jurystów jest więcéj już jak klientów! Dziękuję... Pedagogika, mam na wuju przykład, do niczego nie prowadzi. Do matematyki nie mam zdolności najmniejszéj, a i inżenierów, jak mówią,

jest już przez wierzch głowy!.. Sam nie wiem! sam nie wiem...

Spokojnie palił swe cygaro pan Bazyli.

— Rzekłeś, panie Bolesławie — odezwał się — żem szczęśliwy, bom do portu dopłynął! Bogdajeś tak zdrów był, i mojéj rady nie potrzebował. Jestem wprawdzie doktorem medycyny i chirurgii, ale doktorów jest jak much w lecie — klientela rozebrana, znakomitości ją pochłaniają. Wyrobić sobie praktykę, rzecz wcale nie łatwa. Jednakże widzisz, przybyłem do miasta, to jest tam, gdzie najtrudniéj o nią, jestem ubogi, — ale wesół i swobodny! Dla czego? bo naukę kocham i tu sobie będę robił studya praktyczne po szpitalach, a daléj się kształcił. Na wsi niepodobieństwem nabrać doświadczenia — ale tu! tu!

Oczy mu się rozjaśniły.

— Nie masz ambicyi — rzekł Bolko.

— Mam ambicyą nabycia nauki — to moja jedyna, nielicząc że chcę być uczciwym człowiekiem. Zresztą! o grosz i glans — nie dbam!

Bolko ramionami potrząsł.

— No, ale cóż tedy myślisz? — spytał puszczając dym cygara Bazyli — co myślisz z sobą, boć te lekcye to jest *interim*.

— Sam niewiem! — odparł gospodarz. Będę musiał chyba jeszcze raz ruszać na prawo gdzieś.

— Zawsze lepiéj jak na lewo! — rozśmiał się doktór...

Bolko chodził po pokoju przypatrując się lakierowanym swym bucikom, jakby rozważał czy mu one na wieczór do pana radzcy służyć mogą.

— Widzisz mnie w doskonałym humorze — prawił daléj gość — mam sobie na trzeciém piętrze najęte dwa pokoiki, przy Mazowieckiéj ulicy, wyśmienite. Panowie koledzy do których się zameldowałem z powodu kliniki i szpitalów, przyjęli mnie doskonale. Oświadczyłem im że nie dla praktyki tu przybywam. Mam już kilka znajomości, a nawet! wyobraź sobie już dziś zaproszenie na wieczór.

— Dokąd że? — zapytał Bolko stając.

— Cała historya — rzekł doktor. — Niejaki radzca Dziemba, przyjaciel mojego ojca nieboszczyka...

Na twarzy Bolka wyskoczył rumieniec i schował się natychmiast, drgnął, wyprostował się, zaciął usta.

— Przyjaciel ojca!! patrzcie! — przerwał — ja u niego lekcye daję chłopakom, i mam téż być na wieczorze!

— A! to doskonale — rozśmiał się Bazyli — wszystko mi się wiedzie jak z płatka, właśnie sobie trochę łamałem głowę co ja tam będę robił, niemając nikogo znajomego oprócz gospodarza.

Radości wielkiéj doktora wcale się nie zdawał podzielać Bolko, stał u stolika zakłopotany jakiś i niemal podrażniony, namyślając się co ma odpowiedzieć — marszczył brwi i gryzł usta.

— Prosiłbym cię — odezwał się po chwili głosem zmienionym — abyś był łaskaw o mnie tam nie mówić nic. Wiesz co, nawet ze zbyt blizką znajomością, wolałbym ażebyśmy się nie chwalili.

Doktor się poruszył, mocno zdziwiony.

— Cóż to? dla czego?

— Powodów na ten raz, nie mogę ci wyłuszczyć — rzekł

mieszając się Bolko, który rękę doń wyciągnął — ale, proszę cię o to, tak mi wypada.

Doktór ruszył ramionami.

— Pełen jesteś zawsze tajemnic! — rzekł z westchnieniem dobroduszném. — Nie rozumiem cię.

— Ale, o cóż ci chodzi? co ci to szkodzi? — odparł Bolko skłopotany.

I począł znowu przechadzać się żywo po izdebce, dla uczynienia jakiejś dywersyi; spuszczoną firankę u okna podniósł, krzesło jedno poprawił. — Milczeli.

— Pozwól mi się spytać — dodał stojąc naprzeciw doktora — znasz dobrze radzcę i dom jego?

— Ja? nic a nic — rzekł Bazyli. — Poznałem się z nim dopiero teraz, tytułem stosunków jego z moim ojcem...

Bolko zrobił minę kwaśną.

— Mów, proszę cię — podchwycił zaciekawiony doktór.

— Nie mogę — odezwał się Bolko z jakimś heroizmem udanym — nie mogę, nie przystało mi. Za mało znam ich sam przez się, jako przyjacielowi tylko, któremu dobrze życzę, mogę powiedzieć jedno: — bądź w stosunkach ostrożnym.

Słowa te były wypowiedziane z takim jakimś naciskiem, z powagą i znaczeniem, że doktór się zasępił.

— Cóż to jest? — przebąknął.

— Nic, nic, powiadam ci, znam ich mało — ale — przestrzegam cię, z osobami składającemi rodzinę w ogóle, bądź ostrożnym. Nie zaciągaj zbyt blizkich stosunków na ślepo...

Bolko, mówiąc, to, wykrzywił się, pokiwał głową,

uderzył ręką po stoliku, i chodzić zaczął.

Doktor, tak był jakoś zdziwionym, że mu cygaro zagasło, siedział jak osłupiały.

— Jednakże — wtrącił — wszystkie osoby z któremi trafiło mi się mówić o Radzcy, wyrażały się o nim i o familii z wielkim szacunkiem.

Uśmiech szyderski przebiegł po ustach gospodarza, ruszył ramionami.

— A zatém, to com powiedział, uważaj za — niebyłe, — rzekł szybko. — Zapomnij, nie mogę mówić więcéj, dajmy temu pokój — proszę... Niepotrzebnie się wypaplałem, powtórnie białą rączkę wyciągając ku doktorowi, odezwał się Bolko — jestem zawsze nierozważny. Niech mnie moja przyjaźń tłumaczy...

Oczyma śledził go doktór napróżno, ani z twarzy nic więcéj nie mógł wyczytać, ani wydobyć z ust jego. Zamilkł więc.

— O któréj będziesz u radzcy? — zapytał Bolko.

— Myślę pójść około ósméj — rzekł doktór, — wszak godzina ta w mieście stosowną mi się zdaje? Radzca mi coś wspomniał o muzyce?...

— A tak! pani jest muzykalną bardzo — dodał żywo Bolko — panna także, ojciec naturalnie talentami rodziny się zachwyca. Oprócz tego ma się produkować jakiś cudowny wirtuoz fortepianowy, młodzieniec, uczeń Liszta, bo teraz wszyscy fortepianiści są uczniami Liszta...

— Ja, choć doktor, i jako doktor pozytywista, rozśmiał się Bazyli — muzykę lubię bardzo.

— Jest to jedyna sztuka, która ma język swój własny,

odrębny i myśli do naszego świata nie należące, malujące coś co po za tym światem, odrębnie gdzieś mieszka. Dla tego, barbarzyńca, nierozumiem cudzołożnego łączenia wyrazów do muzyki. Muzyka mówi więcéj i co innego niż słowa.

Machnął ręką i wstał z sofy.

— Ale ja ci czas zajmuję, a tu się już ma ku wieczorowi, ty i ja mamy się jeszcze wysztafirować do pana radzcy. No! ja jak ja! — rzekł śmiejąc się, włożę frak i jakie takie jaśniejsze rękawiczki, cylinder i basta — ale ty!

Bolko niby urażony i pochwycony na uczynku, rozśmiał się kwaśno.

— Za tém, do widzenia! — dodał doktor odchodząc już.

— Do widzenia! powtórzył Bolko we drzwiach, i potrzymawszy je chwilę otwarte, aby w ciemności nie zostawić doktora, zamknął gwałtownie i zaryglował.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Józef Ignacy Kraszewski.*

II.

Twarz pana Bolesława dotąd się jeszcze uśmiechająca niby, po zaryglowaniu drzwi, zmieniła się na zafrasowaną i ponurą. Stanął zamyślony, gniewny, głową potrząsając i nogą bijąc o podłogę.

Odwiedziny dawnego towarzysza, może wiadomość o znajomości jego z panem radzcą, niesmakowały mu. Potrzebował długiego czasu aby przyjść do siebie.

Przez okno widać już było wieczorne niebo i pomarańczowy kawał zachodu słońca, jaskółki zwijały się coraz żwawiéj, wróble zbierały się na noc i szczebiotały krzykliwie. Wszystko to przypominało, że chcąc o ósméj być u pana radzcy, należało myśléć o toalecie. Dla pana Bolesława była to kwestya najwyższéj wagi. Stanąwszy w oknie i przypomniawszy sobie co miał do wykonania, popatrzywszy na cebulę srebrną, która już siódmą ukazywała, począł się rozbierać.

Czarne myśli, które mu czoło zasępiały, nikły nowéj ustępując trosce. Poszedł do alkowy, aby przygotować ubranie na wieczór. Z kolei począł wynosić, dobywając z kuferka frak czarny, kamizelkę, dopełniającą ubranie część niezbędną, — wszystko to niósł do okna, opatrywał, kładł na sofie i widać było, że najwyższą wagę przywiązywał do każdego szczegółu.

Ubranie było wprawdzie dosyć świeże jeszcze, nie przestarzałe, ale ślady używania już się gdzieniegdzie

okazywały. Na kołnierzu u fraka pomadowane włosy zostawiły mglistą powłokę, guziki niektóre odstawały zbytecznie i świeciły po brzegach zdradziecko, kamizelka była pofałdowaną, a ostatnia część ubrania, mimo starannego zachowania, w kilku punktach zdawała się niemal wytartą. Wszystko to smutne wrażenie czyniło na właścicielu, który wzdychał, składając garderobę na sofie.

Kwestya koszuli, dzięki Ameryce i wynalazkom wieku XIX, znacznie była uproszczoną. Bolko wyniósł z alkowy pudełko, w którém leżały śliczne mankietki i przody koszul z kołnierzami, mogące wybornie zastąpić bieliznę prawdziwą. Kolorowa, perkalowa, skromna, wygodna koszula, jaką już miał na sobie młodzieniec, zamaskowana śnieżnéj białości przodem i mankietkami — starczyła.

Nim się stanowczo wziął do ubrania, siadł w negliżu do roboty, która ważną być musiała, gdyż twarz młodzieńca nabrała surowości i powagi gdy się do niéj zabierał. W pudełku leżały rękawiczki nie świeże, które już parę wieczorów służbę odbywały, lecz mogły przy umiejętném użyciu gummy i chleba, odzyskać stracone dziewictwo. Z namysłem wybrał naprzód jedną parę blado lila pan Bolesław, opatrzył ją u okna i rozpoczął proces puryfikacyi.

Nieszczęściem zwalani ludzie i rękawiczki zarówno trudno oczyścić się dają. Tarcie gummą okrywało je jakby mozajką brudu, który przenosił się z miejsca na miejsce, ale wywabić nie dawał. Gumma zdradziecka, czasami nawet już pochwycone nieczystości nazad oddawała. Z rękawiczkami więc, ograniczając się nawet częścią ich zewnętrzną, która na świat wystąpić miała — kłopot był

wielki. Spotniał nieszczęśliwy młodzieniec nad niemi.

Następowały ablucye staranne, wyświeżenie rąk, do których piękności przywiązywał wielką wagę właściciel, a na ostatek ułożenie włosów, z pomocą dwóch zwierciadeł, tak, aby przedział idący aż do szyi, z jeometryczną regularnością był wykonany, i dozwalał się domyśléć ręki fryzyera.

Dobry kwadrans trzeba było politurowaniu i opiłowywaniu paznogci poświęcić, drugi zabrały włosy...

Widać było w panu Bolesławie skrupulatnego i sumiennego człowieka, nie zaniedbującego nic co mu przyzwoitą nadać mogło powierzchowność. Ręce już doprowadzone do artystycznego wykończenia szczegółów, po urządzeniu włosów, należało obmyć raz jeszcze, aby na nich ani ślad, ani zapach żaden niewłaściwy nie pozostał.

Zapięcie kołnierzyka, przymocowanie mankietów, aby nie dopuściły się zdrady, z niemałym przyszło trudem — krawat téż musiał leżéć tak aby był jakby od niechcenia ułożony, a misternie. Powoli uroczyście odbywało się wdziewanie każdéj cząstki ubrania. Odziewający się prostował, wyginał, stawał do zwierciadła bokiem, obciągał, przypinał i nie zaniedbał nic by sobie dodać wdzięku i dystynkcyi.

Do kamizelki przyczepił ów łańcuszek, który nie trzymał zegarka, bo go nie było, włożył szkiełko do górnéj kieszonki, naostatek zwolna i ostrożnie wciągnął frak ów, którego kołnierz wprawdzie nieco odświeżył, lecz zostawiał on zawsze wiele do życzenia.

Powolne i ostrożne obchodzenie się z tym ważnym

artykułem ubioru, tłumaczyło się tém, że podszewka w rękawach dawała mu metrykę już dosyć odległych sięgającą czasów. Barwa jéj była wątpliwa i mozaikowemi plamami okryta. Ale, w tańcu gorąco bywa. Mimo wieku, frak bardzo dobrze i z pewną dystynkcyą się prezentował, był nawet tém przyzwoitszym, bo suknia nowa jak z igły, parafianom tylko uchodzi.

Raz i drugi zobaczywszy się w zwierciadle, surowéj krytyce poddawszy lakierki, doprowadziwszy do pięknego lustru kapelusz, pan Bolesław spójrzał na zegarek i począł wdziewać rękawiczki, z wprawą i zręcznością świadczącą o długiéj kunsztu tego praktyce.

Kunsztem się to nazwać mogło, gdyż niezamożny młodzieniec, Jouvaina rękawiczek nabywać nie mógł, musiał się ograniczać bardzo pospolitemi, szytemi ze skóry, niewytrzymującéj ciśnienia, szytéj nićmi bez energii — sztuką więc było wdziać tę pajęczynę nie rozrywając na kawałki.

W tém Bolko był mistrzem, palce jego wciskały się jak złodzieje pod skórę, insynuowały łagodnie, wślizgały nieznacznie, trzymały spokojnie i rękawiczka obałamucona — wytrzymywała.

W oknie już nadchodzący mrok widać było, komary zaczynały na noc zajeżdżać do izdebki — zegarek wskazywał trzy kwadranse na ósmą, wielkie dzieło było ukończone, — pozostawało narzucenie lekkiego paletocika na ramiona, i chustka do nosa.

Chustka do nosa reprezentacyjna, trochę zmięta, lecz z nosem nie widująca się nigdy, miała schronienie osobne —

druga do posługi prozaicznéj, spoczywała w kieszeni innéj. Bolko miał tę przytomność umysłu iż nigdy nie wydobył téj któréj ukazać nie potrzebował.

Na stoliku leżała skórzana portmonetka; właściciel o mało niezapomniał o niéj. Wziął ją w rękę z westchnieniem i poszedł do okna. Staranny egzamen wszystkich jéj komórek nie wykazał więcéj nad jednego rubla, jednego imperyała i kilku sztuczek drobnéj monety. Nie było już czasu zająć się uporządkowaniem izdebki, którą ubieranie się zarzuciło gracikami niepotrzebnemi, Bolko odłożywszy to na późniéj, pospieszył, gdyż zegarek prawie ósmą wskazywał. Miał jeszcze kawał drogi ze Ś-to Krzyzkiéj ulicy na Krakowskie.

W ulicy z pewnością nikt by się nie domyślił, że ten panicz schodził ze strychu, można go było wziąć za arystokratyczną istotę gnieżdżącą się na pierwszém piętrze. Dziewczęta stojące w bramie, gdy się z niéj wymykał, popatrzały nań potrząsając głowami.

— Lalka! — rzekła jedna.

— Co chłopiec to chłopiec, jak z cukru! — dodała druga.

— Grafiątko! ze strychu! — rozśmiała się pierwsza...

I chichotały patrząc na pięknego Bolka, który zresztą i innych niewiast oczy ciekawe zwracał na siebie. Umiał téż iść przez ulicę arystokratycznie. Nie spieszył się, nie przypatrywał niczemu zbytnio, szedł krokiem niedbałym, niby na przechadzkę, ledwie roztargnionemi rzucając oczyma dokoła, cała postać niewymuszony miała wdzięk naturalny, a mimo elegancyi zdała się niby zaniedbaną.

Można się było domyślać, iż czas poświęcony téj pieszéj

podróży, nie został stracony, gdyż w miarę jak się do celu przybliżał, mieniła mu się fiziognomia, okrywała tęsknicą, melancholią, rezygnacyą, pomieszanemi w dozach właściwych, aby stworzyły coś — niepospolitego — pociągającego.

Pan radzca Dziemba mieszkał na drugiem piętrze wprawdzie, lecz w jednym z najpiękniejszych nowych domów. Zdala widać tam już było zapuszczone story i okna mocno oświecone. Bolko zwolnił kroku, układając jeszcze plan znalezienia się; wszystko bowiem co robił było z góry obrachowane. Lękał się spuścić na natchnienie chwili, wolał sam z sobą roztrząsnąć wszystkie możliwe wypadki i miéć gotową na nie formułę.

Było już blizko wpół do dziewiątéj, gdy stanął u drzwi, które mu czarno ubrany służący grzecznie otworzył. W przedpokoju wiszące paltociki i chustki zwiastowały, że część zaproszonych osób była już w salonie.

Pominąwszy jeden pokoik jakiś przechodni, oświecony lampą i ubrany kilką staremi krzesłami, Bolko otworzył drzwi i znalazł się w rzęsisto oświetlonym salonie, z którego żywa wesoła buchnęła rozmowa. Było już osób kilkanaście.

Salon podobny do wszystkich innych, nie odznaczał się niczém szczególném, był nawet dosyć eleganckim, lecz smak właścicieli nie nadał mu charakteru. W głębi otwarty już, piękny, fortepian nowy najwięcéj zwracał oczy. Sprzęty, firanki, ozdoby pokaźne i zbytkowne niby, były tuzinkowe. Na kominie zegar bronzowy ogromny, dźwigał zamyśloną niewiastę, spartą na kolumnie. Na głównym

stoliku paradował bukiet rozpostarty szeroko i dużo książek w oprawach olśniewających złotem.

Niedaleko od drzwi wchodowych znalazł się gospodarz. Poważna, otyła figura, z łysiną, — twarz rozrumieniona, szczęśliwa sobą, niby dobroduszna, pyszna trochę, chwilami mająca błyski oczów jakieś dziwne i niedające się z wyrazem jéj pogodzić.

Trochę daléj stała gospodyni, osoba wspaniała, jeszcze pragnąca być piękną a niegdyś pewnie piękna bardzo, wygorsowana dosyć, z rękami także do pół odkrytemi, olśniewającemi białością i śnieżnością, wystrojona i okryta biżuteryą, za któréj prawdziwość ręczyć było trudno. Kwiat w ciemnych włosach, koronki, szczegóły toalety dowodziły starania wielkiego o siebie. Twarzyczka téż pani radczyni, choć wypełniona może zanadto, z maleńkim kształtnym noskiem, różowemi ustami, oczyma przymrużonemi nieco, była jeszcze wcale świeżą i ponętną. W uśmiechu białe i piękne pokazywała ząbki.

Za tym posągiem przypominającym jakąś Popeę czy Julię rzymską, stała panienka, któréj pokrewieństwo z nią, nie ulegało wątpliwości. Był to ten sam typ, odmłodzony, uszlachetniony i wyidealizowany. Lecz podobieństwo to, na pierwszy rzut oka uderzające, wprawiało w zdumienie, gdy się je śledzić zaczęło; taż sama twarz, rysy, kształty miały w młodem dziewczęciu zupełnie odmienny wyraz, stanowiły niemal sprzeczność z macierzyńską pięknością. Na czole pani radczynéj nie widać było myśli, w oczach nic oprócz zalotnéj melancholii — u panienki rozbudzony duch jakiś, energia nad wiek przekształcały całkowicie twarzyczkę, na

którą spojrzéć było trudno, nie będąc uderzonym intelligencyą jaka z niéj tryskała. Pomimo skromności młodziuchnego dziewczęcia, zdawało się jakby ona tu panować była przeznaczoną. Ubiór jéj był bardzo skromny, lecz pełen smaku, miała sukienkę czarną z wstążkami kolorowemi, biały kołnierzyk i kwiatek we włosach.

Gdy Bolek wchodził, rozmowa się ożywiona i przerywana śmiechami toczyła w środku salonu, w któréj udział brała pani domu, radzca, doktor Bazyli, dwie panie już nie młode i mężczyzna, w którym można się było domyślać wirtuoza.

Lwa tego otaczali wszyscy, trzymał jeszcze kapelusz w ręku, miał minę znudzoną geniusza, który raczył się dać ubłagać i zstąpił na ziemię, a razem chciał być na ten raz prostym śmiertelnikiem.

Twarz muzyka nie mówiła zresztą nic — młoda jeszcze była już zwiędłą i zniszczoną; wzrok miał błędny i roztargniony, uśmiech jakiś nie naturalny i kwaśny. Ruchy i sposób obchodzenia się były przyzwoite, lecz zarazem jakby wyuczone. Pod tą powłoką salonowego lwa, mieszkał może jaki bardzo pospolity burek, który grał swą rolę dosyć zręcznie. Wśród rozmowy artysta oczyma robił inwentarz salonu i rekognoskował towarzystwo, aby wiedzieć w jakim tonie ma ją prowadzić.

Wnijście pana Bolesława, ku któremu zaledwie się zwrócił gospodarz, nie przerwała żywego opowiadania artysty o koncercie jaki dawał w Wiedniu, w przytomności dworu i wszystkich arcyksiążąt. Bolek z taktem wielkim, umiał zająć bardzo skromny kątek, jakby pragnął się ukryć.

Doktór spojrzał ku niemu, lecz widząc że wejrzenia jego unikał, słuchał daléj powieści, z dowcipnemi przyprawami.

Dwie nie pierwszéj młodości damy, obie znakomite diletantki, z nadzwyczajném zajęciem, niemal gorączkową chciwością pochwycenia każdego wyrazu, słuchały artysty.

Na twarzy panny Emmy, która stała za matką, malowało się coś niezrozumiałego — artysta mógł to wziąć za sympatyę, kto inny byłby dojrzał może nieco szyderstwa.

Drzwi salonu otwierały się ciągle, goście nadchodzili, witano się i ze środka salonu grupa główna przeniosła się ku kanapie.

Troskliwy o to aby się goście nie nudzili u niego, radzca chciał właśnie zapoznać Bolka z doktorem i szepnął mu o tém, gdy pan professor, jak go tu przez grzeczność nazywano, z bardzo dwuznaczną jakąś miną, oświadczył iż ma przyjemność znać dawniéj doktora Bazylego.

Radzca nic się nie domyślający, uderzony był wszakże czemś w postawie i głosie Bolka dziwném tak, że się w niego wpatrzył by odgadnąć czy byli powaśnieni może — lub...

Schylił się do ucha Bolka.

— Czy panowie z sobą jesteście nie dobrze?

Spojrzał mu w oczy, zmięszał się Bolko i odegrał wybornie, scenę zdumienia, zakłopotania — zacierania czegoś, aby dać wiele do myślenia.

— Ale owszem, owszem...

Radzca był i ciekawy i napastliwy, odprowadził do kąta Bolka i po cichu badać go począł.

— Przyznaj mi się pan — tak, otwarcie, jak należy przed

przyjacielem — czy mielibyście co między sobą?

— Słowo panu daję że nic, nic — rzekł umyślnie mięszając się i bełkocząc Bolko. — Jeśli mam prawdę powiedzieć, nie godziły się nasze charaktery.

Minę nastroiwszy i pokorną i dumną zarazem, Bolek już nic z siebie więcéj dobyć nie dał. Bazyli, któremu to było wszystko jedno, zdala się przywitawszy z nim, nie bardzo się już przysuwał. Tamten go widocznie unikał.

Dwaj synowie pana radzcy, chłopaki już słuszne weszli do salonu, a Bolek z pewną afektacyą dobroduszności i łagodności zajął się niemi. A że dobrowolnie siadł w kątku skromnie, i takie dawał dowody serdecznego dla swych uczniów współczucia — panna Emma zwabiona tém, na chwilkę poszła mu podziękować kilką grzecznemi słowy i uśmiechem.

Około wirtuoza naturalnie skupiało się całe salonu życie, lew królował. Doktor, dla którego wszystko i zawsze było przedmiotem do postrzeżeń, mówił sobie w duchu, że wielki ów mistrz tonów, mówił nieosobliwie, rzeczy oklepane, na których czuć było starzyznę. Znudzenie okrutne ziało z niego, ale chciał być grzecznym; wyciągał więc co mógł z zakątków pamięci, dowcipy zużyte, anegdotki zszarzane, postrzeżenia zmięte i spłowiałe, a słuchacze brali to za dobrą monetę. Najwięcéj jednak wyślizgało mu się arystokratycznych wspomnień — jakby mimowolnie, — mających dowodzić jak jego talent (mówi się geniusz w oczy) — oceniony został w wyższych sferach społecznych.

Wszyscy téż czuli się do obowiązku obchodzenia się z tą

rozpieszczoną osobistością w sposób jak najdelikatniejszy i pełen poszanowania. Po Liszcie zostały wszakże tradycye tych ubóstwiań, do których teraz każdy uczeń jego rości prawa, jak do spadku po mistrzu i ojcu duchowym.

Gospodyni, pomimo nadzwyczajnéj chęci usłyszenia wirtuoza (który już się był dał publicznie słyszéć) dla tego aby módz nazajutrz po całém głosić mieście iż był u niéj, grał i produkował się z wielką uprzejmością — nieśmiała jednak być zbyt natrętną. Bawiono go rozmową, którą on się nie bardzo zdawał ubawiać. Podano herbatę, ciasta, i towarzystwo otoczyło lwa kołem.

Doktór Bazyli miał przytém zręczność przypatrzenia się nowéj cale osobistości, typowi XIX wieku, — istocie za żywota kanonizowanéj w imię sztuki — nie mówił nic, stał i słuchał z powagą wielką, a zarozumiałość kolosalna poczciwca, który brał się na seryo, zdawała się go bawić niezmiernie.

Bolek tymczasem w kątku ciemnym grał rolę skromnisia, istoty dystyngowanéj, którą losy zepchnęły nizko, a która się umie pogodzić ze swém przeznaczeniem i dźwiga niezasłużone przeciwności brzemię, nie skarżąc się i nie burząc, ze stoicyzmem heroicznym.

Dla doktora Bazylego, z powołania obserwatora i dawny towarzysz uniwersytecki, zjawiający mu się w nowéj postaci, był ciekawém studyum. Niepoznawał go tutaj i nierozumiał co go czynić mogło tak cichym, pokornym razem i dumnym.

Radzca, który długo stał niby się przysłuchując opowiadaniom artysty, a małą w istocie do nich

przywiązując wagę, — odciągnął doktora do małego stoliczka na herbatę — we dwojgu.

— Dowiaduję się od p. Bolesława, odezwał się z cicha, że panowie się znacie z nim od uniwersytetu?

Doktor pamiętny na to o co go proszono — potwierdził dosyć ostrożnie.

— Tak jest, spotykaliśmy się z nim, chociaż na innych fakultetach słuchając wykładów, mało miałem zręczności zbliżenia się.

— Młodzieniec bardzo przyzwoity — i znakomitego rodu! — dodał Radzca.

Doktor zdziwiony nieco spojrzał na niego.

— A tak! tak! — odparł radzca sięgając do kieszeni i szukając w niéj biletu wizytowego — który podał nieznacznie doktorowi.

Bazyli znał Bolesława zawsze jako pana Tanczyńskiego w uniwersytecie, niemało się więc zdumiał ujrzawszy na karcie wizytowéj nazwisko Bolesław Tęczyński, i u góry herb Topor.

W milczeniu obejrzał kartę i nic nie mówiąc oddał radzcy, który ją schował do kieszeni.

— Ja sam byłem tego przekonania, dodał, że stary ów ród Tęczyńskich wygasł zupełnie, ale się okazuje, że gałąź jego jedna pozostała i doszła do naszych czasów. Na pańskim koledze znać zaraz tę krew starą i pochodzenie arystokratyczne.

Doktor popijał herbatę, nie przedłużając rozmowy w tym przedmiocie, który mu był obcym. Śmiać mu się wprawdzie chciało z tego nowo kreowanego spadkobiercy panów na

Tęczynie, litość go brała zarazem, lecz szkodzić mu niechciał.

— Chłopak nadzwyczaj delikatny, mówił radzca, choć domyślam się, że musi być chwilowo w położeniu dosyć przykrem. Sam mu zaofiarowałem wyższe honoraryum za lekcye — bezinteresowność dziś rzadka. Przytém przywiązał się do naszego domu.

Doktor Bazyli słuchał, nie wtrącał nic, i po chwili wynurzywszy się przed nim, odszedł do innych gości. Wirtuoz jeszcze się jakoś nie decydował sprobować „Pleyela“, który stał otwarty i domagał się aby na nim zagrał coś chopinowskiego. Tymczasem panna Emma, z którą doktór przy pierwszéj znajomości zawiązał był dość żywą rozmowę, została samą i Bazyli do niéj się przybliżył.

— Ojciec mi mówi — odezwała się cicho, że doktor zna z uniwersytetu naszego professora, pana Tęczyńskiego? — Ciekawe oczy utopiła w nim pytając panna Emma.

— A tak, znaliśmy się, spotykaliśmy się — odparł doktor. Czy panią interesuje?

Nie zarumieniła się wcale na to pytanie córka radzcy, ciemne oczy swe zwróciła z wyrazem zdziwionym na doktora, poruszyła ramionami i poczęła z małym uśmieszkiem.

— Interesuje mnie tylko jako potomek znacznéj jakiéjś rodziny, upadłéj tak nieszczęśliwie, że jéj nic nie zostało oprócz pracy. Umiem poszanować taką szlachetną rezygnacyę — dodała panna Emma — ale, szanowny doktorze — niedyskretne pytanie przy pierwszéj znajomości — czy istotnie jest to potomek...

— Jakże pani chce aby doktor o tém wiedział, dla którego tylko genealogie chorób są znane? rozśmiał się Bazyli. — Dla mnie może on być potomkiem królewskiego rodu, to mi wszystko jedno...

— Panowie byli z sobą bliżéj? — spytała ciekawa panienka.

— Bardzo blizko, nie, — odparł doktor, ale — znaliśmy się.

— Bardzo skromny i miły człowiek — dodała panna Emma chłodno — tak skromny i pełen taktu, że mnie się to w jego wieku aż prawie nie naturalném wydaje?

Doktor się uśmiechnął patrząc jéj w oczy, lecz odpowiadać nie chciał, i zbył to uśmiechem.

— Ojciec, matka i bracia moi, wszyscy w domu pana Bolesława bardzo cenią — dodała Emma, — a mnie jako ofiara losu obchodzi — radabym wiedzieć z jakiéj spadł wysokości. Widzę jednak, że pan nie zaspokoisz mojéj ciekawości.

— Niestety! — rzekł Bazyli tym samym żartobliwym tonem — znałem go już w tym upadku, a o przeszłości niewiem nic.

Panna Emma, która się widać czuła z doktorem swobodniejszą niż z innymi i odczuła w nim człowieka, z którym mogła być poufaléj nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo — zwróciła rozmowę na muzyka.

— Bardzo bym rada aby się nasz gość dał namówić do fortepianu — rzekła cicho — gra na koncercie ma oddzielny charakter i nie daje talentu ocenić — ale trudnoż kogoś co wypił herbatę, prosić ażeby się za nią zaraz

wypłacił! Trzeba czekać cierpliwie.

— Tak — odparł doktor równie zniżonym głosem. Przyznam się pani żem się probował przysłuchiwać jego opowiadaniom i — po nich, radbym gry posłuchać, bo bym może o wirtuozie zmienił opinię.

— A! cóż pan chcesz od wirtuoza! — odezwała się z westchnieniem panienka — ja com była zmuszoną dobijać się pewnéj wprawy na fortepianie, wiem najlepiéj jaką ofiarą myśli i ducha okupuje się mechanizm. Cóż dziwnego że wirtuoz, który w sobie nim myśl zasuszył i odrętwił, mówić nie potrafi? jego mową są dźwięki, jego językiem muzyka.

Doktor popatrzał na piękną panienkę z wielkim zajęciem i skłonił głową na znak zupełnego przyzwolenia. Panna Emma, jakby zrozumiała że się trochę zdumiał śmiałemu jéj zdaniu, zarumieniła się i usteczka dziwny wyraz przybrały.

— Miał mnie za dziecko! widocznie — zdawała się mówić.

Właśnie kończyli rozmowę z sobą, gdy około kanapy ruch się jakiś wszczął i artysta, przez jedną z dam uproszony, wolnym bardzo krokiem, jakby w głębokiem rozmyślaniu zanurzony, posunął się ku fortepianowi. Zdejmował powoli rękawiczki, zdjął potém kilka kosztownych i pięknych pierścieni, które miał na palcach i złożył je od niechcenia na rękawiczkach. Były to wszystko dary wielbicieli i owoce rozbudzonych entuzyazmów. Panie zdaleka mierzyły je ciekawemi oczyma. Jeden ogromny turkus pochodził z pięknych rąk księżnéj G... i ofiarowany mu był nad Newą. Opal brylantami otoczony, dała mu na

pamiątkę piękna amerykanka. Szmaragd był wspomnieniem paryżanki...

Wirtuoz stojąc przy fortepianie dotknął na próbę końcem palców kilku klawiszów... siadał powoli myślał jeszcze...

Nie był to już jeden z tych uczniów pierwotnych Liszta, którzy wszystko zakładali na sile, a z fortepianu usiłując uczynić całą orkiestrę — wybrał sobie inne zadanie. — Stroną główną gry jego było cieniowanie, delikatność, finezya — miał dotknięcie nadzwyczajne. Słynął ze śpiewności w grze swojéj, i był tłumaczem zapomnianych mistrzów, takiego Scarlatti'ego, Bacha, Mozart'a, których teraźniejsi wirtuozi nie grają wcale.

Pod tym względem mógł się raczéj nazwać uczniem i naśladowcą Bülowa. Ze skromnością wielką, niepopisując się z żadnym pasażem hałaśliwym, wziął naprzód kilka akordów bardzo prostych, dał im przebrzmieć i zagrał — starego Menueta...

Było to nieco dziwaczne, przestarzałe, śmieszne niemal swą prostotą naiwną, ale zagrane w istocie z taką doskonałością, staraniem, wytwornością, iż panna Emma nawet stała zdumiona, choć nie była do uwielbienia usposobioną.

Sprawdziły się jéj słowa, że wirtuoz, który w rozmowie okazał się bardzo pospolitym człowiekiem, przy fortepianie był poetą.

Wszyscy przyklasnęli z serca ślicznemu klejnocikowi — był to początek wdzięczny i miły... Sam téż wirtuoz, który na kanapie wyglądał niepociesznie, grając wypiękniał.

Jedna z pań poczęła modlić o Chopin'a i — zabrzmiało

jego Adagio koncertowe, równie ślicznie i starannie odegrane. Zachwyceni byli wszyscy, nikt już ani śmiał prosić o więcéj. Sam artysta jednak pokochał się w swoim „Pleyelu“ i nieproszony zagrał nokturn i mazura.

Po nim otoczono go kołem dziękując mu z uniesieniem nie kłamanem. Rozstąpiły się panie, radzca proponował cygaro w swoim pokoju, muzyk przyjął. Tymczasem gotowała się wieczerza z szampanem, którym zdrowie wirtuoza wnieść miano.

Panie pozostałe w salonie rozbierały grę tę cudowną, spierały się o nią, udzielały sobie wzajemnie postrzeżeń o artyście, a wirtuoz swobodniejszy teraz przy cygarze znowu zszedł na bardzo pospolitego śmiertelnika. Co gorzéj, o niczém jakoś nieumiał tu mówić tylko o rezultacie swoich koncertów finansowych, co nie było zabawném bardzo. Utrzymywał on, że najkorzystniejsze koncerta miewał w głębi Rossyi, po małych miasteczkach, gdzie zwykle sale bywały pełne, a co zagrał i jak zagrał przyjmowano z entuzyazmem niesłychanym. Europa już dla koncertantów była krajem wyczerpanym i niewdzięcznym... Bodaj koncerty w Kiachcie i Nowogrodzie! dodawał rozweselony.

Całe męzkie towarzystwo spłynęło do gabinetu, gdzie cygara palono, przybył tam i doktór, wsunął się i pan Tanczyński. Pierwszy raz tego wieczora znaleźli się tak blizko siebie. Sam Bolek zagadnął z cicha dawnego kolegę.

— Jakże się podobało?

— Bardzo, dom miły, ludzie uprzejmi — rzekł Bazyli.

— I panna Emma, jak widzę, na doktora szczególniéj jakoś łaskawa, cicho dodał Bolek z sarkastycznym

uśmiechem. Jeszcze mi się nie zdarzyło jéj widziéć przy pierwszéj znajomości tak szczęśliwie usposobioną. Lecz — strzeż się, szanowny doktorze — bo Krasicki, wielki znawca serc ludzkich powiedział. — Wszystko to jest zmienne!!

To mówiąc oddalił się, a w tonie mowy jego Bazyli poczuł trochę rozdrażnienia. — Jestem w domu! pomyślał. — Bolek Tęczyński chodzi około panny!!

Przy pierwszéj zręczności znalazłszy się w blizkości Bolka, doktor mu szepnął na ucho. — Bądź, kochanie spokojnym o mnie — bogdajbym ja tak mógł być o ciebie.

Rumieniec wypłynął na piękną twarzyczkę professora, chciał coś odpowiedziéć — lecz doktor się już oddalił. Myślał się nawet wymknąć przed wieczerzą, ale niezgrabnie się wziął do wyszukania kapelusza i radzca pobiegłszy za nim, odebrał mu go.

— Nie puszczę! — rzekł.

— Ja wieczerzy nie jadam — szepnął doktor.

— To nie jedz! — klepiąc go po ramieniu zawołał gospodarz — nie idzie mi o wieczerzę, ale o wasze towarzystwo. Wypijemy zdrowie menueciarza.

Dał się zatrzymać doktor Bazyli, panna Emma, dla większego bezpieczeństwa, wzięła go pod swój nadzór policyjny.

— A pięknie to — odezwała się — więc my pana nudzimy! Chciałeś tylko posłyszéć wirtuoza...

— Nie, pani, rzekł doktor, ja się lękałem żebym państwa nie znudził sobą, doktorowie w ogóle są nie zabawni i w towarzystwie niosą z sobą nie miłe przypomnienia.

— Ale pan w téj chwili nie jesteś wcale i niepowinieneś być doktorem — dorzuciła wesoło panna — dla uspokojenia go nawet muszę mu zaręczyć, że mamy domowego eskulapa, doktora B... więc tu u nas, jesteś pan prostym gościem, bez innego tytułu, prócz przyjaźni naszych rodziców.

Doktór Bazyli skłonił się grzecznie. Spojrzał przypadkiem na Bolka i dostrzegł na jego twarzy źle ukryte rozdrażnienie. Zajmował się z gorączkową czułością chłopcami, a widać było że myślą był gdzieindziéj.

Drzwi się otworzyły wkrótce do jadalnego pokoju, gospodyni podała rękę wirtuozowi, i złożyło się jakoś tak, że doktor musiał prowadzić pannę Emmę. Idący z tyłu profesor rzucił nań piorunujące wejrzenie. Bazylemu ponieważ się ani śniło przypodobać pannie Emmie, choć ją znajdował nadzwyczajnie miłą i umysłowo wykształconą — trochę się śmiać chciało z tych oznak po których zazdrości się łatwo domyślał.

U wieczerzy rozmowa nie bardzo była zajmującą, — z wielkim tylko zapałem wypili wszyscy, damy nawet, zdrowie genialnego artysty, który dziękował z tą skromnością przyzwoitą wielkim ludziom, zbyt ufnym w siebie, aby pysznemi się potrzebowali okazywać. Hołd oddany mu z ujmującą grzecznością, wnet zwrócił gość pijąc zdrowie gospodarstwa... Kieliszki widocznie ożywiły nawet umysł mistrza, który stał się weselszym i rzucił kilka melancholicznych wejrzeń ku pannie Emmie, ale spotkawszy wzrok jéj chłodny i zdziwiony a wcale nie onieśmielony, zwrócił się natychmiast z nadmiarem

czułości ku pięknéj pani, którą posadzono koło niego nie bez myśli zapewne.

Była to diletantka równie ładna jak czuła, nawykła do obcowania z artystami i przyjmowania ich w swym domu. Prześliczne jéj oczy miały nadzieję wirtuoza ściągnąć na jeszcze jeden wieczorek na Leszno... Tu znalazł wzrok artysty, tak sympatyczną odpowiedź, tak ognistem mu się wywdzięczono spojrzeniem, iż panna Emma została oswobodzoną od dalszych magnetyzowania pokuszeń.

Po wieczerzy palono jeszcze cygara i popijano węgrzyna, a gdy doktor wyszedł nareszcie, na trotuarze dopędził go Bolek.

— Muszę ci choć powinszować — odezwał się głosem w którym czuć było trochę gniewu — *aussitot arrivé, aussitot pendu* — widzę że się panna Emma podobała!

Rozśmiał się doktor dobrodusznie.

— Ty widzisz więcéj niż jest — rzekł — ale ja widzę niewątpliwie że jesteś zazdrośny i zakochany — Bóg z tobą, mój Bolku — uspokój się, słowo ci daję że przeszkadzać nie będę. Odczep się odemnie, przyjechałem umizgać się do tyfusów nie do panien. — Dobranoc.

Pan Tanczyński przezwany Tęczyńskim — jakąś chwilę po odejściu doktora stał na trotuarze, ramionami rzucił i żywym krokiem poszedł z powrotem do swéj izdebki na strychu...

Nigdy może tak impetycznie nie biegł po wschodach, tak niegrzecznie dla śpiących sąsiadów nie rzucił drzwiami wchodząc na strych do mieszkania, — tak niezręcznie nie zapalał świecy jak dzisiaj. Dopiero wyższe względy na

zachowanie ubioru, który z uwagą i troskliwością ojcowską trzeba było złożyć do komody, zdołały na nim wymódz uspokojenie i zwrócić go do prozaicznéj rzeczywistości.

Zdejmując frak postrzegł z boleścią — iż był pęknięty pod pachą!!

---

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

III.

Profesor emeryt mieszkał w jednym z domów przy Jerozolimskiéj alei, wprawdzie na tyle, lecz okna jego na cienisty wychodziły ogródek, powietrze miał zdrowe, ciszę, bo tu ruch uliczny zaledwie słyszéć się dawał i życie sobie urządził nadzwyczaj praktycznie.

Nie miał on pono nic więcéj nad skromną pensyjkę emerytalną, umiał jednak tak się postawić w obec ludzi, iż go miano za bardzo majętnego, skąpego tylko człowieka. Wygadywał się tak czasami wypadkiem z lokowaniem kapitałów, ze zwłoką w opłacie procentów, niekiedy dopytywał o kamienice do nabycia, ale czynił to tak zręcznie, iż gdy go kto za słowo pochwyciwszy, zagadnął o — pieniądze, mógł się ich wyprzysiądz.

— Ja jestem sobie ubogi emeryt — mówił — dajcie mi asaństwo pokój. Profesorowie kapitałów nie zbierają. Ba! ba!

Z tém wszystkiem znajomi jego, zwąc go obrzydłym sknerą, byli najpewniejsi, że znaczne summy ukrywał.

— O ho! ho! — mawiano — profesor siedzi na listach zastawnych i obligach, ale mruk i skąpiec, nie radby aby o tém kto wiedział.

W istocie widywano go czasem przekradającego się około giełdy, a gdy termin obcinania kuponów nadchodził, dawał nożyczki do ostrzenia, narzekając, że się na papierze bardzo prędko tępią. Ugruntowaną była opinia o nim jako o

skrytym kapitaliście.

Zapewne musiało mu chodzić o to, ażeby się tego domyślano, gdyż popełniał niezręczności, które go zdradzały i w mniemaniu tém utwierdzać mogły. Zagadnięty jednak, wyprzysięgał się, gniewał i skarżył, że ledwie żyć ma z czego.

Pomimo mniemanego ubóstwa, używał powszechnéj konsyderacyi jaka należy ludziom grosza. Gospodarz, którego opłacał nadzwyczaj punktualnie, kłaniał mu się bardzo nizko, wszyscy w domu okazywali wielki szacunek, kredyt, gdyby go był żądał, miałby nieograniczony, ale za wszystko zwykł był opłacać gotówką.

Życie przytém prowadził nadzwyczaj regularne i skromne. Jedzenie mizerne przynoszono mu z poblizkiéj garkuchni, kawę zrana i po obiedzie robił sobie sam na maszynce, odzieży mało zużywał, stróż w kamienicy przynosił mu wodę, czyścił buty i zamiatał dwa pokoiki, które wraz z ciemnym przedpokojem stanowiły cały jego apartament.

Z wejrzenia nań trudno się było powołania i zajęć lokatora domyśléć. Nago tu było i ubogo, a żadne upodobanie, fantazya, zatrudnienie, mogące uprzyjemnić życie nie wycisnęło tu piętna.

Pokój bawialny nagi był nawet, ale niezmiernie czysty. Stojący na komodzie zegar w drewnianéj oprawie, nie szedł oddawna. Na stoliku nigdy żadnéj książki nikt nie zobaczył. Cztery spłowiałe sztychy z historyi Pawła i Wirginii, zwierciadło podrapane i portret profesora olejny, niegodziwie malowany, przyozdabiały ściany. W pokoju

sypialnym, łóżko zawsze posłane porządnie, stoliczek, umywalnia, lusterko do golenia — nie było nic więcéj. — W ciemnych kątach kryła się szafa, o któréj powiadano, jakoby w niéj książki jakieś być miały, ale do téj nikt nigdy nie zaglądał. Profesor nie czytywał nic oprócz Kuryera z nałogu, a czasem dodatkowo większéj gazety jakiéj, gdy mu się nastręczyła w kawiarni.

Urządzenie mieszkania oznajmywało człowieka do porządku nawykłego. Ponieważ zamczystych skrzyń ani szaf nie było, utrzymywano, iż papiery swe w banku dla bezpieczeństwa składał.

Zrana wstawszy znajdował już profesor wodę, śmietankę i bułkę przygotowaną, pił kawę zrobioną na maszynce, palił fajkę i, gdy pora była znośną, wynosił się na miasto. Niekiedy wracał ku obiadowéj godzinie, a gdy go nie było, pozostawał w mieście do wieczora, co zimową porą oszczędzało paliwa. Obiady z garkuchni brane, abonowane za znaczkami, jadał tylko z musu, gdyż niezbywało mu na znajomych i na umiejętności przyczepiania się do traktamentów. Wstyd nawet tracił gdy szło o przeżywienie się bezpłatne, nie wahał się przypominać, wciskać, najść obiadujących i wywierać pressją moralną.

Jeść nadzwyczaj lubił, na kuchni i winie znał się wyśmienicie, ale nikt nigdy go nie pochwycił na tém, ażeby sobie sam coś kupił smacznego. Zaproszony jadł z apetytem wilczym, bezwstydnym, a w lokalach publicznych, umiał zwracać uwagę na delikatesy i nowalie. Wypłacał się amfitrionom swoim humorem szyderskim, cynicznym, dowcipem nielitościwym, który czynił go miłym

towarzyszem. Żartował zaś dziś z tego jutro z drugiego, nie wiążąc się żadną przyjaźnią i afektem szczególnym.

Od kobiet i towarzystwa niewieściego starannie unikał, obawiał się ich i, choć im w społeczeństwie najważniejszą rolę przyznawał, nie miał wcale sympatyi dla tego czynnika — u którego téż w łaskach nie był.

Poufnie powiadał siostrzeńcowi.

— Mężczyźni u nas w ogóle są daleko głupsi, z niemi téż wygodniej jest żyć, wierz mi. Z kobietami jak z ogniem, każda ci z oczu czyta jak z książki, dobędzie ci myśli z pod wątroby, a niedowierzające, a nieufne, a podejrzliwe. Wolę miéć z dziesięciu najprzebieglejszemi mężczyznami do czynienia, niż z jedną kobietą!!

Trzymając się tego systemu, profesor do domów mało uczęszczał, teatrem jego łowów były kawiarnie i restauracye. Zmuszony jakimś obiadem szedł we fraku, posępny, ale go przy obiedzie z paniami poznać było trudno — milczał, był grzeczny, wstrzymywał się od żartów, jadł i kłaniał się.

Dzieci także łaski u niego nie miały i z niemi się nie wdawał. Zapewne długa praktyka pedagogiczna wstręt do nich spowodowała; lecz dosyć było dlań zobaczyć wyrostka, aby mu się humor popsuł.

Jako ex-profesora kilku przedmiotów, bo nauczał niegdyś i matematyki i historyi i nawet podobno raz kalligrafii, gdy szło o pensyą wakującą — ojcowie czasem zapraszali go do egzaminów. Choć zwykle grzeczność ta opłacała się dobrą wieczerzą, winem, obiadem, profesor rzadko się podejmował téj posługi. Z przyjaciółmi był w

tym względzie otwartym.

— Mój dobrodzieju, mawiał — dajcie mi z tém święty pokój. Szczęśliwy jestem żem profesorem być przestał i z temi berbeciami nie mam do czynienia! Uwolńcie mnie! Nic nie umiem! pozapominałem wszystkiego! Tańcować będę dla waszéj przyjemności jeśli chcecie, ale egzaminować smarkaczów... to choroba dla mnie...

Najokropniejszą klęską dla profesora był tak zwany przez niego psi czas, gdy na podwórzu szalała zawieja, smagał deszcz, ryczała burza, ślizgawica była lub pora nie do wyjścia. Tylko w razach zupełnéj niemożności wystawienia nosa na ulicę, siedział w domu, skromny deszcz spokojny, śnieg cichy, mały wiatr nawet nie zrażały go, probował stawać z nim do walki i dopiero gdy mu parasol na nice się wywrócił, a zupełna niemożność wyjścia okazała się, powracał do domu.

Tu, siadał, fajkę palił i siarczyście się nudzić musiał, bo humor miał fatalny. Stawał w oknie i klął meteorologiczne harce... nie szczędząc wyrażeń dobitnych. Zdawało mu się co chwila, że to ustać powinno... Nadchodziła pora obiadowa, szedł stróż po jedzenie i przynosił je obrzydliwe same z siebie a do tego zastygłe... Profesor z rezygnacyą siadał, jadł zły zżymając się, lecz obowiązek utrzymania życia zmuszał do przekarmienia się zupą podejrzaną, sztukąmięsa wygotowaną, pieczystem wyschłém... Dojadał chlebem, którego w danym razie mógł skonsumować ilość znaczną, zwłaszcza gdy był świeży. Piwo służyło mu za napój. Po obiedzie, jeśli był w domu, drzémał, ale że to mu nocny sen psuło, więc humor cierpiał...

Profesor był znakomitym szachistą, w ostateczności z nudów dobywał połamane kościane czerwone z białem szachy i zadawał sobie temata do rozwiązania. I ot tak upłynęło mu jakoś życie. Na prawdę kwatera służyła tylko na nocne przytulisko, jak najmniéj w niéj siadywał, a nie przyjmował nikogo. Któż téż mógł miéć interes do niego? Jeśli towarzystwo starych wesołych wygów żądało go miéć dla pogadanki, w kawiarni, do któréj regularnie przychodził, składano zaproszenie i tam je odbierał. Z najlepszych jego przyjaciół mało kto wiedział nawet gdzie się gnieździł.

W kilka dni po wieczorze u pana radzcy, profesor po kawie przedsięwziął był operacyą z brodą przed lusterkiem w sypialni, gdyż dla oszczędności sam się golił — gdy posłyszał dobijanie się i dzwonienie do drzwi zewnętrznych.

W téj porze było to coś tak nadzwyczajnego, tak niesłychanego, iż profesor naprzód sądził, że stróż o wodzie zapomniał, potém wyobraził sobie, że to mógł być Bonifrater z puszką albo ktoś po kweście, a na żadną nigdy nic nie dawał. Brzytwa właśnie podbródek oczyszczała, nie miał najmniejszéj ochoty operacyi przerywać — ale dzwonek nie ustawał. Było w dźwięku jego coś tak niecierpliwiącego, drażniącego nie do wytrwania, że profesor z ręcznikiem zawiązanym pod brodą, z brzytwą rozłożoną w ręku wyszedł aby złajać natręta.

We drzwiach u góry było zasuwane okienko, dozwalające skontrolować przybywającego. Spojrzawszy w nie, przekonał się zadziwiony mocno pedagog, iż

podedrzwiami stał rodzony jego siostrzeniec. Otworzył więc mrucząc.

Młodzieniec był blady i z twarzą zmienioną, niespokojny.

— Cóż cię tu u licha przypędziło? — zapytał — bo juściż nie suponuję, żeby głupia jaka czułość dla wuja, który oprócz dobréj rady niczém służyć nie może.

Weszli tymczasem do bawialnego pokoju.

— Bądź co bądź — ale mydło zasycha — zawołał profesor — gadaj, a ja muszę kończyć brodę.

I stanął u zwierciadełka, a że golenie wymagało tego, ściągnął jedną część twarzy i usta wykrzywił.

Bolek stał za nim, kapeluszem się wachlując, bo mimo ranku było gorąco, i musiał biedz dobrze, był zdyszany.

— No, gadaj — rzekł przez ściągnięte usta dobywając głosu wuj.

— Poczekam, aż się wuj ogoli.

— Bez ceremonii — odparł żwawo profesor — zaręczam ci, że najstraszniejsza wieść mnie nie poruszy i nie zatnę się. Co tam?

— Jestem w przykrém położeniu — odezwał się Bolek — w prawdziwie przykrém położeniu. Byłem zmuszony okolicznościami, dla przyzwoitości siąść w pewnym domu do wista: przegrałem com miał!

— Fiu! fiu! i cóż? — spytał wuj.

— Wuj mi do pierwszego pożyczy choćby pięćdziesiąt złotych.

Milczenie było długie, profesor dojeżdżał brzytwą do ostatecznéj włosów granicy, otarł ją o ręcznik i z flegmą

odezwał się.

— Zkąd ci to do głowy przyszło? ja? pieniędzy pożyczyć? ja? niepodobieństwo — niemożność — mam sobie za zasadę nigdy nie pożyczać nikomu, a siostrzeńcowi témbardziéj. I nie mam i nie dam i słuchać nie chcę. Dziwi mnie, że myśl ci przyszła udać się do wuja — prejudykat byłby szkaradny!

— Pod słowem honoru, pierwszego oddam.

— Bodajeś zdrów był! Ani słowa nie chcę, ani pieniędzy nie dam. Weź zkąd chcesz! A to pięknie! Żebyś na ubogiego, starego wuja śmiał rachować. Fiksacya!

Bolek stał gniewny.

— Ale cóż mam począć! nie mogę się kompromitować pożyczając u innych?

— U żydka? na zastaw? nie ma najmniejszéj kompromitacyi! Przez to się nauczysz regularności. A po co było siadać do wista?

— Musiałem! — odparł Tanczyński.

Wuj obmywał brodę wodą ciepłą i nacierał starannie, odwrócił się do siostrzeńca flegmatycznie.

— Jeżeli z tém przyszedłeś — dodał — to ja ci słowo daję, że nadaremnie się fatygowałeś. Znasz mnie przecie. Ubogi jestem, ofiarować ci nie mogę, a pożyczać nie myślę.

— Ale na pierwszy...

— Ani na pierwszy, ani na żaden w świecie nie dam. Oszalałeś! Jeść ci przecie ktoś da na kredyt... pieniędzy tak bardzo nie potrzebujesz.

— Koniecznie — odparł Bolek.

— A! koniecznie! no, to weź u żyda.

— Żadnego nie znam.

— Ale, ale — wtrącił wuj — a tenże doktor, kolega przyjaciel co ciebie szukał. Od czegoż są przyjaciele? to jego funkcya! I doktor! doktorowie mają zawsze pieniądze. Idź do niego.

— Nie mogę!

— A do mnie to mogłeś! proszę — odparł profesor. — Dla czegoż do niego nie masz zaufania, fizys jakaś poczciwa i tak serdecznie się o ciebie dopytywał.

— Niech go licho porwie! — odezwał się zniecierpliwiony Bolek.

— A! cóż to znowu?

— To intrygant!

Profesor spojrzał na zburzoną twarz siostrzeńca.

— Co ci to jest? mów jasno? Jużeście się popstrykali?

Milczał Bolesław czas jakiś, potém mu się z głębi piersi dobyło.

— Ten człowiek mi może popsuć najpiękniej osnute plany — rzekł. — Okazuje się, że jakaś tam stara przyjaźń była między jego ojcem a radzcą. Wszedł do tego domu. Prosiłem go, aby o mnie wcale tam nie rozpowiadał, nie wiem, czy mi słowa dotrzyma. Na pierwszym zaraz wieczorze do panny się zaczął przysiadać i bałamucić ją.

— Tak! a ty byś wolał sam to spełnić — wtrącił pedagog naciągając buty — to niegodziwiec wlazł ci w drogę; ale, proszę cię, tyś tam dawniéj znajomy, nazwałbym cię czterma literami, gdybyś go nie wykurzył. Sam mi mówiłeś, że masz tam zaufanie?

— To prawda — odezwał się Bolek — u wszystkich z

wyjątkiem panny.

— Widzę że źle interesa prowadzisz, wolałbym żebyś u nikogo nie miał łaski, tylko u panny. Panna by się dała wykraść może!

Bolek ręką rzucił gniewnie.

Trafiło się, że bilet wizytowy, który miał założony w kapeluszu dla oznaki czyją był własnością, wypadł na ziemię. Nim Bolek miał czas go podchwycić, stary już trzymał go w ręku. Na stoliczku leżały okulary, wziął je aby się téj pięknéj karcie przypatrzéć.

Zaledwie rzucił na nią okiem, gdy mu się brwi do góry podniosły, zdumienie, radość, szał niemal jakiś ogoloną twarz wykręciły do niepoznania...

— Tęczyński! a niechże cię! Tęczyński! Pomysł genialny! Słowo daję! Aleś ty rozumniejszy niż sądziłem, Tęczyński! i Topor u góry... A wiesz że to jest znakomita idea! Tęczyński!

Bolek się rumienił, zmięszany i zawstydzony.

— Proszę wuja, proszę wuja, to nie jest nic podrabianego. Ja to doszedłem z herbarzy. Ortografia u nas była nieustaloną, to wiadomo!

— Ale tak! ta poczciwa ortografia! — rzekł pedagog niepuszczając biletu z rąk — ortografia! masz słuszność, Tanczyński — Tęczyński, nic naturalniejszego... Genialna idea! Kiedyżeś na nią wpadł?

Bolek spuściwszy głowę, zaciąwszy usta nie odpowiadał.

— Da mi wuj te pięćdziesiąt złotych?

Profesor okulary złożywszy, bilet z poszanowaniem wręczył siostrzeńcowi i głową strzepnął.

— Nie, kochanku, choćbyś był i Tęczyński, nie dam. Verbum nobile debet esse stabile, dałem słowo nie pożyczać.

— Wuj mnie przywiedzie do ostateczności! — zawołał Bolek.

— Do jakiéj! Ażebyś sobie miał życie odebrać, tego nie przypuszczam, *absurdum*, wszelkie zaś inne ostateczności — a! no! przełykają się.

Czekaj — z czego się składa garderoba?

Tanczyński nie chcąc się tłómaczyć, porywczo zawrócił ku drzwiom.

— Czekaj! do kroć sto tysięcy — zawołał wuj. Pora nadzwyczaj gorąca — zimowe ubrania w domu źle się konserwują. Kołdrę wełnianą porządną masz, niepotrzebną. Pierwszy lepszy żyd ci wysłuży...

— Tak, i cała kamienica o tém wiedzieć będzie.

— A od czegoż wieczór i należyte środki? — mówił profesor. — Nowiciusz jesteś i gorączka, dwa defekta.

Czekaj — na Starém mieście, Szlomka Izrael — tak lichwiarz — wszyscy go znają — u niego zastaw. Extraordynaryjnie dyskretny człek.

Bolek nie zdawał się słuchać, zły i gniewny zmierzał ku drzwiom bez pożegnania. Profesora to bynajmniéj nie poruszyło, śledził go oczyma tylko.

— Gniewaj się, nie gniewaj — rzekł — do twojéj woli, pieniędzy nie daję nigdy, nikomu. Sama idea była w zasadzie fałszywa i gryzie mnie tém, że dowodzi pojęcia złego mojego charakteru i osoby! Uchybiłeś mi przypuszczeniem, że ja mogę pożyczyć! Jabym do téj pory

boso chodził, gdybym się wdawał w podobne negocyacye! Na pierwszego!!

Mówił to, ale Bolek nie słuchał go, bo gwałtownie cisnąwszy pierwszemi drzwiami, wyszedł.

Posłyszawszy zamykające się drzwi, wuj głową potrząsł.

— Zły! jak wali! — Uśmiechnął się do lusterka wiążąc fontaź czarny pod brodą. — Dobrze się stało — drugi raz nie przyjdzie! kontent jestem!

I śmiejąc się powtórzył kilka razy pół głosem, na różne tony.

— Tęczyński, hrabia na Tęczynie, Topor w herbie. Daj go katu! a to mi zuch! to mi zuch. Śmiało trochę, ale sprytnie — bardzo sprytnie.

Wkrótce potém professor był ubrany, sypialny pokój w porządku, parasol i kapelusz stały w pogotowiu, ranek gorący ale ładny zachęcał do wyruszenia z domu, i ulicą pociągnął mierzonym krokiem profesor na zwykłe swe stanowisko. W systemie jego było, miejsca w których odprawiał czaty zmieniać, i z kolei nigdy (z wyjątkiem okazyi — zaproszenia) — nie bywać dwa dni z rzędu w jednéj kawiarni lub restauracyi. Porządek w jakim po sobie następowały miejsca wybrane, zmieniał się, zależał od fantazyi, od natchnienia, od okoliczności przygodnych, czasem od spotkania ze znajomym. Niekiedy od rzutu oka przez okna do wnętrza.

Tego dnia projektu stałego nie miał jeszcze pan Maciórek, i wahał się nad wyborem, gdy usłyszał nagle.

— Moje uszanowanie panu profesorowi dobrodziejowi.

Podniósł oczy i ujrzał naprzeciw stojącego pięknego, nie

— ale przystojnego i doskonale wypasionego młodzieńca, w nowiuteńkim garniturze porannym, cylindrze świecącym, rękawiczkach świeżych, z laseczką elegancką w ręku — rzekłbyś prawdziwego mieszczucha, gdyby opalona mocno twarz nie świadczyła, iż ze wsi przybywał i do miasta się tylko przystroił.

Profesor oddawszy ukłon, nie śmiał się odezwać, postać była — jakoś nieznajoma, nie mógł jéj przypomnieć sobie.

— Pan profesor dawnego ucznia swego pewnie nie pamięta! — dodał elegant.

— Bardzo przepraszam...

— A ja — com w skórę brał z łaski jego — jeszcze jakby dziś pomnę groźny głos pana professora!

I począł się śmiać serdecznie.

— Serafin Ottokar Brzuchowski... — dodał elegant... i rzucił się całować starego.

— Słowo daję! a no! teraz sobie przypominam! Serafin, zwali cię Brzuszydło? — krzyknął profesor, ale jakżem cię miał poznać! Wieki! wyrosłeś jak dąb... Cóż tu robisz?

— Prawdę powiedzieć?

— A tak — rzekł profesor — jak nie powiesz to ja ją odgadnę.

— Przyjechałem wytchnąć! Mam podnieść z banku małą sumkę, a przytém się chce trochę Warszawki użyć i o kłopotach domowych zapomnieć!

Spotkanie kawalera, który przybywał sumkę z banku podnosić i wczasu użyć, było wcale dla professora przyjemném, to téż okazał się dlań z prawdziwie ojcowską pieczołowitością. Nadewszystko ostrzegał o trutniach,

oszustach, darmozyadach i niebezpiecznych przyjaciołach brukowych, aby Brzuchowski nie wpadł w ich ręce.

— Jako dawny mój uczeń, panie Serafinie — mówił z powagą wielką — pozwól sobie dać maleńką nauczkę, która ci się w mieście przyda. Bądź z nowemi znajomemi ostrożnym. Ludzie radzi są złapać takiego ze wsi przybywającego szlachcica zamożnego, aby go objeść, wyzyskać, w ladajakie towarzystwo wprowadzić. Zlituj się nie daj się łapać, nie narażaj na straty...

— Bardzo wdzięczen jestem profesorowi — odezwał się Brzuchowski rubasznie — ja sobie w istocie prosty jestem szlachciura, ale chłopski nasz rozum mam. O ho! ho!

— Tak, kochany panie, a tutejsi trutnie mają brukowy rozumek i przewrotność. Hołysze, radzi się przyczepić, napić i najeść cudzym kosztem, jak poczują pieniądze, spokoju miéć nie będziesz... Zmiłuj się, złego towarzystwa unikaj.

Szli tak rozmawiając ku środkowi miasta, a profesor stosowną do okoliczności nader poważną przybierał postać, tak że w nim niepodobieństwo było poznać, domyśléć się nałogowego pasożyta. Brzuchowski słuchał z namaszczeniem studenckiem. Tymczasem profesorowi tylko to po głowie chodziło, jakby go zaprowadził do Stępkowskiego, opierając się i wymawiając. Należało naciągnąć rozmowę na ten przedmiot, co było nie łatwem.

— Masz że jakie znajomości w Warszawie? — zapytał po chwili.

— Niewiele, a i tych nawet nie wiem gdzie szukać — odparł szlachcic, z domów familijnych tylko krewnego,

pana radzcę Dziembę.

— Proszę! proszę! — zawołał stając profesor — który przedłużał pochód do Stępkowskiego, aby miéć czas się kazać zaprosić zręcznie. Właśnie, mam siostrzeńca, bardzo przyzwoitego chłopaka, który tam bywa. Sposobi się na prawnika, a tymczasowo lekcye daje, żeby nie próżnować. Byłeś pan u radzcy...

— Nie — jeszcze nie miałem czasu, dopiero dziś, między nami powiedziawszy — dodał Brzuchowski śmiejący się ciągle — dopiero dziś moją garderobę doprowadziłem do miejskiego diapazonu.

— Cóż dziś robisz z sobą? gdzie będziesz obiadował? która to godzina? — rzekł profesor patrząc na zegarek.

— E! godzina! — zawołał Brzuchowski po wiejsku — *hora canonica*! należałoby napić się wódki.

— Zmiłuj się czyż już? Wódka prowadzi za sobą zaraz śniadanie — począł tonem moralizującym profesor. — Nieznając miasta nie daj że się wciągnąć do jednego z tych handlów, gdzie prawda że smaczno nakarmią, ale ze skóry obedrą.

Zdala już widać było firmę Stępkowskiego, profesor na nią okazał.

— Naprzykład tam! — rzekł — nie przeczę, że chyba ptasiego mleka niedostanie, że wszystko *prima*, ależ ceny!! ceny!

— Eh, panie profesorze! po staréj znajomości, kusi mnie ten szatan. Proszę pana! zajdźmy! — rzekł Brzuchowski.

— A! zmiłuj się! sumieniabym nie miał, prowadzić cię na zgubę — odparł żywo się broniąc Maciórek — daj że mi

pokój!!

— Słowo honoru daję profesorowi, że ja niewytrzymam, czy tak czy tak zajdę, ciekawość mnie piecze. Profesor spełnisz dobry uczynek, bo mi nie dasz zbytków robić!

— Hm — rzekł Maciórek — chyba dla tego jednego, pójdę, ale mi daj słowo, jak najskromniejsze śniadanko, jedno nic... przetrącić coś i wyjść.

— Ale dobrze — zawołał chwytając go pod rękę dawny uczeń — dobrze, na wszystko zgoda — chodźmy.

— Co robić! gwałt mi zadajesz, nie ma rady. Obliguję tylko i waruję sobie żadnych zbytków.

Mówiąc w ten sposób wiedział dobrze iż go podżegał, buta wieśniacza rosła w szlachcicu, a i figla staremu profesorowi zrobić nie było od rzeczy. Szli tedy ku Stępkowskiemu, gdy wyelegantowany jak zawsze, z szykiem paniczykowatym, ukazał się przechodzący ulicą Bolek.

Był w pochodzie za swemi nieszczęśliwemi pięćdziesięcią złotemi, których nieodzownie na dziś potrzebował. Poczciwemu wujowi, postrzegłszy go na myśl przyszło zaraz, iż nieźle by było zapoznać go z kuzynem Dziembów, z chłopakiem majętnym i w mieście nie mającym znajomości, którego kosztem, co najmniéj mógł się młodzieniec parę dni przeżywić.

Zatrzymał się nagle.

— Pozwól z łaski swojéj, o to właśnie mój siostrzan o którym wspomniałem, mam do niego słóweczko.

I zawołał, ręką dając znak Bolkowi aby się zbliżył. Rad nie rad Tańczyński przyszedł.

— Niech że mnie profesor pozna! — szepnął rad zbliżeniu Brzuchowski.

— Pan Bolesław Tęczyński, mój siostrzan, pan Serafin Brzuchowski, mój kochany, miły uczeń dawny; jeden z najsympatyczniejszych ludzi jakich znałem w życiu.

— O! profesorze! — całując go w ramię zawołał wieśniak, który zarazem ściskał serdecznie podaną rękę Bolka.

— Dwa słowa tylko — przerwał profesor z powagą.

— Co to na ulicy interesa! to nic do rzeczy — zawołał szlachcic, pragnący nowéj znajomości — pański siostrzeniec uczyni mi ten honor, że z nami zajdzie na chwilkę do tego, jakże się zowie — Stępińskiego?

— Stępkowskiego! — poprawił Maciórek.

— Mam bardzo pilną sprawę — odezwał się Bolek.

— E! co tam, toć nie zabawimy — rzekł wieśniak — chodźmy razem. Ja się zajmę śniadaniem, a panowie pomówicie.

— Ale, zlitujże się! już śniadańko na placu! już śniadańko — zawołał stając Maciórek — mieliśmy tylko zakąsić.

— Więc zakąsimy! — śmiał się Brzuchowski — nie odmawiaj pan.

Bolek trochę skrzywiony dał się zgwałcić. Weszli do Stępkowskiego, a ze sposobu w jaki sobie radę tu dawał pan Serafin, można było wnosić, że choć mu zbywało na obeznaniu się z miejscowością, teorya śniadaniowa nie była mu obcą.

Pozostało dla zaproszonych tajemnicą, co mieli jeść,

profesor raz jeszcze zawarował sobie coś bardzo skromnego i lekkiego, a żadnych zbytków!

Brzuchowski śmiał się tylko. W istocie ograniczył się wódką, kawiorem, pasztetem strasburgskim, bifsztekiem, kurczętami i omlecikiem, do którego przynieść miano parę tylko butelek — białego! Nim zaś do tego przyszło, butelka węgrzyna miała być wypróżnioną. Na wsi kiedy się kogoś przyjmuje to na seryo — inaczéj tego nie rozumiał pan Serafin.

Profesor z pewnością się domyślał co go czekało, ale grał rolę niewinnego człowieka, który się oszukiwać daje.

Już za pasztet, chociaż zjadł go obficie, Maciórek się gniewał.

— To zbytek! — rzekł — rzecz wyśmienita ani słowa — ale na dzisiejsze czasy wątróbkami się paść!! I pogroził na nosie — panie! panie!

Śmiał się szlachcic, gdy wniesiono bifsztek.

— A toż co znowu! w imię ojca i syna — rzekł profesor załamując ręce — widzisz pan! co za zdrada! Gdybym był wiedział nie poszedłbym.

Ucałowany, wyściskany siadł jeść Maciórek i, choć bifsztek zdawał mu się zbytecznym, sumiennie całą jego porcyę pokonał.

— Ci ludzie co te handle trzymają — rzekł sentencionalnie — ja doprawdy nie wiem, mają jakieś sposoby, pakują jakieś ingrediencye, że człowieka utrzymują przy apetycie.

Na wino węgierskie nie powiedział nic, chwalił je bardzo, cmokał i powoli spijał.

Tymczasem młodzież robiła z sobą bliższą znajomość. Przy Brzuchowskim opalonym, grubym, trochę ciężkim, Bolek nadzwyczaj wyglądał arystokratycznie, imponował mu, a umiał się tak postawić — tak zaprezentować zręcznie, iż Brzuchowski nie wiedział gdzie go posadzić.

Z natury, czy z obyczaju (może z rachuby?) szlachcic był rubaszny, grał sobie taką rolę szlachciury, z dobrze nabitą kabzą, serdecznego, szczerego, naiwnego, wesołego. Profesor, który niespodziewał się komedyi tego rodzaju, brał go jak był, Bolek téż nie podejrzéwał wcale o fizyognomię przybraną.

Brzuchowski prawił, zawsze jakoś przypadkowo, o swojém wielkiém gospodarstwie, o swych spekulacyach, o grubych sumach jakichś które odbierał i płacił. Maciórek coraz z większym dlań był szacunkiem, Bolek okazywał skłonność do poprzyjaźnienia się.

Bifsztek miał się ku końcowi, gdy wniesiono kurczęta, które obudziły w profesorze wybuch oburzenia na tę rozrzutność nie przebaczoną.

— Po co! na co? począł wołać — do czego to! zlituj się! Nikt temu nie podoła — jak można tak dokazywać!

Serafin w ramię go pocałował, ale się stawał coraz napastliwszym.

— A! już niema rady — mówił profesorowi — co zadysponowano należy zjeść. Gniewaj się pan nie gniewaj — ja nie daruję! jeść trzeba.

Puścił się Maciórek w srogie narzekania na te polskie obżarstwo i rozrzutność, wzdychał, piorunował, zapomniał się i kurczę swoje skonsumował gdy wjechał omlet i dwie

białogłowy.

Wybuch był straszny, profesor powstał z kanapki, na któréj mu honorowe miejsce dano, chwycił za kapelusz, chciał wychodzić, na pół drogi do drzwi Bolek zdrajca dopomógł go zatrzymać, posadzono gwałtem na dawne prezydyalne miejsce i Brzuchowski wypił zdrowie tego, któremu był winien co miał w głowie.

Naturalnie Maciórek rozczulony tak, że serwetą coś sobie z twarzy ocierał, niewiadomo łzy czy tłustość, wypił za zdrowie tego, któremu winien był co miał w żołądku. Rzucono się sobie wzajem w objęcia i porządkiem logicznym przyszło do najmilszych wspomnień przeszłości — któréj profesor cierpiéć nie mógł — ale w tym wypadku czułość ku niéj okazać musiał.

Bolek, nawet, choć trochę sztywny zawsze, rozruszał się i probował podżartowywać. Szlachcic śmiał się i krzyczał tak głośno, że z drugiego pokoju zaglądano razy kilka.

Musimy tu uczynić uwagę, że hałaśliwszéj szlachty jak polska i węgierska nie ma na świecie.

Brzuchowski, szerokich piersi, zdrów, głos miał do puszczy i lasu doskonały, do małego pokoiku straszliwy. Gdy się śmiał na dobre, można było zdala sądzić, że burza ryczała...

Profesor sumieniowi swemu protestacyami uczyniwszy zadość, zupełnie zrezygnowany był i odzyskał dowcip i swobodę. Gdy przyniesiono sér, wety, czarną kawę, likwor, odezwał się tylko tęsknie.

— Ależ to formalny obiad! formalny obiad — i paradny!

Brzuchowski uradowany był, że uczęstował, gawęda szła

teraz jak po maśle, a raczéj jak po szampanie i likworze...

Doskonałe cygara przedłużyły posiedzenie. Nie było się już czego spieszyć. Bolek zaobserwował, że interes swój do następnego dnia odkłada, Maciórek utrzymywał, że towarzystwo młodych przyjemnie go odmładzało. Siedzieli więc w najlepszéj komitywie, Brzuchowski po cichu sobie zamówił na cały dzień nowego towarzysza.

— Miałem być dziś u Dziembów — rzekł — ale już mi się nie chce. Pan Bolesław tak łaskaw że mnie nie opuści, pojedziemy zażyć świeżego powietrza, potém sobie do teatru i dzionek mi się skończy przyjemnie, jak zaczął.

— Co to młodość, panie! — mówił profesor paląc cygaro rozparty na kanapie — szczęśliwy wiek! My starzy z zazdrością na was patrzemy! Tylko zmiłujcie się już nie dokazujcie!

Bolek zaręczał, że po takiém śniadaniu niepodobieństwem było przy najlepszéj chęci, dokazywać!

Brzuchowski rozśmiał się tak, że kawa, któréj usta miał pełne, rozprysła się na serwetę.

— A! bodaj was — kochani panowie! zawołał. — Wy to nazywacie dokazywaniem! We trzech mizerne trzy butelczyny! otoż to mi ludzie! My na wsi po staremu żyjemy, kiedy jeść to jeść, kiedy pić to do upadłego...

Uderzył się po brzuchu...

— Do obiadu wytrzymam — dodał — ale obiad zjem z apetytem, a wieczerzy nie daruję...

Mina, którą słysząc to zrobił profesor, malowała przerażenie, chociaż i on nie był bez grzechu!

Zdawało mu się, że wszystko naprawi wtrącając tę

uwagę jakiegoś amerykańskiego pisarza, że narody które najmniéj jedzą, najsilniéj stoją, i zacytował Chińczyków.

— A, niech ich kat trzepie! — krzyknął Brzuchowski, oni robaki jedzą, i rycynowym olejkiem popijają! Za nic bym nie chciał być Chińczykiem...

Już dobrze z południa, pomimo że mu na kanapce było bardzo wygodnie, wziął się do odwrotu, czule żegnając i błogosławiąc kochanego, miłego ucznia swego.

Bolek spoufalony już z nim zupełnie, wziął go pod rękę i razem pod teatr poszli wybrać jak najpokaźniejszą dorożkę kawalerską, bo wieśniak lada *sałatą*, jechać nie chciał.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Józef Ignacy Kraszewski.*

IV.

Lat dwa upłynęło, jak pani Laura z hrabiów NN. — XX. zjawiła się w Warszawie. Nie miała tu naówczas żadnych znajomości, nikt nie umiał nawet powiedzieć, zkąd się tu wzięła. Była to osoba bardzo dystyngowana, w któréj każdy mający cokolwiek znajomości świata, choćby ją tylko zdaleka widział, uznawał kogoś do wyższego należącego towarzystwa.

Szczególniéj nadzwyczajny takt ją odznaczał i wielka powaga.

Pani Laura była jeszcze piękną, a musiała być niegdyś nadzwyczajną, zachwycającą gwiazdą.

Na twarzy jéj widać było smutek już przechodzący w stan chroniczny, smutek łagodny, zrezygnowany, spokojny, z którego się nie leczy, który się przyjmuje i z nim żyje.

Smutek ten nie tylko miała w spojrzeniu ślicznych jeszcze, acz nieco zapadłych oczów czarnych, długiemi rzęsami przyćmionych, nietylko w uśmiechu ust małych i wdzięcznych, na czole wypogodzoném niby a jakby mgłą osłoniętém, ale w każdym ruchu, w dźwięku głosu, w sposobie wyrażania się.

Nieco chuda, miała kibić i postawę młodéj panienki, ruchy zręczne, jakby omdlałe, powolne, a choć były nieco wyszukane i monotonne, nadawało to jéj przynajmniéj jakiś odrębny charakter, który nie wszystkie mają kobiety. Znajdowano ją oryginalną.

Mówiła powoli, często bywała zdziwioną, lubiła się dziwić wszystkiemu, bo jéj z tém było bardzo ładnie. Naówczas miała w sobie coś młodzieńczo, dziewiczo naiwnego.

Od pierwszego swojego ukazania się w Warszawie, ona i jéj dom przybrał charakter surowy niezmiernie. Widoczném było, że pragnęła żyć odosobniona, cicho, sama z sobą. Codzień udawała się do kościoła na mszę, skromnie ale po pańsku ubrana, z lokajem niosącym za nią książkę przecudownie oprawną i poduszeczkę z herbami, często się w alejach pokazywała na spacerze, sama jedna, zwinięta wdzięcznie w kąciku powozu, z oczami spuszczonemi, zadumana, nie patrząc na nikogo. Pomimo tego osamotnienia, z którego długo nie wychodziła, opierając się wszelkim znajomościom, dom jéj był na dosyć pańskiéj stopie. Mieszkanie ze smakiem urządzone, wszystko co przy niéj było, lub do niéj należało, wytworném być musiało. Jakim sposobem potém pani Laura przyszła powoli do znajomości, poprzyjaźnienia się ze światem tutejszym, do wkroczenia w te sfery, które nie rade są dopuszczać nieznajomych — pozostało zagadką. Stało się to nie nagle, przychodziło powoli i wydawało się cudem, bo osoby najbliżéj z nią poprzyjaźnione, nie wiedziały rzeczywiście nic z jéj przeszłości. Z wymykających się czasem wyrazów schwytano tylko, że była wdową, że straciła najukochańszego małżonka, po którym dotąd nosiła rodzaj żałoby, że płakała po córeczce.

Domyślano się także, iż miała arystokratyczne stosunki w Galicyi, o któréj rodzinach znaczniejszych mówiła

czasem; nie obcém jéj było poznańskie, znała dobrze Berlin, długo, jak się zdawało, musiała przebywać w Wiedniu, a Paryż, Trouville, Dieppe, Biaritz, Baden, Ostendę umiała na pamięć. Wszędzie przypadkiem, przypominała spotykanych duków, książąt, hrabiów i europejskie znakomitości. Salony główne stolic opisywała jakby poufale i dobrze poznane. Nikt więc ani wątpił, że pani Laura należała do wielkiego świata, chociaż teraz do żadnego właściwie należéć nie chciała. Mówiła często, iż potrzebowała spoczynku, ciszy, zapomnienia przeszłości, że życie dla niéj nie miało najmniejszego uroku.

Pomimo to, skutkiem nawyknienia zapewne, ona urok jeszcze na ludzi zdawała się chciéć wywierać, i była — uroczą. Nie będąc sama muzykalną, gdyż jak mówiła, od śmierci córeczki wyrzekła się muzyki, lubiła słuchać jéj, — miała wielkie zamiłowanie w malarstwie, bawiła się literaturą, ale tylko poważną. Rozmowa téż w jéj salonie miała ten nastrój serio, który nie dopuszczał nawet głośniejszego śmiechu, ani ostrzejszego dowcipu. Najmniejsze słówko lżejsze karciła natychmiast wzrokiem tym zdziwionym, z którym jéj tak ślicznie było.

Nadzwyczaj trudną była w początku z dopuszczaniem mężczyzn do swojego towarzystwa; panie, które sobie życzyły kogoś wprowadzić do niéj, musiały zaręczać najuroczyściéj, że to był *un homme serieux*.

Kilku językami mówiła pani Laura wprawnie i dobrze, lecz, rzecz dziwna, miała — tak się tłómaczyła — od czasu nieszczęść, jakich doświadczyła, wstręt nieprzezwyciężony do pióra — nie pisała nigdy — na listy odpowiadała ustnie.

— *C’est plus fort que moi*! — mawiała wzdychając — ze łzami złożyłam pióro raz ostatni, poprzysięgłam sobie nie wziąć go więcéj.

Opowiadano o tém sobie tajemniczo. W historyi przeszłości pięknéj damy były nęcące tajemnice, których kiedy niekiedy przypadkiem rożek się odsłaniał tylko — daléj, żadnemu oku w nie zajrzéć nie dozwalała.

Koło znajomości pani Laury, zrazu szczupłe, rozszérzało się powoli, ale zbogacało coraz większemi znakomitościami. Wszyscy jéj przyznawali takt nadzwyczajny, powagę, wiele zdrowego rozsądku, przymioty, zresztą których określić nie umiano bliżéj. Miała wdzięk, urok — a to w kobiecie staje za wiele.

W towarzystwie nie była wielomówną, nie chciała być dowcipną — sądy jéj były nadzwyczaj oględne, wstrzemięźliwe, lubiła milczéć, słuchać, a nadewszystko — dziwić się. Gdy się dziwiła, była jeszcze prześliczną.

Innym paniom wyrywały się czasem słówka, które z ust do ust przechodziły — ona unikała takich powiedzeń widocznie, zastępowała je pół uśmiechem.

Jedném słowem była oryginalną, to jéj przyznawali wszyscy. Wstrzemięźliwość w mowie, a dar pilnego przysłuchiwania się rozmowom innych osób, jednały jéj wielkie współczucie i pochwały.

Wiadomo, że sławę rozumu zyskuje się najłatwiéj, gdy się cudzy podziwia i odczuwa, jak dziś mówią. Ten dar odczuwania miała pani Laura w wysokim stopniu, umiała milczéć, a i to jest wielką cnotą.

W początkach niewiele osób przychodzących,

przyjmowała pani Laura z rana codziennie, wieczory spędzała w teatrze lub na koncertach, ubrana czarno, z oczyma spuszczonemi. Późniéj namówiono ją koniecznie, uproszono, ażeby dzień w tygodniu dla swych wybranych naznaczyła. Po długiém wahaniu obrała sobie sobotę. Zbierano się tu około dziewiątéj, czasem ktoś zagrał lub zaśpiewał, rozmawiano, następowała wieczerza bardzo wytworna i goście się około północy rozchodzili.

Gospodyni, pomimo powolności swéj, chętnego milczenia i sztywnéj powagi, była dla wszystkich niezmiernie grzeczną i uprzejmą. Po większéj części towarzystwo jéj składało się z osób już nie młodych i urodzeniem, majątkiem, znaczeniem zajmujących wybitne w społeczeństwie stanowisko. Surową była szczególniéj co do mężczyzn, dwuznaczna żadna postać i ten proletaryat salonowy (jeżeli się tak wyrazić godzi) co nie ma nic za sobą oprócz białych rękawiczek i lakierowanych bucików — nie postał nigdy na jéj progu. W wyborze artystów, z których mało który mógł się tu dostać — niesłychanie była trudną.

Wyrzucano jéj tę zbytnią surowość, lecz panie, co ją bliżéj znały, tłómaczyły to wdowieństwem, zniechęceniem do życia, i słuszną ostrożnością, któréj kobieta szanująca się nadto miéć nie może.

Na starych kawalerach czyniła wrażenie nadzwyczajne, wszyscy oni przyznawali jéj, że gdyby tylko chciała, u nóg by swych miała każdego — ale tego ona właśnie nie chciała.

Może nawet nadto często powtarzała, że rachunek jéj ze

światem był skończony i zamknięty!

Ciekawość ludzka, która lubi szperać po najciemniejszych kątach, w pierwszych latach dobijała się wszelkiemi możliwemi środkami do wnętrza téj zamkniętéj w sobie zagadki. Pisano do Galicyi, nikt tam nie znał osoby tego nazwiska, pytano w poznańskiém i tam sobie nikt nie mógł jéj przypomnieć.

Panna hrabianka Anna, nie mająca nic do czynienia, gdyż lata jéj już się od życia nic spodziewać nie dozwalały, — zajmująca się z tego powodu sprawami ludzkiemi, bo swoich nie miała — uwzięła się była dośledzić koniecznie przeszłości pani Laury. Mając po temu wszelkie środki, wprawę, przebiegłość, śmiałość, stosunki — hrabianka rozbiła się pierwszy raz w życiu o nieprzebite ciemności.

Wiedziała ona, że pani Laura ma z sobą przywiezioną służącę, osobę już nie młodą, ospowatą, otyłą i chodzącą do kościoła tak pilnie jak pani. Postarała się zbliżyć do niéj, poświęcając nawet osobiste względy, zaprzyjaźniła się z nią niemal w zakrystyi, zapraszała ją do siebie, wyciągała z niéj najzręczniej w świecie wnętrzności — i — okazało się, że nic z nich dobyć nie mogła.

Panna służąca, mająca nazwisko niemieckie, imię Gertrudy, mówiąca łamanym językiem po polsku i cokolwiek po francuzku, opowiadała wprawdzie o odbytych z panią podróżach — ale więcéj o niczém. Mówiła, że została przyjętą, gdy już pani Laura wdową była i dziecięcia nie miała, ubolewała nad jéj żałobą, dawała do zrozumienia, iż była bardzo bogatą, wychwalała jéj dobroczynność, rozczulała się nad przymiotami serca i

duszy, ale — więcéj, nic.

Hrabianka Anna, któraby żeńskiego detektywa urząd i obowiązki mogła była pełnić, tak zręczną była we wnioskowaniu z najmniejszych poszlak — wkradła się raz do sypialni pani Laury i z tamtąd nawet nic nie wyniosła.

Ona jedna, może zrażona niepowodzeniem, szeptała poprawiając złote okulary, że — bądź co bądź, ten tylko ukrywa się ze swoją przeszłością, który w niéj coś by rad zapomnieć i zasłonić.

Gromiono ją za tę złośliwość. Hrabianka była zawsze z Laurą jak najlepiéj i nie spuszczała jéj z oka. Ona to odkryła późniéj, że piękna wdowa, która nigdy nie zrzucała rękawiczek, ręce miała nie ładne. Zakrzyczano ją i za to. Późniéj przed najbliższemi sercu przyjaciółkami wyznawała, że i milczenie pięknéj Laury, zdawało się jéj okrywać pewne umysłowe ubóstwo. Zgromiono ją jako zazdrośnicę — zmilczała.

Ostatnie to przypuszczenie tém było mniéj usprawiedliwione, że nadzwyczajny takt w postępowaniu, przeciwnie, dowodził wielkiéj trafności, rozumu, a książki najulubieńsze wskazywały poważny ducha kierunek.

— Leżą one na stoliku, to prawda! — mówiła hrabianka — alem nigdy nie słyszała aby o nich mówiła i dała poznać, że je choć przerzuciła.

Inne przyjaciółki przypisywały to skromności.

Z wyjątkiem hrabianki Anny, któréj złośliwość wszystkim była znaną, reszta towarzystwa z uwielbieniem mówiła o pani Laurze, ze współczuciem jakie należy nieszczęściu niezasłużonemu, bo że była bardzo

nieszczęśliwą o tém nikt nie powątpiewał. Smak jéj w ubraniu, w wyborze mód, czynił ją wyrocznią ilekroć o toaletę chodziło.

Żona pana radzcy Dziemby, która pilno się zawsze starała o to, ażeby żaden salon nie był dla niéj zamknięty, kobieta z wielką umiejętnością życia, umiejąca wnijść wszędzie i znaléźć się jak położenie wymagało; po wielu zabiegach, trudach, zawodach nawet, postawiła na swojém i dostała się do salonu pani Laury.

Nie przypadał on jéj do smaku, bo była z natury wesołą, gadatliwą, niespokojnego ducha, lecz wyjątkowo w Sobotę raz przemódz się mogła i spędzała tam wieczory. Pozwolono jéj nawet wprowadzić z sobą pannę Emmę, która dwa czy trzy razy spędziwszy tam po kilka godzin, późniéj nie zbyt już wielką okazywała ochotę odwiedzania pani Laury.

Wieczory sobotnie były nadzwyczaj miłe ale zarazem jakoś nie zabawne: uwielbiano na nich gospodynię, ta się uśmiechała i dziwiła — mówiono po cichu, poważnie, oględnie — i rozchodzono się z ochotą do ziewania, do czego się nikt nieprzyznawał.

Ci co tam nie bywali — zazdrościli — a ci co wracali ztamtąd, nudy swoje w żywych malowali kolorach, wcale się do nich nie przyznając.

Radzca we cztery oczy rozmówiwszy się z żoną o salonie pani Laury, nie znajdował koniecznem się w nim prezentować. W domu mawiano często o sobotnich wieczorach, szczególniéj przy gościach, aby się pochwalić niemi, i Bolek Tanczyński dowiedział się o pani Laurze z

tego źródła. Radczyni raz na spacerze, z chłopcami i profesorem pokazała mu przejeżdżającą piękną panią.

Siostrzeniec pana profesora, który szukał sobie jakiéjś łatwéj przyszłości i rzucił był już okiem na pannę Emmę — znalazłszy tu za mało sympatyi dla siebie, chociaż o rozbudzeniu jéj powolném nie powątpiewał — uznał właściwém miéć coś w zapasie na wszelki wypadek.

Miał się za tak pięknego, iż rozkochanie niewiasty było dlań tylko kwestyą woli i czasu.

Z tego co mu o pięknéj wdowie opowiadano, rozpaliła się łatwo imaginacya młodzieńcza.

Bolek nie mogąc inaczéj przedstawić się pięknéj, bogatéj, dystyngowanéj wdowie, doszedł (wiedząc iż jest pobożną) do którego chodzi kościoła. Nigdy tak gorliwym nie był w nabożeństwie jak od czasu, gdy wiedział, gdzie znajdzie piękną Laurę.

Wdowa ile razy oczy podniosła ku niebu, na drodze do niego znajdowała uroczą postać młodzieńca, który, zamiast do pana Boga, do niéj się zdawał modlić. W pierwszych dniach wcale na to nie zważała — ale po pewnym przeciągu czasu, niepodobieństwem było się jéj omylić, że dla niéj do kościoła przychodził. Przekonawszy się o tém unikała już spojrzenia w stronę, gdzie stawał Bolek — jednakże — ciekawość — może rodzaj wdzięczności skierował czasem wzrok jéj na niego i przekonywała się, że patrzał na nią jak w tęczę. Spuszczała woalik — ale to nie pomagało.

Oswoiła się z tém może, bo nie zmieniła kościoła, ani miejsca, w którém zwykle klękała.

Bolek tymczasem zbierał za pośrednictwem gadatliwéj, a wiele wiedzącéj radczyni wiadomości o wdowie. Wiedział od niéj, że była wysokiego rodu, bezdzietną, swobodną i niezmiernie bogatą.

Panna Emma podobała mu się nadzwyczajnie i przypuszczał, że miéć będzie pół miliona, tak ludzie mówili, — panna Emma jątrzyła go swą obojętnością i grzecznym chłodem, w którym ani iskiereczki uczucia nigdy nie mógł dopytać — ale czémże była ona przy téj idealnéj wdowie!!!

Myśléć o niéj czasem się Bolkowi wydawało szaleństwem — lecz gdy się w zwierciadło popatrzył na młodość swoją, na cacaną twarzyczkę, opowiadał sobie potém cudowne historye... Czuł, że był predestynowanym do zrobienia wielkiej karyery.

Mimo to, panna Emma codzień go mocniéj pociągała ku sobie tém, że on jéj pociągnąć nie mógł. Napróżno rozkochane topił w niéj oczy, ustawiał się w pozycyach posągowych, nadawał sobie postać ofiary, tony pańskie, próżno starał się dać do zrozumienia, iż był zakochany w niéj — panna Emma miała jakiś zły, popsuty smak i najmniejszéj dlań nie okazywała sympatyi.

To go gniewało. Była to negacya potęgi, w którą wierzył, na któréj przyszłość opierał. Gniewał się, ale coraz silniéj się nią zajmował.

Czasami już, już mówił sobie, że się wyrzecze, że oziębłością ją ukarze, po kilka dni poświęcał się cały marzeniom o wdowie — potém wracał znowu do panny Emmy.

W domu radzcy miał za sobą zupełnie zjednanego tytułem i nazwiskiem pana Dziembę; mógł wiele rachować na matkę, która go lubiła — ale tu znalazł téż szkopuł: Mama była jeszcze wcale ładną, świeżą, młodą i trochę zalotną, chociaż niezmiernie ostrożną.

Bolek domyślał się, że mógł więcéj łaski tu znaleźć niż pożądał. Gdy radzcy w domu nie było, panna Emma siedziała w swoim pokoju, a professor czasem przychodził z chłopcami, chłopców odprawiała matka żeby się sobie pobawili swobodnie, a sama o ich wychowaniu rozmawiała długo z Bolkiem.

Przy tych rozmowach tak była nadzwyczaj miłą, pełną współczucia, tak blizko siadała nauczyciela, uśmiechała mu się i szukała jego oczów, że pan Tęczyński nie mógł wątpić, iż ją oczarował.

On zresztą, w podobnych razach, nie wątpił nigdy o sobie. Raz jakoś wziąwszy go za rękę uścisnęła, zarumieniła się i Bolek wyszedł niesłychanie wzruszony. W mieście przypadkiem plotkarz Maciórek z historyi przeszłości pani usłyszał coś — co Bolka wielce ośmielać mogło. Lecz, strach go jakiś ogarniał młodzieńczy, ostatek poczciwego uczucia, które się objawiało obawą. Unikał więc zbytniego zbliżania się, chociaż nie zrywał czułéj przyjaźni.

Raz zwierzyła mu się pani dyskursywe, iż — nigdy nie była szczęśliwą — że miała serce nie zużyte, młode, świeże i pełne uczuć wezbranych. Przymrużała oczy melancholicznie i wzdychała.

Pan Tęczyński w rozmowach tego rodzaju nie miał

wprawy, jakoś mu one nie szły, ośmielano go, pomagano, ale właśnie ta nieśmiałość może go czyniła dla serca niezużytego, pełnego uczuć wezbranych — ponętnym.

Bolek więc w dosyć krótkim, stosunkowo czasie, nasnuł sobie na przyszłość różnych programmatów wiele. Wujowi o stosunku przyjaznym z panią domu nie mówił wcale.

Na ostatek ażebyśmy działalności młodzieńczéj naszego bohatera — dali zupełne wyobrażenie czytelnikowi, musimy jeszcze tajemnicę mu zwierzyć jedną.

Na pierwszém piętrze kamienicy, któréj strych zajmował pan Tęczyński, mieszkał kupiec bogaty, niejaki Rehmayer, mający trzy córki. Najstarsza z nich już była ukończyła pensyę, dwie chodziły jeszcze z teczkami pod pachą, w spodeńkach stanowiących fałszywą ich metrykę. Jedna z nich bowiem miała lat szesnaście skończonych, druga piętnaście.

Obie, nie mówiąc już o najstarszéj, były nadzwyczaj — rozbudzone, pojętne, żwawe i patrzały na mężczyzn tak jakby już tych spodeniek nie miały. Najstarsza, któréj imie dano Arkadii, chociaż świętéj tego nazwiska nie spotyka się w kalendarzach, miała ten sam żywy charakter co dwie młodsze siostry... Była to śliczna, mała trochę, ale jak pączek róży wyglądająca blondyneczka, z oczkami figlarnemi, a buzią zawsze w uśmiechach, z twarzyczką, w któréj dwa dołki różowe chciało się całować. Ulubienica ojca i matki, pani w domu, tyran straszny dla sióstr młodszych, które szpiegowała i karciła nielitościwie, Arcia była by anachoretę skusiła!

Wprawdzie kochało się w niéj już wielu, pierwszy

komisant ojcowski sam jéj mówił po cichu, (bo sobie pozwalała mówić różne rzeczy) — że się z desperacyi dla niéj struje albo utopi; szalał za nią sekretarz jeden i komisyoner — który jéj bukiety przysyłał złotemi szpilkami spinane. Tymczasem raz na wschodach spotkawszy idącego Bolka, panna — było to spojrzenie owe co jak strzała kupida przebija serce — zakochała się.

Wszyscy adoratorowie dawni znikli, przepadli, wydali się jéj okropni — ten lub żaden, powiedziała sobie.

Następnych dni ile razy Bolek zchodził na dół, zawsze ją, albo we drzwiach, albo na wschodach, albo w oknie musiał zobaczyć. Patrzała mu w oczy wprost, jakby mówiła:

— Chcę twoją być.

Bolkowi to niezmiernie pochlebiało, był tém dumny, panienka mu się podobała, ale kupcówna! z kawałkiem kamienicy i trzecią częścią sklepu!! A do tego ojciec był nie ponętny, brudny, gruby, z kędzierzawą głową, brzuchal, który miał brodawkę na twarzy i łajał tak czasem głośno, że go na strychu było słychać. Matka znowu, chodziła w perkalowym szlafroku, przydeptanych trzewikach, w okularach mosiężnych, z pończochą w ręku...

Arcia, która od mieszkającego na strychu, ubogiego młodzieńca nie mogła przewidywać rekuzy, śmiało i coraz śmieléj zaczęła mu się nastręczać. Paliła go oczami. — Gdy to nie pomogło, raz z okna nagle posłała mu ręką całusa i uciekła. Bolek westchnął — nad tą niepotrzebną ofiarą swéj fizionomii.

Był rad, ale sam przed sobą bolał nieco nad

niefortunnym darem téj piękności, która go tak niebezpiecznym czyniła. Arcia była śmiała i rezolutna do — najwyższego stopnia.

Poczęły się więc ukłony zdala, rodzaj znajomości, zawsze na wschodach i w korytarzu. Tu raz na najniewinniejszéj pogadance, dwie młodsze siostry zaskoczyły starszą, która je tyranizowała. Zmieniło to położenie o tyle, że Arcia musiała się stać dla sióstr wyrozumialszą, i wyrobiła u matki dłuższą sukienkę dla Filipinki. Bolek, chociaż nie odstręczał zupełnie kupcównéj, wielce był oględny i romansowi temu na wschodach nie dopuścił przybrać większych rozmiarów, czego sobie niecierpliwa i niedoświadczona Arcia mocno życzyła.

Szczęśliwy młodzieniec miał więc, oprócz lekcyi wiele zatrudnień.

U radzcy pielęgnowanie przyjaźni i zaufania saméj pani domu, i magnetyzowanie panny Emmy, które się nieszczęściło; w kościele modlenie się do pięknéj wdowy, nie chcącéj tego widziéć dotąd ani rozumiéć, w domu na ostatek stosuneczek z kupcówną niebezpieczny i za daleko zaprowadzić mogący, bo dziewczę było piękne, śmiałe i porywcze.

Po śniadaniu, wyjechawszy na przejażdżkę, spędzili z panem Serafinem czas poobiedni coraz się poznając bliżéj. Razem potém poszli na teatr, a że szlachcic, nawykły do obfitéj strawy, głodny był na wieczerzę, która się przeciągnęła długo. Serafin był z tych ludzi, co naiwnych i dobrodusznych dobrze udają, chociaż pamiętał co mówił i

najszczerzéj się spowiadając zachowywał pewną miarę. Dobroduszność ta instynktowa była podobną do łagodności pewnych stworzeń, które dozwalają się z sobą spoufalić, zbliżać, aby chapnąć ofiarę tém łatwiéj i wygodniéj.

Bolek, przy wieczerzy rozgadawszy się, odmalował mu upadek znakomitéj rodziny, do któréj należał, nakłamał obficie i umiał się w świetle imponującém przedstawić przyjacielowi. Nawzajem szlachcic mu się wyspowiadał, że choć ma majątek porządny co się zowie, i na kawalerskie życie stało mu aż nadto, wszelako chciałby się ożenić bogato, aby sytuacyę polepszyć i nie nudzić się samemu.

Przyznał się wreszcie po cichu, że radby przy zręczności lepiéj poznać kuzynkę Emmę, chociaż to dla niego było za mało.

Bolek nieznacznie się zarumienił, ale popił winem i nie dał tego poznać po sobie. Zapytany czyby tam w domu nie postrzegł kogo chodzącego około panny — odpowiedział ni to ni owo. Ton rozmowy nagle się tak zmienił, że dobroduszny ale przenikliwy pan Serafin, coś sobie z niego wywnioskował, ale więcéj się dowiedzieć nie mógł. Wyglądało to jakby mu Bolek nie zbyt radził.

— Widzisz, kochany panie Bolesławie, zwierzył mu się Serafin — ja do zalotów jestem leniuch i ciężki, a z Dziembami łatwobym sobie i w krótkich abcugach radę dał. Kochana ciocia, pani radczyni, była na mnie dawniéj bardzo łaskawa...

Tak to jakość szydersko powiedział z pewnym uśmieszkiem dwuznacznym, że Bolek musiał się domyślać, iż radczyni dla wielu młodych chłopaków bywała łaskawą.

— Co za dziw — dodał z trochą dumy pan Serafin — z radzcą ona nigdy nie była szczęśliwą, to chodząca sztukamięsa, prozaiczny człowiek, ona kobieta uczuciowa...

Serafin zdawał się powtarzać to co i Bolkowi mówiła gospodyni domu. Rzucało to pewne światło na stosunki, ale Bolek był upokorzony nieco: stał teraz w jednym rzędzie z opalonym i niezgrabnym panem Serafinem.

Przy téj wieczerzy dwaj młodzi poprzyjaźnili się mocno, wieśniakowi Bolek w mieście był przydatnym, a Tanczyńskiemu dobroduszny, zamożny przyjaciel także mógł być wielką pomocą.

Stanęli od razu na zupełnéj stopie równości, i rozchodząc się dnia tego, ułożyli nazajutrz spotkać się rano, razem być u Dziembów, i bodaj potém dzień spędzić nie rozstając się do wieczora. Bolek nie miał nic do czynienia, prócz tych lekcyi u radzcy.

Późno powracając do kamienicy, na wschodach pierwszego piętra spotkał Bolek czatującą, jak zwykle Arcię, która go napróżno dłużéj chciała zatrzymać; uścisnąwszy jéj rączkę Bolek uciekł z obawy, aby siostry lub rodzice nie podpatrzyli ich i nie złapali.

Biedne dziewczę zalewało się łzami rozpaczając, że nie jest kochaną, obiecywało sobie nigdy już go więcéj nie widzieć, nie wyjść doń, nie dać znaku życia, pomścić się, lecz postanowienie to trwało zwykle do rana, a jeden uśmiech je rozpraszał. W głowie Arci ułożony był plan nader śmiały; chciała obałamucić Tanczyńskiego i rodziców zmusić jawnym skandalem do wydania jéj za niego.

Była to jéj pierwsza miłość, niedorzeczna i dziecinna, bo

znała ledwie imię tego, któremu chciała się oddać na całe życie; miłość pensyonarki, która w żadne rachuby się nie wdaje... Bolek musiał miéć rozum za dwoje, a bardziéj niż rozum powstrzymywała go w zapędach postać olbrzymia ojca Rehmayera, który miał minę nader groźną i z chłopcami sklepowemi obchodził się własnoręcznie w sposób nader dotkliwy. Bolek, jako młodzieniec delikatny, nie mógł się dla miłości tych dwu dołków w różowéj twarzyczce narażać na katastrofę z kijem i zaślubienie kupcównéj!! Marzenia jego sięgały wyżéj daleko, i bilet z herbem Topor, za grosz od gęby odjęty, wylitografowany był nie darmo.

Zwierzenie się Serafina co do projektów na Emmę, i czułości matki dla niego, napełniły smutkiem duszę młodzieńca, który tego wieczora o nocnéj toalecie pięknych swych włosów, zwykle wieczorem zawiązywanych — zapomniał.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

V.

Radzcy nie było już w domu, gdy pan Serafin, któremu idący na lekcyę Bolek towarzyszył, zjawił się w salonie państwa Dziembów. Sama pani zwykle poranne godziny poświęcająca starannéj restauracyi swych wdzięków, dowiedziawszy się z biletu o przybyciu — kuzyna (tak go w domu nazywano) nie dokończywszy ubrania wybiegła przeciw niemu z radością wielką, która przykre jakieś uczyniła wrażenie na Bolku, mimowolnym, przywitania bardzo serdecznego, świadku.

Pana professora odprawiono grzecznie do chłopców, a radczyni zabrała poufale dawno niewidzianego gościa do swojego pokoju. Po drodze przywitała go téż grzecznie, ale dosyć chłodno, panna Emma.

Pan Serafin widocznie ujęty był okazaną mu gorącą przyjaźnią, całował nienasycenie piękne rączki kuzynki (alias cioci) i śmiejąc się, szczęśliwy poszedł za nią na długą gawędę na cztery oczy. Troskliwa pani posadziwszy go wygodnie, dawszy mu pozwolenie palenia cygara i zapałki, wzięła się do egzaminu sumienia młodego panicza, dla którego oświadczała się z macierzyńską miłością.

Serafin puścił sobie cugle w opowiadaniu o nudném na wsi życiu, o kawalerskim stanie, o interesach które by chciał do pewnego przyprowadzić porządku.

Od pół słowa go zrozumiała troskliwa opiekunka.

— Słuchaj — rzekła — gdybyś trochę umiał sobie zadać

pracy i starania, — miałabym dla ciebie coś takiego dystyngowanego, miłego, pięknego, i ozłoconego, że całe życie byś mi powinien być wdzięczny!

Serafin w rękę pocałował, z góry dziękując.

— Ale ty, jesteś leniwy, chciałbyś, żeby ci to bardzo łatwo przyszło, a tu nie byłoby bez wielkich starań — i pamięci na siebie. Jest tu — ciągnęła pani Dziębina — pewna wdówka, osoba bardzo pięknego wychowania, niezmiernie bogata, wcale ładna, bezdzietna, i miła! miła!

Mówiła o pani Laurze.

— Wprawdzie — dodała — do téj pory nikt nawet ani przypuszczał, ażeby kiedykolwiek za mąż wyjść myślała i mogła. Ostatniemi czasy jednak wyrwało się jéj kilka słówek znaczących — o! bardzo znaczących, które ja pochwyciłam i zanotowałam... Jest stęskniona, pragnie życia na wsi i spokoju, a choć serce ma złamane, jak powiada, potrafiłaby się do statecznego, poważnego, łagodnego charakteru mężczyzny, przywiązać może! Ja zaraz sobie pomyślałam o tobie.

— Ale Serafku kochany, tam trzeba taktu, układności.

— Przysięgam, jeżeli bogata, a podoba mi się, zdobędę na wszystko! nie poznacie mnie.

Ożywiona swym projektem radczyni puściła się w niezmiernie szczegółową charakterystykę osoby, domu, towarzystwa co ją otaczało.

Dla pana Serafina strefy te wydawały się nieco za górne — ale perspektywa pięknéj, dystyngowanéj, a nadewszystko bogatéj bardzo żony, czyniła znośną tę przyszłość, w któréj się pod pantoflem już widział...

Cała przejęta protegowaniem kuzyna, piękna pani chodziła żywo po pokoju, całowała go w głowę dawnym znać obyczajem, dawała się w ręce całować i ściskać za nie — i czekała tylko na męża, aby z nim — dla przyzwoitości pomówić o tém, a potém biedz, starać się, prosić o pozwolenie wprowadzenia i t. p.

Rozmowa o tém i o owém trwała tak długo, że w końcu trzeba było co najspieszniéj dopełnić ubrania, zadzwoniła więc, aby Serafina oddać Emmie do zabawiania.

Z nią razem wyszedł wieśniak do salonu, ale o ile z matką był na poufałéj stopie — z panną mu szło jakoś trudno i nie swojsko. Emma z góry nieco się z nim obchodziła, imponowała mu sobą, należała do innego świata. Miał to nieszczęście, że ile razy się do niéj z czém odezwał, byka strzelił. To go dawniéj i teraz onieśmielało.

Chodzenie po salonie i rozmowa zmęczyły go mocno, a pannę musiały znudzić, gdyż zdawała się wyglądać matki, lub kogokolwiekbądź coby ją z téj niewoli wyswobodził. Panna Emma bo w ogóle nie łatwą była do zabawiania i miała ludzi swojego wyboru, dla których była wesołą, z któremi umiała być swobodną, a pan Serafin nie należał do nich.

Nim Dziembina ukończyła toaletę, nadszedł radzca i wyzwolił córkę, która natychmiast uciekła. Dla niego gość to był pożądany, miły, kochany. Chociaż się z tego przed żoną nie spowiadał, p. Dziemba miał od dawna powziętą myśl wydania córki za niego; naprzód dla tego że go lubił, że spodziewał się z niego dobrego, powolnego męża, na ostatek może i dla posagu, o który układy z krewnym

mogły być łatwiejsze.

Prawiono wiele o zamożności państwa Dziembów, liczono ich na krocie, dom trzymali na pańskiéj stopie, mieli wszystkie oznaki bardzo bogatych ludzi, jednakże — radzca zasępiał się często nad rachunkami. Żona i nikt o tém nie wiedział.

Serafina sytuacyę znał *praeter propter* radzca, miał go za bardzo dostatniego chłopca, nie utracyusza, statecznego i zdatnego pod pantofel, z góry bowiem przeczuwał, że mąż Emmy będzie musiał pójść tam odpoczywać.

Zobaczywszy go w salonie, krzyknął z radości radzca, ręce rozstawił szeroko, przyjął go biegnącego witać na łono swoje.

Nadeszła wkrótce i sama pani, zasiedli do rozmowy, a gdy Serafin przyznał się, że z panem Bolesławem razem, z którym wczoraj się poznał, miał być na obiedzie, obu ich zatrzymano. Pani saméj pilno było rozwinąć przed mężem program uszczęśliwienia kuzyna. Nie mogąc wytrzymać schyliła mu się do ucha, napomykając o swym pomyśle, ale na pierwsze o nim wspomnienie, Dziemba, zwykle powolny, zmarszczył się i dał jéj znać wejrzeniem, żeby o tém nie mówiła.

Zdziwiło to tak i zaniepokoiło rozgorączkowaną już swym projektem panią, że rzuciwszy w salonie kuzyna z Emmą, pociągnęła męża natychmiast do gabinetu na poufną rozmowę.

Radzca poszedł leniwym krokiem i zafrasowany.

— Cóż ci znowu do głowy przyszło krzyżować moje projekta? — zawołała pani dosyć popędliwie, zaledwie

drzwi przymknąwszy za sobą.

Radzca trząsł głową.

— Ale to ty, moje kochanie, krzyżujesz moje projekta — odezwał się mąż powoli — ty, ja właśnie dla Serafina co innego obmyślałem.

— Cóż takiego? jużci mi wolno wiedzieć? — zapytała pani.

— Nie domyślasz się? — z uśmiechem rzekł radzca.

— Nie mam wyobrażenia.

— Możeż być pożądańszy mąż dla Emmy? — zawołał ojciec tryumfująco.

Pani Dziembina zagryzła usta.

— Przepraszam cię — rzekła — sensu w tém nie ma. Naprzód pokrewieństwo blizkie, wiesz, to już nie dobre zawsze, powtóre, powtóre brak sympatyi, i znowu, przyznam ci się, że Emma może dla siebie znaleźć coś pokaźniejszego nad poczciwego Serafina, nieprzeczę, że dobre bardzo chłopczysko, ale — wskazała na głowę.

— Emma ma nielada zdolności, rozum, dowcip, a on sobie prostaczek.

— I ty tego miałabyś nie wiedzieć, że kobieta rozumna, powinna właśnie szukać sobie męża w tym rodzaju — rzekł grzecznie radzca.

Na twarzy pani Dziembiny malowało się takie nieukontentowanie i niepokój razem, że radzca nie wiedział jak to sobie tłómaczyć.

— Ja na to nigdy nie pozwolę — dodała stanowczo.

Dziemba ręce załamał.

— Otóż to z wami kobietami sprawa! — zawołał. —

Niepozwolę! *Veto* i kwita. Bez żadnéj racyi...

— Bądź pewien, że mam racyę — odparła gwałtownie się odwracając pani — i daję ci słowo, że Emma za niego nigdy by w świecie nie poszła. — Ja jéj zmuszać nie będę, spodziewam się, że i ty także. Znam ją lepiéj od ciebie.

— Przynajmniéj poprobuj! zapalczywa kobieto! — odezwał się radzca, — zatrzymajmy go, zbliżmy ich.

— Ja ci z góry powiadam, że to nie ma sensu i ja od jutra, od dziś zaczynam starania około wdowy.

Z oznaką najwyższego nieukontentowania, radzca ręką machnął, pani popatrzała nań chwilę i oburzona powróciła do salonu.

Tu już i Bolek po skończonéj lekcyi intromitował się, a że z dwojga złego wybierając, panna Emma mniéj śmiałego i poufałego Tęczyńskiego wolała, zaszczyciła go rozmową. Serafin z rękami w kieszeniach stał i słuchał.

Bolek tego dnia był piękniejszy i idealniejszy niż kiedy, śmielszy nawet, i do pięknéj panny uśmiechał się, a wdzięczył zalotnie, pańskie niby przybierając maniery. Z powodu Serafina napomknięto o wsi i życiu wiejskiém.

Bolesław westchnął ze smutkiem.

— A! nad wszystko uroczą jest wieś — rzekł patetycznie, ale jabym już nigdy mieszkać nie mógł w tym raju, z którego mnie losy wygnały. Nadto wspomnień lepszych czasów, złotéj młodości wiąże się dla mnie ze wsią.

— Pańscy rodzice mieszkali na wsi? — wtrąciła Emma.

— Tak, pani, a mało nietylko u nas, ale w innych krajach tak pięknych jest rezydencyi jak nasza była. Nigdy nie

zapomnę parku naszego... tych drzew wiekowych, których szum we snach dotąd słyszę!

Westchnął. Mówił to tak naturalnie, że choć zbyt nastrojona wysoko mowa mogła się śmieszną wydawać — ocalał ją wyraz i dźwięk głosu sympatyczny.

Panna Emma popatrzała z politowaniem na tak nieszczęśliwie zdegradowanego młodzieńca.

— Dawno pan nie widziałeś tych ulubionych miejsc? — spytała.

— A! pani — przerwał mocno wzruszony Bolek — nie mówmy o tém.

— Nie mówmy! — wtrącił Serafin — to lepiéj.

Nie uważał grający tak starannie rolę swoją Tęczyński, że na Emmie pożądanego nie czynił wrażenia. Litowała się nad jego losem, lecz nie obudzało to w niéj sympatyi.

Bolek, który tylko co był przerwał o tém rozmowę, sam wnet zapominając się wtrącił.

— Szczególniéj każda wiosna i bzy rozkwitłe — budzą we mnie aż śmieszną żałość — słuchając słowika oczy mam łez pełne. Mój pokoik w skrzydle pałacu wychodził na ogród.

Słowiki widocznie występowały dla pałacu, panna Emma popatrzała na roztkliwionego, potém w okno, nareszcie na Serafina, który nie mogąc się roztkliwić, piórkiem w zębach przebierał.

Jak chmura gradowa wbiegła na to pani radczyni, córka spostrzegła zaraz, że z ojcem w gabinecie musiała zajść jakaś małżeńska kwestya.

— Siadajcie państwo! — zawołała — proszę siadać...

Mąż mój zaraz nadejdzie.

Bolek, zawsze rozważny, wybrał sobie miejsce naprzeciw panny Emmy, która wcale nań nie zważała.

Nadszedł téż i pan radzca nadąsany, poważny, wolnym krokiem.

— Zapomniałem ci powiedzieć moja duszko — odezwał się — żem i doktora Bazylego, spotkawszy w ulicy, zmusił, aby do nas zaszedł na gospodarski obiadek.

— Trzy osoby niespodziewane! — rozśmiał się Serafin — czy nie będzie za wiele. My byśmy z panem Bolesławem poszli sobie zjeść, tak jak mieliśmy projekt.

— Cóż znowu? — obrażona przerwała gospodyni — w mieście jest zawsze na to rada! Proszęż nas nie pozbawiać towarzystwa...

W téj chwili wyszła dyskretnie panna Emma, ktoréj matka dała znak oczyma, a drugiemi drzwiami wchodził doktor Bazyli.

— Pani dobrodziejko — odezwał się witając gospodynią — jestem w surducie, alem temu nie winien. — Wskazał radzcę.

— Proszę nie robić ceremonii — odparła gospodyni.

Rozmowa stała się powszechną i nastroiła weseléj. Doktór miał ten humor szczęśliwy, który nigdy ani przesadzenie i hałaśliwie wesołym nie jest, ani ponurym i smutnym, był pogodny i swobodny; Emma która już wchodzącemu zdala skinęła główką, co sobie zazdrośny Bolek zanotował — powróciła bardzo prędko i jak do starego znajomego zbliżyła się do Bazylego, żywą z nim rozpoczynając rozmowę. Matka nie była rada z tego.

Radzca wziął Serafina pod rękę, a Bolek pozostał jakby odosobniony z gospodynią, która skinęła nań aby się przysunął.

Rozpocząwszy głośno rozmowę zajmującą o chłopcach, nieznacznie wyszła z nim do drugiego pokoju.

— Słyszałam — rzekła poufnie do niego wpatrując mu się w oczy, że pan dawniéj znasz tego doktora. Zaczyna być częstym gościem w domu, radabym coś więcéj wiedzieć o nim nad to, że jego ojciec był dobrze z mężem moim. Co to za człowiek??

Bolek pamiętał dobrze jak mu się znaleźć wypadało — zmilczał ruszając ramionami.

— Mów bo pan mi szczerze, jak swéj dobréj przyjaciółce, która go nie zdradzi, potrzebuję wiedzieć.

Podała mu rękę i ścisnęła sympatycznie dłoń młodzieńca, który po za siebie się obejrzawszy, pocałował rączkę przyjaciółki. Nastąpiła chwila milczenia, która oznaczała zobopólne wzruszenie wielkie. Z piersi pełnych pani domu wyrwał się jak zefir westchnienia.

— Mów pan — rzekła — bo musimy powrócić.

— Chociaż towarzysz mój, chociaż zwał się moim przyjacielem, odezwał się Bolek — wyznam pani, nie jest mi sympatyczny.

— Mnie téż — potwierdziła radczyni — ale cóż więcéj? otwarcie!

— Jest to natura zimna, szyderska, realista, sceptyk, cynik. Żadnéj religii, najmniejszego uczucia szlachetniejszego, serce wyschłe... ironia chodząca, a przytém...

Tu się zatrzymał nieco.

— Kończ pan, kończ, śmiało! nalegała pani.

— Niestety! interesowany nad wyraz wszelki, delikatności najmniejszéj. Pieniądz dla niego bóstwem.

— To okropny człowiek — zawołała radczyni ze zgrozą.

— Naostatek — pośpieszył poczciwy Bolek, lękając się ustać w pół drogi — życie prowadzi, o którém przed panią mówić mi nie podobna...

Oczy pani Dziembinéj zabłysły, właśnie radaby była coś o tém posłyszéć z ust ładnego chłopca, ale nie śmiała go pytać...

— Ideałem dla niego — dokończył skromnie Bolek — są wyrzutki społeczeństwa... nieraz... ale tego mówić przed panią nie mogę...

— Po cichu! — szepnęła radczyni.

— Nie czyni z tego tajemnic, żyje z najostateczniejszą rozpustą... Co tydzień u niego nowa twarzyczka w mieszkaniu gospodaruje.

Pani Dziembina zarumieniła się mocno.

— Zaklinam tylko panią — ażeby to zostało tajemnicą...

— O! bądź pan spokojny! — odparła wychodząc już do salonu gospodyni. Z progu rzuciła ostre wejrzenie na doktora, który wcale się nie domyślając jak go tu odmalowano, swobodnie rozmawiał, śmiejąc się z panną Emmą. Matce, po tém co słyszała, zbliżenie się tego człowieka do jéj dziecięcia było nad wszelki wyraz przykrém, odwołała natychmiast Emmę.

Oddawszy tę przyjacielską posługę doktorowi, Bolek się czuł w obowiązku zbliżyć do niego i przywitać, aby zatrzéć

wspomnienie rozstania wieczornego na trotuarze. Bazyli ze zwykłą swą pogodą na twarzy pomówił z nim trochę, nie okazując po sobie, ażeby pamiętał ostatnie spotkanie.

— Winszuję ci — rzekł — widzę, że tu jesteś na dobréj stopie, jakby domowym... Jam tu w mieście tak obcy, że oprócz kochanego radzcy, nikogo nie mam.

— Mnie nie liczysz? — zapytał Bolek.

— Sądzę, że nie życzysz sobie, abym cię rachował.

— Owszem, proszę o to — odparł Tanczyński.

Radzca nadchodzący z panem Serafinem przyłączyli się do nich, wróciła panna Emma, za którą była na chwilę wyszła matka, aby ją przestrzedz, żeby się nazbyt z doktorem nie poufaliła.

Towarzystwo całe niemal, z wyjątkiem doktora i Serafina przybrało jakieś postawy sztywne i nakrochmalone. Panna Emma nawet straciła swą swobodę, radczyni chmurna bardzo obracała żywo pierścionki na palcach, co dla męża było znakiem do najwyższego stopnia posuniętego rozdrażnienia. W prostocie ducha przypisywał je obiadowi, na który przybyło nagle trzy osoby.

Bolek chodził z wyrazem dystyngowanéj melancholii, dla utrzymania się w charakterze swym, ale w istocie był rad z siebie i szczęśliwy niezmiernie, że doktorowi stołka przystawił. Nie wątpił, że pani go z domu potrafi wykurzyć — a tego mu było potrzeba. Panna Emma patrzała nań zbyt sympatycznie.

Oprócz tego miał zamiar Tanczyński wychodząc z obiadu, poprosić doktora o pożyczkę téj małéj sumki, któréj zawsze jeszcze potrzebował, a niewiedział zkąd ją ma

zaczerpnąć nie kompromitując się.

Obiad był jeśli nie wykwintny co do smaku, to przynajmniéj pokaźny co się zowie i obfity. Wieśniak téż, obdarzony apetytem nadzwyczajnym, nie czyniący ceremonii, popisał się przy nim tak, że doktor z największém zajęciem studyował jego odżywianie.

Śmiano się z niego. On utrzymywał, że na wsi wszyscy tak jedzą, i że powietrze wiejskie wymaga pokarmów obfitych. Zjadłszy ogromne dwa talerze zupy, napakował sobie sztukamięsy straszliwą furę i cały obiad do końca zmiatał wesoło, nie odmawiając ciągle mu ofiarowanych dodatków.

Widowisko to uwolniło niemal od rozmowy. Bolek tém delikatniéj kosztował potraw, choć miał także apetyt, ale jemu się z nim zdradzać nie wypadało. Ludzie powinni się byli domyślać, że żył smutkiem swym i wspomnieniami przeszłości.

Na poobiedzie zapowiedziana była wycieczka za miasto, na którą gościnny Serafin chciał doktora zaprosić, ale ten wymówił się grzecznie.

Gdy od stołu wstali, Radczyni na bok wziąwszy Serafina oznajmiła mu, że natychmiast zajmie się wiadomą sprawą, ażeby był w pogotowiu stawić się gdy go zawoła. Podszepnęła mu nawet jak się powinien był ubrać, co włożyć i jaki ton wdziać na siebie.

— Jeżeli broń Boże przyjdzie ci ochota tak się z apetytem popisywać u hrabiny Laury — dodała — toś zgubiony człowiek!

Serafin się roźśmiał.

— Nie będę nic jadł! słowo daję!

Po krótkiéj rozmowie wyszli wszyscy, wziął za kapelusz i doktór, którego zimno, zdaleka, ukłonem pożegnała pani domu.

W bramie Bolek pochwycił go na stronę i zaklął o pożyczkę, którą z łatwością otrzymał.

— Proszę cię — rzekł doktor wesoło — spojrzawszy na ciebie i na mnie, ktoby się domyślił, że ty możesz pożyczać u mnie! Żart na bok, nie zapomnij oddać, bom nie bardzo zamożny.

Gdy się sam na sam zostali z panem Serafinem, Bolek dopiero wylał się z całym dobrym humorem, jaki wyniósł od Dziembów. Lekko mu było i dobrze, czuł się nieodrodnym siostrzeńcem Maciórka i uczniem godnym mistrza.

Profesor dnia tego skromniejszym się ograniczywszy obiadkiem u Poziomkiewiczowéj, dokąd go zaprosił stary znajomy, szedł właśnie na czarną kawę i szachy do kawiarni, gdy dorożka niosąca dwu przyjaciół, po kawalersku leciała bruk rozbijając do szczętu. Stanął nieco na trotuarze, grożąc laską. Serafin natychmiast kazał zatrzymać.

— Panie profesorze! dla kompanii z nami! — zawołał.

— A tak, żebyś znowu jakie zbytki wyprawiał — odparł stary — o nie! nie!

— Żadnych zbytków, przetrzęsiemy się i zjemy kurcząt i raków.

— A! raki! raki! przyznaję się, to słabość moja! — westchnął profesor.

— Jedź że pan z nami!

Porwano go opierającego się, po daniu najuroczystszego słowa, że zbytków nie będzie. Serafin śmiejąc się przyrzekł. Profesor za to obiecywał wskazać ogródek, w którym raki, kurczęta i szparagi były najdoskonalsze. Zjedzony obiad nie przeszkadzał wcale poczciwemu szlachcicowi ostrzyć zęby na nowe przysmaki. Projektował tylko pół godzinki się przetrząść. Tak się stało — stanęli przed ogródkiem i wysiedli.

— Zbytków żadnych — rzekł Serafin — ale mnie się dziś zwiastowało szczęście, musimy je zapić!

— O! już! — krzyknął profesor — na miłego Boga! ja uciekam. — Nie zawracał jednak.

— Jakież szczęście?

— Swatają mnie! — zawołał Serafin, który niewidział potrzeby zachowywania sekretu przed dobrymi przyjaciółmi.

Bolek pobladł.

— Ale to — między nami! słowo?

— Najświętsze! — rzekł podnosząc blade oczy do góry profesor, który już u stolika pod altaną miejsce zajmował i chciał wyręczyć Serafina w zadysponowaniu raków.

Szlachcic jednak sam poszedł zarządzić podwieczorek, i wrócił uśmiechnięty.

— Tylko żeby znowu zbytków jakich nie było! — błagał ręce składając profesor.

Serafin potrząsł głową tylko.

— Otóż, wracając do przedmiotu — rzekł — moja poczciwa, dobra kuzynka czy ciocia, radczyni — z

kościami dobra kobiecina.

— Nie mówi się o kościach mówiąc o kobietach, wtrącił professor — aby nie przypominać, że w gardle czasem stoją!

Homerycznym śmiechem powitawszy ten dowcip ciągnął daléj szlachcic.

— Kochana radczyni.

Profesor zrobił minę ściągając usta dziwnie, jakby już ssał raki.

— Ma dla mnie jakąś wdówkę, jak na urząd, bezdzietną, milionową, ładną, cichą, dobrą i *haute volée*!

Bolek pobladł domyślając się już.

— Czy mówiła jéj nazwisko? — zapytał niespokojnie.

— Pani Laura!... — na ucho szepnął Serafin. — Ale bo i imie poetyczne! Zna ją lub słyszał o niéj kto z panów??

Wniesiono raki, profesor serwetę zakładał pod brodę, oczy mu pałały i zmierzał do najstarszego ze skorupiaków, którego nogi go nęciły.

— W mieście, kochany panie Serafinie — odezwał się — kto długo mieszka, *volens nolens* musi coś posłyszéć. Wleci mu w ucho samo, choćby nie chciał. Otóż o téj hrabinie czy nie hrabinie Laurze dużo się nasłuchało... Prawda czy fałsz — kontrolować nie sposób. Osoba być ma znakomicie uposażona ze wszech względów, pobożna, skromna, cicha, nie lubiąca świata, estra dystyngowana, ale zagadkowa.

— Bogata! podchwycił Serafin.

Profesor odgryzał nogę rakowi.

— Hm, — rzekł — wszystkie symptomata bogactwa ma,

to rzecz niewątpliwa. Miewają je wprawdzie i ci co bogatemi się chcą wydawać choć nie są — ale u nich one bywają efemeryczne, gdy hr. Laura od lat kilku tu żyje na stopie! ba! ba! Ale to rak! — dodał podnosząc jednego do góry Maciórek — to rak!

— Zatém i bogata — dodał Serafin. — Ale, panie profesorze kochany, jakże tu mnie, ot takiemu sympliciuszowi, wieśniakowi sobie, prostakowi przystąpić do takiéj nimfy...

— Nimfy lubią ludzi niedelikatnych! — rzekł profesor. — Reguła ogólna, sprzeczności się pociągają, podobieństwa się odpychają!

Serafin porwał za butelkę szampana i nalał w kieliszki.

— Zatém vivat wygłoszony przez profesora aksiomat!

Bolek wstał z kieliszkiem; całe wesele, jakie był wyniósł z domu radzcy uleciało — odbierano mu jego marzenie.

Siedział chmurny jak noc, i gdy Serafin z Maciórkiem baraszkowali zajadając, on rozmyślał, co miał począć.

Aksiomat profesora wydawał mu się sofizmatem, gorszém daleko było, że pani Dziembina mogła z umiejętnością wytrawnéj staréj swachy poprowadzić interes.

Serafin nie wydawał mu się niebezpiecznym — ale kobiety miewają tak dziwne gusta! Przy rakach i szampanie przyszła mu myśl doskonała — cudowna, która aż rumieńcem go w twarz uderzyła.

Uprzedzając starania Serafina, zabiegi radczyni, należało mu napisać list, list miłosny, szalony, grożący odebraniem sobie życia, list w którym by było wyznanie, że go pisał

ten, co w kościele codzień wielbił anielskie jéj oblicze...

Pochlebiał sobie, iż list ten potrafi napisać tak — że najtwardsze by nim mógł serce poruszyć. Potrzeba było tylko pośpieszyć z nim, i obmyśléć środki przesłania.

Wiedział od dawna nazwisko i mieszkanie; najprostszą więc rzeczą było przesłanie na pocztę, prosząc o odpowiedź pod zmyśloném nazwiskiem.

Bolek dał już sobie w myśli imie Edwina! Nie był pewnym czy nie należało mu dodać hrabia Toporczyk! *Hrabia* mógł być bardzo przydatnym.

Myśli te zwijały mu się jeszcze po głowie, gdy już Serafin z professorem, zbiwszy się z tropu, mówili wcale o czém inném...

Profesor wykładał dawnemu uczniowi historyą wzrostu, rozwijania się i monstrualnego rozkrzewienia powszechnego zepsucia po głównych ogniskach Europejskich, z których nie wyjmował Warszawy.

Wykład to był tak szczegółowy, tak pełen faktów, dowodów, wskazówek, iż mógł się stać dla nowiciusza niebezpiecznym, opatrując go w wiadomości, z których pokusa by wziąć gotowa korzystać.

Serafin téż słuchał, dopytywał, głową kręcił — a w końcu dodał:

— Ale zkądże profesor tak jest o tém uwiadomiony?

Rozśmiał się Maciórek. — Samo ci to w uszy tu wpada! Zatknij je, zamknij oczy i tak się szkaradzie téj nie obronisz, bo cię otacza zewsząd!

Maciórek surowo karcił to zepsucie, ale zarazem w rozpowiadaniu o niém lubować się zdawał. Wino było

dobrze ostudzone i Maciórek jak rzadko je czystém znajdował. Dwie butelki na trzech — była to proporcya tak śmiesznie mała, że niepodobna na niéj poprzestać, nie kompromitując się.

Serafin zawołał o powtórzenie.

Maciórek zerwał się chwytając go za ręce, chciał uciekać piechotą, posadzono go na krześle, zadano mu gwałt. Zaklął się, iż nigdy w życiu z młodzieżą się wdawać nie będzie.

— Młodzież w niczém nie zna miary! gubicie się.

— Wie szanowny profesor — przerwał Serafin — dziś, bądź co bądź, była to rzecz nieuchronna, żem musiał winem poprawić dygestyę. Wyzywano mnie przy obiedzie i jadłem za wiele... Czuję się ciężkim. Na to nie ma jak wino.

— Tak, na to nie ma jak wino! potwierdził profesor — i zwrócił się do nadto zamyślonego Bolka z pytaniem, czyż w istocie tak z widelcem dokazywał!

Tanczyński potwierdził.

Z pieczołowitością Maciórek rozpytał co mianowicie było na stole, jak przyrządzone i z powagą przyznał, że tu istotnie wino było na miejscu.

Pili więc. Bolkowi tego dnia się nie wiodło. Siedzieli jeszcze u stołu, gdy tuż przed niemi u wnijścia ukazała się wchodząca rodzina — na któréj widok Tanczyński cały pokraśniał.

Szedł przodem ogromny brzuchal, gruby, z brwiami jakby węglem nasmarowanemi, prowadząc chudą kobiecinę bardzo skromnie przyodzianą. Za tą parą postępowały dwie panienki jednakowo ubrane, blondynki, w sukienkach lekkich, ze wstążkami niebieskiemi, różowe, świeżuchne.

Śliczne. Za niemi ciągnęła trzecia w krótkiéj sukience, ale także już dorosła.

Jedna z tych panienek spojrzała na Bolka i o mało nie krzyknęła, a siostry jéj chwyciły chusteczki do ust. Ponieważ rodzice po za siebie nie patrzyli, panna śmiała jak dzieciak, zarumieniwszy się na wiśniowo, oczy wlepiła zuchwale w Bolka, nie zważając na nic.

Tanczyński musiał spuścić wzrok. Dziewczęta między sobą chichotać zaczęły. Profesor mający nader bystre spojrzenie, wszystko to dojrzał, odgadł, zrozumiał, usta mu się do góry podniosły, i czoło namarszczyło.

Na domiar biedy nie było dla przybywającéj na kurczęta rodziny innego miejsca tylko obok, w altanie, a Arcia tak się usadowiła mądrze, iż mogła nie postrzeżona przez matkę zabijać oczyma nieszczęśliwego młodzieńca, dawać mu znaki, mrugać, uśmiechać się do niego.

— *Ni fallor*, chrząknąwszy rzekł z cicha profesor do siostrzeńca — widzę, że asindziéj bodaj masz jakąś znajomość z Rehmajerami? Panny tu ciągle zérkają i prychają.

— Cóż dziwnego — odparł Bolek — wszak wuj wie że stoję w ich kamienicy!

— A! prawda! jaka moja pamięć głupia — rzekł Maciórek — ale to nie dobra rzecz. Dziewczęta młode i okrutnie śmiałe, diabeł nie spi — a tego Rehmajera ja znam. Raz temu już dawno, ktoś mu coś przeskrobał, jak cisnął na niego obuchem, omal go nie zabił.

Bolek zmilczał; Serafin pannom się przypatrywał natarczywie i wziąwszy na humor, podniósł kieliszek

szampana, oczyma pokazując, że pije ich zdrowie. Dziewczęta poczęły prychać. Szlachcic aż się za boki brał.

— Co za śliczne buziaki! — wołał — tu w téj Warszawie to oszaléć potrzeba, doprawdy!

Bolek skompromitowany nieco, nie odzywał się już, zagadując czém inném, w głowie miał ten list a piękne oczki Arci wcale nań nie działały.

— Co to za nieszczęście — wołał Serafin — że ten — jak że się on zowie? taką ma rękę ciężką, człek by poszedł się przysiąść do panien.

Butelki się wypróżniły nareszcie, mrok nadchodził i profesor wstał zapinając się, a dając znak do odwrotu. Cofnęli się tedy, choć Serafin za dziewczętami tylko gonił oczyma. Bolek wysiadłszy przed teatrem, do którego dla towarzystwa zaprosił z sobą szlachcic profesora, sam się wymówił pilném zajęciem, i pobiegł do domu. Głowę miał pełną listu, lękał się aby po drodze nie pogubić ślicznych wyrażeń, poetycznych zwrotów, zaklęć — westchnień, które chciał w tę epistołę oprawić.

Zamknął się i zaryglował w izdebce i rozpoczął pisanie.

List miał stanowić może o losach jego — nie dziw więc, że napisawszy go, gdy odczytał to co w ogniu inspiracyi wydawało mu się cudnie piękném, — zbladło i pokazało ułomném i koszlawém. Zaczął poprawiać, — nie schodziły się z sobą poprzerabiane frazy, wstawki sterczały jak kołki w ścianie — miejscami myśl jedna nie trzymała się drugiéj, to znowu taż sama powtarzała niepotrzebnie. Miejscami było jasno, gdzieniegdzie ciemno i za zuchwale i za pokornie. A tu gorączka nie miłosna, ale jakaś dziwna,

chciwa, nieokreślona, całym nim miotała.

Przerobił tedy list po raz drugi całkowicie, wygładzając chropawe miejsca, dodając mu siły, dopiłowując przymiotniki, szpikując go wykrzyknikami. Zdawało mu się, że to będzie arcydzieło. Napił się szklankę wody, pochodził i orzeźwiwszy przeczytał na nowo zredagowane pismo.

Było wodniste i mdłe. W pierwszém mnogie usterki przynajmniéj zdawały się zdradzać jakieś uczucie, które nie wie jak się ma wyrazić, w drugim sztuka wychodziła na jaw, przesada zdradzała chłód — Bolek, surowy sędzia rzucił rozpaczliwie papier na stół.

Było już późno, bo dwie pierwsze redakcye dużo czasu zabrały, a myśl posłania listu coraz go więcéj opanowywała — potrzeba było wystylizować go koniecznie. Tymczasem zniechęcenie i dwie chybione próby odbierały siłę, czuł się nie zdolnym. Powrócił więc do pierwszego natchnienia i wziął się do przepisywania go na czysto.

I tu było niemało trudności formy; list nie tylko stylem, wyrażeniami, — ale fizyognomią swoją nawet powinien był świadczyć o pochodzeniu od człowieka ze smakiem, do pewnéj elegancyi nawykłego.

Młodzieniec był zaopatrzony we wszystko, co do korespondencyi eleganckiéj było potrzebném, przyniósł swoją teczkę i począł się namyślać mocno, na jakim papierze, z jakim godłem przesłać miał swe oświadczenie miłosne.

Papiery miał rozmaite: z cyframi bez korony, z hrabiowską dziewięcioperłówką, z brzeżkami i bez

brzeżków... Godło hrabiowskie zdawało mu się koniecznem, lecz stało pod niém B. T. nie E. T. a chciał dla niéj być — Edwinem; Bolesław zdawał mu się trywialnym. Jeśli nie inaczéj, musiał do B. wynajdując imie pięknobrzmiące, wynijść z trudnego położenia. Po chwili namysłu zdecydował się na Brunona!! Siadł pisać! Nowa trudność! Musiał być czytelnym, a nie chciał być kaligrafem! kaligrafia zdradzała młodość i brak uczucia. Wiedział, że ręka powinna była drżéć — że pismo nawet musiało być w zgodzie ze stanem ducha i serca pałającego, miotanego rozpaczą i t. d.

Charakter trzeba było stworzyć, gdyż Bolek pisał ładnie i wyraźnie, a tu właśnie — pismo piękne, studenckie nie uchodziło...

Dwa razy pomylił się, skrobać! skrobać list miłosny! Któż to widział — musiał przepisywać na nowo. Odczytał go. Nie był kontent, ale w mieście zegary i na stoliku cebula drugą godzinę oznajmywały — musiał na tém poprzestać. Zostawała jeszcze jedna trudność — pieczątka! Z hrabiowską koroną żadnéj nie miał, ograniczył się więc skromną literą T., wcale nawet nie osobliwie wyrżniętą...

List wygotowawszy — położył go na stole, odstąpił kilka kroków i okiem znawcy badał jego fiziognomię... Znalazł go wcale przyzwoitym i o pół do trzeciéj spać się położył.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Józef Ignacy Kraszewski.*

VI.

Jest to od dawna uznanem, że pociągi i wstręty — są rzeczą nie wytłómaczoną. Najrozumniejsi ludzie mogą się kochać w najograniczeńszych istotach, geniusz pada czasem na kolana przed prościuchną wiejską pięknością. Molière czyta swe komedye kucharce, a Goethe żeni się ze swą gospodynią. — Tak samo prawie jest z przyjaźnią, któréj zgoda nie koniecznie wymaga równoważności, owszem, najczęściéj element dodatni szuka ujemnego, bo mu z nim dogodniéj i — odwrotnie.

Tym tylko sposobem można było wytłómaczyć fakt, któremu się dziwiono powszechnie, nie mogąc go zrozumiéć. Pani Laura, tak trudna w wyborze towarzystwa, tak niedostępna dla ludzi, tak ostrożna z paniami, które do niéj uczęszczały, nie zwierzająca się nikomu; wkrótce po poznaniu się z panią Dziembiną, powzięła dla niéj przyjaźń i sympatyą wyjątkową. Wszyscy jéj tego zazdrościli.

Prawda, że radczyni wchodząc do tego domu, w którym pragnęła być przyjętą, z takiem uwielbieniem, niemal pokorą, i zachwytem była dla pani Laury, tak ją pochlebstwy obsypywała, że oprzéć się jéj nie było podobna.

Zdobyła to serce zastygłe tysiącem drobnych przysług, nadzwyczajnemi zabiegi, zastosowywaniem się do gustów i fantazyi, z wyrzeczeniem się zupełném własnego zdania i upodobań.

Szło o to pani Dziembinie, ażeby mogła wnijść i być przyjętą tam, gdzie tylko wyborowe towarzystwo bywało. Podnosiło ją to, rehabilitowało, a czuła, mimo wielkiéj w postępowaniu oględności, że pewnéj rehabilitacyi potrzebowała. Prawiono o niéj różne rzeczy, — plotki to były może, ale głośne i nieprzyjemne.

Zbliżenie się do pani Laury nadzwyczaj się jéj powiodło. — wkrótkim czasie wkradła się w jéj łaski, stała niezbędną i — miała nadzieję wyszperać nawet dla nikogo dotąd niedostępną przeszłość nieszczęśliwéj wdowy.

Było to dowodem niesłychanego zaufania, iż pani Laura zagadnięta raz przez nią w rozmowie o to smutne, osamotnione jéj życie — objawiła pod sekretem, że w ostatku gdyby się coś trafiło, coby wiejskie, spokojne życie na łonie natury zapewnić jéj mogło, któż wie! może by się zdecydowała probować szczęścia. Ale do tego tyle, tyle potrzeba było warunków!! Zbrojna w to wyznanie nazajutrz po południu, (bo zrana nie przyjmowała pani Laura, a jadała wieczorem) — pojechała radczyni ze swym projektem swatania Serafina.

Szczęściem dnia tego w godzinie recepcyi, nie znalazła nikogo, mogły więc dwie przyjaciółki przejść do gabinetu.

Laura, jak zawsze, ubrana była z nadzwyczajnym smakiem, nieco przysłonione ciężkiemi firankami okna w pokojach, utrzymywały rodzaj półmroku, który nadzwyczaj był dla jéj piękności korzystnym. Melancholiczna twarzyczka przypominała typy Leonarda da Vinci.

Pani Dziembina, która była czysto Rubensowską postacią, godną stanąć w jednym z jego obrazów z Satyrami

i Sylenami — stanowiła kontrast wybitny przy wdowie. Flamandzkie jéj karnacye i bogate kształty odbijały rażąco przy delikatnéj, smętnéj, nieco żółtéj, powietrznego wdzięku pani Laurze. Mimo to, nigdy może czulsza przyjaźń między dwiema niewiastami w krótszym się czasie nie rozwinęła.

Nazywały się nie inaczéj — jak — *chère Laure*, — *adorable Lucie*, całowały często, a radczyni była niemal zakochaną w téj anielskiéj istocie. Dała jéj ten przydomek.

W gabineciku panowała cisza, a surowe i ciemne jego przybranie czyniły go jakby stworzonym, aby na jego tle malowała się melancholicznéj wdowy wiotka postać i rysy obleczone smutkiem. Dwie przyjaciółki jak najbliżéj siebie umieściły się na rozmowę. Radczyni pochwyciła w swe pulchne dłonie bieluchne, długawe, zawsze w rękawiczki przyodziane rączki pani Laury. Nawet dla niéj nie zdejmowała ona tego okrycia z paluszków, których nikt nie widział nigdy.

— Moja droga Lauro — odezwała się po pierwszych o zdrowie zapytaniach Dziembina, głosem pełnym wzruszenia i oznajmującym niepokój, z jakim tu przybyła — droga Lauro! przybywam dziś do ciebie, jak nigdy, miotana niepewnością, rozogniona tą myślą aby dla ciebie, anielska istoto, szczęście, jakiego jesteś godną zapewnić! A! tak bym pragnęła, abyś wyszła z tego osamotnienia, abyś znalazła kogoś, co by ci na kolanach służył! wielbił — kochał.

Anielska istota mówiła mało, cedząco, pieszczenie, oszczędną była i ostrożną w słowach. Naprzód więc

odegrała ślicznie swe zwykle podziwienie! Była cudnie piękną gdy wyprostowując się, główkę podnosząc, oczy robiąc wielkie, udawała to zdumienie milczące...

Za często nawet się to powtarzało. Hrabianka Anna mówiła o niéj — *elle a un tic etonné*!

— A — *ma bonne Lucie* — odparła powoli — ja już szczęścia nie pragnę, ja już kochać nie mogę, chcę przyjaźni, chcę podpory i opieki, chcę ciszy i spokoju, aby się pogoiły rany!

— Droga moja! twoje serce da to tylko co dać może, ale nie zabronisz się wielbić i kochać, bo tym uczuciom nie oprze się nikt, ktokolwiek się zbliży do ciebie — odparła słodko Dziembina, i dodała poufnie. — *J'ai votre affaire*.

Znowu tedy nastąpiło to zdumienie śliczne, ale w wyższym stopniu jeszcze; dochodziło niemal do przestrachu, pani Laura dłonią powiodła po czole, jakby czuła jakieś uderzenie do głowy.

— Pozwól mi mówić i opowiedzieć wszystko — dodała radczyni. — Mój kandydat do szczęścia, jest bardzo zamożnym obywatelem wiejskim, młodym, a nie nazbyt niedojrzałym, prostodusznym, serce złote, humor wesoły, łagodny, dobry. Da ci się prowadzić, będzie posłusznym. Z powierzchowności wcale miły, chociaż trochę rubasznie po wiejsku wygląda... Imie ma szlacheckie, pospolite, ale stosunki dobre.

Mówiąc to patrzała w zdumione oczy pani Laury, z których jednak, oprócz wyrazu melancholii nic wyczytać nie mogła.

— Jest to daleki krewny męża mojego — mówiła

Dziembina. — Znam go dawno, znam go doskonale, nigdy bym z powierzchownéj znajomości nie ośmieliła się méj drogiéj Laurze kogoś polecać... *C'est votre homme!*

Piękna pani westchnęła, ze spuszczonemi oczyma na chusteczkę, którą trzymała w ręku, zdawała się w głębokich myślach zatopioną. Radczyni mówiła ciągle.

— Oto idzie tylko, abym ci go mogła pokazać, abyś go poznała; przekonała się, czy znieść go będziesz mogła! Kochać go — o mój Boże! sama mówisz, że nie możesz, ale dać się mu kochać.

— A! tak! — zaśpiewała cicho pani Laura z jakiémś wahaniem. — Mów, mów, proszę — zobaczemy! Ale, na imie Boże — niech to zostanie między nami! Niech się on nie domyśla.

— A! to chłopak naiwny! powiem mu co mi do głowy przyjdzie! — rzekła radczyni, on mnie słucha i wierzy mi jak wyroczni.

Po przestanku pewnym, gdy ani oczy się nie podnosiły, ani usta nie otwierały, Dziembina uważając to za znak dobry, poczęła znowu.

— Droga Lauro! wierzysz, spodziewam się, w serce moje — ufasz mi, że twojego szczęścia pragnę, choćbym moje własne mu miała poświęcić. Mam doświadczenie, wiem co ci potrzeba! Mogłabyś innym wyborem być narażoną na despotyzm męzki, na niedelikatność — a ja za tego chłopca ręczę. Z nim zrobisz co zechcesz. Zakocha się w tobie, głowę straci — to nie dosyć — ma naturę nałogową, przywiąże się do ciebie; upadnie u nóg twoich.

Wdowa ciągle milczała.

Nagle coś jak rumieniec lekki na przezroczystéj twarzyczce się ukazał, podniosła oczy czarne na przyjaciółkę, wlepiła je w nią, zdawała się blizką jakiegoś wyznania i wahała...

— A, moja luba Lucyo! — zawołała pocichu tęsknym głosikiem — nigdy może twéj rady, twojego serca nie potrzebowałam więcéj jak dzisiaj. Ty myślisz o mnie właśnie — a ja, ja miałam ci się zwierzyć...

— Zwierzyć! — przerwała trochę przelękła radczyni — zwierzyć!

— Tak jest.

— Czyż byś miała co w sercu? w projekcie? — zapytała Lucya.

Wdowa spuściła oczy — milczała długo.

— A! nie — nie — spodziewam się, że serce jest wolne — lecz...

Podniosła wejrzenie milczące.

— Coś więc jest?

— Tak — jest coś — szepnęła Laura — coś nadzwyczaj romansowego, co mnie po raz pierwszy po nieszczęściach moich i stratach do głębi poruszyło.

Wyznanie to krzyżowało tak bardzo wszystkie projekta i zamiary radczyni, iż twarz jéj strasznie się przeciągnęła; nie mogła ukryć poruszenia i nieukontentowania. Ale cóż to być mogło? Z mężczyzn młodych nikt prawie u pani Laury nie bywał?

Czekając na dalsze zwierzenie pani Dziembina milczała. Laura przysunęła się do niéj.

— Jest już temu kilka miesięcy — odezwała się — jak

spotykam w kościele, zawsze w jedném miejscu, z oczyma wlepionemi we mnie, młodzieńca, powiadam ci, dziwnéj, idealnéj urody! Chodzę co dzień na mszę, to wiesz... Nigdy jeszcze nie uchybił. Umyślniem udawała, że na niego nie patrzę, że go nie widzę, nie nagrodziłam go ani jedném wejrzeniem. Wystaw sobie, że go to nie zraziło! Ściga mnie oczyma błagającemi — bez ustanku! Wiesz jak dla mnie wszystko na świecie zobojętniało — nie widzę męzkiéj piękności, ani mnie ona obchodzi; ale ten jest bo tak pięknym.

— A! to doprawdy osobliwsza historya — odezwała się chłodno Dziembina — i nie wiesz kto to jest? nie starał się zbliżyć w inny sposób do ciebie?

— Nie, chociaż nie ulega wątpliwości, że wie kto jestem — mówiła Laura — idzie zwykle za mną zdaleka, gdy do domu powracam — kilka razy widywałam go wpatrującego się w okna moje...

Radczyni chmurna milczała.

— Dotąd nie dał innego znaku życia, nad to wpatrywanie się we mnie w kościele. Dziś rano — szeptała Laura coraz ciszéj — dziś rano nareszcie odbieram list, ręką nie znajomą mi pisany, list pełen szału miłosnego, list... powiadam ci taki, że ja, któréj serce bić przestało, uczułam się czytając go wzruszoną. Biedny chłopiec oszalał! a — dodała cicho — ja, ja nie mogę odpowiedzieć jego uczuciu, to pewno — kochać nigdy nie będę, ale, tak być kochaną...

Radczyni z czułéj i natarczywéj, stała się zamyśloną i zmięszaną.

— Któż to może być taki? — rzekła — nie dosyć na tém

że ładny chłopiec! Ja ci słowo daję, droga Lauro, że na Nowym Świecie u fryzyera był chłopiec, jak Antinous, i miał takie maniery pańskie, taką postawę arystokratyczną, że — ale — co tam o tych brudach mówić.

— Ale to jest hrabia!! — przerwała trochę tryumfująco robiąc swą minkę zdumioną pani Laura — hrabia!!

— Rzecz więc inna — odezwała się radczyni — dojdziemy kto to jest. Ja jutro gotowam być w kątku w kościele, a pochlebiam sobie, że znam większą część naszych prawdziwych hrabiów.

Pani Laura nic nie odpowiedziała, siedziała jak rozmarzona.

— Ten list! — odezwała się z zadumy wychodząc — list, mówię ci, jest jakby ogniem pisany — a! list...

— Nie śmiem cię prosić, żebyś mi go pokazała — szepnęła Dziembina — byłby to zbyt wielki dowód twojego zaufania, droga Lauro. Nie śmiem, a chciałabym go przeczytać! Kobieta najostyglejsza znajduje przyjemność odgrzewając się przy młodém takiém ognisku.

Gdy to mówiła, pani Laura naprzód poruszyła się żywo, tak że sądzić było można, iż chce iść i pokazać owo pismo zachwalone — potém rozmyśliła i usiadła — jakby nie mogąc się zwyciężyć.

— Jak mnie kochasz? — szepnęła radczyni — czyż mi nieufasz?

Nastąpiło zdumienie, poruszenie żywe i — znowu pani Laura zatrzymała się.

— Na co ci to — rzekła.

— Proszę cię, daję ci najuroczystsze słowo.

Pani Laura wolnym krokiem poruszyła się ku biurku swemu, jakby jeszcze wahając się ciągle zbliżyła ku niemu, otworzyła je kluczem, wyjęła list i z nim przyszła do radczyni. Ale w kątku było trochę ciemno, więc się zbliżyły do okna.

Szybko poczęła pismo oczyma przebiegać pani Dziembina, a wrażenie, które śledziła wzrokiem na jéj twarzy pani Laura, było tak jakieś dziwne, iż się stało niezrozumiałe. Widać było zdziwienie, oburzenie, gniew niemal, wzruszenie jakieś, słowem coś niemal takiego, co tylko osobista obraza wywołać może. Niedokończywszy czytania dwa razy spojrzała na podpis radczyni, potrząsając głową, i na winietę listu... Potém pożarła resztę i oddając go Laurze zawołała z wymuszonym śmiechem.

— Wiem kto to pisał! Jest guwernerem moich synów! Ubogi chłopiec, który ma być wielkiego rodu!

Ruszyła ramionami patrząc na biedną Laurę, która stała blada jak ściana, z ustami zagryzionemi, drżąca — podrażniona i sztywna, aby powagi nie stracić.

— O! moja droga! — dodała Dziembina — prawda że chłopak ładny i że się dobrze prezentuje — ale biedny, to raz — a powtóre — kocha się bardzo łatwo! o! bardzo!

Uśmiechnęła się złośliwie.

Stała się w téj chwili rzecz dziwna, niesłychana, która chyba, *racya fizyka*, jak u nas mówiono dawniéj — wytłómaczyć może. Dwie te niewiasty, które przed chwilą czuły się ku sobie pociągane, dla siebie sympatyczne, co się tak kochały — nagle wstręt powzięły ku sobie — coś je od siebie odpychało.

Pani Laura stała się marmurową i milczącą, a w radczyni wszystka jéj Rubensowska krew zdała się falami pod białą przelewać powłoką, tak była zburzoną.

— Niech Bóg uchowa, droga Lauro — odezwała się z przekąsem pani Dziembina — ażebyś miała choćby na żart zająć się tym młokosem. Tylko ci to powiadam. Co do mnie, ja właśnie dziś miałam z mężem mówić aby mu dał odprawę. Spotkałam jego oczy z pewnym wyrazem strzelające ku mojéj Emmie...

Laura się uśmiechnęła z goryczą.

— Kochana moja *Lucie* — rzekła sucho — sama to znasz do siebie, że ci się niekiedy przywidują takie rzeczy, gdy o Emcię chodzi.

Po krótkiém milczeniu gospodyni dodała z pewném wahaniem.

— Ale, powiedz że mi coś więcéj o tym dysgracyonowanym guwernerze. Jest istotnie hrabia? Jakież to nieszczęścia familijne?

— Alboż ja wiem! — odparła radczyni — niby hrabia, niby ukrywa swój ród dla tego, że pozycyę stracił! Opowiada wzdychając różne rzeczy, którym ja, między nami mówiąc, nie wierzę!

Rozdrażnienie z jakiém to mówiła radczyni, tak było wielkie, że pani Laura się uśmiechnęła nieznacznie; widać było, że nie dowierzała téż temu co słyszała, i przypisywała jakimś nieodgadniętym przyczynom.

— Powiem ci i to, moja droga, aby ci o nim dać wyobrażenie, iż nie dosyć, że na Emmę oczy wytrzeszczał, ale probował się przymilać do mnie! Dałam że mu

odprawę.

Laura się rozśmiała dyskretnie.

— Ale bo ty, kochana Lucyo — rzekła — tak jesteś w tym względzie drażliwą, tak surową, że się czasem za niewinne gotowa jesteś gniewać spojrzenie!

Dziembina, nie poczuwająca się do takiéj surowości, mocno się zaczerwieniła, od kogo innego mogła to wziąć za szyderstwo — od Laury musiała przyjąć jako pochwałę.

— Prawda, że mnie zuchwalstwo tych mężczyzn, zawsze gotowych do zwodzicielstwa, oburza — ale, na ten raz, nie przywidziało mi się! o! nie!

Pani Laura popatrzyła na wdzięki radczynéj, i, nie uczyniło to na niéj najmniejszego wrażenia.

Do pierwszego przedmiotu rozmowy powrócić jakoś było trudno. Dziembina ruszyła się jakby do odejścia.

— Mam przedstawić ci mojego kandydata? — spytała.

— Siadaj no jeszcze — odparła Laura — proszę cię, mówmy o tém. Ja nie jestem płocha tak, by mnie ładny młokos miał zająć — tém bardziéj, ktoś taki jak ten guwerner — to wcale nie stoi na przeszkodzie waszemu protegowanemu. Niech przyjdzie, proszę — lecz miła moja Lucie — niech to mnie i jego nie wiąże. Kochać nie mogę, ale pewną sympatyę i szacunek dla tego komu rękę oddam — miéć muszę — więc.

Radczyni była teraz znacznie mniéj czułą i twarz się jéj marszczyła ciągle, udawała jednak dawną łagodność.

— Kiedyż mi pozwolisz go ci przyprowadzić? — zapytała.

Pani Laura się zawahała długo.

— Wiesz co, Lucyo — na wieczory u mnie przybywa tyle natrętów, poznać się niepodobna. Zamknąć przeciw mojemu zwyczajowi, nie wypada, zaraz by o tém mówiono. Możesz ty nieprzyjąć nikogo, oprócz mnie! Winnam ci wizytę!

— Doskonale — całując ją trochę odżywiona poczęła Dziembina — doskonale, ale dziś, jutro. Dziś mój mąż zaprosił osób kilka...

Zaczęły szeptać pomiędzy sobą, i znowu prawie dawna poufałość wróciła, ale była formą tylko.

Laura odprowadziła aż do przedpokoju radczynię, tu się uścisnęły, i rozstały posyłając sobie jeszcze serdeczne wejrzenia. Na prawdę nie nawidziły się obie.

Po wyjściu gościa, pani Laura szepnęła coś służącemu stojącemu w przedpokoju, a sama krokiem wolnym nazad wróciła do gabinetu.

List, który pokazywała niepotrzebnie przyjaciółce, był znowu zamknięty do biurka. Laura zbliżyła się doń, otworzyła z pośpiechem, porwała pismo i usiadła z niém w krześle.

Czytała je po raz trzeci czy czwarty, czytała i odczytywała. Po twarzyczce przebiegały jakby elektryczne prądy, zamyślała się — rzucała list i wracała do niego, lubowała się nim, uśmiechała i smutniała. — Rozmyślała nad nim jak nad jakąś sprawą ważną i dla życia stanowczą. Trwało to dobre pół godziny — list został znowu zamknięty do biurka, pani chodzić zaczęła po pokoju, spojrzała przez okno i żywo się cofnęła.

W pewném oddaleniu, tak żeby widzieć mógł i był

widzianym, stał i przechadzał się zwolna, jakby oczekując na kogoś, Bolek. Z niezmierną ciekawością z zafiranki przypatrywała mu się długo kobieta. Westchnęła kilka razy i wstrząsnęła jakby złe myśli odpychając od siebie. Ustąpiła od okna, wróciła doń znowu, ale już pana Bolesława nie było. Naówczas uczuła potrzebę powrócenia raz jeszcze do listu, siadła go czytać znowu — czytała i odczytywała.

Trwało to do wieczora prawie... Po obiedzie przybyło kilka osób, między innemi złośliwa hrabianka Anna. Mimo wielkiéj mocy nad sobą, gospodyni zdradzała nieprzytomnością roztargnieniém jakiémś, niezwykły stan ducha.

Wszyscy to uważali, lecz że się na migrenę uskarżała, a cierpienie to wiele tłómaczy, goście rozeszli się wcześnie ubolewając nad tém, iż dotąd, mimo tysiąca leków, środka na chorobę tę nie znaleziono.

Hrabianka Anna jedna przysięgała się w przedpokoju wychodząc, że migrena była zmyśleniem, i że cierpienie prędzéj gdzieindziéj niż w głowie się mieściło. Było jéj zwyczajem posądzać wszystkie kobiety o sentyment, którego sama nigdy (jak mówiła) nie doznała.

— Przysięgam, że się zakochała! — szeptała stara panna. — Zobaczycie, to się wyda! Ciekawa tylko rzecz w kim, bo nikt zachwycający u niéj nie bywa. —

Po rozejściu się gości, pani Laura natychmiast wyszła do swojego pokoju i zadzwoniła na służącą. Była to, jakeśmy mówili już, dawna jéj i poufała sługa. Po wnijściu do pokoju poznać było można, że ze swą panią zostawała w stosunkach jak najbliższych. Przy ludziach panna Giertruda

okazywała jéj jeszcze niejakie poszanowanie. Sam na sam obchodziła się jak z osobą, któréj się nie obawia wcale. Od progu zaczęła się przypatrywać ze zbyteczną uwagą, niespokojnie chodzącéj po pokoju pani, śledziła ją oczyma.

— A co to pani już jest? — spytała głosem gderliwym. — Boć już jest? niechno pani powie.

Z przymuszonym uśmiechem obróciła się ku niéj Laura i ruszała ramionami.

— A ty? — pogroziła palcem.

— Kiedy ja już panią znam — gderząc rzekła służąca. — Tu się nie ma czego wypierać! Oto! Dosyć bym spojrzała!

— Trzymałaś się pani, trzymała trzy lata, a już widzę, że coś znowu zaświtało! Skaranie Boże! znowu będzie jakie nieszczęście! Jeszcześmy tamtego nie wydychały!

Laura jéj ręką usta zamknęła. Inna to była zupełnie teraz kobieta, i tak różna od salonowéj pani Laury, grającéj zdumienie i arystokratyczne dającéj sobie tony, że nieprzygotowany ktoś by jéj niepoznał może. Wyswobodzona z więzów poruszała się swobodnie, żywo, ale jakoś niezgrabnie, bez wdzięku. Ruchy były rubaszne niemal i popędliwe. Twarz wysznurowana, spokojna, miała wyraz namiętny i nie miły. Fałsz na niéj mieszkał razem z gorączką jakąś zmysłową.

Przysiądz było można, iż nie należała wcale do świata, w którem tak wysokie zajmowała stanowisko. Wejrzenie, uśmiech, wszystko teraz we cztery oczy z Giertrudą inne było: oczy łzawe i smutne, patrzyły śmiało i wyzywająco, usta straciły wdzięczny rysunek i zdawały się zwiększone. Jedném słowem przemiana była taka, jak na wieczerzy po

maskaradzie, gdy zaproszona maseczka bez życia spadnie i odsłoni zmęczone rysy roznamiętnionéj i zatraconéj istoty.

— No! mów mi pani wszystką prawdę — zawołała nagląc Giertruda — może potrafię was uratować, bo wy się znowu zgubicie!

Za całą odpowiedź Laura otworzyła biurko, skinęła na sługę i pokazała jéj list niechcąc go dać, ale poufała do zbytku Giertruda wyrwała go jéj z ręki, dobyła okulary z kieszeni i poszła do lampy czytać.

Laura jéj nie przeszkadzała, odezwała się tylko po kilka kroć dobitnie do jéj ucha.

— Hrabia! hrabia! hrabia!

— To co że hrabia? — odparła Giertruda — to co? albo to ich teraz po świecie mało!

I czytała, a czytając, stara panna spluwała, gniewała się, rzucała, głową z ramienia na ramię pokręcała... Wlepiła oczy w podpis — odczytała parę razy i list rzuciła na stół.

— Jakże on wygląda? — spytała.

— Jak? a tożeś go widziała, będąc zemną w kościele... i widzisz z listu, że ten sam!

— Ten sam! — zakrzyknęła sługa — tom się tego nie doczytała.

Zachmurzyła się twarz Giertrudzie.

— Przysięgnę — rzekła — że to hołysz... co nam po nim?

Pogroziła swéj pani. — Ej! ej!

Laura zbliżyła się do niéj i ściskać ją zaczęła. Rozmowa stała się cichą, poufną, urywaną. Rolę sługi grała w niéj pani, panią była służąca, która burczała, opierała się,

gniewała.

Cicha ta narada trwała długo — Giertruda parę razy odejść chciała, ale jéj od drzwi zastąpiła Laura nie puszczając, targowały się, kłóciły.

— Ja tego nie zrobię — zawołała głośno służąca, dosyć już miałyśmy biedy, żeby sobie nową ściągać.

— Ale, posłuchaj że mnie — prawie gniewnie dodała Laura — juściż ja mam choć tyle co ty rozumu. Ja nie myślę żadnych z nim stosunków zawiązywać... ale przez litość kilka słów odpisać i raz na zawsze mu to wybić z głowy. Niech przyjdzie, przekona się żem stara — powiem mu...

Giertruda gwałtownie ramionami rzuciła.

— Ale, ale, pani sobie sama kłamiesz! po cóż to? — rzekła. — Nie odpisywać i koniec.

— Żal mi go!

Giertruda parsknęła.

— A to pewnie nic do rzeczy jeszcze chłopiec...

— Hrabia!

Wyjść chciała sługa i nie puszczono jéj znowu.

Pomimo gderliwości swéj i gniewów, służąca widocznie miękła. Szło o napisanie liściku, którego pani pisać sama czy nie mogła czy nie chciała, dość że pomoc sługi była tu nieodzownie potrzebną. Błaganie, poparte całusami trwało długo, wreście znużona niém sługa usiadła...

Zwieszona nad jéj krzesełkiem Laura po cichu dyktować jéj zaczęła. Tu znowu wszczęły się spory — sługa nie chciała pisać tak jak jéj proszono, pani nie pozwalała odmienić słowa. Giertruda pisała po kobiecemu wprawdzie,

ale wcale nie brzydko i wprawnie... Gdy list był skończony, wstała od stolika prawie gniewna.

— Niechże sobie będzie co chce — rzekła surowo — ja tylko pani powiadam, jeżeli tu co znów się ma zawiązać, ja panią pożegnam. Dosyć mam tego, świadkiem być nie chcę. Dobrze nam tu było, ba! aż nadto. I korciało biedy szukać, wola wasza! Już mnie nic do tego!

Skończyło się na serdecznym uścisku i szeptach. Giertruda wyszła mrucząc. Wesoła i ożywiona, rozmarzona rzuciła się do łóżka pani Laura.

List gotowy zapieczętowany fantazyjnym jakimś wyciskiem położyła przy sobie na stoliczku; nie chciała wysłania go powierzyć nikomu.

Nazajutrz prześlicznym rankiem, pani o zwykłéj godzinie, wybrała się do kościoła. W przedpokoju stał już z poduszeczką lokaj, który miał jéj towarzyszyć, zwróciła się ku niemu z powagą i odezwała.

— Zostań w domu, pójdę sama, potrzeba salon oczyścić...

Wyszła jak powiedziała, sama, co się trafiało bardzo rzadko, kroczkiem mierzonym, nie spiesząc, dając się przechodniom admirować po drodze. Przed kruchtą siedzący żebracy, znali ją dobrze, bo dla nich miała codzień jałmużnę, powitali ją téż głębokiemi pokłony. Każdemu z nich coś rzuciwszy, poszła na miejsce swoje. Wprzódy jednak jeszcze spojrzała tam, gdzie zwykł był stawać Bolek, po raz pierwszy go nie było.

Skrył się gdzie, czy przyjść nie mógł, czy nie chciał, ale się nie pokazał. Pani Laura nie wiedziała jak to sobie miała

tłómaczyć, modliła się na pozór z gorliwością wielką — lecz roztargniona. Wychodząc obejrzała kościół, pięknego chłopaka nie było nigdzie...

Wracając do domu, bardzo zręcznie, pani Laura dobyła list w książce od nabożeństwa ukryty i wsunęła go, obejrzawszy się do koła, w skrzynkę pocztową. Był ktoś jeden, co zdala ruch ten widział i zniknął. Spieszniejszym potém krokiem powróciła do domu — serce jéj biło.

Około południa, ale niespodzianie zjawiła się radczyni, z wypieczonemi rumieńcami na twarzy i pozornie bardzo wesoła.

— Jakże mi się ty masz, moja droga Laureczko? — zawołała ściskając ją — bo ja, powiadam ci!!

Ręką machnęła desperacko.

— Miałam wczoraj z mężem scenę o tego twojego hrabiczka...

— *Lucie!* cóż znowu? mojego! proszę cię.

— Przepraszam! Powiadam ci, miałam scenę — kończyła radczyni. — Pierwszy raz w życiu mi się mój stary zbuntował, pod pozorem, że chłopcy korzystają, że do odprawy nie ma pozoru słusznego, że ja mam imaginacyę. Ale, ja hrabiątku temu życie tak zatruję, że sobie sam pójdzie precz...

Siadła pani Dziembina, zadyszana i poruszona.

— Co nadto to nadto! — dodała. — Jakie zuchwalstwo żeby na Emcię patrzéć w ten sposób, mnie się przypochlebiać i wzdychać...

Laura się uśmiechnęła niedowierzająco.

— Ale, słowo ci daję...

Ponieważ pani domu widocznie o tém dalszéj już unikała rozmowy, Dziembina zwróciła się do Serafina.

— Zatém — rzekła — ja rachuję na ciebie, dziś, wieczorem. Drzwi będą zamknięte dla wszystkich, nawet męża wyprawię do resursy, choć tam mi go zawsze zgrywają. Będziemy we dwie z Emcią i Serafin.

— A! imie ma Serafina! — odparła zdumiona znowu pani Laura — Serafina!!

— Czy ci się nie podoba? — spytała Lucya.

— Ale nie! tylko, przyznaję się, Serafinów zawsze widywałam księży tylko... — szepnęła pieszczono Laura.

— On ma i drugie imię, a gotów dla ciebie, ręczę, choćby trzecie sobie wziąć — mówiła radczyni — chłopak taki, że z nim żyć i umierać, wesół, zdrów, silny, trochę parobkowaty, prawda, ale na mężów! ideały są najgorsze. Mężczyzna piękny, delikatny, ma coś kobiecego w sobie, zaraz mu się zachciewa być nerwowym, trzeba go w poduszkach trzymać, a jak trochę postarzeje tylko, do niczego!

Laura słuchając téj teoryi, robiła minki dziwne, dziecięce. Radczyni tego dnia była mocno rozbudzoną.

— Nie mogę, powiem ci droga Lauro, strawić tego, że mąż postawił na swojém! Prawda, że ja może, ściśle wziąwszy, racyi nie miałam — ale mąż powinien być posłusznym. I był dotąd mój stary, pierwszy przykład z tém hrabiątkiem. Uparł się, ma do niego słabość, nie było sposobu. Prawda, że co do Emci, nie ma niebezpieczeństwa, bo go nie lubi i daje mu to poznać, a co do mnie...

Rozśmiała się szydersko...

— Wystaw sobie, Lauro droga, że ten twój hrabicz... —

— Ale po cóż mój! — otwierając oczy zdziwione przerwała Laura.

— No, ten hrabicz, to hulaka jeszcze w dodatku. Serafina poczciwego po całych dniach po restauracyach wodzi, dokazują, piją i z ogródka do ogródka, z kawiarni do cukierni, włóczą się tylko. Serafin lubi życie regularne, przyznał mi się, że już jest zmęczony. O! ma wszystkie przymioty jakich się po jego maseczce, podobnéj do głowy u fryzyera, spodziewać można.

Laura, która patrzała na chusteczkę, zarumieniła się.

— Serdecznie go nie lubisz! — odezwała się nie śmiało.

— Ja taka jestem, nie w połowie — dodała radczyni — albo szaleję, jak za tobą, moja królowo, albo nienawidzę.

Uściskały się dwie panie.

— Zatém wieczorem, czekamy cię, niby przypadkiem. Jesteśmy *en famille*, Serafin nic nie wie! Proszę cię, ażebyś go dobrze obserwowała. Zyskuje na bliższém poznaniu. Na męża, powiadam ci, królowo moja... nic na świecie wyborniejszego znaleść nie można.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Józef Ignacy Kraszewski.*

VII.

Zrana, po wieczorze u pani Dziembinéj, profesor Maciórek czuł się w obowiązku złożyć wizytę w hotelu, panu Serafinowi. Wiedział, że on nie rano wstawał, było więc wszelkie prawdopodobieństwo, że rozczulony tą grzecznością dawnego mistrza swojego młodzieniec, pohopny zawsze do śniadanek i wesołych męzkich traktamentów, poczuje się do obowiązku zaproszenia na jakąś przegryzkę.

Maciórek stokroć zawsze wolał miéć do czynienia z obywatelami wiejskiemi, którzy się nigdy ściśle bardzo nie rachują w przyjęciach. Dowiedziawszy się na dole o numerze pana Serafina, który stał aż na drugim piętrze, zapukał w chwili, gdy wewnątrz pokoju jakaś głośna i burzliwa odgrywała się scena... Chciał się już cofnąć, gdy zobaczywszy go pan Brzuchowski, jeszcze w szlafroku, z włosami rozrzuconemi, poskoczył zapraszając.

W dużym pokoju panował nieład nad wszelkie pojęcie. Łóżko było w takim stanie, jakby na nim bitwa walna stoczoną została. Wisiała kołdra, poduszki zgniecione zsunięte były do pół łóżka, prześcieradło stoczyło się w stronę od ściany i materac leżał obnażony. Butów kilka par po całym pokoju porozstawianych, zdawało się tańcować kontredansa. Na stoliku suknie, butelki, nie dopita kawa, mydło, szczotka, grzebień spotkały się razem z nie małém zapewne podziwieniem. Na podłodze była woda rozlana, na

krześle wisiał frak splamiony wszetecznie, brudna koszula zajmowała kanapę.

Lecz wszystko to byłoby niczém: w pośrodku stał w skromnéj nader odzieży, extra brudny izraelita, z twarzą zapérzoną i gniewną, trzymając pugilares w ręku i długą tasiemkę, którą przed chwilą musiał być związany. Był to widocznie nie warszawski żyd, bo nawet na Franciszkańskiéj ulicy tacy się nie znajdują już, ale wiejski, bodaj arędarz. Z nim to ową tak głośną rozmowę musiał prowadzić pan Serafin, gdy nadszedł profesor, lecz w momencie, gdy drzwi otworzył, wszystko nagle ucichło, gospodarz dał żydowi znak oczyma. Posłuszny, choć mocno jakoś zirytowany, zawiązywać zaczął pugilares arędarz i mrucząc, ustępował ku drzwiom.

— No, to jutro rano o téj porze! — zawołał do niego pan Serafin — ja dziś czasu nie mam, kłaniam się, do widzenia.

Wyszedł starozakonny.

— Daruj profesorze — zawołał kanapę opróżniając Serafin — nie było czasu zrobić porządku. Żydzisko mnie naszło, winien mi pieniądze...

Profesorowi zdawało się bardzo dziwném, żeby żyd był winien szlachcicowi, ale uśmiechnął się, jakby to przyjął za dobrą monetę.

Widziany w ulicy lub restauracyi, pan Serafin wyglądał wcale inaczéj, w mieszkaniu swém wiele tracił. Domyślać się było można, że i w głowie jego i w interesach i w domu ładu nie było, ani wielkiego dostatku. Szampan, którym tak obficie traktował, daleko był lepszy od butów i garderoby, któréj tajemnice profesor mimowolnie teraz oglądał i

rozważał, albo więc był to człowiek zagadkowy i nie umiejący gospodarzyć, lub furfant, który zamożność udawał.

Profesorowi nie szło o dojście prawdy, ani o przyszłość dawnego ucznia, korzystał z teraźniejszości, nie dał więc po sobie poznać iż wrażenie na nim uczynił nie korzystne.

Jakby zatrzéć je pragnąc, pan Serafin począł mówić o sobie, o majątkach swych, o znacznych summach i interesach, które mu młodości swobodnie zażyć nie dozwalały. Chciał widocznie przekonać profesora, że choć nieład u niego panował, sprowadzało go nie złe położenie, ale młodzieńcza lekkomyślność, z którą się chwalił.

Pan Maciórek występował, naturalnie, jako moralista.

— Nie przeczę — rzekł — że młodość ma swe prawa, i że wiele jéj przebaczyć należy; ale, zmiłujcie się, trzeba o przyszłości pamiętać. We wszystkiém miara! umiarkowanie! to grunt.

— A! ja téż, panie profesorze, sam to czuję — odezwał się siadając przy nim i zapalając cygaro Serafin — dla tego, myślę sobie, nie ma nic lepszego jak ożenić się. Żona poczciwa weźmie w kluby człowieka i ustatkuje się.

— Dzięki Bogu, majątku nie nadwerężyłem, kapitaliki jeszcze są — trzeba sobie dobrać parę i życie rozpocząć po Bożemu...

— Ależ asindziéj, panie Serafinie — odezwał się profesor — nie przyjechałeś żony téj szukać w mieście?

— A jakby się w mieście trafiła? dlaczegóż by nie? — spytał Serafin.

— Dlatego, że mieszczka nawykła do tutejszego trybu

życia, na wsi się nudzić będzie.

Serafin się rozśmiał.

— No to co? — zawołał — jak będzie pieniędzy miała huk, tom ja gotów dla niéj uczynić tę ofiarę i także do miasta się wynieść!

I rozśmiał się hałaśliwie.

— Dalibóg, nie byłbym od tego...

— Tak, a w mieście okazyjka co chwila, a waćpan na to jak na lato, i rozbałamucisz się — mówił surowo profesor.

— E! profesorze kochany! pan co tak jesteś surowy i rozumny — odparł biorąc go pod boki poufale Serafin — a po kiegoż licha życie, kiedy się go nie używa!

— Ale z umiarkowaniem, zawsze z umiarkowaniem — rzekł profesor.

— No, jeśli pan chcesz, z umiarkowaniem w dni powszednie, ale na niedziele i święta — słowo daję, trzeba sobie trochę cugli puścić, a nie, to człowiek skolankowacieje...

Maciórek dla utrzymania się w swym charakterze głową potrząsał.

— O! ta młodzież! — zawołał — ta młodzież!

— No — dodał po namyśle — cóż wczoraj wieczorem robiliście?

Serafin kułak do gęby przyłożył, głowę w ramiona wcisnął i szepnął — Ta...jem...ni...ca!

— No! to pewnie już gdzieś nieciekawieście się zabawili! O! wy młodzi! o! szaleńcy.

— Ale nie! — zaprzeczył nagle Serafin — jak Boga kocham, nie! Co pan sobie myśli, byłem w

najporządniejszym w świecie domu!! Słowo daję i musiałem chodzić jak dziecię na pasku.

Maciórek spojrzał nań.

— Cóż to było?

— Zdaje się że początek końca! — zaśmiał się Brzuchowski — albo koniec początku! Niech to będzie między nami tylko — kuzynka radczyni mnie swata; wczoraj po raz pierwszy miałem szczęście oglądać tą, którą wybrała dla mnie.

— I cóż tedy? — szydersko rzekł profesor — ma kwalifikacye?

— I jakie! i jakie! — począł pan Serafin. — Wdówka, bogata, bez familii, pani swéj woli, wychowanie i maniery arystokratyczne, ładna. Śliczna można powiedzieć, wcale jeszcze młoda...

— Jeszcze? — spytał profesor z przekąsem.

— Dalipan, nie wiem czy ma lat trzydzieści... delikatna, melancholiczna...

— A jakże jéj melancholia pogodzi się z waćpana wesołością? — wtrącił Maciórek.

— E! albo ona poweseleje przy mnie, albo ja przy niéj spoważnieję — rzekł Serafin. Podobała mi się, ale mi się podobała; gotówbym choć dziś do ołtarza.

— O! ci młodzi! ci młodzi! — westchnął Maciórek — nie znasz, nie wiesz kto i co — i — już gotów do ołtarza...

— Albo to znając i wiedząc inaczéj się idzie do ołtarza jak na chybił trafił? — spytał Brzuchowski. — Pół roku człek widzi kobietę w salonie przy gościach — tyle ile mu jéj pokażą. Wycedzi mu słówko przez ząbki i to się zowie,

że ją poznał. Et!...

Maciórek śmiał się z odcieniem filozoficznego politowania.

— A jakżeś się waćpan wdówce podobał? nie zmiarkowałeś? — spytał.

— Nie wiem, ale dziś jestem zaproszony z radczynią na herbatę. Właśnie ten projekt, uda się czy nie, zmusza mnie przeciągnąć mój pobyt w Warszawie, i dla tego chciałem moją należność wydobyć od żyda...

Maciórek nie mógł wytrzymać, podniósł głowę i szepnął złośliwie nieco.

— No — a taż sumka w banku, którą miałeś podnieść?

Z początku Brzuchowski stanął pomięszany, zczerwienił się mocno, ale wnet dodał śmiejąc się.

— Wystaw pan sobie, że dla jakichś formalności jeszcze mi trzy tygodnie czekać na nią każą.

Pokręcił głową profesor.

— O! to rzecz smutna!

— Ale — to furda wszystko — przerwał prędko Brzuchowski — grosiwa jeszcze mam dosyć...

Ostygła nieco rozmowa, Maciórek zaczynał się dorozumiewać, że pono nadzieja śniadania była jedną z tych zwodniczych nadziei, co się ziścić nigdy nie mają. Nie chciał tracić czasu. Na wszelki jednak wypadek wtrącił cicho.

— A dziś co z sobą porabiacie?

— Do herbaty mam czas wolny — odezwał się Serafin — trzeba będzie pomyśléć gdzieś co przetrącić i gardło popłukać. Wczoraj mi mówiono o taniéj i dobréj kuchni u

Poziomkiewiczowéj.

— Zapewne! zapewne! — potwierdził chłodno Maciórek, któremu nie podobał się zwrót ku tańszym zakładom, znamionujący, czego się już domyślał — wyczerpanie finansowe. Nie cierpiał ludzi nie mających pieniędzy i zmuszonych się oszczędzać — byli mu wstrętliwi.

— A profesor co z sobą robi? — spytał Brzuchowski.

— Ja! regularny jestem jak zegarek — odezwał się Maciórek — gdzieś się coś zje, skromniuchno, hygienicznie — a potém na szachy i czarną kawę.

Pomimo zagadnięcia, które jeszcze dozwalało się spodziewać zaproszenia, Serafin otrzymawszy odpowiedź, pocałował tylko w ramię dawnego nauczyciela, przeprowadził go aż do wschodów — ale nie prosił!!

Spowodowało to bardzo zły humor profesora, który nie lubił doznawać zawodu i mylić się w rachunku. Spuszczając się ze wschodów mruczał.

— Wszyscy tacy! Szalbierstwo! Udawanie — popisy z pieniędzmi, a do trzeciego dnia sakiewka próżna. Uczciwy człowiek, który tak ich pisze jak widzi, doznaje zawodu! Niczemu wierzyć! nikomu zaufać! nie dawno lał szampanem, a dziś już w rękach lichwiarza i chce się gdzieś w dziurze przeżywić sam jeden!! Brzydzę się takiemi ludźmi! Nie można rachować na nich. Tygodnia całego w swym charakterze nie umiał się utrzymać....

Cały ten dzień mógł Maciórek rachować za stracony. Krążenie po ulicach w okolicy miejsc najpewniejszych, w których zwykle się nigdy darmo nie ukazał, tego dnia

chybiło celu.

Parę osób pozdrowiło go i minęło szybko, jakby się obawiając zaczepki. Widział znajomych wchodzących wesołemi gromadkami do restauracyi, z kilku rozmawiał, nikt się nie domyślił go zaprosić. Było to tak niepraktykowaném, że Maciórek zasępił się mocno — fortuna odwracała od niego oblicze, świat wydał mu się zepsutym, chrześciańska nauka i zasady widocznie zaparte zostały.

Wychodząc z domu professor tak był pewnym, iż albo Serafin go zabierze do jakiegoś handlu, albo kto inny pochwyci, iż stróżowi zapowiedział, że obiadu w domu jeść nie będzie. Tymczasem trzeba było się czémś odżywić tu, w środku miasta, za swój miły grosz i drogo. Maciórek oburzał się na tę myśl.

— Tego tylko braknie, żeby mi się kto nastręczył, prosząc abym ja go przyjmował i zapłacił!!

Z goryczą w sercu, widząc że tu już nie ma co począć i czego się spodziewać, profesor z głową spuszczoną posunął się ku ulicy Długiéj, gdzie miał znajomą garkuchnię, w któréj jadał czasem *incognito*, skromnie, byle tylko nie być głodnym. Wybierał zwykle jedną lub dwie potrawy nasycające, zjadał chleba dużo, popijał szklanką piwa, i wysuwał się tyłami niewidziany.

Upokarzało go, gdy był do takiéj ostateczności przyprowadzony. Znikł więc z horyzontu, na którym zwykle jaśniał, i nie ukazał się na nim, aż w godzinie szachów, w kawiarni, do któréj zwykł był na nie uczęszczać. Niepospolity szachista grywał różnie, czasem o

pewną stawkę, którą najczęściej zagarniał. Nie wielu było równych mu na tem polu.

W kawiarni przyjmowano go, jako pożądanego gościa, uprzejmie bardzo, siedział bowiem długo i choć sam niewiele konsumował, umiał drugich ku temu napędzać — przytém jak wszędzie tak i tu profesor zdala dla profanów, miał postać tak poważną, obudzającą poszanowanie — iż miano go za purytanina, moralistę, filozofa i wielce czcigodnego emeryta.

Chłopcy, dziewczęta, gospodarz, gospodyni nizko mu się kłaniali. Szeptano gdy się ukazał — profesor! profesor. — Stawiano laskę jego i wieszano kapelusz w najbezpieczniejszych i najlepszych kątkach.

Dnia tego kawiarnia była ożywiona, mnogi tłum zajmował wszystkie pokoje, gwarno było i wesoło.

W pokoiku gdzie stały zwykle szachy, już widać było przygotowaną szachownicę, ustawione figury, i parę osób przechadzających się jakby w oczekiwaniu na kogoś.

Jedną z nich był średnich lat mężczyzna, dobréj tuszy, brunet, nadający sobie powagę wielką, z rękami w kieszeniach, z głową podniesioną. Na oczach miał złote okulary, twarz dużą, wygoloną starannie z bokobrodami angielskiemi, podbródek zażywny. Zdala nie podobna się było omylić — musiał być kupcem, finansistą na małą skalę — obywatelem dobrze sytuowanym i majętnym. Maleńki odcień dzielił go tylko od królów giełdowych, których dezinwoltury, ton, fiziognomią naśladował już z talentem.

Patrzał na świat z wysokości jakich dwóch lub trzechkroć sto tysięcy rubli — a przynajmniéj tak go z miny

można było ocenić.

Wszyscy z nim razem znajdujący się w pokoju, ginęli przy nim — milkli gdy mówił, słuchali go z poszanowaniem. Była to — autoritas — powaga jakaś. Stawał chodząc — wszyscy się zatrzymywali; posuwał się daléj — szli za nim dyskretnie. Gdy powiedział coś dogmatycznie rzucając słów kilka, wszyscy uśmiechali się, potakiwali głowami, zdając uwielbiać rozum jego. Ci, ku którym się zwracał, podchodzili doń z uniżonością, uśmiechami, czując się wysoce zaszczyceni tém, iż raczył ich wyróżnić w tłumie.

Profesor zdala dojrzał tego pana, i przyspieszył kroku do szachownicy. Zobaczywszy go, owa potęga głową go pozdrowiła.

— Jak się masz profesorze — odezwał się — a co w szachy może zagramy?

Profesor mając z potęgami do czynienia, zwykle stawił się jako szorstki dosyć filozof i spartańczyk. Był to dobry sposób nie dać się im sponiewierać.

— Jeżeli pan Samuel Bombastein raczy mi ten zaszczyt uczynić — odezwał się cedząc profesor — i owszém, miło mi będzie.

— A dasz mi wieżę fora? — spytał stojący już nad szachownicą z rękami w kieszeniach mąż wielki.

— Nie sądzę byś pan jéj potrzebował — odezwał się profesor — jesteśmy równéj siły.

— O nie! — rzekł pan Samuel — bo ja mam dystrakcye...

To mówiąc zasiadł, a ci co mu służyli do rozmowy,

powoli, nie chcąc grającym przeszkadzać, rozeszli się.

Gra się zaledwie zaczynała i dwa pierwsze pionki poruszyły, za któremi laufry na plac wyjechały, wedle obyczaju, gdy szumnie jakoś i zamaszysto wpadł do pokoiku, z niezwykłym dobrym humorem Bolek Tańczyński.

Bombastein skrzywił się znacząco, spoglądając na tego nieznanego młodzika, który nie znał należnego dlań uszanowania — gdy i profesor téż obejrzał się i poznał siostrzeńca, a ten przyszedł go przywitać.

Profesora uderzyła fiziognomia rozjaśniona, nadzwyczajna jakaś w młodzieńcu ufność w siebie — były to znaki, że mu się coś bardzo szczęśliwie powieść musiało. Nie spytał go jednak.

Bolek stanął na chwilę przy stoliku w postawie kolosu rhodyjskiego i pan Bombastein miał czas się jego arystokratycznéj figurce przypatrzéć.

— Niespotkałeś się dziś z panem Serafinem? — zapytał Maciórek.

— Nie — krótko odparł Bolek — nie wiem co się z nim dzieje.

To mówiąc zakręcił się na obcasie i wyszedł na kawę do pierwszego pokoju.

— Cóż to za panicz? — z przekąsem odezwał się Bombastein.

Profesora dotknęło lekceważenie rodzonego siostrzeńca, przypomniał sobie ów bilet, który wypadł z kapelusza, pochylił się tajemniczo do pana Samuela.

— Chociaż to mój siostrzan — rzekł — ale, jak to się u

nas w kraju zdarza często, potomek jednéj z najznakomitszych rodzin w kraju — tylko zubożałéj. Chociaż ma śliczne imię i tytuł hrabiowski, przezwał się na prostego szlachcica...

Bombastein słuchał z ustami otwartemi.

— A to, głupi — rzekł nagle — hm! imie to kapitał!

— Dumny jest a ubogi. Zresztą wychowany ślicznie i, jak pan widzisz maniery!...

Kiwnął głową pan Samuel i widać było, że się o czémś zamyślił.

— Zaprezentuj mi go pan — rzekł — ja lubię żeby u mnie w domu taka piękna młodzież bywała. Niech czasem na wieczór przyjdzie...

— Bardzo chętnie, przedstawię go panu! — rzekł Maciórek.

Rozśmiał się Bombastein.

— Wiesz, profesor! — rzekł — mnie czasem piękne myśli przychodzą? Możemy z jego imienia i tytułu coś zrobić?

Maciórek popatrzał nań zdziwiony, p. Samuel przybrał minę poważną.

— Pan wiesz — ja już żadnego interesu teraz niemam — mówił daléj pan Samuel — czekam, myślę. Można z tego chłopca zrobić interes, ja waćpanu powiadam imie i tytuł w naszym kraju, to kapitał!

Tyle tylko powiedziawszy p. Bombastein pochylił się na szachy.

— Szach królowi!

— Biorę królowę laufrem! — odparł Maciórek.

— Jeszcze ręki nie puściłem! przepraszam — poprawił się Bombastein.

— Gramy bez poprawki!

— Bez poprawki! ale jeszcze nie stała moja figura.

W téj chwili Bolek powrócił, Maciórek mu coś szepnął, i zaraz go przedstawił partnerowi swojemu.

Pan Samuel, który niedawno tak kwaśno na młodzieńca spoglądał, i krzywił się, wstał grzecznie, podał mu rękę i protekcyonalnym, lecz zarazem uprzejmym głosem, rzekł.

— Bardzo się cieszę, że pana hrabiego poznać mogę.

Zatytułowany tak p. Bolesław pokraśniał spoglądając na wuja, który cały był w szachach.

— Niech pan czasem mnie odwiedzi — dodał p. Samuel. — Posłucha pan u mnie dobréj muzyki, napije się dobréj herbaty, zje dobrą kolacyę i pozna z dobremi ludźmi. — Bardzo proszę, bez ceremonii.

Bolek rumieniąc się kłaniał i dziękował, przebąkując coś niezrozumiałego. Nazwisko p. Samuela Bombasteina, jako jednego z najzamożniejszych ludzi w mieście, nie raz się o jego uszy obiło; bliżéj jednak nie znał ani składu domu, ani towarzystwa, w które tam miał wejść.

Postał chwilkę nad szachami, i zamierzając rozpytać wuja późniéj o nową swą znajomość, wyszedł do drugiego pokoju, aby grającym nie przeszkadzać. Siadł zaledwie w kątku, gdy nieopodal spostrzegł Serafina, który dosyć smętnie jakoś czarną kawę wysączał.

Brzuchowski natychmiast z filiżanką się przysiadł do niego.

Bolek miał minę tryumfującą, nieledwie szyderską.

— No cóż? jakże wczorajszy wieczór? jak nadzieje? co się tam święci? — odezwał się Tanczyński.

— Wszystko jak nie może być lepiéj — rzekł p. Serafin — wdówka jak perła wygląda, istna królowa!! Kobieta nadzwyczajnéj piękności! a ton! ton! fiu! fiu!

— Zatém idzie daléj? — żartobliwie pytał Bolek.

— A dla czegożby iść nie miało! dziś jestem tam na herbacie — mówił Serafin — rozpoczynam oblężenie wedle wszelkich reguł. Jak ci się zdaje — rzekł pochylając się do Bolka — którego dnia można się kobiecie tego świata wielkiego przyznać, że się w niéj kocha? Słowo ci daję — ja z prostemi dziewczętami, wiem że i we dwie godziny można przysięgać miłość wiekuistą, ale z paniami! Szczególniéj wdowy, wymagają nowicyatu — długich wzdychań, wejrzeń nim się gębę otworzyć odważy.

Bolek, który w gębie trzymał koniec eleganckiéj laseczki, pokręcił głową.

— Spytaj pan kuzynki, pani Radczynéj, ona go poinformować powinna. To jéj sprawa.

— A prawda! — rzekł p. Serafin.

— Jakże zszedł wieczór? — pytał Bolek.

— Bardzo nudnie, przyznam ci się, na ucho — szepnął Serafin. — Gdy ona się na mnie nie patrzała, jam ją ze wszystkich stron oglądał, gdy ja rozmawiałem z Emmą, ona ukradkiem mierzyła mnie od stóp do głowy. Rozpatrzyłem się o ile udało, twarz ładniuchna, osóbka trochę chuda, figura zręczna — nóżki nie mogłem dojrzéć, a z rąk rękawiczek i do herbaty nie zdejmowała...

Słuchając Tanczyński dziwnie się uśmiechał i głową

potrząsał.

— Zatém oblężenie i konkury — rzekł ciągle w żart obracając rozmowę — ale to ma być osoba często dziwaczna, kapryśna — a nuż, po kilku tygodniach...

— To sprawa mojéj kuzynki — odparł Serafin — poczciwa dobra kobiecina jest z nią w najściślejszych stosunkach, gdy się przekona, że z tego nic nie będzie, powie mi. Ona każe być najlepszych nadziei!.. Westchnął p. Serafin.

— Wiesz co panie Bolesławie — dodał — żeby tak jeszcze Dziembina mogła swojéj pulchności trochę oddać mojéj pani — dla obu byłoby z korzyścią!! Niema co kłamać i uwodzić się — trochę chuda, a zważywszy, iż niewiasty na siebie wiele kładną różnych mamideł — może nawet być i mocno chudą...

Bolek nie zastanowiwszy się widać, jakby mimowolnie mu się to wyrwało — zawołał.

— Ma śliczną kibić i znowu tak... jak pan powiadasz...

Serafin popatrzał nań tylko, i nie odpowiedział nic. Nie uderzyło go to ujęcie się za panią Laurą, dnia tego był widocznie znudzony czemś i niespokojny. Odwiedziny ranne arendarza na humor jego wpłynęły fatalnie. Wesoła twarz szlachcica była posępną, pofałdowaną i przygniecioną jakimś ciężarem myśli, do którego dźwigania nie nawykła. Bolek przeciwnie promieniejący był, wesół, żartobliwy — i wyzywający.

Przesiedzieli tak z sobą na kanapie z godzinę. Serafin spojrzał na zegarek, wniósł aby się przejść razem, ale Bolek mu oświadczył, że na profesora czekać musi. Rozstali się

więc — a pan Tanczyński zamyślony, rozparty pozostał na swém miejscu, mając czas rozpatrywać się we własnéj tualecie, tego dnia nadzwyczaj starannéj i świeżéj. Dopomagało mu do tego choć w oddaleniu wiszące zwierciadło, które ładną jego postać odbijało. W téj przyjemnéj kontemplacyi najmilszego oblicza, Bolek przetrwał dosyć długo. Pan Bombastein miał czas dwie partye szachów z profesorem rozegrać i wyszedł bocznemi drzwiami, polecając mu, aby siostrzeńcowi przypomniał, iż go zaprosił do siebie.

Wysunął się i profesor, — chcąc odbyć wieczorną pielgrzymkę około restauracyi, azali by od porannéj szczęśliwszą nie była — gdy siostrzeniec go na drodze pochwycił. Razem wyszli na ulicę.

— Niechże mi wuj powie coś więcéj o tym paru — spytał Bolek.

— Właśniem chciał to spełnić — rzekł Maciórek, — zarekomendowałem cię tam, mogę powiedzieć, nie chwaląc się, mistrzowsko. Masz wstęp do domu człowieka, który tu jest w wielkiéj estymie. Szacują go na miliony — głowa finansowa ogromna.

— Ma familią? — spytał Bolek.

— A jakże! dwie córki dorosłe, albo i trzy może! Panny podobno nie bardzo ładne, ale znakomicie wykształcone, dom książęcy — towarzystwo jak najlepsze...

To mówiąc profesor utarł nos z pedanteryą pedagoga, który wie, że nawet tę funkcyę spełniając w obec młodzieży, powinien jéj nadać coś uroczystego.

Ucieranie nosa u p. Maciórka odbywało się jakby jakaś

ceremonia ważna, mająca formy niezbędne, od których się odstąpić nie godziło. Dobywał chustkę z namaszczeniem, rozwijał ją z uwagą skupioną, szukał w niéj miejsca, krytyczny czyniąc przegląd całości, na ostatek zakładał na nos, a spełniwszy z pomocą rąk obu zadanie — zwijał na nowo, systematycznie, pilno ochronny ów płatek, i wtykał go do kieszeni, tak aby w niéj mógł nie naruszony spoczywać.

Obyczaj ten pozostał mu z czasów profesury, nie zmienił go teraz Maciórek, gdyż nadawał mu powagę, a w wielu wypadkach, czas do namysłu z odpowiedzią. Zaskoczony pytaniem kłopotliwém, dobywał chustki i to go salwowało.

Bolek znając już nawyknienie wuja, milczał i czekał — Maciórek odetchnął silnie, wciągając powietrze przez odświeżone kanały oddechowe, i mówił daléj.

— Widzisz, kochany mój, że czynię z siebie dla ciebie co mogę. Nie pożyczam ci pieniędzy, to prawda, jest to przeciw moim zasadom, a oprócz tego nie mam nic do rozdawania — jednakże, gdy okoliczności się nadarzą popchnięcia cię w świat — na gorliwości mi nie zbywa.

— Poznałem cię z Serafinem — i to coś warto, chociaż przyznam ci się — na nim się grubo omyliłem! zawiodłem! Zdawał się zrazu zasobny człek i skłonny do przyjmowania, a bodaj czy już nie osiadł na mieliźnie. Zdaje mi się że goły, należy go unikać! Przestrzegam.

— Co się tyczy Bombasteina, możesz, jeśli potrafisz i zechcesz, świetne w jego domu zrobić interesa. Ludzie jak on nie przyjmują ubogich (mają racyę, ci są nudni), osób u niego bywa dużo i takiego rodzaju, co potrzebują czasem

szlacheckiego nazwiska, nie mając żadnego, więc gotowi zapłacić grubo. Koniec końców, sprzedać się musisz — dodał patrząc na Bolka — dałem ci wstęp na targowicę — reszta do ciebie należy.

— W istocie to człowiek bogaty? — spytał Bolek.

Profesor stanął i wyprostował się.

— Słuchaj — rzekł — dzieciak jesteś. Chcesz miéć miarę zamożności człowieka, patrz jak się z nim drudzy obchodzą, jak mu się kłaniają, jak go słuchają, jak z nim rozmawiają. Kassy jego nie liczyłem, ale na ludzkie nosy się spuszczam. Żaden wyżeł tak kuropatw nie zwietrzy, jak ludzie pieniądze. Kto ich nie ma, niech się dmie jak chce, czci mu nie oddadzą. Gdy Bombastein wchodzi, ludzie milkną, skłaniają głowy, tyle tylko że nie klękną — on ich ledwie za boże stworzenie ma — przyjmują od niego wszystko. Bądź pewny, że to termometr niemylny!!

— Ale — dodał Maciórek ciszéj — pamiętaj że znów być Grafem incognito! Nie przyznawaj się do tytułu, taj, wypieraj, ale czyń to tak...

Bolek się uśmiechnął.

— Przecież, ja to sam pierwszy wynalazłem — szepnął po cichu.

— To jeszcze nic! chłop na polu znalazłszy hetmańską buławę, może jéj użyć do makutry. Sztuka na tém, jak się z tém obejdziesz...

Pora była spóźniona, Maciórek niespokojnie spojrzał na zegarek.

— A! bodajże cię!

I pospieszył na stacyę swoją.

P. Bolesław rozmyślał, co ma począć z sobą, gdy mu się doktor Bazyli nawinął. Szedł jakiś zamyślony, a spostrzegłszy go, wprost nań podążył.

Bolek nadzwyczaj dlań czuł się w obowiązku być uprzejmym, winien mu był owe pięćdziesiąt złotych, i musiał zacierać ślady potwarzy jaką nań rzucił.

— Właśnie dobrze, że cię spotykam — odezwał się Bazyli — chciałem się rozmówić z tobą. Niemogę zrozumiéć radzcy? W początkach przyjmował mnie nadzwyczaj przyjacielsko i serdecznie, nagle, nie wiem co zaszło, unika mnie i nie kłania się nawet. Jesteś domowym? słyszałeś co może? mów. Co to może być?

Bolek przybrał postawę ironiczną.

— Kochany kolego — odezwał się — czy przypominasz sobie, co ci o tym domu mówiłem? Czy cię nie przestrzegałem?

— Ale mówże otwarcie, cóż bo jest w tym domu? — spytał Bazyli.

Bolek surową zrobił minę.

— Zrozumiesz mnie, gdy ci powiem — rzekł poważnie — iż mi nie przystało, nawet przed przyjacielem zdradzać tajemnic domu, do którego z zaufaniem mnie przyjęto. Mogłem ci, jako koledze, dać przestrogę, lecz nadto więcéj wymagać się nie godzi.

Bazyli ruszył ramionami.

— Śliczne to jest co mówisz — rzekł — lecz nawzajem sobie pozwól powiedziéć, iż, choć, jak ty na prawo nie chodziłem, znam axiomat sądziów śledczych — *is fecit cui prodest*. Otóż oparty na nim rozumuję. P. Bolesławowi

zdawało się, że ja umizgać się mogę do panny Emmy, że panna Emma jest dla mnie grzeczna — mógł więc pan Bolesław mi stołka przystawić!! Bo któż u licha inny?

Oburzył się straszliwie odgadnięty Tańczyński, na którego spojrzawszy uważnie doktor, zrobił minę pogardliwą, kiwnął głową i nic więcéj nie powiedziawszy nad — dobranoc — poszedł daléj.

Bolesław chciał za nim gonić, rozważywszy jednak wstrzymał się — nie wiele mu szło o doktora. Najgorszém było to, iż wypadało mu zaraz oddać te pięćdziesiąt złotych...

Zatopiony w rachubach najrozmaitszych, potrzebując skupić ducha, Bolek poszedł siąść na najustronniejszéj ławce ogrodu Saskiego. Jak pająk porozciągał sieci na wszystkie strony, jedne się rwały, drugie zdawały zdobycz przytrzymywać, inne obiecywały, że coś w nie wpaść powinno.

Na pierwszym planie była piękna wdowa. Tu nad wszelkie spodziewanie powiodło mu się szczęśliwie, choć na pozór, został odprawiony z niczém. Pod wskazanym adresem odebrał był list surowo karcący niewczesne uczucie, powzięte dla osoby, któréj serce już żadnemu nie było dostępne. Jednakże pozwolono mu raz stawić się osobiście, aby z ust wdowy niefortunny wyrok usłyszéć.

Ogłaszanie tego dekretu przez trzydziesto kilko letnią panią dwudziestoletniemu młodzieńcowi, sam na sam, trwało dobre trzy kwadranse, a gdy po ferowaniu go wyszedł z jéj gabinetu przeprowadzany tylnemi wschodami przez pannę Giertrudę, nie był wcale zrozpaczony — był

niemal szczęśliwy. Równie szczęśliwym nazwać się mógł w dorywczych swych amorach na wschodach ze śliczną Arcią, — ale tu musiał być niesłychanie ostrożnym i oględnym. Miłość własna tylko miała z tego pociechę.

Panna Arkadia już przebąkiwała o zaręczynach i małżeństwie, co spowodowało Bolka, do skłamania iż nie był panem siebie, miał familię i nie mógł teraz rozporządzać sobą. Miłość więc stateczna miała się przedłużać aż do epoki usamowolnienia, odziedziczenia jakichś dóbr na księżycu i t. p.

W domu radzcy, tam gdzie pierwsze jego zakwitły były nadzieje — z niezrozumiałych dlań powodów — wszystko się zwichnęło i nagle zepsuło. Radzca był dlań zawsze z sympatyą wielką i okazywał mu ją niezmiennie, jednakże przy żonie i córce był zimniejszym — miał się na baczności. — Dla czego? nie mógł Bolesław zrozumieć.

Panna Emma jak była dlań chłodną i grzeczną, ale odstręczającą, ilekroć się zbliżyć probował, tak nią pozostała. Obchodziła się z nim zawsze jak z guwernerem braci, trzymała go w oddaleniu i pilnowała aby nie wychodził z zakreślonych mu szranków. Magnetyzowanie pięknemi oczyma nie pomagało, zdawało się nawet czynić skutek przeciwny.

Na ostatek pani Dziembina, która okazywała mu taką czułość, iż nie wahała się zwierzać z tém co serce jéj uciskało — nagle jednego ranka zmieniła się na zajadłą nieprzyjaciółkę — Bolek napróżno we własném postępowaniu szukał przyczyny, znaleść jéj nie mógł. Probował przyjść do otwartego wyjaśnienia i znalazłszy

radczynię samą, ośmielił się spytać ją, czém na gniew jéj mógł zasłużyć?

Pani Dziembina odpowiedziała mu pogardliwie, iż, choć późno umie się poznać na ludziach, i dała mu zimną, groźną odprawę.

— Jeśli kto przyjaźni ocenić nie umie — rzekła gniewnie — nie zasługuje na nią.

Było to tajemnicą dla pięknego Bolka, lecz pocieszał się tém, że ją odkryć musi i zdoła się wytłómaczyć.

Do tych wszystkich nadziei i rozczarowań, przybywał teraz dom państwa a raczéj pana Bombasteina, (bo mąż ten od dawna był wdowcem) dom, który w tak świetnych barwach wuj mu przedstawił.

Mając tyle stawek, Bolesław spodziewał się wygrać choć na jednéj.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Józef Ignacy Kraszewski.*

VIII.

Wchodząc po raz pierwszy do domu p. Samuela, Bolesław, który nie wiele w życiu widział, został oczarowany. Dom to był po którym kto inny poznał by łatwo dorobkowicza, ale dla niego zdał się ideałem elegancyi i wspaniałości.

Wszystko, począwszy od wschodów, świeciło, błyszczało, biło w oczy, mówiło — patrz i uwielbiaj! Pan Bombastein miał ten instynkt, iż nie chciał pospolitych świecideł, unikał złota, lecz chciał imponować wspaniałością form, rozmiarów i gustem. Więc wschody marmurowe zbudowane były, jak po dawnych pałacach w monumentalnym stylu. Architekt miał pewnie gust, widać to było z zarysów ogólnych budowy, ale nie umiał się oprzeć wymaganiom właściciela, który to tu, to owdzie przypiął kwiatek do kożucha. Nie wszystko godziło się z sobą, ale każda rzecz, sprzęt były na efekt obrachowane.

Na wschodach wchodząc Bolesław już miał najmocniejsze przekonanie, iż znajduje się w domu Krezusa. Serce mu biło — lękał się okazać zmięszanym, a tu właśnie potrzebował najwięcéj śmiałości, zuchwalstwa nawet.

U pana radzcy przystała mu rola pokornéj, cichéj ofiary, tu należało być zdobywcą — może nawet impertynentem. Zdradzony tytuł ów obowiązywał do tego.

Bolek oddał był naprzód wizytę ranną p. Samuelowi,

która nie została przyjętą — choć z pewném wahaniem, zostawił tu swój bilet z Toporem i mitrą. W parę dni potém otrzymał zaproszenie ustne na herbatę, spotkawszy Bombasteina na ulicy.

Wnętrze apartamentów wschodom odpowiadało — wszystko było przepyszne, ale nowe jak z igły. W salonie wytwornym przy świetle lamp przyćmioném, znalazł gospodarza z dwoma panami, nie bardzo pozornymi i dwie panny starsze, bo trzecia się jeszcze nie ukazała. Było to małe kółko familijne. Gospodarz zaprezentował go naprzód córkom, dając mu tytuł hrabiego, potém dwom panom, z których jeden nosił tytuł doktora, drugi pułkownika. Pułkownik był po cywilnemu i z twarzy mu nie patrzało, ażeby długo w wojsku służył.

Ponieważ rozmowę zastał jakąś między tymi panami poufną, a bardzo ożywioną, oddano go pannom, do których się przysiadł, odzyskując całą swą śmiałość impertynencką.

Starsza panna Flora mogła miéć lat dwadzieścia kilka, nie była piękną, ale postawę miała zręczną, rączki maleńkie, rysy szlachetne, oczy rozumne, i wiele wdzięku. Młodsza Leonia, ładniejsza od siostry, z trzpiotowatemi oczyma, śmiała, żywa, zdawała się na pierwszy rzut oka dumną i pewną siebie. Obie, jako bardzo oswojone ze światem, umiały zręcznie zawiązać i poprowadzić rozmowę.

Zapewne uwiedzione tytułem, który ojciec dał kawalerowi przy prezentacyi, panny poczęły mówić o osobach znanych im z wielkiego świata, a tych Bolesław nie znał nawet z nazwiska. Musiał więc naprzód

oświadczyć skromnie, iż od niezbyt dawna przybywszy do Warszawy i postanowiwszy żyć w kółku tylko znajomych i *familii*, wcale stosunków nie miał z tym światem.

Panny to dobrze przyjęły — Bolesław tym czasem, jako człowiek co się ma zawsze na sprzedaż i wcześnie kupca sobie dobiera, przyglądał się z uwagą i przysłuchiwał dwom panienkom, myśląc w duszy, którąby wolał — gdyby i t. d.

Panna Flora zdała mu się sympatyczniejszą i przystępniejszą, chociaż czarne oczy Leonii nadzwyczaj były magnetyczną obdarzone siłą.

Ile razy je spotkał Bolek, musiał spuszczać wzrok, zdawało mu się, że to wejrzenie dobędzie z niego wszystkich tajemnic.

Tak samo jak do nieznajomości świata wielkiego, prawie był zmuszonym przyznać się gość do nieobeznania z literaturą. Na stoliku leżało mnóstwo książek nowych: francuzkich, niemieckich, nawet polskich. Rozmowa się ku nim zwróciła, pan Tańczyński bojąc się bąka strzelić, wolał wyznać, iż mało czyta, będąc z obowiązku zajęty pracą.

Nie bardzo go to dobrze rekomendowało — znalazł się zamiast towarzystwa zwykłego, jakiego się tu spodziewał, w kółku kobiet, które widocznie szczególną przywiązywały wagę, by się okazać wykształconemi więcéj niż pospolicie bywają ich rówieśnice. Po dwu próbach rozmowa wpadła na życie miejskie, przechadzki, brukowe wiadomości, kursa konne i t. p. a tu Bolek już mógł z pewną erudycyą się popisać.

Miał ten talent, że zręcznie bardzo kłamał. Kłamstwa jego były jak Chopinowskie akorda pozbawione najczęściéj

nuty charakterystycznéj, ażeby z nich w inny ton łatwiéj przejść było — komponował zręcznie, a gdy się pośliznął czasem, umiał się dźwignąć natychmiast, tak że upadku postrzedz było trudno.

Do rozmowy z pannami, która zaczynała się ożywiać, dzięki śmielszéj nieco pannie Leonii, wmięszali się wkrótce panowie — doktor i pułkownik ostrożnemi pół słowami, gospodarz z właściwą sobie rubasznością jakąś zabawną.

Przystąpiwszy do Bolesława i zacząwszy z nim żartobliwą gawędkę, wcale niezręcznie wyzwał go pan Samuel na pochwały domu, i zaproponował pokazanie go.

— Ja pana oprowadzę — rzekł — dopiero zobaczysz co to jest. To wszystko moja inwencya! — Powiedziałem od razu architektowi — słuchaj acan! ja płacę i chcę mieć według mojego gustu. Tu wszystko co pan widzisz, według mojego własnego gustu!

— Ale co to kosztuje!

Pan Samuel wziął się za głowę.

— Ja się wstydzę powiedzieć co to kosztuje! Ale widzi pan, człowiek pracował, miałem prawo swojéj fantazyi dogodzić!

Bolek potakiwał.

— Nieprawdaż?

— Bezwątpienia.

— Niech pan patrzy — ciągnął daléj Bombastein — to salon jadalny, cały z drzewa dębowego, rzeźbiony! To jest wielkim gustem! nieprawda, że to jest wielkim gustem?

Zbliżyli się do bufetu.

— Niech pan się przypatrzy tym rzeźbom! u nas tego

nikt nie zrobi — tu same fuszery! Kazałem to w Paryżu wykonać! Ale co to kosztowało! — powtórzył. — Ta szafa, z Florencyi!

Przeszedłszy salon jadalny i parę pokojów, w których ciężką materyą portjer i firanek dał p. Samuel pomacać Bolkowi, wprowadził go gospodarz do swojego gabinetu i biblioteczki.

W bibliotece książki były wytwornie oprawne, szafy przepyszne, urządzenie nader wspaniałe i praktyczne — wszystko musiał gość obejrzéć i dziwić się każdéj rzeczy.

Co chwila téż powtarzało się: Ale co to kosztuje.

W powrocie tak był grzecznym pan domu, iż otworzył nawet drzwi do pokojów córek, aby ukazać jak one elegancko mieszkały i po pańsku. Wistocie tu może było piękniéj, niż w całym tym domu, bo się śmiały kwiaty i niewieścia ręka temu przepychowi nababa nadała wdzięk, który ona tylko jedna, dotknięciem samém może wszczepić w martwe przedmioty. Tu było trochę życia i uśmiech młodości...

P. Samuel, wśród przechadzki po domu, tak był niezmiernie grzecznym dla młodzieńca, iż go brał pod rękę i zaszczycał go niemal poufałemi zwierzeniami.

— Ja się z tém nie taję — rzekł — ja się z niczego dorobiłem, wszystko sam sobie winien jestem. Teraz mam prawo odpoczywać i używać. Pan się znasz na obrazach? — dodał stając naprzeciw wiszących w jednym pokoju.

Tanczyński odpowiedział dwuznacznie.

— Ja bardzo lubię piękne obrazy — uśmiechnął się gospodarz — bo ja mam wszystkie gusta pańskie. Niech

pan spojrzy ztąd, — tak, przez kułak — przez kułak! a co? nie jest to żywa osoba...? To jest śliczne malowanie, wiedeńskie. Ale wie pan co to kosztuje! To Makart.

W gabinecie przypierającym do salonu, z którego głos panien rozmawiających z doktorem i pułkownikiem dochodził, pan Samuel przysiadł i wskazał krzesło gościowi, którego poklepał po kolanie.

— Pan się mnie podoba! — rzekł — pan ma bardzo dobrą minę! Słowo daję! Ja jestem koneser na ludziach! Pan pewnie czasem wieczorami nie ma co robić? Niech pan do nas zachodzi, bardzo proszę. — U mnie osób bywa nie wiele, ale ja lubię dobre towarzystwo.

Co pan robi? — zapytał wreszcie.

— Ja — odparł zacinając się Bolek — ja, właściwie jeszcze nie mam stałego zajęcia, namyślam się. Chodziłem na prawo w Uniwersytecie, zapewne prawną obiorę w końcu karyerę.

Pan Samuel głową pokiwał.

— Zapewne, zapewne i to jest ładna rzecz — ale teraz ludzie z imieniem i wykształceniem, mogą i na innych drogach znaleźć karyerę odpowiednią. Ale my o tém późniéj pogadamy, jak się bliżéj poznamy, a teraz — dodał wstając Bombastein — musi nam panna Leonia zaśpiewać. Zobaczy pan jaki ona ma głos! Patti! Lucca! wszystko niczém przy niéj. Ona miała najlepszych nauczycieli. Ja jednemu po dwadzieścia pięć rubli za godzinę płaciłem! Słowo daję.

— Florka gra, posłyszysz pan! u Tausiga brała lekcye, mówił, że nie miał lepszéj uczennicy. Co mnie to

kosztowało!

I wziąwszy pod rękę pana Bolesława, który pół uśmiechami i pół słowami utrzymywał rozmowę, wprowadził go nazad do salonu — Florę bawił doktor, Leonię rozpartą szeroko w krześle starał się rozerwać pułkownik.

— No, panienki! — odezwał się ojciec — nam się coś należy.

Obie panny Bombasteinówny zmięszały się, spoglądając na siebie.

— Ja od tego nie odstępuję, panna Leonia nam zaśpiewać musi.

— Ależ — papo.

— To nic nie pomoże!

— Dziś mam trochę chrypki.

Ojciec zrobił minkę jakąś, panna Leonia wstała, na pół kwaśna, pół uśmiechnięta, ruszając ramionami.

— Wie papa — rzekła śmiało — gdybym wiedziała, że się wiecznie popisywać będę musiała z tym śpiewem, nigdybym się go nie uczyła.

— A dla kogoż się panna uczyła? — zapytał ojciec.

— Dla siebie...

Wymówki nie pomogły — obie siostry dosyć niechętnie, szepcząc do siebie zwolna się skierowały ku wspaniałemu fortepianowi.

Widząc je zbliżające się ku niemu, pan Samuel szepnął na ucho Bolkowi.

— Bechstein! I kiwnął głową.

Tańczyński nie zrozumiał, ale udał, że doskonale wie o

co chodzi.

— Tak, Bechstein!

Złożyło się tak, że doktor i pułkownik przystąpili do gospodarza, a panu Bolesławowi nie pozostawało nic nad — zbliżenie się do panien.

— A pan, muzykalny? — zapytała Leonia.

— Lubię nadzwyczaj muzykę — rzekł Bolek — uczyłem się jéj, ale w uniwersytecie musiałem ją porzucić, zapomniałem wszystko; została tylko wielka miłość dla niéj. Pani wie — dodał — jak muzyka jest zazdrośną, wymaga zupełnego poświęcenia; ja, niestety nie miałem dosyć czasu dla niéj.

Nastąpiły ciche narady co wybrać do śpiewu — Schumanna czy Moniuszkę — panna Leonia wyjęła jeden ze śpiewników i zanuciła ślicznym, swobodnym, niewymuszonym głosem jedną z piosnek niezapomnianego litewskiego śpiewaka... W istocie miała talent niepospolity, stworzony może więcéj do teatru niż do salonu, świetny — ale nie rozbudzający uczucia. Czuć téż było, że się ono w piersi wesołego dziewczęcia nie miało czasu rozwinąć.

Odśpiewawszy piosnkę, któréj głośno i z zapałem aplaudowano do koła, panna Leonia, jakby odbyła pańszczyznę, padła na krzesło i skinęła na siostrę.

— Na ciebie koléj.

Wiedziała o tém Flora, namyślała się tylko czém jak najrychléj może swój dług wypłacić. Właśnie rozpocząć już miała owo oklepane Scherzo Chopina, które grają wszyscy, gdy się drzwi otwarły, panna Flora się obejrzała, wchodził w towarzystwie nieodstępnego akolity, ów wirtuoz

sentymentalny, którego Bolek miał szczęście oglądać u radzcy.

Panna zerwała się jak piorunem rażona od fortepianu, a ojciec na powitanie słynnego pianisty posunął się z grzecznością nieco chłodną.

Wirtuoz natomiast był słodki niezmiernie i pokorny. Obie panny pospieszyły na jego spotkanie.

— A! toś pan nam bardzo miłą zrobił niespodziankę — odezwała się rękę mu podając Flora — ślicznie pan zrobiłeś, żeś przyszedł. Winnam panu, że grać nie będę i mam nadzieję, że my go jeszcze raz posłyszemy!

Wirtuoz był śmiejący się, poruszony — i nie zważał może, iż wejrzenie gospodarza zdala go piorunowało. Niecierpliwie szeptał on coś do ucha doktorowi, zdając się wcale nie rad wizycie. Tymczasem Leonia pobiegła, siostrę zostawiając wirtuozowi, aby kazać podać herbatę. Towarzystwo się całe znów skupiło około stolika. O ile ojciec nie był rad odwiedzinom pianisty, o tyle panny okazywały mu sympatyi i zajęcia. Skromny, pokorny, wielki mąż siadł obok panny Flory, widocznie pragnąc nikogo swą potęgą nie olśniewać i pozostać na dziś prostym śmiertelnikiem. Oczy tylko jego szukały pilno wejrzenia starszéj panny, która ich nie unikała. Ojciec zdala patrzał na to, nie umiejąc ukryć swego nieukontentowania.

Był nawet tak poruszony, iż niezważając na to, że po raz pierwszy Bolka w swym domu przyjmował, na bok go odprowadził i wielkim palcem po za siebie wskazując szepnął mu.

— Myśli pan, że jego tu prosiłem? Pan go zna? On tu

koncert dawał za pieniądze! Ale to nie jest żaden Liszt! Ja wiem nawet zkąd on jest... Nawet nie chrzczony! Raz jego wpuściłem do domu — i ma jakąś imaginacyę!!

Ruszył ramionami gospodarz.

Bolek zrozumiał tylko, iż tu wirtuozowi nie bardzo byli radzi. Widział i on to może, lecz panny niegrzeczność ojca starały mu się nagrodzić. Podano mu herbatę, rozmowa ożywiła się bardzo.

Wirtuoz czasem głos podnosząc opowiadał: jak Arcyksiąże... w Wiedniu po koncercie przychodził mu winszować, jak ks. Lichtenstein i hr. Clary i ks. Auersperg i inni... to i to mu mówili.

Na panu Samuelu nawet te wielkie, piękne imiona nie czyniły wrażenia, ręce trzymał w kieszeniach i usta miał wydęte do góry.

Panny zająwszy się tak muzykiem, doprowadziły go do tego, iż się dał posadzić do fortepianu.

Jak zawsze tak i tego dnia, nie ubiegając się za efektami, zagrał rzecz prostą, naiwną, z wielkiém uczuciem i cieniowaniem wytworném. Wszyscy słuchali z uwagą, tylko pan Samuel się krzywił, a po skończonéj Chaconnie, szepnął Bolkowi.

— To nie jest nic osobliwego! Jak Florka chce, to ona lepiéj zagra, jak ona jest w inspiracyi, to się okna trzęsą — ja nieraz myślałem, że cała orkiestra. A to! to jest brzdąkanie.

I głową pokręcał jak wielki znawca powtarzając. — To nie jest nic osobliwego.

Panny się unosiły i słusznie, bo gra była wykończona i

piękna, nie goniła za świetnością i popisem, a była pełną czucia i wdzięku.

— Jak pan tu kiedy przyjdzie — szepnął p. Samuel Bolkowi, a jak Florka będzie w inspiracyi — ja jéj każę zagrać, zobaczysz pan — jemu za nią siano wozić! Tausig nie tak grał, a przed nią ręce składał! Słowo panu daję!

Doktor w pomoc pannom, jako bardzo muzykalny postąpił ku fortepianowi — a pułkownik cywilny, gospodarz i Bolek pozostali na rozmowie.

Pułkownik był tu jakąś figurą pół domową i przeznaczoną zapewne dla dawania przykładu gościom, jak się względem gospodarza znajdować mieli. Niezmiernie uniżony, ile razy usta otwierał, puszczał z nich kadzidło ku amfitrionowi, grube, ostre, lecz przyjemnie go łechcące.

Wynajdywał zręcznie przedmioty, które trybularzem ruszyć dozwalały, a w braku ich sprowadzał rozmowę na drogi właściwe, aby módz panu Samuelowi coś pochlebnego powiedzieć.

Gospodarz, dając mu ciągle tytuł, obchodził się z nim zarazem z tą poufałością rubaszną, która mu była właściwą. Nazywał go raz kochanym pułkownikiem, to znowu szanownym i t. p.

I przed nim z cicha wynurzył się gospodarz z podziwieniem, że wirtuoz tak go często odwiedzał.

— Ja jego nie prosiłem — on sobie pewnie co imaginuje! — rzekł — jemu trzeba to z głowy wybić!

Pułkownik brwiami tylko dał znak zupełnéj zgody i potwierdzenia. Zdawało się, że do tego tu służył téż, aby potakiwał. Wielcy ludzie potrzebują takich niemych

adoratorów — tak jak soli do potraw i musztardy. Pułkownik był tą solniczką żywota p. Samuela. Z nim trawiło się wszystko łatwiéj. Chociaż wirtuoz nie był proszony, jednakże, gdy podano wieczerzę, panny go na honorowém miejscu posadziły. Na przekór im znowu gospodarz, drugie około Flory wskazał — hrabiemu.

Kilka razy probował zagadnąć virtuoz pana Samuela, który mu zaledwie raczył odpowiedzieć, co panny rumieniąc się zatrzéć starały. Z rezygnacyą i uśmiechem przyjął to syn Apollina, zabawiając się z Florą szczególniéj, która okazywała dlań wiele grzeczności.

Chociaż przy wieczerzy podano na końcu szampańskie wino, gospodarz surowém wejrzeniem córkom zakazał, aby zdrowia nie wnosiły. Panna Flora tylko swoim kieliszkiem potrąciła o kielich wirtuoza, którego oczy stały się nadzwyczaj czułe. Pan Samuel głośno żartował i głównie zabawiał Bolka, któremu tytułem hrabiego szafował co chwila. Ośmielony téż tém Tańczyński wmięszał się do głośnéj rozmowy rezolutnie, kilka dowcipów puścił w bieg, zyskał bardzo sympatyczne uznanie pułkownika, i uśmiech szeroki pana Samuela.

Po wieczerzy odprowadził gospodarz na stronę pułkownika.

— Wiesz, bardzo mi się ten chłopiec, ten hrabia podoba.

— Bardzo! bardzo! potwierdził pułkownik.

— Jest sobie skromny a dobrego tonu — z niego możnaby coś zrobić.

— Ale pewnie! — rzekł pułkownik — w rękach pańskich.

— Tak jest, ty wiesz, pułkowniku, ja się i znam na ludziach i popchnąć umiem i obracać niemi. Hę?

— Któż lepiéj nad pana! — zawołał pułkownik.

— Hę? z niego co może być? powtórzył pan Samuel — jest materyał.

— Pan masz oko niezmiernie bystre.

— To mi wszyscy przyznają, że oko mam! Tak tak! pułkowniku... A i tobie się podobał?

— Bardzo! — rzekł pułkownik — niezmiernie.

— Bo i ty nosa masz! — dodał śmiejąc się p. Samuel — nosa masz!

Zaczęli oba się śmiać, pułkownikowi to pochlebiło, iż mu nos przyznawano.

Rozeszli się tak w najlepszéj komitywie, a gospodarz Bolesława ujął pod rękę.

— Ja jeszcze raz proszę pana — szepnął — nie robić ceremonii, a czasami nas odwiedzać. Mnie się pan podoba, szczerze powiadam.

Bolek skłonił się.

— Prawdziwie — rzekł — niewiem jak potrafiłem zasłużyć na tyle ze strony pańskiéj dobroci, która najżywszą we mnie wdzięczność obudza.

— Ja tyle panu powiem — dodał cicho p. Samuel — pan się mnie może zdać, a ja panu.

Uderzył się w pierś szeroką.

— Ale proszę o tém nikomu nie rozpowiadać, nawet temu stryjowi czy wujowi, profesorowi, to jest dobry człowiek i nieźle w szachy gra, ale on ma język...

— Rozumie pan?

Bolek się uśmiechnął. Pan Samuel przyznawszy pułkownikowi nos, a profesorowi język, sam sobie wreszcie zapewne głowę, zatopił się w głębokiéj zadumie.

Pełniąc swe obowiązki adjutanta, stanął mu do boku pułkownik, do Bolka właśnie coś przemówiła panna Leonia i on ku niéj pospieszył. Chciała zapewne grzecznością tą dla gościa ojca rozbroić, który dnia tego był chmurny. Z panną Leonią stanowczo Bolesław lepiéj się rozumiał niż ze starszą, ale i ta czyniła mu wrażenie istoty, która wyższą była od niego. W tym świecie, w którym one żyły i obracały się, on — był obcym.

Leonia zdawała się chcieć wybadać go i poznać bliżéj, uderzona zapewne tém, że ojciec ze szczególną uprzejmością był dla niego. Okoliczności nie dozwalały wprowadzić na co innego rozmowy oprócz muzyki. Bolek przebąknął, że wirtuoza już słyszał i zręcznie posłużył się kilku frazesami o jego grze pochwyconemi z ust panny Emmy i radczyni.

W tém właśnie celował młodzieniec, iż zbierał na swój pożytek każde słowo, które mu do uszu wpadło. Zręcznie potém z tych kawałków kleił coś, co mogło się za jego własność uważać i dać o nim pojęcie daleko wyższe, niż gdyby mówił to co myślał.

To posługiwanie się własnością cudzą, umiejętnie przyswojoną, jak bielizna z wyprótemi znakami — kunsztem było w panu Bolesławie, do wysokiéj podniesionym potęgi. Wymagało pamięci, przytomności, pewnéj zręczności w zestawieniu obłamków z różnych źródeł pobranych, ale jak paryzcy gałganiarze, chłopak miał

w tém wprawę i zapas zawsze nosił z sobą obfity.

Gdy panna Leonia zagadnęła go o grę wirtuoza, odpowiedział jéj z miną głębokiego znawcy, prawie własnemi słowy panny Emmy, dobrze zapamiętanemi.

— W istocie ten pan ma talent niepospolity, bo nie ubiegając się za blaskiem i świetnością jak inni jego współzawodnicy, zdobywa oklaski i uznanie niezmierną gry delikatnością, która tym co słyszeli Chopina, jego dotknięcie, styl i expresyę przypomina. Tylko że co w nieśmiertelnym muzyku tym było naturą, natchnieniem, oryginalnością, w tym panu jest rozwagą, pracą i naśladowaniem. To téż delikatność jego wpada niekiedy w sentymentalizm i przesadę.

Usłyszawszy to Leonia, spojrzała bardzo zdziwiona — oczy jéj błysły jakby radością.

— Masz pan zupełną słuszność — rzekła — i widać że nietylko lubisz, ale rozumiesz muzykę. Prawda to, lecz kto oryginału miéć nie może, pociesza się kopią doskonałą.

Bolek nadto był zręczny, aby zaimponowawszy pożyczaną frazą, narażał się na zdradzenie późniéj jéj pochodzenia... Dalszą więc rozmowę prowadził pół słówkami, a panna Leonia ożywiwszy się, sama mówiła dosyć, by nie potrzebował nazbyt się trudzić.

Wieczór był już dosyć późny, gdy Bolek, pochwyciwszy swój kapelusz, z cicha się wyniósł do przedpokoju. Ale aż tu za nim pogonił gospodarz, aby mu rękę uścisnąć, pożegnać go i jeszcze raz powtórzyć, żeby sobie — czasem do niego wieczorami przychodził, bo mu się podobał.

Komu innemu przyjęcie tego rodzaju nie byłoby może

do smaku, Bolesławowi zdawało się ono nowe, świetne otwierać horyzonty — i z monumentalnych spuściwszy się wschodów, gdy się znalazł w ulicy, uczuł się błogiém jakiémś owiany tchnieniem. Z pewną dumą szedł ku domowi, zdejmując białe rękawiczki i chowając je do kieszeni, aby oczyszczone chlebem i gumą, jeszcze przez parę wieczorów służyć mogły.

Rozpatrując się w tém, co już dokazał od czasu przybycia do Warszawy, miał w istocie prawo być dumnym. Trapiło go tylko, że im więcéj się horyzonty rozszerzały, stosunki rozciągały, znajomości mnożyły, tém trudniéj im było podołać groszem wcale szczupłym, jaki mu radzca płacił za lekcye. Obrotowego kapitału brakło.

Doktor, który pożyczył pięćdziesiąt złotych, był już nadąsany i podejrzliwy, wuj nie do ukąszenia, a z innych stosunków korzystać nie wypadało. To go w smutną wprawiało zadumę.

Myślał téż co miały znaczyć owe nie darmo wyrzeczone wyrazy p. Samuela, który mu dał tak silnie, dobitnie do zrozumienia, iż — wzajemnie sobie użytecznemi być mogli.

Panny Bombastejnówny nie bardzo mu się podobały — nie zdawały się łatwą zdobyczą. Jak panna Emma stały na wysokościach, do których piękny Antinous wspiąć się nie mógł. Zresztą bliżéj je poznać potrzebował — któż wie? tyle już niewiast padło ofiarą jego wejrzenia i wdzięku? Umiał czarować.

Ulice były puste, godzina późna, gdy tak rozmyślając szedł powoli ku domowi.

Byłby przysiągł, że na przeciwległym trotuarze zobaczył p. Serafina, który także powracał opóźniony.

— Pan Serafin! — zawołał.

Idący w zadumie jak on szlachcic stanął.

— Hę? kogo mam honor?

— A to ja!

— O! jakże się cieszę! — śmiejąc się począł szlachcic. — Zkądże u licha tak późno.

— Z pewnéj wizyty arystokratycznéj.

— Ja także byłem u mojéj belli — odparł Serafin. — Ale co za dom! jaka stopa!

— I jakież nadzieje? co się święci? — spytał szydersko Bolek.

— Radczyni mi się przysięgała, gdym ją do domu odprowadzał, bom nawet wstąpił na chwilę — przysięgała mi, że bylem chciał, wdówka będzie moją. Powiedziała, słyszę, dziś Dziembinie: — człowiek bardzo sympatyczny, pełen prostoty, otwarty, ja takich najwyżéj cenię. Dziembina mi się przysięga, że gdy przyjdzie czas oświadczyć się, rekuzy nie dostanę. Ja téż to czuję — mówił Brzuchowski — kilka razy się oczy nasze spotkały i tak mi zagadała niemi, że ażem się cały poruszył. Wszystko to dobrze — ano — gdyby jeszcze wiedzieć można co ona ma, oprócz tych oczów.

Bolek nie odpowiedział nic, oprócz...

— Niech no pan tak bardzo wzrokowi kobiecemu nie wierzy, bywa zwodniczy.

— E! ja się na tém znam! — rozśmiał się Serafin. — Gadajcie wy sobie co chcecie, gęby u tych pań inaczéj

mówią niż u wiejskich dziewcząt, ale co do oczów, wszystkie jednakowo... O! o! Tak mi zagadała, że wiem co to ma znaczyć.

Ruszył ramionami Tańczyński.

— Co się tyczy *de quibus* — dodał żartobliwie Serafin — muszę radczynię nasadzić, ażeby dotarła i dowiedziała się co ma. Wszystko to pięknie ładnie, że żyje po pańsku, że expensuje dużo, ale — a nuż — dożywocie? albo co podobnego!

Potrząsł głową Serafin. — Tak, na ślepo, na wiarę się żenić nie mogę. Dopiero bym się wykierował!

— Pan przecie majątku nie potrzebujesz — wtrącił Bolek — sam jesteś majętny.

Brzuchowski popatrzył na niego.

— Ja dla siebie jestem majętny, ale z taką piękną panią dużo trzeba!! ho! ho!

Na zegarach biła dwunasta, Bolek żegnać go począł.

— Zaszlibyśmy jeszcze gdzie — odezwał się Serafin. — U wdowy, powiem ci, ślicznie było podane, wszystko dobre, choć palce oblizywać, ale szczuplutko, cieniutko, tak, że ja ceremoniując się, wstałem głodny...

Pomacał się po kieszeniach pan Serafin.

— Bylebym pieniądze miał, zaszlibyśmy do tego Stępińskiego.

— Stępkowskiego.

— I buteleczkę by się wypiło, a choć sera przetrąciło, bo głodny nie mogę spać.

— Lękam się, że i ja pewnie pieniędzy nie będę miał przy sobie — odezwał się cienko Bolek.

Brzuchowski wyciągnął sakiewkę.

— Ale, dalipan na podkurek jeszcze stanie — chodźmy...

— Po cóż ja? — począł się ceremoniować Bolek.

— Ja sam ani pić, ani jeść nie mogę, to głupia rzecz — odezwał się Serafin. — W domu jak nikogo nie ma, pisarza prowentowego sadzam. Kto sam je, a kto jeszcze i pije sam, to go bez sądu powiesić!

Szli do Stępkowskiego, u którego się jeszcze mocno świeciło... — Słychać było zdala te głosy podniesione, które dobre wino potęguje i nadaje im dźwięk tak szczęśliwością brzęczący, jakby na ziemi żadnéj biedy nie było.

Z wielkiém podziwieniem w pierwszym zaraz pokoju zetknęli się z professorem, który właśnie towarzyszowi otyłemu, z wielkiemi wąsami coś żywo rozpowiadał.

Na widok jego pan Serafin zrazu się prawie chciał cofnąć, lecz zmiarkowawszy i minę przybrawszy wesołą, zbliżył się do stolika.

— Jakże się ma pan sędzia dobrodziéj! To mówiąc fasowatego owego mężczyznę z wąsami w ramię począł całować, śmiejąc się.

Sędzia zimno jakoś na ten afekt odpowiedział.

— Kłaniam uniżenie — pana Serafina. — Cóż pan tu robi? pan? tu? gdy tam... tego!

I głową począł kręcić, a palcem gdzieś daleko pokazywać.

Brzuchowski mu w ucho szepnął.

— Proszę cicho z tém — wszystko się załatwi — ale — sza!

Sędzia głową pokręcił. — Profesor obserwował, nie uszło nic jego baczności. Dla p. Serafina ostygł znacznie, Bolka zobaczywszy, odwiódł go do kąta.

— A co! jakże? byłeś?

— Byłem, wszystko jak najlepiéj.

— Samuel cię przyjął dobrze?

— Mówię jak najlepiéj.

— Teraz że pokaż co umiesz — rzekł profesor — dałem ci szczęście w ręce.

Siadł za stół Maciórek, bo tu węgrzyna butelka rozpoczęta dopominała się, aby jéj wietrzyć nie dawano.

— A co? — odezwał się do Bolka Brzuchowski, my téż pójdziemy za przykładem starszych, buteleczkę tego samego węgrzyna, séra i basta...

Zawołano na chłopca.

Sędzia ów na kanapie, milczący jakiś, ręką nabrzękłą bębnił po stoliku, oglądał się po przytomnych, wino swoje sączył zwolna, lubując się, do rozmowy nieokazując wcale zbytniego apetytu.

Profesor, który był coś wprzódy rozpoczął, dogmatycznym swym tonem, kończył wpatrując się w sędziego.

— Otóż to tak jest, mości dobrodzieju, tak, zepsucie powszechne — szczerości, uczciwości, prawości, szlachetności nigdzie za grosz — Sodoma i Gomorha!

Sędzia wzdychał i pił.

— Rozpusta bezwstydna i wyzyskiwanie jednych przez drugich — ciągnął daléj Maciórek. — My ludzie starzy do innego świata nawykli, radzibyśmy jednéj godziny otrząść

proch z nóg naszych i uciec ztąd, gdzieś na pustynie — cóż? gdy okoliczności wiążą.

Drzwi drugiego pokoju otwarły się powoli, mocno czerwona, w siną wpadająca twarz, średnich lat mężczyzny pokazała się w nich milcząca, i poczęła od kiwania się na różne strony, wejrzenie wlepiwszy w profesora, który nagle oniemiał.

— Poczciwości! Maciórek! prawi kazanie szlagonom spijając ich wino! Facetus, jak mi Bóg miły! Moralista! Maciórek — życie moje, a jak ci język nie uschnie prawiąc takie bluźnierstwa? a jakże byś ty stary pieczeniarzu wyżył korzonkami na pustyni? Ty... a, jak Boga kocham... facetus! jakiego świat nie widział. Zdrowie twoje — kaznodziejo niezrównany! cha! cha! cha!!

I drzwi się zamknęły z trzaskiem, a profesor siedział skamieniały. Serafin i sędzia śmieli się do rozpuku.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Józef Ignacy Kraszewski.*

IX.

W izdebce na strychu, jednego poranku, stał jéj mieszkaniec na wpół ubrany, u otwartego okna, zamyślony tak, że o rzeczywistości zdawał się zapominać zupełnie.

Część toalety już była na nim, przychodziła właśnie chwila ważna zawiązywania krawaty, która na stole spoczywała przygotowana, właściciel jéj zapatrzywszy się w niebo, po którem gęste włóczyły się chmury, zdawał się o czasie zapominać i nie wiedzieć na którym był świecie.

Potrząsał głową, niekiedy dłoniami białemi rozrzucał włosy piękne, już wprzódy ułożone starannie. Wewnętrzna w nim jakaś walka się odbywała. Chodził, stawał, o stół i krzesła się potrącał.

Nagle spojrzał na srebrną cébulę leżącą na stoliku i oprzytomniał, godzina była spóźniona. Chwycił krawatę, a ta była po brzegach wystrzępioną tak, że potrzebowała nieodzownie umiejętnéj restauracyi. Bolek poszedł do drugiego pokoju po pudełko.

Dobył z niego jedną i drugą krawatę, wszystkie były defektowe, pomięte, zużyte; z porównania okazywało się, że leżąca na stoliku jeszcze najlepszą była, a i téj użyć nie mógł. Czuł, że winien był godności swéj albo krawatkę nową, lub przynajmniéj naprawioną.

W pudełku znajdował się przyrząd do szycia, jedwab', nici i igła — los srogi i przewrotny zmuszał go do zajęcia się osobiście tą niegodziwą szmatką. Bolek, myśląc jakie go

losy czekały, jakie mu się uśmiechały nadzieje, gorzko dumał nad tą ironią przeznaczenia, która mu na progu szczęścia nakazywała jak żebrakowi, łatać mizerną chuścinę. Unikając tego upokorzenia, poszedł zajrzéć do portmonetki; kapitał jego składał się ze złotych nie spełna trzydziestu, z których odjęcie jakich sześciu lub siedmiu, groziło postem przymusowym. Trzeba się było z rezygnacyą wziąć do łatania!

Siadł przy oknie, zapomniawszy nawet drzwi zaryglować i rozpoczął zaszywanie potarganych obrębków. Czynność ta wymagała pilności wielkiéj, dla niezbyt z nią obznajmionego, Bolesław téż zatopił się tak w obrąbkach, iż ani się spostrzegł, gdy spieszny drobny chód zbliżył się do drzwi, nagle otworzyły się one i wpadła zarumieniona Arcia. Bolesław rzucił krawatę, ona widząc go nieubranym cofnęła się zaraz, lecz oczko jéj pochwyciło na uczynku młodzieńca. Narzuciwszy surdut wybiegł ku niéj do progu. Ubezpieczona ubraniem jego, śmiała dziewczyna weszła do izdebki. Obejrzała się do koła, podbiegła ku oknu, gdzie leżała z igłą wpiętą w nią krawatka, podjęła ją i śmiać się zaczęła.

Bolek stał zawstydzony i smutny.

— A! jak Mamę kocham — sam pan Bolek obrębuje! a to doskonale! — zawołała Arcia wpatrując mu się figlarnie w oczy.

Bolesław miał czas się namyśléć i heroiczną przybrać postawę.

— Tak, drogi mój aniele — rzekł tragicznie — tak, sam obrębiam chustkę, sam sobie służę, bo mnie los

nielitościwy zepchnął ze świetnego stanowiska na te padoły nędzy i troski!

— Tak — dodał zapalając się — rodzice moi mieli miliony, wykołysano mnie na jedwabiach, abym uczuł boleśniéj, co mi nieubłagane gotowało przeznaczenie...

Arcia słuchała, wesoła jéj, świeża twarzyczka zaczynała posępniéć, wyrzucała już sobie tę trochę szyderstwa, którą go raniła. Powoli zaczęła się zbliżać ku niemu, przymilając i pulchną rączką zamknęła mu usta.

— A! dajże bo pokój! Czyż ja tego wszystkiego nie wiem! Ileż to już razy słyszałam o tych nieszczęściach. Po co to już darmo przypominać! po co?

I cichuteńko dodała.

— Zobaczysz, wszystko będzie dobrze, jak się tylko pobierzemy, kupim ogromne dobra, i ja Bolka za to odpieszczę... Co tam zważać na małe rzeczy... Ale, czekaj że!

To mówiąc chwyciła krawatkę, pobiegła do okna, siadła na krzesełku i poczęła żwawo zaszywać...

— Ale już by téż warto kupić nową! — odezwała się — nieświeża!

Bolek patetycznie otworzył przed nią portmonetkę i wysypał pieniądze.

— To cały mój majątek — rzekł — pięćdziesiąt złotych winienem jednemu koledze, ze trzydzieści w restauracyi... a nie prędko pieniędzy dostanę.

Arcia porzuciwszy szyć, przysłuchiwała się z uwagą.

— Co tu począć! — zawołała, ręką uderzając o kolana. — Tatko skąpy aż strach, matka co da, to się z każdego

grosza rachować trzeba, ja nie mam... Zkąd tu wziąć?

Zasmucone dziewczę zapatrzyło się w okno długo, ściągnęło brwi, i potrząsając główką — szepnęło, jakby do siebie.

— Już wiem.

Obróciła się potém do Bolka i dodała żywo.

— Jutro pieniędzy przyniosę, wiele, jeszcze niewiem — ale pewnie.

Tańczyński się zarumienił.

— Na Boga, a toż co znowu? ja nie mogę, niewezmę, żebym z głodu umierał.

— O! zapewne! zapewne! — odparła powracając do szycia Arcia, albo ja się pytać będę, położę na stoliku i ucieknę, rób sobie co chcesz.

— To nie może być!

— Czemu? — zawołało dziewczę — a przecież się musisz zemną ożenić, albo od narzeczonéj nie można przyjąć — co mamy to wszystko wspólne. Dopiero bym się gniewała.

Bolek posłyszawszy to zapewnienie, że się musi żenić — pobladł, obrócił się oglądając niespokojny, jakby się bał, żeby ich nie podsłuchano, i mruknął cicho.

— Ja sobie dam radę.

— Otóż i ja pokażę jutro, że umiem téż dawać radę — przerwała Arcia. — Zobaczysz.

Chusteczka była obrąbiona, dziewczę zbliżyło się do stolika, wyciągnęło ją, wyprostowało, nacisnęło paluszkami, aby gładko leżała, i zawołało.

— Na, masz!

To mówiąc, rzuciła mu się na szyję, pocałowała go prędko i furknęła ku drzwiom, lecz w chwili gdy je otwierała, krzyknęła przerażona, wchodził właśnie profesor. Fartuszkiem sobie zasłoniwszy oczy, Arcia wyśliznęła mu się pod ręką i znikła. Na wschodach tylko słychać było drobne jéj kroczki pospieszne.

Maciórek stał w progu głową potrząsając, nie mówiąc słowa i mierząc oczyma siostrzeńca, który więcéj gniewny niż zmięszany stał w środku izdebki.

— A to — a to — jest co się zowie pięknie! bardzo pięknie! młodzieniec czasu nie traci! Wybornie!

— No, cóż? cóż takiego się stało? — ofuknął Bolek — potrzebowałem aby mi kto krawatkę naprawił i poprosiłem panny z drugiego piętra służącéj.

Maciórek prychnął szydersko.

— To mi się podoba! głupstwo robi i w żywe oczy kłamie! Cóż to ja ślepy jestem, czy pamięć tracę? Widziałem tę panienkę z Rehmajerem w ogródku. To starsza Rehmajerówna co ci się tam tak śmiała i zęby wyszczerzała!! a ty mi prawisz, że służąca z drugiego piętra...

— Ale nie! — zawołał Bolek gniewnie.

— Ale tak! — powtórzył professor — wszystko rozumiem, tylko się okpiwać nie dam, to darmo. Starsza Rehmajerówna...

I usiadł Maciórek na sofie, kapelusz kładąc przed sobą.

— Ale, nie ma co mówić — tęgo się asindziéj obrachowujesz z przyszłością — powoli cedził wuj. — Polityk, dyplomata okrutny z waszeci, i doszedłeś ze swoim

rozumem, którymeś mi się chwalił do tego, że ci jedna z trzech córek kupca, który licho wie jak w interesach stoi, przychodzi chusteczki naprawiać! Cóż tedy daléj? Zapędzi stary gbur na kobierzec, postawi cię za stół i będziesz mu pieprz i cukier ważyć, używając szczęśliwości małżeńskich! A to niewarto było, przyznam ci się, biletów z toporem kazać litografować...

Profesor prychnął znowu.

— Niema co mówić, dziewczyna jak pączek, młodość łasa na takie tłuściuchne kurczątka — ale żeby za ten przysmak życie sprzedać — trzeba być kulfonem. I acan jesteś, byłeś i będziesz, kulfon.

Skonkludował Maciórek.

Bolek stał czerwony i zagniewany.

— Nim wuj mnie osądzisz, proszę poczekać — rzekł dumnie. Wszystko to są imaginacye...

— No, już jak panienka chodzi do waszeci na górę, to nie imaginacya — dodał Maciórek.

— A cóż to dowodzi?

— Gadaj zdrów — ja téż żyłem nie darmo.

Profesor dobył chustkę i rozpoczął owo solenne ucieranie nosa, dając czas siostrzeńcowi do namysłu. Bolek odzyskawszy już przytomność, począł się ubierać.

— Daruje wuj — odezwał się — ale ja na lekcyę do Dziembów iść muszę.

— A, idź gdzie sobie chcesz! — rzekł obojętnie Maciórek, wyciągając się na sofie. — Zawiodłeś moje nadzieje. Widząc cię tak od natury na pozór szczęśliwie wyposażonym i niby nawet nie głupim, myślałem sobie,

przecież sobie radę da i zyska stanowisko, a ja na starość czasem choć kawałek sztukamięsy u niego zjem! Gdzie tam! Wszystko to były rachuby fałszywe. Młodzieńcza krew głupia popsuła całą sprawę.

— Tfu! — splunął stary.

Bolek się żwawo ubierał...

— A cóż z p. Samuelem? — zapytał — co się tam święci?

— Wszystko dobrze — odparł Tanczyński.

Wuj popatrzał.

— A z Dziembami?

— Cóż ma być, lekcyę daję, i tyle tego.

— A panna? wszakże miałeś projekta.

— Z tego nic nie będzie.

— Któż, doktor ten przeszkodził, mów bo?

— Nie, panna mi się nie podobała — rzekł Bolek.

— Ale! panna by ci się nie podobała z takim posagiem jak Dziembówna? — mówił stary.

— Zkąd że wuj wie o posagu?

— Przecie to ludzie bogaci.

— Kto to wie! — mruknął Bolek.

Maciórek się podniósł nieco na sofie.

— Ej? jest wątpliwość? seryo?

— Wielka — rzekł krótko Bolek — udawane państwo podobno, a ruina za pasem.

Maciórek wydął usta.

— Nigdzie prawdy! — zawołał — na niczém się oprzéć nie można. To tak jak z tym Serafinem. — Żeby nie przybycie sędziego, miałbym go za krociowego, a to

bankrut.

Bolek się odwrócił z wesołą twarzą.

— Doprawdy? pewnie? — rzekł.

— A no, kiedy ja ci mówię. Tam mu podobno majątek licytują, a on tu przyleciał się ratować jakim takim ożenkiem.

Bolek śmiał się rozradowany niezmiernie, o własnéj zdawał się zapominać awanturze, tak go to cudze nieszczęście cieszyło.

Maciórek go badał oczyma ciekawemi.

— Wszystko blichtr! nigdzie człowiek z wczorajszego obiadu na jutro nie może nic wnosić, niepewność w stosunkach! Zdrada! szelmostwa. Dziś cię karmi pasztetami, a jutro, patrz — fiut — i koziołka wywrócił.

Westchnął Maciórek.

— Lecz żeby Dziemba znowu był skompromitowany? Ej? czy ci się nie przywidziało?

— Mam najpewniejsze oznaki i fakta, przyznam się wujowi, żem podsłuchał rozmowę radzcy z żoną.

— No, to masz rozum przecie i uszy — to mnie cieszy — rzekł Maciórek. — A no, jeśli tak, miejże roztropność szczura, który się zawczasu wynosi z okrętu, gdy ten ma zatonąć. Nie ma tam co robić.

— I ja tak myślę — rzekł Bolek.

— Powtórz, gdybyś téż ten rozum miał, a i z tego domu się wyprowadził — dodał profesor — póki czas! póki czas... Z Rehmajerem, ja ci powiadam, nie ma co żartować — to bestya, co i zabić gotowa.

Nic nie odpowiedział Bolek.

Popatrzyli na siebie — profesor zwijał chustkę, wedle wszelkich zasad sztuki i wkładał ją do kieszeni.

— Nie — rzekł — nie podoba mi się całe twoje postępowanie. Więcéj w niém zapędu młodzieńczego niż téj przebiegłości i rozumu, któremi się chwaliłeś. Początki były jako tako, plany niezgorsze, ale wykonanie szwankuje. Zaplątałeś się... nie widzę wyjścia — Rehmajerówna, radczanka, — Samuelówna i kto cię wie ile jeszcze rozpoczętych i osnutych dramatów, z których jeden tylko prozaicznym kijem skończyć się może.

— Już ciż ja wiem co robię — rzekł Bolek — proszę się nie lękać o mnie.

— Zobaczym koniec — skonkludował profesor — ja czekam zawsze końca.

To mówiąc westchnął. Bolek skorzystał z interwallu i zapytał.

— Czy wuj pewien, że Serafin jest bankrut?

— Tak samo pewien jestem, że on bankrut, jak że ty niepotrzebny romans rozpocząłeś z kupcówną — odparł profesor. — A tego nie wiesz, że najgorsze romanse są właśnie w tych sferach, gdzie je biorą na seryo. U góry to chléb powszedni, nic sobie z nich nie czynią, a stary Rehmajer!!! ho! ho.

Zmilczał Bolek, profesor za kapelusz wziął i jeszcze raz dodał.

— Z tego domu im rychléj tém lepiéj trzeba uciekać... mówię ci.

— Niech wuj będzie spokojny — szepnął Bolek, który już był ubrany i zabierał się także do wyjścia.

— Idziemy razem? — rzekł stary.

— Nie, kochany wuju, ja jeszcze mam wstąpić.

Profesor chrząknął znacząco.

— Zatém, kłaniam uniżenie.

Nałożył kapelusz i wyszedł powoli. Bolek też spiesznie sposobił się do wyjścia. Raz tylko jeszcze przejrzał się w zwierciadełku, suknie starannie poociągał, uśmiechnął się do siebie i rękawiczki rozpatrzywszy, począł je nakładać.

Wyglądał wcale paniczykowato, choć miał zaledwie trzydzieści kilka złotych w kieszeni. Twarz jego od niejakiego czasu nabrała była wyrazu śmielszego i szyderskiego, nawet doktor Bazyli, spotykając go zdala na ulicy dostrzegł, że dawny kolega musiał wygrać jakieś terno na loteryi życia, tak teraz stąpał zamaszysto i patrzał z góry na świat Boży.

Dowiedzieć się wszakże od pana Bolesława o jego zamiarach i planach, nie mógł nikt, przed każdym kłamał co innego.

Wyrwawszy się z kamienicy pana Rehmajera, Bolesław szybko pospieszył ku środkowi miasta, bacząc pilno, aby go znajomi nie widzieli. Szedł pod murami i z pod oka oglądał się na wszystkie strony. Z jeszcze większemi ostrożnościami, raczéj wpadł niż wszedł do domu, w którym piękna wdowa mieszkała. Tu jak się zdawało, musiał być dobrze obeznany z miejscowością, gdyż przemknąwszy się przez dziedziniec niepostrzeżony, wpadł na tylne wschody ciemne i niemi na palcach dostał się, dyskretnie wprzód zajrzawszy czy kogo obcego nie ma, do pokoiku panny Giertrudy.

Stara faworyta pani siedziała nad jakimś stroikiem, igłę trzymając w zębach, zobaczywszy pana Bolesława, zmarszczyła się okrutnie, oczy jéj z pogardą cisnęły nań wzrokiem gniewnym.

Bolek przeciwnie uśmiechnięty, ugrzeczniony, witał nie wstającą nawet z krzesła pannę, jakby losy jego od niéj zależały. Nim on usta otworzył do powitania, panna dobywszy z ust igłę — poczęła.

— No, czego pan tu chce? o téj godzinie? jak to można tak przychodzić, wiedząc że pani nie przyjmuje o téj porze! O! to pięknie! żeby nas jeszcze skompromitować! Prawdziwie powiadam, że to się niegodzi! Co pan robi! co pan robi!

— Panno Giertrudo, dobrodziejko moja, słowo honoru — zawołał Bolek — nigdybym w świecie nie ważył się, gdyby nie jedna okoliczność tycząca się nie mnie, ale saméj pani, którą koniecznie widzieć muszę.

— Muszę? po co? — odparła Giertruda obchodząc się z nim bez ceremonii — co to za gadanie! Cóż to, ja dziecko jestem, żebym temu wierzyła? Z tego nic nie będzie. Ruszaj pan zkąd przyszedłeś! Jeszcze czego!

Stara panna była w coraz większym gniewie i oburzeniu, a Bolek napróżno się ją starał wyszukaną grzecznością rozbroić.

— Słowo pani daję — rzekł — pani niebezpieczeństwo grozi! ja się widzieć muszę, choć na minut parę!

— Nie można! — zawołała stara panna stanowczo — co nie można to nie można. Jakie pani może grozić niebezpieczeństwo, chyba ztąd, że asana tu niepotrzebnie

przyjmuje, ulitowawszy się nad jego szaleństwem.

Bolek rumienił się, ale stał i nie ruszał. Zwolna dobył liścik, który był po wyjściu profesora nakreślił na bilecie wizytowym, przewidując że może nie być dopuszczonym.

— Niech że pani choć to odda, a ja poczekam — odezwał się grzecznie.

Panna Giertruda zrazu wzbraniała się wziąć bilet, potém z gniewem wyrwała mu go z rąk i nie rzekłszy słowa wybiegła z pokoju drzwiami trzaskając.

Kilka minut Bolesław stał w izdebce panny Giertrudy, w któréj rumianek i miętę brzydko czuć było, rozpatrując się po rozrzucanych wszędzie różnych częściach ubrania. Rozpoznawał wśród nich eleganckie suknie pani Laury, które tu świeżość i formy zapewne odzyskiwały. Tak się zdawały dowodzić żelazka, igły, nici i kawałki różnych materyi porozrzucane po stolikach. Dziwném mu się wydało, że taka bogata pani mogła do takich środków ekonomicznych dla utrzymania elegancyi pozornéj się uciekać.

Wśród tych rozmyślań wpadła panna Giertruda czerwona, gniewna, jak gdyby świeżo żwawą walkę stoczyła, i nic nie mówiąc wskazała Bolkowi, aby szedł za nią.

Przeszedłszy sień ciemną, a potém zagracony przedpokoik, pełen różnych pudełek i kartonów, Bolesław znalazł się w znanym już sobie gabineciku, przytykającym do sypialni, dosyć staranie umeblowanym i przeznaczonym widocznie na jakieś tajemnicze posłuchanie. Tu nań w całym majestacie powagi swéj i wdzięków, oczekiwała

wyprostowana, z surowym bardzo wyrazem twarzy pani Laura. Uśmiech łagodny nieco tylko osładzał chmurne bóstwa oblicze.

P. Bolesław wszedłszy, z zapałem rzucił się do ucałowania ręki, którą mu, jak zawsze, podano z nigdy nie zdejmowaną rękawiczką.

— Pani hrabina mi przebaczy! — zawołał patetycznie ręce na piersi krzyżując — jestem natrętnym, ale mi nie o siebie chodzi! Ja mój wyrok z jéj ust usłyszawszy, poddałem mu się z rezygnacyą, dla mnie szczęściem jest już jedyném, że mi dozwolono, choć rzadko i chwilowo oglądać jéj anielskie oblicze, słyszéć jéj głos orzeźwiający i budzący do życia — ja!! ach!

Tu zamilkł chwilkę.

— Pani — tu o nią idzie!

— Ale cóż to być może? — cichutkim głosem odezwała się pani Laura.

— Ja co ją uwielbiam — mówił Bolek — mam prawo stać na straży, nawet szpiegować to co jéj szczęściu i spokojowi zagrażać może... Pani radczyni Dziembina — wiem o tém...

— Pani Dziembina, prowadzi tu nie bez celu swojego kuzyna, pana Serafina Brzuchowskiego...

Laura spuściła oczy, zaciąwszy mocno usta, zdało się, że coś bardzo ostrego odpowie, milczała jednak.

— Szczególny traf — ciągnął daléj — dozwolił mi wykryć tajemnicę, o któréj może i familia Dziembów albo nie jest uwiadomioną, lub, jeśli ją kryje, zasługuje na pogardę. Pan Serafin, który udaje bardzo zamożnego, i był

nim w istocie, jest dziś najkompletniej zrujnowanym, majątek jego licytują. On chce się ożenieniem ratować od zguby...

Słuchająca pani pobladła mocno, potrzebowała trochę czasu, nim się na odpowiedź zebrała, i oprzytomniawszy rzekła cicho, głosem, który chciał być spokojnym, a zdradzał wielkie wzruszenie.

— Za intencyą jego, bardzo panu jestem wdzięczną, ale pan się myli. Ja wcale nie dopuszczałam nawet żadnego zamiaru przyjmując tego pana. Uczyniłam to przez grzeczność dla radczyni. Jak że pan mogłeś pomyśléć, aby osoba mająca uczucia, serce, smak, mogła przypuścić nawet połączenie z człowiekiem... tak ordynaryjnym!!

Tu zamilkła, przełknęła, oczy przymrużyła i spoglądając na pięknego młodzieńca, który przybrał podstawę winowajcy — kończyła.

— Piękną jest pańska o mnie troskliwość, lecz trochę śmieszną. — Mówiłam panu mojego życia historyą, moje cierpienia, com doświadczyła! Nie mam wcale zamiaru nakładać na siebie więzów nowych, a serce zamarłe już się we mnie nie rozbudzi.

— Pani daruje — przebąknął Bolek.

— Owszém, wdzięczną mu jestem, ale — co za nieostrożność — dodała ciszéj z wymówką. O téj godzinie! Pan wie, kiedy mu pozwoliłam bywać i w jakich warunkach... Proszę się ich trzymać ściśle.

— A! pani! — przerwał Bolek — sama groźba stracenia jéj — litości, przeraża mnie...

Piękna wdowa spojrzała nań z uśmieszkiem i podała mu

rękę.

— Nie gniewam się — szepnęła cicho — przyjdź pan jak zwykle, lecz proszę pamiętać warunki. — Ostatnią razą...

Niedokończyła grożąc, Bolek odegrał konfuzyę i pokorę.

Kilka słów szepnęła Laura na pocieszenie, ścisnęła z lekka jego rękę, portyera już się miała spuścić i zakryć urocze zjawisko, gdy zwróciwszy się raz jeszcze, wdowa dodała.

— Na miłość Bożą, wychodź że pan ostrożnie!!

Bolesław, nie czując się już w obowiązku pożegnania panny Giertrudy, bo wiedział, że ta go cierpiéć nie mogła, wysunął się do sieni, obejrzał bacznie, na palcach przeszedł ciemne wschodki, zmierzył wzrokiem wprzódy dziedziniec, nim się z sieni wyjść odważył — i z wielkiemi ostrożnościami zmierzał ku bramie. Puszczał wzrok aż na ulicę, ubezpieczając się, że widzianym nie będzie. Lecz, trafiają się nieprzewidziane wypadki! w chwili gdy już miał wchodzić do bramy, dostrzegł od ulicy panią Dziembinę, którą Serafin pod rękę prowadził — cofnął się natychmiast, nie będąc, jak mu się zdawało, postrzeżonym. W istocie Serafin zajęty kuzynką, z którą żywą prowadził rozmowę, nie widział go, ale radczyni, któréj oczy nigdy nie próżnowały, zobaczyła znajomą twarz, co się z za muru wychyliła i znikła. Była najpewniejszą, że Bolka widziała, rumieniec wystąpił na jéj twarz, dziwna myśl przebiegła po głowie — nie dała po sobie poznać, iż uczyniła tak ważne odkrycie — i weszła na wschody, zachowując krew zimną, choć wszystko w niéj kipiało.

Powtarzała sobie po cichu. Co on tu robić może?

Miałażby Laura? ale nie — to niepodobieństwo...

Weszli z panem Serafinem na górę, tu, zwróciwszy się ku niemu, nim pociągnęła za dzwonek, pani Dziembina szepnęła towarzyszowi.

— Proszęż cię! poważnie! nie trzpiotaj się! ona tego nie lubi! Staraj się być seryo! Zmiłuj się.

Serafin pocieszne pokorną zrobił minę, złożył ręce, westchnął, oczy podniósł do góry, i skłonił głową na znak posłuszeństwa.

Drzwi się otworzyły — lokaj poszedł z biletami. Czekano chwilę.

— Pani prosi! — rzekł wracając sługa.

Weszli po cichu do salonu, tu nikogo jeszcze nie było. Szelest sukni niewieściéj oznajmił zbliżanie się pięknéj wdowy, która weszła z twarzą chłodniejszą, bardziej niż zwykle wyciągniętą, z ustami usznurowanemi.

Pani Dziembina uderzona była nadzwyczajną sztywnością gospodyni, i wyrazem jéj oblicza.

Jakiemiś wiadomostkami z bruku warszawskiego rozpoczęła się rozmowa obojętna. Parę razy wyrwał się Serafin z konceptem trochę niesmacznym, i natychmiast skarconym został wzrokiem kuzynki. Biedny szaławiła trzymał kapelusz w rękach, siedząc jak na torturach. Gospodyni mówiła powoli, mało, cicho, a z wyrazów jéj wiał chłód niewysłowiony.

Wzbudziło to niepokój w radczyni, która czując zmianę jakąś w usposobieniu Laury, rada była dowiedzieć się o przyczynie. Po niedługim przeciągu czasu zwróciła się zręcznie do Serafina i niby mu przypomniała, że miał iść za

jakiémś jéj poleceniem. W istocie pozbyć się go chciała. Brzuchowski tém łacniéj to zrozumiał, iż rad był zostać wyzwolonym. Wstał więc żegnając wdowę, która zaledwie nań spojrzawszy i skinąwszy mu głową, natychmiast się zwróciła do radczyni.

Drzwi ledwie się zamknęły za Serafinem, gdy Dziembina wstała.

— Droga Laureczko! co ci jest! jakże dziś przyjęłaś mojego nieszczęśliwego kuzyna?

Wdowa skorzystała z tego pytania, aby się pięknie zadziwić i zrobić tę znaną dobrze radczyni minkę naiwnie zdumioną.

— Kochana Lucie! czyż postrzegłaś we mnie jaką zmianę?

— A! ogromną? Biedny Serafin, który, mimo swojéj powierzchowności rubasznéj, jest niezmiernie uczuciowy i wrażliwy — będzie w rozpaczy.

Pani Laura spuściła oczy.

— Czy ci co o nim kto powiedział? — spytała pani Dziembina.

— Mnie? powiedział? ale któż mi mógł co powiedzieć, gdy nikt nie wie o twoim projekcie? — cicho przemówiła Laura. — Niestety robiłam z mojem sercem rachunek — droga Lucie! to nad moje siły! kochać nie mogę i ślubować nie chcę! nie — nie...

Radczyni ręce załamała.

— Nie podobał ci się — rzekła — ale to właśnie dla przyszłego szczęścia i spokoju było dobrém! Kochać nie chcesz i nie możesz, brałaś towarzysza i sługę...

Laura potrzęsła głową.

— *Impossible!* przecedziła przez ząbki.

— Ale wczoraj jeszcze ci się to zdawało możliwém?

— Sądziłam, że się przezwyciężę! — westchnęła wdowa. — A! nie, ślub mimo zupełnéj obojętności, pociągałby za sobą tyle wspomnień! tyle ofiar — serce by mi pęknąć musiało...

Słuchając pani Dziembina dziwnie potrząsała głową.

— Nie — rzekła — nie jesteś ze mną szczerą, nie chcesz mi prawdy powiedzieć — coś zaszło.

Znowu zdumienie wyraziła twarz wdowy, a po niém głuche milczenie. Radczyni siadła na krześle zadumana, podpierając się na ręku.

— Poddajmy go dłuższéj próbie — odezwała się — może z czasem.

— A! nigdy! — przerwała pani Laura. I po namyśle dodała cicho.

— Poszłabym może za mąż, tak, ale za człowieka starego, którego bym pielęgnować mogła, który by ani do uczuć nie rościł pretensyi, ani mi się narzucał — namiętnie. Pan Serafin jest za młody.

— Ale on będzie dla ciebie jakim ty zechcesz...

— A! nie, nie, z tego być nic nie może — odezwała się wdowa — proszę cię, nie mówmy o tém więcéj.

Usłyszawszy ten wyrok, Radczyni wstała widocznie dotknięta nim, pomięszana, ceremonialnie się zaczęła żegnać i odprowadzona aż do przedpokoju, wyszła zburzona, nie mogąc pozbyć się jakiegoś niedorzecznego podejrzenia, że twarz Bolka, którą zobaczyła w bramie,

była w jakimś tajemnym związku z tą odprawą.

Zapuściwszy woalik wyszła na ulicę pani Dziembina, i zaledwie kilka postąpiła kroków, gdy usłyszała głos męża za sobą.

— Zaczekaj, Lućko, zaczekaj!

Radzca podał jéj rękę grzecznie.

— Mam ci coś powiedzieć — szepnął jéj na ucho. — Tylko co się spotkałem z sędzią, najbliższym sąsiadem Serafina. Niech że go kat bierze, a toć to bankrut! On tu przyleciał jak waryat, niby się żenić, a jemu tam majątek licytują! Na miłość Boga, nie forytuj że go nigdzie — szczęście że się o Emcię nie zgłosił — o to bym capa skakał — ale ja go miałem za wesołego sobie, a porządnego chłopaka, a to jest ostatni urwisz!

Radzca mówił z zapałem.

— Urwisz! bo, proszę cię, tak piękny majątek puścić w przeciągu tak krótkiego czasu! Na co? jak? licho wie...

— Ale czyż to może być? — zapytała radczyni, któréj znowu osobliwe myśli krążyć zaczynały po głowie — czy to tylko prawda?

— Urzędowy fakt! biegałem się o tém przekonać! majątek odłużony po nad wartość — zawołał radzca — majątek który pradziad, dziad, ojciec powiększali... rodowe mienie. — Dziemba westchnął.

— Niechże mi się teraz na oczy nawinie! — odezwała się pani — dam mu dopiéro! Wiesz żem go mojéj Laurze swatała. Przez parę dni szło doskonale, zdawało się, że pójdzie za niego, ale musi miéć dobrych szpiegów ta „*Sainte-Nitouche*“. Dziś nagle dała mi rekuzę. Kiedy ten

sędzia przyjechał?

— Nie wiem, niedawno! — westchnął radzca boleśnie. Wchodzili właśnie do domu. Radzca poszedł do swojego pokoju, Dziembina przez troskliwość macierzyńską wprost się udała do mieszkania synów, gdzie właśnie p. Bolesław dawaniem lekcyi był zajęty. Chciała mu zajrzéć w oczy.

Od owego listu, który widziała w rękach Laury, miała go w podejrzeniu i nienawiści, obchodziła się z nim ostro i szydersko. Dawne łaski zmieniły się w wypowiedzianą wojnę.

Wchodząc do dzieci, z dumną postawą pani domu, szukała jakiegoś powodu do niegrzecznego obejścia się z guwernerem i przypięcia mu łatki.

W progu stał Alfredek młodszy syn radczyni. — Schyliła się ku niemu matka, był to jéj Beniaminek.

— Dawno pan Bolesław przyszedł? — spytała.

— Pół godziny może...

Zbliżyła się ku stolikowi pani Dziembina.

— Pan się dziś spóźnił? — spytała.

— Dziś i wczoraj — odpowiedział Bolek z lekceważeniem.

— Moje chłopcy straciły u pana łaskę — szepnęła.

— A! pani — odezwał się Bolek — zdaje mi się że przeciwnie ja ją u państwa straciłem, a że mnie dłuższa nad miesięczną umowa nie wiąże, proszę o uwolnienie od pierwszego.

To mówiąc skłonił się mocno zarumienionéj pani.

Skinęła na synów aby wyszli — i odetchnąwszy z szyderskim śmiechem, rzuciła mu w twarz pani Dziembina.

— Pan zapewne prywatne lekcye spodziewa się dawać pani Laurze?

Bolesław się nie zmięszał nawet.

— Nie mam szczęścia jéj znać — odparł.

Chłopcy widać pobiegli z oznajmieniem do ojca, gdyż we drzwiach ukazał się radzca niespokojny.

— Pan Bolesław daje nam odprawę! — rzekła szydersko pani Dziembina.

— Cóż się stało! co takiego! — zawołał gospodarz — to nie może być!

— Przepraszam pana radzcę — począł z dumą Bolesław, człowiek mojego wychowania, urodzenia i klassy, nawet gdy go okoliczności zmuszają przyjąć stanowisko podrzędne musi stać na straży godności swojéj. Nie miałem szczęścia podobać się wszystkim w tym domu, nie mogę dopuścić aby ze mną obchodzono się jak z pierwszym lepszym bakałarzem. Żegnam więc państwa.

To mówiąc wziął za kapelusz, z powagą wymuszoną skłonił się stojącéj pani, potém osłupiałemu gospodarzowi, i z wyrazem dumy obrażonéj, prędko się ku drzwiom skierował.

Na drodze spotkał pannę Emmę, któréj nic nie mówiąc ukłonił się tak dziwnie jakoś, iż stanęła nie wiedząc co miało znaczyć to pożegnanie, i z podniesioną w górę głową, z uczuciem wielkości swojéj — opuścił, krokiem tragicznym przebiegając pokoje — ów statek, który miał zatonąć. Przykład szczurów, wspomniany przez profesora, silnie mu się w umysł wraził.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

ŁADNY CHŁOPIEC.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM II.

WARSZAWA.
Nakład Maurycego Orgelbranda.

1879.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 8 Ноября 1879 года.

193

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska № 20.

I • II • III • IV • V • VI • VII • VIII • IX

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

I.

We wspaniałym salonie niedawno otwartego hotelu Europejskiego, czyniono wielkie przygotowania do uroczystego obiadu, wedle wszelkich reguł i zwyczajów, wszystkim inauguracyom, jubileuszom i przyjęciom właściwych.

Starszy kelner mający zwierzchni dozór nad zastawą stołu na dwadzieścia kilka osób, z głową ufryzowaną upomadowaną i włosami przedzielonemi artystycznie, we fraku czarnym, w bucikach lakierowanych, przechadzał się rozpatrując w zastawie, aby jéj nic zarzucić nie można.

Spojrzenie nań obudzało zaufanie. Mąż był lat średnich, acz może klasycznie nie piękny, ale z takim wyrazem ufności nie zachwianéj w siebie, z taką powagą patrzący na świat, tak pełen taktu i wytrwałości iż o szaréj godzinie można było omylić się o jego pozycyi socyalnéj i wziąć go za gatunek hrabiego pośledniejszego rodzaju. Coś Don-Żuanowskiego miał téż w sobie, dającego się domyślać, iż tkliwe serca niewiast chodzących ze szczotkami i ścierkami, pożerać musiał tuzinami. Chód jego, postawa, maniery, czy ręce trzymał w kieszeniach, czy je zakładał za siebie, czy jedną z nich wpuszczał za kamizelkę — miały taki *chic*, iż po nim edukacyą zagraniczną poznać było łatwo i domyślać się w nim polyglotty. W istocie jegomość ten mówił źle po polsku, nie dobrze po niemiecku, szkaradnie po francuzku, ohydnie po angielsku i niewiem

już jak po rusku. Rozmówić się jednak mógł z każdym, jeśli nie jednym z tych języków, to kilku z sobą umiejętnie połączonemi.

Ponieważ nazwisko jego krajowe, pospolite zapewne, brzmieć musiało za nadto trywialnie, znano go tu pod imieniem *Monsieur Jacques*.

W téj chwili właśnie pan Żak spoglądał na złoty remontuar, który dobył z kamizelki czarnéj z podkładką białą, i spokojnie nazad utopiwszy go w kieszeni, w zwierciadle przypatrywał się tak ogolonéj brodzie, jak gdyby na niéj nigdy nic nie rosło, i tak uczesanym bakembardom, w kształcie olbrzymich kotletów, jak gdyby w Londynie były obstalowane.

Około stołu nie było już nic do czynienia. W pośrodku jego stał wazon przepyszny porcelanowy ze świeżym bukietem od Hozera, dwa pomniejsze, lecz równie artystycznie ułożone, ustawione były po rogach. Między niemi cukierki na srebrnych gieridonikach, wśród których piorunujące widać było — biszkopty i na talerzykach desery, z sympatyczną ułożone skrzętnością. Żaden talerzyk i miseczka nie ważyły się wyjść za linię oznaczoną. Równie sympatycznie ustawione były kieliszki obiecujące jakie sześć gatunków win, nie licząc szampańskiego. Począwszy od malutkich, do wcale sporych, miały one wszelkie pożądane rozmiary. Butelki wina czerwonego i białego jak policyanci na warcie rozpuszczone były pomiędzy nakryciami. Serwety kunsztmistrz pewien poskładał na talerzach w najfantastyczniejszych kształtach łódek, kapeluszów, pugilaresów, popisując się z niesłychaném

bogactwém wyobraźni.

Wszystko to cieszyło Żaka, bo pod jego okiem i kierunkiem dokonane zostało. Mógł już ręce teraz w tył założyć i chodzić spokojny w sumieniu, ale nie uczynił tego jedynie ażeby nie zmiąć mankietków karbowanych, u których przepyszne guzy talerzykowate wydatne były. Na rękach też pierścieni dużych, rycerskich nie brakło; pierścieni, których każdy niemiec szanujący się wkłada kilka przy każdéj uroczystości.

Chociaż stół istotnie czarodziejsko i olśniewająco wyglądał, niepodobna wyrazić z jak filozoficzną obojętnością na ten przepych i wytworność patrzał mąż co już wiele przeżył podobnych obiadów i widział ich ruiny.

W jego wyobraźni malowało się może już to, w co stół po kilku godzinach się miał obrócić — plamy czerwonego wina, pstrocizny sosów, pomięte serwety, powywracane solniczki, ogołocone desery, obłamki chleba — jedném słowem Baltazarowa ruina.

Vanitas vanitatum! Patrzał na rozłożone drukowane kartki z rejestrem nieuchronnych potraw, niezbytym łososiem z holenderskim sosem, nieuchronnym groszkiem zielonym i lodami, nie czując apetytu ku żadnéj z tych potraw, które codzień powonienie jego łechtały i stały się dlań nieznośnemi. Na tapiokę nieszczęśliwy patrzéć nie mógł, wąchał i jadł ją codziennie. Znał też wszystkie tajemnice szampana i rzeczywistą wartość win, w których najlepsze były etykiety. Z góry spoglądał na to — Vanitas vanitatum!

Żak rozumiał już tylko jeden dobry, prawdziwy Cognac

— reszta była dlań złudzeniem, któremu uwodzić się nie dawał. Był to, jak mówią francuzi — *un homme serieux*. Dla tego i w sosy nie wierzył, nazywając je blagą.

Przeszedłszy się razy kilka po sali, i wysławszy podwładną służbę po zapasy wina, sam, poły fraka rozłożywszy szeroko, siadł Żak na kanapie. Miał prawo do tego. Był znużony, oczy mu się kleiły, spędził część nocy bezsennie, a drugą — nie w swém mieszkaniu. Ziewał niemal życiem znudzony, nie miało już ono dlań wdzięku, nie posiadało tajemnic, w hotelu uczy się najlepiéj filozofii praktycznéj. Nie wierzył w ludzi Żak — nadto wielu obojéj płci oglądał w szlafrokach. Marzył tylko teraz o nabyciu kiedyś podobnej instytucyi i exploatowaniu jéj na własną rękę, podrzędne acz dystyngowane stanowisko, jakie zajmował — nieodpowiadało już jego ukształceniu, zdolnościom i poczuciu godności osobistéj.

Z pewną dumą Żak przypominał sobie kolebkę swą, młodość, maluczkie i skromne karjery początki, i genialne prawdziwie zużytkowanie szczęśliwego składu okoliczności, które go wyniosły do dostojeństwa pierwszego kelnera w wielkim hotelu. Przypomniał sobie owe brudne izdebki na folwarku w majątku hrabiów, gdzie ojciec jego ekonomował, bosonogie swe wycieczki do inspektów, walki z indykami, boje staczane z gęsiami, placki które mu matka dłonią macierzyńską dawała, bizun ojcowski i tajemnicze wędrówki do kredensu hrabiów. Tu on po raz pierwszy, stawszy się ulubieńcem starego kamerdynera, nabrał gustu do stołowéj zastawy, wtajemniczony został w kredensowe ustawy i prawidła, tu

zlizując talerze uczył się rozróżniać sosy i gardzić ich zwodniczemi wdzięki.

Wszystko to teraz jak we śnie przechodziło przed jego oczyma... Ciężkie zapasy z abecadłem, pracowita czytania nauka, pasowanie się z piórem nieposłuszném, potém, przez miłość niezależności i swobody, ucieczka ze szkół i rzucenie się na fale losów niepewnych. Potém przykry powrót przymusowy do rodzicielskiego folwarku, gdzie go na ławce twardéj wyciągnięto. Z niezachwianym umysłem, Żak przypominał, jak powtórnie drapnął i nieoparł się aż zagranicą, jak nowicyat odbył u niemców, wędrował, podróżował, doskonalił się w hotelach szwajcarskich, praktykował w Paryżu i Londynie, aż nareszcie wrócił na ziemię ojczystą, zbogacony doświadczeniem, przynosząc jéj swych studyów owoce. Tu już nie zastał ani rodziców, ani rodziny, ani spadku żadnego, jedyny brat gdzieś się zapodział — nic go nie wiązało do niczego, panem był siebie.

Długo marzył Żak, iż nastręczy się zręczność zdobycia jakiegoś serca wdowiego, oprawnego w złoto, mającego mu drogę dalszą utorować do fortuny ktoréj pożądał — z tych jednak marzeń wyleczyła go rzeczywistość. — Serc do zdobycia były massy, ale wszystkie bezposażne, postanowił się więc opierać tylko na sobie i własnym siłom zawdzięczać swe wyniesienie.

Właśnie drzémiąc przechodził myślą po strunach tych wspomnień, gdy drzwi się otwarły z trzaskiem, jakiego nie mógł się dopuścić nikt, chyba ten co za obiad miał płacić. W istocie wszedł był otyły, z brwiami ciemnemi, pysznéj

postawy mężczyzna we fraku, nie zdejmując kapelusza z głowy. Żak, wiedząc co sobie był winien, nie poruszył się zbyt szybko na widok jego, wstał z godnością powoli.

— A cóż monsieur Jacques? — zawołał wchodzący — wszystko jak należy?

Żak wskazał na stół ręką — jakby mówił. — Patrz, sądź, admiruj! jestem spokojny.

Amfitrion poszedł ku stołowi, i z wyrazem ukontentowania go obejrzał, wziął do ręki menu — i począł się w niém rozpatrywać.

— O! — zawołał — Punch a la Romaine nie postawiony!

— To nie moja wina.

— Melon, w miejscu — mówił gospodarz z miną znawcy — jarzyny bardzo dobrze, w końcu. Jeden ten punch opuszczony, a bez niego nie ma przyzwoitego obiadu.

— Jeśli pan Bombastein każe, dopiszemy go — rzekł Żak.

— No, już choćby dopisać.

W tym punkcie rozmowy, ukazał się we drzwiach adjutant p. Samuela, pułkownik, ogolony świeżo, we fraku ze wstążeczkami, z włosami zgarniętemi na łysinę, uśmiechnięty — miły, oczyma łakomemi pożerający stół.

— Cóż powiesz? spodziewam się, że będzie *comme il faut!*

— Pan dobrodziéj nigdy inaczéj nic nie robisz...

— Ty, wiesz pułkowniku, ja mam gusta pańskie: to darmo, lubię żeby wszystko było arystokratycznie. Niech

kosztuje co chce...

— Cha! cha! — rzekł adjutant — bo też to pięknie będzie kosztowało!!

Pokręcił głową.

Bombastein pochylił mu się do ucha.

— Chateau Lafitte po 5 rubli — a Schloss-Johannisberg to ci się nie przyznam, bo mi wstyd.

Bombastein obszedł stół do koła.

— Przyzwoicie, nie ma przepychu, ale gust jest.

— A! gust jest! — powtórzył pułkownik.

— Tak! tak — zacierając ręce dodał Bombastein — widziałeś sam, długo byłem bezczynnym, nie tykałem żadnego interesu, ale miałem oko na wszystko. Ażeby interes miał rozgłos i zjednał sobie urok u ludzi — żeby go od razu postawić na stopie należytéj, nie wadzi nigdy posłużyć się imieniem i powagą arystokratyczną. Co chcesz! tacy są ludzie. Etykiety potrzeba, inaczéj najlepsze wino nie smakuje. W tym celu pochwyciłem to hrabiątko tułające się, i zaopiekowałem się niém.

Wprawdzie on nie występuje z tytułem, ani z prawdziwem nazwiskiem, ale ja na ucho rozpowiadam wszystkim kto i co on jest. Ta tajemnica ma urok! Ludzie są głupi! Ale interes, w którym stoi hrabia taki incognito, a ja jestem niby wspólnikiem tylko, ma fizyognomią, obudzą ciekawość. Akcye pójdą jak po maśle.

Przy tém bo mój pomysł złoty. Towarzystwo eksploatacyi lasów krajowych! Pyszna rzecz! Wiadomo, że wszyscy handlujący drzewem porobili fortuny, oprócz tych tylko, co z własnéj winy albo z dobréj woli bankrutowali...

Pułkownik słuchał z uwielbieniem i ustami otwartemi.

— No — przyznaj, że wprowadzenie do interesu jako osi, tego hrabiego incognito — jenjalne! A i on! i on, co za spryt! jakie znalezienie się, i jaka hrabiowska prezencya!!

— To prawda — odezwał się pułkownik.

— Wszyscy się domyślają, że jedną z moich córek dam za niego — rozśmiał się Bombastein. — Może i to być, ale Flora nie chce, a Leonia téż nosem kręci.

Pułkownik głową na to pokręcił.

— Na to będzie czas — rzekł Bombastein — niech wprzódy interes idzie, potém zobaczymy. Co do moich panien, zmuszać nie będę, ale za innego iść nie dam!

Szeptali tak jeszcze poufnie, gdy do sali wszedł pan Bolesław. Tak — on to był, lecz rokiem czasu upłynionego, nadzwyczaj na korzyść zmieniony, ubrany z elegancyą niezmierną i wielkim smakiem, ze szkiełkiem w oku, z zegarkiem w kieszeni, z pugilaresem nie pustym — wesół, szczęśliwy i jeszcze siebie pewniejszy niż za dawnych czasów. Wyładniał téż był jeszcze, choć trochę blado i zmęczono wyglądał.

Bombastein powitał go jak syna, pułkownik z przyjacielskim uśmiechem. Bolek przez szkło patrzał na stół z uwagą.

— *Ce n'est pas mal!* — rzekł chłodno. — Pierwszy tu raz jem w tym hotelu, ale mi się podoba urządzenie. Dosyć mają gustu.

— Ja to właśnie mówiłem pułkownikowi — gust mają. Ten kelner co był w Londynie, jakże go zowią?

— Żak — poddał pułkownik.

— A tak! Żak, to chłopak z intelligencyą.

— Niespotkałem jeszcze ani jego, ani jego zastawy — odezwał się Bolek — ale w istocie, zdaje się znać na rzeczy.

— Mówi coś sześciu językami — dodał Bombastein.

— Nieosobliwie — wtrącił pułkownik — ale śmiało.

— Więcéj mu nie trzeba — zawołał Bombastein — śmiało! zawsze śmiało, na tém sztuka życia polega...

Pułkownik ruchem głowy i rąk wyraził uwielbienie dla mistrza. Bombastein na stronę odprowadził Bolesława.

— Wiesz, kochany hrabio — może się na mnie gniewać będziesz — ale nie prosiłem profesora Maciórka. Byłby się chwalił wujostwem swém, które jest przypadkowe, a nam ono nie potrzebne.

Bolesław skłonił głowę na znak przyzwolenia.

— Jabym go sam nie prosił — rzekł krótko. — Po co?

— Tak, ludzi wpływowych, majętnych, tych co mogą pchnąć nasz interes, rozbębnić, wystawić go w świetle, jakie nam potrzebne — *a la bonne heure* — reprezentantów prassy, kapitalistów, należało zebrać, profesor chodzi tylko po restauracyach i kawiarniach i nigdzie nie bywa.

— Masz pan słuszność — rzekł Bolek — ja wcale o nim nie myślałem.

— Jeżeli się pogniewa — dodał Bombastein — sprawię mu śniadanie, tu nie byłby w miejscu.

Goście zaproszeni schodzić się zaczynali. Jak zapowiadał p. Samuel byli to ludzie wpływowi na giełdzie, obywatele ziemscy obracający kapitałami, dziennikarze i gębacze salonowi.

Tym którzy p. Bolesława nie znali, Bombastein go

przedstawiał.

— Mój spólnik, pan Hrabia Tęczyński, na którego znakomite zdolności najwięcéj rachuję.

Na stronie opowiadał pan Samuel fantastyczną historyę tego wspólnika, potomka znakomitego rodu, zmuszonego nieszczęśliwemi okolicznościami do rzucenia się na pole pracy, wykształconego wysoce, mającego potężną głowę finansową i t. p.

— To jest prawdziwy reprezentant, podpora interesu, w nim i na nim leży wszystko! — dodawał. Ja się znam na ludziach, zobaczą panowie co to jest za olbrzymia potęga intellektualna!

Bolesław z większą niż dawniéj bezczelnością odegrywał rolę swoją; miał instynkt w znajdowaniu się z ludźmi tak, jak każdego z nich charakter i usposobienia wymagały. Nazwisko, fiziognomia były dlań dostatecznemi wskazówkami.

W salonie zaczynało się robić gwarno, brakło jeszcze osób parę, które się zawsze opóźniać były zwykły. Dwa razy Żak przychodził zapytywać czy tapiokę i *purée de volaille* podawać można, Bombastein czekał jeszcze, nikogo nie chcąc obrazić, wreszcie nadeszli opóźnieni i towarzystwo zajęło miejsca.

Pierwszy kwadrans upłynął na odżywianiu się i rozmowach pomiędzy sąsiadami; dopiero gdy madera i Sherry a po nich pierwsze kieliszki sił dodały, towarzystwo się ożywiać i głośniéj rozprawiać zaczęło. Bolesław mający przy sobie młodego i zdolnego dziennikarza, starał się z czasu korzystać i rozwijał przed nim świetne swe plany

działalności stowarzyszenia.

Bombastein, chociaż zajął miejsce u stołu, wstawał i pilnując zarazem kieliszków, gości i porządku, pochylał się kiedy niekiedy przy główniejszych przedstawicielach opinii, aby zwrócić ich uwagę na programm towarzystwa, jego doniosłość i zyski jakie akcye obiecywały. Rada nadzorcza połyskiwała wspaniałemi imionami. Wszyscy się zgadzali na to, że interes miał wielką przyszłość.

Obiad przy tém znajdowano wytwornym i zaszczyt przynoszącym równie Amfitrionowi, jak hotelowi, w którym położył zaufanie.

Zdala Monsieur Jacques z tą miną angielskiego lorda, chodził starając się, aby podkomendni jego pełnili swój obowiązek sumiennie.

Nadszedł *punsch a la romaine*, ta pauza dająca żołądkowi nabrać sił do pracy nowéj — półmiski następowały po sobie nie dając czekać. Około pieczystego p. Samuel z powagą powrócił na krzesło swoje, zbliżała się chwila stanowcza. Pan Seleri, finansista, znany z oratorskiego talentu, porozumiawszy się oczyma z gospodarzem, wstał z kieliszkiem szampana w ręku. Na widok kędzierzawéj głowy jego, zrozumieli wszyscy na co się zbierało, a że gwar panował wielki, zaczęto nożami dzwonić w szklanki i sykać. Uroczysta cisza zwolna rozpostarła się w sali — Monsieur Jacques stał oparty o stół kredensowy, ciekaw czy w Warszawie umieją przy kieliszkach prawić mówki jak w Londynie.

Pan Seleri jedną ręką opierał się na stole, drugą kieliszek wznosił ku górze...

— Panowie! — odchrząknął — pozwoli czcigodne zgromadzenie, abym tu wzniósł zdrowie szanownych firmowych, którym nowe stowarzyszenie byt swój jest winno, pana Samuela Bombastein i hrabiego Bolesława Tęczyńskiego... Niezmierna ważność tego przedsięwzięcia, które inicyatywą tych dzielnych dwóch skojarzonych sił, wchodzi w życie, wielkie jego znaczenie dla kraju, dozwala ideę Towarzystwa uważać raczéj jako przedsiębiorstwo patriotyczne niż prostą spekulacyą. Przestać należy nam, dawać się wyzyskiwać obcym przybyszom, trzeba powołać własne kapitały do działania, wlać życie w ekonomiczne stosunki.

Tu splątał się nieco mówca, otarł usta serwetą, i czując że może już było dosyć — dokończył.

— Zatem z całego serca, szczęść Boże i wiwat firmowi nasi!

Wszyscy z ogromną wrzawą podnieśli się, pijąc zdrowie z entuzyazmem, Bombastein dawał się ściskać, Bolesław poważnie ręce wyciągał i dziękował. Niektórzy już podweseleni życzenia indywidualne w jędrnych dołączali wyrażeniach.

Gdy mówca pan Seleri imię hrabiego Bolesława wyrzekł, Monsieur Jacques, stojący dotąd dosyć obojętnie w postawie dramatycznéj, ruszył się jakby go co ukłuło, na palcach przeszedł na inne miejsce i z wielką ciekawością począł się Tańczyńskiemu przypatrywać. Włożył nawet nieznacznie na nos cwikera, a po chwili zrobił minę osobliwą, jakby rozgryzł niespodzianie ziarnko pieprzu. Uśmiech jakiś niezrozumiały usta mu wykrzywił.

Właśnie w téj chwili Bolesław z powagą podnosił się z kieliszkiem także, a Bombastein z oczyma w niego wlepionemi, sąsiadom nakazywał milczenie, szepcząc.

— Tsyt! będzie mówić!

— Panowie, dźwięcznym głosem począł spólnik p. Samuela — panowie! Należne składając dzięki czcigodnemu radzcy, i całemu gronu życzliwych naszemu przedsiębierstwu obywateli, którzy nas zaszczycić raczyli uznaniem, niech mi wolno będzie w kilku słowach oznaczyć myśl i cel, jaki nami kierował, gdyśmy powzięli zamiar stworzenia tego stowarzyszenia. Czcigodny kolega mój, pan Bombastein, mógł dla kraju i dla siebie uczyniwszy wiele, na laurach dobrze zasłużonych spoczywać — ja miałem przed sobą zawód inny. Okolicznościami zmuszony sam na siebie i swe siły rachować, nie spodziewałem się ich na téj niwie zużytkować. Jedynie dobro kraju, zacofanego w ekonomicznym względzie, na łup oddanego eksploatatorom obcym, potrzeba powołania go do życia — rządziły zarówno p. Bombasteinem, jak mną. Mamy więc nadzieję, że kraj poprze usiłowania nasze, i wspólnie z nami udział weźmie w towarzystwie.

Uwłaszczałbym szanownemu gronu łaskawych nam i życzliwych, rozszerzając się niepotrzebnie nad wielkiemi korzyściami, jakie z tego stowarzyszenia na kraj spłynąć mogą. Są one dwojakiéj natury — moralne i materyalne.

Pierwsze wyżéj ceniemy nad drugie. Zostawieni sami sobie, pozbawieni wpółdziałania duchowego i materjalnego współobywateli, nie pochlebiamy sobie abyśmy wiele

uczynić mogli: — opieramy się na tym cudownym instynkcie i poczuciu potrzeb i obowiązków, którymi kraj nasz się zawsze odznaczał. Zatém zdrowie naszych stowarzyszonych i tych wszystkich, którzy staną w szeregach bojowników spokojnéj, uczciwéj pracy!!

Z nadzwyczajnym zapałem przyjęto mowę Tanczyńskiego, któréj wyrażenia może nie wszystkie były zrozumiałe i jasne, ale zawierały nieochybne owe czarodziejskie słowa, u nas zawsze i wszędzie do serc przemawiające. Orator naplątał ogólników przepospolitych, ale umiał osmarzyć je temi ingrediencyami, których skutek nie chybia nigdy.

Bombastein słuchając zaledwie mógł pohamować swe uwielbienie i zachwyt, tak że zaledwie Bolesław postawił kieliszek, chwycił go rozczulony w objęcia.

Trzeba przyznać że mowa, z siebie czcza i nie wiele zawierająca treści, była wypowiedziana z taką elegancyą, aplombem, wyrazistością, iż słuchać jéj miło było.

— Mówca z niego niepospolity! — szepnął wpływowy dziennikarz, do siedzącego obok finansisty.

Monsieur Jacques, który zdala słuchał także z uwagą wielką, po ukończeniu mowy powiódł ręką białą, opierścieniowaną po pięknych swych włosach.

Wszczęła się rozmowa ogólna, o stowarzyszeniu, a Bombastein wyjaśnił ile już lasów i puszcz mieli zapewnionych; dając zarazem uczuć, że gospodarstwo leśne, którego podniesienie leżało w interesie stowarzyszenia, zaniedbaném przezeń nie będzie.

Nie było w ogóle oponentów przy stole, wszyscy

wyrazili sympatyą dla idei i obmyślonych środków jéj wykonania. Bolesław imponował ośmielony rozwijaniem teoryi swych i wykazywaniem jakie kupcy zagraniczni ogromne zyski ciągnęli z handlu drzewnego. Ktoś poruszył kwestyę smoły i terpentyny, nawet ulepszonych pieców, a Tanczyński okazał się i w tym przedmiocie przygotowanym i oświadomionym.

Dla profanów miał właśnie tyle pochwytanych wiadomostek, ile ich potrzeba było, ażeby im dać wielkie pojęcie o głębokiéj nauce, któréj niemiał. Zastępowało ją zuchwalstwo olbrzymie, nieustraszone, zamykające usta nawet tym, co wiedzieli więcéj. Na świecie wiara w siebie i umiejętność sprzedania się należą do najgłówniejszych tajemnic tego co się — szczęściem nazywa. Kto sam siebie nie ceni i nie chwali, tego ludzie z pewnością, wyjąwszy chyba malutką garstkę — ani oszacują ani podniosą.

Mundus vult decipi.

Wrażenie jakie czynił młody socyusz firmowy na całem towarzystwie, skupiającem się około niego, było tak wielkie, że pyszny ów ober-kelner nawet oczów z niego nie spuszczał. Patrzał nań, patrzał i nie mógł się napatrzéć, miny jakieś robił, bakenbardy pociągał, prostował się, przechylał — był widocznie pod urokiem bohatera dnia, tak że może nie dosyć dawał baczności na podkomendnych, którzy za parawanikiem Lafitt’a pili szklankami — od acana do acana.

Przy deserze pan Bombastein był już pewien sukcessu. Ten i ów brał tyle a tyle akcyi, inni obiecywali je umieścić.

Zagadnięty przez dziennikarza o swą przeszłość, hrabia

zwierzył mu się poufnie — że i tytułu i nazwiska rodowego rzeczywistego rodzice jego jeszcze się wyrzekli z powodu majątkowéj ruiny, którą ofiary dla spraw ogólnych kraju — ściągnęły na nich.

Wzdychając opisywał w idealnych barwach rodowe gniazdo swe — mówił o wspomnieniach przodków, a zarazem szlachetną poruszony ambicyą, wyznawał iż miło mu jest być restauratorem i wskrzesicielem świetnych dni familii, o własnéj sile.

Czy dziennikarz wszystko to brał za dobrą monetę, wyrozumiéć było trudno, lecz słuchał przy kawie tych fragmentów z historyi przeszłości z zajęciem wielkiem.

Na drugą rękę pan Bombastein jeszcze jaskrawiej i pyszniéj rozpowiadał o wspólniku. Myliłby się jednak ktoby sądził że w gronie tak harmonijnem na pozór, nie było ukrytych dysonansów. Na liście zaproszonych figurowało kilka osób, które Bombastein zyskać sobie pragnął — zdawna mu niechętnych, choć stosunków z nim nie zrywali.

W liczbie tych był niejaki Morzyński stary już człek, właściciel kilku domów a niegdyś wielkiego browaru, człek wielce złośliwy, a zupełnie niezawisły, rozporządzający znacznemi kapitałami i pół bankiera, Raupach, łysy, hulaka, który cierpiał z dawna coś do Bombasteina.

Dwaj ci panowie, znając swe usposobienia, w czasie obiadu zdala, naprzeciw siebie siedząc, oczyma znaki tylko dawali, a gdy do kawy poruszyli się z miejsc wszyscy, zeszli się zaraz we framudze od okna.

— Raupach, cóż ty na to? — spytał ex-piwowar — hę?

— Komedya, i dobrze odegrana, słowo daję — rzekł bankier oglądając się. — A pan ile akcyi bierzesz?

— Albom głupi? ani jednéj! — zaśmiał się Morzyński. — Za kogoż ty mnie masz? Bombasteina znam doskonale, a w jego towarzystwo i hrabiego wcale nie wierzę.

— Hę? alboż Bombastein? — spytał Raupach.

— *Fertig* — cicho szepnął po niemiecku, mrugając oczyma Morzyński. Sławi się, udaje zrejterowanego z kapitałami miljonera — a jeśli mu co zostało, to chyba niewiele bardzo. Tajemnicą to dla innych — ja — wiem...! Cała nadzieja na téj spekulacyi, gdy ta się nie uda — pluśnie.

Raupach głową pokiwał.

— Nie sądzę — rzekł — o ile wydaje się naiwny i głupi, z pozwoleniem, o tyle ma sprytu i zręczności.

— Jak że to ty rozumiesz? — spytał Morzyński.

— Zaraz ci się wytłómaczę — odparł Raupach — Bombastein mądrych nie zwiedzie, ale prostaczków i pospolitych ludzi bałamucenia ma talent prawdziwy. A że tych na świecie najwięcéj...

Kiwnął głową.

— W takim razie — rzekł Morzyński — szkoda utalentowanego młodzieńca.

— Hm — rzekł Raupach — coś mi się wydaje wart Pac pałaca...

Zaczęli się śmiać. Lecz, p. Samuel, który dostrzegł ich a parte przy oknie, tknięty niepokojem jakimś, szybkim ku nim zbliżył się krokiem. Raupacha poklepał po ramieniu.

— Cóż ty mnie obgadujesz, stary wrogu? — zaśmiał się.

— A ha! w rogu, istotnie — odparł pół-bankier — w rogu jestem, ale nie wrogiem. Interes się świetnie prezentuje, alem go nie pojął dobrze. Któregoś dnia przyjdę do p. Samuela do kancelaryi i rozpatrzę się w niéj bliżéj.

— Właśnie o to ja wszystkich proszę — zawołał Bombastein śmiechem nadrabiając — a p. Morzyński?

Ex-piwowar ściągnął usta.

— Co ty chcesz odemnie — rzekł — ja oprócz browaru, który porzuciłem, żadnego interesu nie rozumiem. Tyle wiem, że się wasz pysznie prezentuje! złocisto — jak *pilsner*.

Zaczął się śmiać, Bombastein wtórował.

— Bylebyś akcye wziął! — dodał.

Niechcąc ani obiecywać, ani odmówić, Morzyński skręcił w lewo.

— Zkądże u licha wziąłeś tego hrabiego? o piwie Tęczyńskiem słyszałem, ale o hrabi?

— Ano, widzisz, nosa mam! — odparł gospodarz! ho! ho! nieprawda że hrabia mój! Niepospolita intelligencya.

— Gada pięknie — rozśmiał się Morzyński, jeśli tak będzie robił, winszuję...

Odwołano gospodarza.

Raupach poszedł do likworu.

Dziennikarz się zbliżył do piwowara.

— Znakomity obiadek! — rzekł puszczając dym z cygara — co za wino!

— Co za dziw! akcyonaryusze za to zapłacą! — rozśmiał się Morzyński.

— Cóż pan sądzi o przedsiębierstwie tém — zagaił

grzecznie dziennikarz — radbym się oświecił w téj kwestyi.

— Ja? ja? — zapytał Morzyński — pan nieznasz mojego systemu? Ja o towarzystwach akcyjnych sądzę dopiero przy pierwszéj dywidendzie i to przejrzawszy rachunki.

— Praktycznie — rzekł dziennikarz.

W drugim końcu sali Monsieur Jacques, który z widzenia znał pułkownika, sprawiającego obowiązki adjutanta przy p. Samuelu, ośmielił się go na bok odciągnąć. Pułkownik był niezmiernie popularny, i niczyjem towarzystwem nie gardził.

— Może pan pułkownik pozwoli jeszcze kieliszeczek Schloss-Johannisberg? to się rzadko pić zdarza! Nie fabrykowane, słowo daję. Z pieczęcią Metternicha!

Pułkownik aż się uśmiechnął, ale zarazem obejrzał. Żak biorąc za przyzwolenie wdzięczny wyraz jego twarzy, nalał mu prędko kieliszek, i oddając go pochylił się do ucha.

— Pan pułkownik pozwoli zapytać? co to jest za hrabia Tęczyński, ten młody?

— Spólnik pana Bombasteina! — rzekł adjutant.

— Tak — to ja wiem, ale zkąd on jest? z których stron?

— A! tego to ja niewiem! — rzekł popijając pułkownik! — myślę, że z krakowskiego chyba?

— A zkądże się on wziął tu? — pytał dyskretnie kellner.

— Słowo panu daję — tyle tylko wiem, od Bombasteina — mówił pułkownik — ale z ust samego Bombasteina, że mu go zarekomendował niejaki profesor... bodajże go! a! Maciórek, który ma być wujem jego, czy coś.

Kellner uderzył się obiema dłońmi białemi po nogach...

— Maciórek! alboż profesor jest tutaj? tu w Warszawie?

— zawołał z uśmiechem.

Pułkownik spojrzał nań zdziwiony.

— A pan go znasz?

— Dawniéj, dawniéj — odparł kellner. — Jest on tu?

— A jest i mieszka — rzekł dopijając wino pułkownik.

Jakby więcéj już mówić niechciał, skłonił się nizko kellner. Twarz jego jaśniała wesołością, któréj nie dawno jeszcze śladu na niéj nie było. Rzucając starego pułkownika, chwycił tackę z likworami, i po raz pierwszy tego dnia poszedł z nią sam osobiście do pana Bolesława. Ten był właśnie zajęty mocno rozmową z wpływowym wielce księciem Dydakiem, którego mu polecił Bombastein. Rozprawiali nader żywo, gdy kellner stanął z tacką przed niemi, ofiarując likwory. Zarazem wpatrywał się w Bolesława tak pilno, jakby szczególne w nim obudzał zajęcie.

— Pan pozwoli?

Tańczyński posunął tackę do księcia, ale książe podziękował, żadnego nigdy nie używał likworu... Bolesław chciał wziąć Curaçao.

— Pan hrabia — możeby wybrał Chartreusę, ja za tę ręczę — szepnął kellner.

Bolesław obrócił się ku niemu, i oczy ich po raz się pierwszy spotkały. Kellner miał na twarzy wyraz takiéj jakiéjś czułości, ciekawości, zajęcia, iż Bolek został nim uderzony, ale przypisał go wrażeniu mowy, która mu się znakomicie, zdaniem jego udała.

Wziąwszy Chartreusę, Bolek podziękował skinieniem głowy, a kellner odszedł, likwory i kieliszki rzucił niemal

na stół z pewnym rodzajem lekceważenia. Stanął przy drugim stole, nogę założył na nogę, obu rękami oparł się z tyłu o blat, i z podniesioną głową, wpatrzył się w żyrandol wiszący u sufitu.

Było coś tak poetycznego w jego postaci, iż gdyby go naówczas nawet zawiadująca hotelem niemka, pod któréj kluczem była cała bielizna, ujrzała, padła by ofiarą tych posągowych kształtów i wyrazu twarzy, importowanego z Londynu.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Józef Ignacy Kraszewski.*

II.

W kawiarni do któréj profesor Maciórek zwykł był na szachy uczęszczać, dnia tego od dymu cygar i papierosów było aż ciemno. Musiano pootwierać wszystkie lufciki, nie grożące przeciągami, ale to nie wiele pomagało. Stary pedagog siedział zamyślony przed szachownicą, z porozrzucanemi figurami. Nie rozjaśniło jego czoła nawet znakomite zwycięztwo świeżo odniesione nad wcale niepospolitym graczem.

Nie miał w téj chwili naprzeciw siebie nikogo, stała tylko prawie wypróżniona i wystygła filiżanka kawy czarnéj. Chmurne, zmarszczone oblicze profesora świadczyło o jakiemś niepowodzeniu czy trosce. Zatopiony w marzeniach, ani się spostrzegł, gdy krzesło opróżnione naprzeciw niego, zajął mężczyzna małego wzrostu, garbaty, z krótko ostrzyżoną głową podługowatą i twarzą żółtą, niemiłą ale pełną ognia i sprytu.

— Budzę pana profesora! — odezwał się garbus.

— A to pan! panie Sanermann! do nóg upadam! — odparł Maciórek.

— Zagramy partyjkę? — spytał garbus.

— Bardzo chętnie.

Zaczęto ustawiać figury.

— Cóż to pan nie na obiadku owym sławnym u Bombasteina? — spytał profesor kwaśno.

— Ja? ja? — rozśmiał się garbaty — trafiłeś jak kulą w

płot. My z nim jesteśmy, jeśli nie na noże, to jakże by to powiedzieć? na... na... na... choćby na widelce! kolemy się o i ile możemy!

— A! zawołał profesor — niewiedziałem.

— Dziś tam u niego obiad inauguracyjny — rzekł Sanermann — obiad dla smakoszów!

— A tak — rzekł profesor wzdychając — ze wszystkiemi szykanami.

— Czego ma żałować! wróci mu się to na akcyach — mówił Sanermann. Szczęśliwa bestya, sam on nic by nie zrobił, bo go mają za dudka, ale sobie zkądeś wygrzebał spólnika.

— Zkąd wygrzebał? — przerwał z uśmiechem ironicznym Maciórek. — Spytaj pan mnie! To ja mu go dałem, ja, ja!

Profesor bił się w piersi.

— Pan? jakim sposobem?

— Takim, że ten chłopak jest mi bardzo blizki, i żem mu go oto tu, w tém samém miejscu zaprezentował, poznajomił ich z sobą. I dla tego, widzisz pan — rzekł tonem w którym czuć było gniew utajony — dla tego ja dziś na ten obiadek smakoszów *nie* byłem proszony!

— Jeżeli mówię o tém z niejaką goryczą — dodał Maciórek — proszę wierzyć, że nie o obiad mi idzie, ale o despekt... Jadło się w życiu dosyć obiadów. Ale żeby téż IMPan Bombastein nie raczył sobie przypomnieć tego, który mu dał ową perłę, i owa perła żeby nie raczyła starego, blizkiego krewnego mieć w pamięci — to oburza!

Garbaty spojrzał bystro.

— Co pan chcesz? Bombastein jest furfant jakiego świat nie widział, szalbierz, oszust, nawet sprytu wielkiego nie ma, tylko szczęście osobliwe. Drugi by na jego miejscu dawno koziołka wywrócił. — Ale, ja się taki doczekam tego że i jego zobaczę bankrutem.

— Nie życzę nikomu źle — rzekł poważnie pedagog — jest to przeciwko zasadom moim, ale gdyby mu los dał nauczkę, nie gniewałbym się.

— Los? na co tu losu? — przerwał garbus — czekaj pan, ja mu taki nogę podstawię! Czyham na to i z tém się nie kryję.

Zaczynali już grę, gdy Sanermann nagle rękę odjął od pionka i spytał.

— Pan z tym hrabią młodym jesteś w stosunkach?

Profesor uśmiechnął się.

— I krwi i opiekuństwa. Mogę powiedzieć że bezemnie nie stąpi.

Garbaty od szachów wstał i przyszedł pod bok Maciórka przysiąść się na kanapie. Pochylił mu się do ucha.

— Bombastein jest bankrut, nie ma nic, świeci do czasu — rzekł cicho — zwodzi młodego chłopca, może mu w perspektywie córki ukazując, i posagi. Tam posagów żadnych nie będzie, albo takie o których mówić nie warto. Co się ma młody człek marnować. Przestrzeż go pan. Ja mu dam miejsce z lepszą daleko perspektywą, z majątkiem czystym jak na dłoni. Gdy temu panu odbierzemy prawą rękę, kozła wywróci! słowo daję!

Garbus mówił to z takiem przejęciem, gorączką, chwytając za ręce profesora, przyciskając się do niego, że

Maciórek nieco się natarczywością jego zmięszał.

— Dajmy sobie ręce, profesorze, do szlachetnéj zemsty i zdemaskowania oszusta! — dodał Sanermann. Pan jesteś pokrzywdzony.

— Jestem pokrzywdzony — zawołał profesor. — Nie idzie mi o obiad, proszę wierzyć, choć dobry, piękny obiad ze wszystkiemi szykanami ma wartość swoją, idzie mi o despekt, o lekceważenie!

Sanermann popatrzywszy mu w oczy, począł z rodzajem ironii.

— Obiad w pierwszéj restauracyi — umyślnie chodziłem, mam tam znajomych, dowiedzieć się — zadysponowali na dwadzieścia kilka osób! Wina najwyborniejszych gatunków, Schloss-Johannisberger, Lafitty stare — węgrzyn półwieczny... Wymysły wszelkie.

— A na zupę, nie wiesz pan? — zapytał zamyślony Maciórek.

— Pewnie *purée* ze zwierzyny... — rzekł Sanermann. — Czego sobie mają żałować.

— Nie, ja powiadam panu — odezwał się pedagog, im dłużéj się na świecie żyje, tém człowiek nabiera większéj wzgardy dla swych bliźnich i obrzydliwości. Najnikczemniejszą niewdzięcznością wypłacają się ci, których obsypujemy dobrodziejstwami.

— Proszęż pana, ten obiad. Cóż? ja dawny profesor gimnazyum, dymisyonowany w stopniu majora, niegodzien byłem zasiąść u stołu z jakiemiś tam.

— Faktorami giełdowemi i ex-piwowarem — dorzucił Sanermann. — Tak, to jest uchybienie, to krzywda krwawa,

nieprzebaczona. Ja na pańskiém miejscu pomściłbym się, odbierając mu tego hrabiego.

— Tak, nie będzie to łatwo — rzekł Maciórek. — Trzeba by mu coś dać w perspektywie.

— Słuchaj że profesorze — krzyknął, chwytając go za rękę silnie garbus — ja mam na sercu zemstę. Ja uczynię wszystko co mogę, aby temu oszustowi nogę podstawić, o co idzie? Widziałem zdala tego hrabiego, śliczny panicz, jak lalka.

— Chłopak, choć malować — dodał Maciórek.

— Ja mu dam pannę ładną i bogatą, z wysoką protekcyą.

— Jakże ty mu ją dasz?

Na to zapytanie Sanermann nie odpowiedział prędko, ścisnął rękę profesora palcami długiemi i kościstemi.

— Ja z panem będę mówił otwarcie — rzekł krztusząc się. — Panna wychowana ślicznie, ładna jak anioł, młoda, ale miała w życiu, jakby to powiedzieć — nieprzyjemności. Pan jesteś bez przesądów? — dodał Sanermann.

— Nie mam żadnych — odparł profesor — a posag?

— Dobra wartości kilkukroć sto tysięcy rubli, bez długu, i protekcya znakomita.

Szepnął mu coś na ucho.

— Zapewne, może pański hrabia powiedzieć — a nuż mnie nie zechce? Otóż ja proponuję dla pewności, niech nie zrywa z tym oszustem, dopóki słowa miéć nie będzie? hę?

— Ślicznie — rzekł profesor.

— Tylko trzeba, żeby się umiał kochać i romansować — dodał garbaty — panna tego wymaga.

— E! to fraszka — szepnął Maciórek — on ma do tego

taką zdolność, że się może we trzech naraz kochać szalenie!

— A więc — chwytając znów za rękę profesora wołał Sanermann — a więc? zgoda! Mów mu pan, nakłaniaj go, ja go zaprezentuję, polecę, poprę, zrobię co potrzeba.

Maciórek głową dał znak przyzwolenia i wyciągnął rękę, którą garbus uścisnął.

— Sprawa tego obiadu mnie oburza — począł siadając znowu do szachów Sanermann — nie jest że to podłość, nikczemność!! Obiad na którym pan pierwsze miejsce zająć byłeś powinien.

— Ale, choćby ostatnie — podchwycił profesor — do tego miałem prawo. Obraza honoru! Mnie, to tam gdzieś do jakiéjś dziury zaprosi, we cztery oczy, jakby się wstydził, i da mi spalone pieczyste i omlecik, a tam na bażanty i trufle jam niegodzien.

— To jest świństwo — rzekł wyraziście Sanermann.

— A oprócz tego podłość! — dorzucił Maciórek.

— Dla tego powinieneś się pan pomścić i razem szczęście kuzyna zapewnić.

— Bądź pan pewien, zrobię co tylko jest w méj mocy. Najlepiéj by jednak było, abyśmy się gdzieś razem zeszli na pogadankę i rzecz tę omówili obszernie i otwarcie. Wiesz pan co! Pojutrze zaproś nas na dobre śniadanko, choćby do Stępkowskiego, co ci tam?

— Z duszy serca! — zawołał Sanermann rękę wyciągając — na godzinę pół do dwunastéj.

— Zgoda...

Garbus spojrzał na zegarek.

— Patrz że pan — odezwał się — godzina przeleciała

jak z bicza trząsł! Muszę iść. Pojutrze u Stępkowskiego, pół do dwunastéj punkt, czekam.

Skłonił się i wyszedł spiesznie. Maciórek rozsiadł się na kanapie, miał teraz wiele do myślenia, zemsta mu serce wyjadała. Przedstawiał sobie ciągle ten obiad nienagrodzony, te delikatesy, tego łososia, zwierzynę, deser, nowalie, oblane najczystszym sokiem z win najprzedziwniejszych — klął w duchu. To nie do darowania.

Rozmyślania nad obiadem trwały tak długo, tak opanowały biednego emeryta, iż nie postrzegł się gdy noc nadeszła.

Bolesław, wychodząc z hotelu po téj uczcie Baltazarowéj, po drodze do nowego swego mieszkania miał kawiarnię w któréj wuj siadywał. Mijając ją spojrzał w okno, zobaczył starego na kanapie, a że był w błogim stanie poobiednim, gdy człowiek się niczego nie lęka, wszedł, z postanowieniem rozmówienia się i wytłómaczenia.

Na widok jego Maciórek pobladł.

— Jak się profesor ma! — wesoło zagadnął siostrzan — cóż tak samotny?

Profesor piorunującym go zmierzył wzrokiem.

— A! samotny — rzekł — tak! gdy panowie właśnie życia sobie używacie rozpasawszy się. Wiem! wiem! Tak to starym?

— Kochany profesorze — rzekł Bolesław — cóż gniewasz się czy co? Za co? że Bombastein cię nie prosił? Do mnie to nie należało, robiłem uwagę tę p. Samuelowi iż powinien wuja zaprosić, odpowiedział mi — co on tu

będzie robił między finansistami?

— Co będzie robił — krzyknął profesor — na obiedzie! A, to mi się podoba! byłbym jadł, ale dla tego trutnia Bombasteina, ja jestem za małą figurą. Tfu! podły! nikczemny!

Bolesław widząc wybuchający gniew stanął chłodny, czekając aż się nieco osadzi i ukoi.

— Ale bo profesor się gniewa!

— Jak się nie mam gniewać — zawołał Maciórek — nie szło mi o ten wasz kiepski obiad. Jechał go sęk i z obiadem! Jest to uchybienie, despekt, lekceważenie. Wielka mi figura, pan Samuel! wielcy mi mężowie ci jego goście! Ja mu to odwdzięczę.

— Mówił mi Samuel — dodał chłodno Bolek, że — wuja nie prosił abyś się nie nudził i wyraźnie mi wspominał, iż osobno chce go wziąć na obiadek poufały...

— Tak, tak, poufały! znam te obiadki — rozśmiał się złośliwie Maciórek — rosół z makaronem, sztukamięsa biała z chrzanem, potrawka z wczorajszych kurcząt z białym sosem, groszek zielony z marchewką i pieczyste z pieca przyskwarzone. Butelczyna kwaśnego węgrzyna i pół porteru! Znam! znam!

Splunął z pogardą, nie potrzebuję obiadów jego, tego bankruta.

Rozśmiał się Bolek.

— Zkądże bankruta? — zapytał.

— Spuść się na mnie — bankrut, łajdak, oszust, nikczemny człek — w kompromitujący sposób rozpalając się zawołał Maciórek.

Wybuch ten jednak niewczesny, za gwałtowny, natychmiast pohamował, zmiarkowawszy iż jego powadze i charakterowi nie przystał. Napił się wody, usta zaciął, włosy poprawił — zamilkł.

Uczyniło to wrażenie pewne na panu Bolesławie. Usiadł naprzeciw wuja.

— Z waćpanem — odezwał się Maciórek — mam wiele do pomówienia, ten człowiek wprost cię chce exploatować — ja tego nie dopuszczę.

— Jestem zaangażowany — począł Bolesław — to trudno.

— Zobaczysz, że to się okaże i łatwém i korzystném — rzekł zniżając głos profesor. — Pojutrze, uważaj to dobrze, o godzinie pół do dwunastéj bądź u Stępkowskiego.

Pochylił się ku niemu osłaniając rękami.

— Twój Bombastein dobry był do wyprowadzenia cię na świat, ale tam nie ma nic do zrobienia. W najszczęśliwszym razie, chuda fara i panny nie najpiękniejsze, a posagi homeopatyczne. Ja ci dam pannę milionową, piękną i od razu byt niezależny.

Bolek drgnął z podziwienia.

— Żartuje profesor? — rzekł.

— Najprawdziwsza prawda. Będziesz miał prawo póty nie zrywać z tym oszustem, aż tam się wszystko upewni — O co ci idzie?

— Gdzież? co?

Profesor wstał, jakby wychodzić chciał.

— Pojutrze o pół do dwunastéj u Stępkowskiego, wszystko się wyjaśni — dodał — dziś na tém dosyć.

Nagle zmienił ton.

— Dobry był obiad? — spytał.

Bolesław trochę zakłopotany mruknął. — Niezły.

— Prawda to, że wina były nadzwyczajne?

— Na winach się znam mało.

— Pasztety? bażanty? trufle? hę? — badał oczyma zaiskrzonemi wpatrując się w Bolka Maciórek. — Sybaryty przebrzydłe! Muren wam by jeszcze potrzeba ciałami niewolników karmionych — języczków pawich! I to wszystko zamknąwszy się między czterema ścianami, jeść samym a profanom i pokosztować nie dając.

Z oburzeniem żachnął się Maciórek.

— To podłość! — dodał w stół uderzając — na to niema wyrazu w języku.

Bolek obawiając się i wyrzutów i dłuższéj rozmowy, nim profesor wyszukał parasol i kapelusz, pożegnał go.

— Za tém pojutrze u Stępkowskiego.

— O pół do dwunastéj, proszę nie chybić — odezwał się Maciórek.

Parasol głęboko się gdzieś zawieruszył, trzeba było zawołać chłopca, profesor zmęczony gniewem padł na kanapę. W kawiarni coraz już mniéj osób było, zdala tylko dochodziło stukanie kul bilardowych i gwar pozostałych opóźnionych graczów. W téj chwili bardzo elegancki mężczyzna, z angielskiemi bokobrodami, w świeżym kapeluszu, z laską wspaniałą w ręku, zupełnie nieznany profesorowi, wszedł do pokoju wolnym krokiem. Rzucił na kanapę wejrzenie, odwrócił się, stanął i wpatrzył pilnie w profesora. Maciórka niecierpliwiło to jakieś impertynenckie

mierzenie go oczyma, chciał wyjść.

— Za pozwoleniem pana dobrodzieja — rzekł zdejmując kapelusz gość przybyły — wszak mi się zdaje, że mam honor mówić z panem profesorem Maciórkiem?

Stary niezmiernie się zdziwił i począł bacznie wpatrywać w mówiącego. Na żaden sposób go sobie nie umiał przypomnieć.

— Tak jest — odpowiedział przybierając powagę większą jeszcze niż zwykle — ale nie przypominam sobie?...

Profesor z nadzwyczajną pilnością badał nieznajomego, chcąc przynajmniéj z oznak zewnętrznych domyśléć się, z jakiego rodzaju człowiekiem miał do czynienia. Nadzwyczaj było trudno coś stanowczego wyrzec o tém, młody jegomość miał ubranie nader wykwintne i gustowne, wszystko świeże jak z igły, suknie krojem wytwornym, łańcuch od zegarka z medalem i medalionem, kamizelkę z podkładką, rękawiczki glansowane, laskę z gałką kosztowną, na jednym ręku pierścienie świecące... Rysy też twarzy nie wydawały go, były, tak sobie, pospolicie przystojne i ułożone do wyrazu uprzejmie grzeczno-dumnego.

Mógł to więc być zarówno bankier, artysta, rzemieślnik wyższego rodzaju i człowiek salonowy i — nie wiedziéć kto zresztą, bo dziś niemal wszyscy są do siebie podobni, i pretendenta do tronu hiszpańskiego nader trudno od porządnego szewca rozpoznać.

Profesor więc nie wiedział jak się miał znaleźć, osobistość była lub zdała się być zamożną — co zawsze

obudza uszanowanie — ale na Serafinie tak się był zawiódł niegodziwie? Najprędzéj, pomyślał, mógł to być znowu jeden z dawnych uczniów jego.

Siedzący naprzeciw zagadkowy człowiek, uśmiechał mu się ciągle.

— No, panie profesorze, czyż mnie pan nie pozna? — powtórzył.

— Słowo daję! niepodobieństwo.

— Niech no pan dobrze w myśli poszuka? — rzekł przybyły dobywając z eleganckiéj cygarnicy hawańskie cygaro, które poufale Maciórkowi zaofiarował.

— Nie mogę, nie, nie mogę sobie przypomnieć, nie mam wyobrażenia...

— Niech pan w dawniejsze lata sięgnie myślą, kiedy pan jeszcze Tańczyńskich i siostrę swą odwiedzał?

Zdumiał się Maciórek.

— Co u licha! — zawołał — nie rozumiem.

— Więc pan Kubcia nie pamięta? — odezwał się piękny jegomość.

— Kubcia, jakiego Kubcia? — rzekł profesor. — Juściż nie tego łotra, wisusa, który zbiegł od rodziców i który gdzieś przepadł marnie.

— A widzi wujaszek — rozśmiał się nieznajomy, że nie przepadł ów Kubcio, bo oto go masz przed sobą.

Profesor podskoczył na kanapie.

— Ty! Kubcio! a, do kroć sto tysięcy, nie może to być.

— Ale tak jest! tak jest! — śmiał się elegant. — Mam na to dowody.

— Ty, brat Bolka — krzyknął profesor.

— Pst — przerwał Kubcio — nie mówi się Bolka, ale pana hrabiego Tęczyńskiego, nie trzeba mu psuć interesów.

Maciórek osłupiał, padł na kanapę, ręce załamał, milczał i oczów nie mogąc odwrócić od wspaniałego siostrzeńca, wpatrywał się w niego w niemém zachwyceniu.

— To cud! — zawołał nareszcie — gdzieżeś był? co robiłeś? czém się zajmujesz? mów... ale naprzód, niechże cię uściskam...

Rzucił mu się na szyję Maciórek, gdyż z powierzchowności wnosząc widział, że tu z pewnością jakiś obiadek i śniadanko się okroi. Po uścisku i nim Kubcio przyszedł do słowa, Maciórek uczuł potrzebę w krótkości oznaczyć swoje położenie, aby siostrzana w błąd nie wprowadzać.

— Widzę cię — rzekł z głębokiém westchnieniem — wnosząc z powierzchowności, dzięki Bogu w dobrym stanie — a ja! ja! Zmarnowałem życie i talenta na téj mizernéj profesurze, z lichą pensyjką, z któréj ledwie z biédą wyżyć mogę, wyszedłem starości dokołatać na pół o głodzie! Cóż ty porabiasz?

— A, kochany wujaszku — rzekł śmiejąc się Kubcio — jestem na drodze do dorobienia się czegoś, ale i ja dużo przecierpiéć musiałem.

Gdym drapnął z domu, tułałem się, służąc po hotelach!

Maciórek ręce podniósł do góry.

— Tak — tak — mówił Kubcio — co było robić. Praktycznie wyuczyłem się po niemiecku, nabrałem wprawy w służbie hotelowéj.

Tu fiziognomia Maciórka przeciągać się zaczęła.

— Z Niemiec dostałem się na naukę kelnerską do Szwajcaryi, bo tam hotele są systematycznie prowadzone — i wiele można nabrać wiadomości. W Szwajcaryi nauczyłem się po francuzku i wprawiłem trochę w język włoski. Gdzież później nie bywałem!! w Paryżu, Londynie, Glasgowie, Edinbourgu — nareszcie zatęskniłem za krajem i przyjąłem miejsce ober-kelnera tu w Warszawie.

W czasie opowiadania profesor spadał z wysokości, zachmurzył się, upokorzony oczy spuścił, zaniemiał.

— Niech-że sobie wujaszek wystawi moje podziwienie, ciągnął daléj M. Jacques, gdy dziś nadzór mając nad stołem przy obiedzie, posłyszałem o Bolku jako o hrabi — i dowiedziałem się, że i wujaszek tu. Dopytałem zaraz gdzie profesor bywa, aby go co najrychléj uściskać i pokazać, że Kubcio nie przepadł.

Maciórek słuchał pogrążony. Europejskie pojęcie o społeczném położeniu ober-kelnerów, którzy najczęściéj przechodzą na posiadaczy hotelów i milionerów niekiedy — jeszcze mu było zupełnie obce — Kelner zdawał mu się istotą tak upośledzoną, tak nizko na drabinie społecznéj stojącą, że siostrzeńca mu żal było. Dziwił się, iż kelner tak wyglądał wspaniale.

— Cóż to wszystko warto — odezwał się profesor — do czego to prowadzi!! Cóż ty się na téj drodze dorobić możesz, biedaku!!

Kubcio, śmiejąc się, podniósł głowę.

— A, słowo honoru daję profesorowi, dorobię się więcéj niż wujaszek na nauczycielstwie!

Schylił się do Maciórka.

— Co wuj myśli? kapitalik się już ma — teraz nawet nieszpetny!

Uderzył się po kieszeni.

— Czyż to może być?

— Jak mam honor mówić — dodał Kubcio — kilkanaście tysięcy rubli w dobrych papierach już sobie przyzbierałem!...

Maciórek oczy otworzył i głowę skłonił z uszanowaniem — śmiał się Kubcio i palił cygaro. W profesora głowie robienie majątku na kelnerstwie niemogło się pomieścić.

— Inny to teraz świat! — westchnął.

— Ale — przerwał Kubcio wesoło — widzę że i Bolkowi się dobrze wiedzie! Ho! to! Ten tak zaczął, że daléj zajdzie pewnie odemnie. Ja mu przeszkadzać nie będę. Jednak chciałbym się do niego zbliżyć i pomówić z nim. Nie mógłby mi profesor powiedzieć, gdzie on mieszka?

— I owszém — rzekł Maciórek — nie dawno właśnie na Nowy Świat się wyniósł. Oto już w przeciągu ostatniego roku trzecie mieszkanie, ale chłopak rośnie i musi się stosownie do pozycyi lokować.

Leżał na sercu jeszcze obiad profesorowi, tak że nie mógł się wstrzymać od wspomnienia o nim.

— Cóż ten obiad — rzekł — byłem i ja na niego proszony, ale mi się nie chciało iść, dobry był? pyszny?

Z miną znawcy Kubcio głowę skłonił.

— Obiad był, no, po formie — rzekł — ale żeby to miał być *un diner fin*, jakie w Paryżu i we Florencyi i w Londynie dla smakoszów dają wielcy kuchmistrze — nie

powiem. — Na oko można go było wziąć za coś wykwintnego, ale my, co się na tém znamy, wiemy, że etykieta wina nie poprawi. Wszystko tam było, ale dla takich gąb jak te co się tam karmiły, nie dla smakoszów! U nas panie niema ludzi coby obiadować i smakować umieli, to są ludzie, co jedzą.

Z lekceważeniem ober-kelner ręką machnął. Profesor słuchał z uszanowaniem. Znawstwo głębokie gastronomii podniosło w jego oczach człowieka...

Kubcio dobył pugilaresiku, w którym sobie zapisał adresy profesora i brata. Późna już była godzina, a Maciórek z podziwienia wyjść nie mogąc, rozpytywał, słuchał, wywiadywał się i kiedy niekiedy, jakby sam do siebie szeptał.

— Kubcio! no! któżby się to był spodziewał...

Rozstali się wreszcie serdecznie bardzo, Maciórek zwolna, myśląc o sobie, pociągnął do domu. Rachował poczciwiec, czy z tego siostrzeńca nie wyciągnie jakiéj realnéj korzyści. Na Bolku dotąd zawiódł się, miał że tak samo doznać zawodu na niespodzianie zjawiającym się, mianym za straconego Kubciu?

— Mógłby mnie czasem na cztery oczy w hotelu ugościć! Jego, by to nawet nic nie kosztowało.

Gdy profesor ciągnął na swą oddaloną kwaterę, Kubcio powracał, świszcząc, do hotelu, z rękami w kieszeniach. Bolek także zmierzał do nowego mieszkania, potrzebując sam z sobą uczynić rachunek sumienia i wyznaczyć sobie pewną na przyszłość postępowania drogę.

W ciągu roku, który upłynął, wiele się rzeczy zmieniło

dla niego, a zmiany wszystkie dotąd wyszły ku większemu pożytkowi jego.

Naprzód uwolnił się bardzo zręcznie od Arci, któréj gorące przywiązanie zaczynało być kłopotliwém i groźném. Na wschodach raz dopatrzyła coś przez okulary matka — i już to utrudniło stosunki, potém Arcia się przemówiła z siostrą, a siostra doniosła o tém, że biegała czasami na górę, nawet wieczorami i godzinami tam przesiadywała. Od matki dowiedział się ojciec, zrobił się w domu rejwach straszliwy i pannę zamknięto, a kawalerowi kazano się wynosić natychmiast.

Już mu téż, jako pracującemu w biórze naówczas u Bombasteina nie wypadało się mieścić na strychu, najął więc skromne na drugiém piętrze pokoiki w blizkości kantoru pryncypała. Arcia wprawdzie pisywała do niego listy — korespondencya jednak od pewnego czasu stygła, stawała się coraz rzadszą i komisioner nacierał tak, iż zdało się że panna wyjdzie za niego. Zaklinała się jednak, że choćby i poszła za niego, nigdy pięknego Bolka kochać nie przestanie. W tych warunkach miłość Arci była dlań nawet nader przyjemną.

Z domem radzców stosunki były zerwane, i Bolek z wielką się o całéj rodzinie wyrażał goryczą i ironią. Wkrótce po jego ustąpieniu w istocie zawikłały się tam interesy, nie doszło jednak do katastrofy żadnéj.

Przyjaciele dopomogli, Dziemba tylko stopę, na jakiéj dom utrzymywał, zniżyć musiał. — Panna Emma, wyręczając matkę na zdrowiu i humorze podupadłą, wzięła się do gospodarstwa, a chłopcami zajął się doktór Bazyli.

Chociaż zręcznie bardzo odsadził go był potwarzą od tego domu Bolek, doktór szczerém rozmówieniem się z dawnym ojca przyjacielem oczyścił się z zarzutów i w domu bywać znowu zaczął, bez żadnéj pretensyi dając lekcye i zajmując się chłopcami.

Zbliżyło go to do panny Emmy — co pani radczyni z przykrością zauważyła — lecz doktorowi nic zarzucić nie było można, a radzca poświęcenie się jego, prawość i otwarty charakter ocenić umiał.

Dla wychowania chłopaków był on nieocenionym, gdy dziś trudno już było do nich trzymać guwernerów; trzeba było oddać po prostu do szkoły. Zbywający czas od studyów po szpitalach poświęcał Bazyli chętnie roztropnym chłopakom, a jedno wejrzenie panny Emmy sowicie mu trud ten płaciło.

Mieli téż państwo Dziembowie w domu kłopot i ciężar nowy, gdyż musiał się do nich schronić Serafin, któremu majątek z licytacyi sprzedano, a o drugi z wierzycielami miał proces. Radczyni dała mu przytułek, radzca pomagał po sądach a tymczasem poczciwy Brzuchowski całe dnie spędzał po knajpach z porobionemi w mieście znajomościami i przyjaciółmi.

Z panią Laurą obrażona Dziembina zerwała zupełnie, a że i z wyższémi towarzystwa sferami zmuszoną była prawie zaprzestać stosunków — z niesmakiem o niéj i o nich mówiła — usiłując w średnich kołach grać rolę jakąś i rej wodzić.

Około pani Laury, po ustąpieniu p. Serafina, który się tam już nie pokazywał, pilno zabiegał bogaty, stary,

odpoczywający teraz przemysłowiec, którego na miliony taksowano. O człowieku tym rozpowiadano na ucho osobliwsze rzeczy, dziwne cienie rzucające na przeszłość, lecz plotki te nie miały podstawy, człowiek był bardzo bogaty i pani Laura dobrze go przyjmowała. Gbur to był i oryginał, lecz w salonie chodzić się nauczył, gburostwo milionera zwało się ekscentrycznością, brak form przypisywano charakterowi — i, mówiono że Laura wyjść za niego miała.

W salonie jéj w ciągu tego roku ukazywał się téż niekiedy i pan Bolesław, noszący tu tytuł kuzyna. Jakim sposobem odkryło się to pokrewieństwo nagle, nikt nie wiedział, lecz sama pani o niém upewniała i pan Bolesław prawie był domowym.

Widywano go tam w różnych godzinach, w takich nawet, które tylko blizkich krewnych odwiedzinom są stosowne. Wychodził niekiedy po północy, a zjawiał się bardzo rano.

Gdy milioner się oświadczył i został przyjęty, panna Giertruda uspokoiła się i nic już nie miała przeciwko niemu. Bolesław probował w imie kuzynostwa zużytkować starego jegomości, wkupując się w jego łaski, to się jednak nie udało. Oryginał ów przyjmował go grzecznie, lecz do spoufalenia się z sobą nie dopuszczał. Z domem Bombasteinów także nie miał pan Bolesław szczęścia. — Pryncypał był dlań pełen atencyi, ale obie panny chłodno i szydersko nawet go przyjmowały. Ostrzegał on ojca iż pannę Florę wirtuoz w okularach bałamuci, a pannę Leonię pewien literat, który do domu bywał wpuszczany.

Bombastein dziękował za przestrogi, ale się z tych

postrachów uśmiechał.

— Widzi pan — mówił na ucho Bolkowi — ja mam oko na wszystko. To nie jest niebezpieczne, Flora ma rozum i Leonka nie głupia. One to po mnie wzięły. — Żadna z nich nie pójdzie za człowieka bez zapewnionéj egzystencyi! Wierz mi pan. Tymczasem, że się sobie rozerwą z temi ichmościami — to jest w porządku naturalnym — (wyrażał się p. Samuel). Co pan hrabia chce, młodość ma swe prawa, ale to są dziewczęta rozumne.

I uderzał się w czoło pan Samuel.

— Rozum wzięły po mnie, a wychowanie im dałem, jak księżniczkom, ale co to kosztowało!

Każda rozmowa z Bombasteinem kończyła się nieuchronnie tą zwrótką. Co to kosztuje? co to kosztowało?

P. Bolesław czuł się do żywego tém dotkniętym, że w ciągu roku jego piękność zamiast coraz silniejsze czynić na pannach wrażenie, zupełnie się zdawała dla nich spowszedniałą. Chwytał czasami jakby dotkliwe żarciki z siebie, przelatujące w powietrzu!

W ciągu roku mnogie stosunki pozawierał był hrabia, porobił znajomości, a śmiałość z jaką występował, powierzchowność ponętna i przyzwoita, jednały mu sympatye.

Większa część osób brała go za prawdziwego hrabiego podupadłego, szepcząc, że go sobie Bombastein wykopał dla podpory w interesach. Nie wątpiono bynajmniéj, że jedna z panien była mu przeznaczoną, chociaż — p. Samuel — niedocieczony w tym względzie, mógł miéć inne projekta. Hrabia taki mógł mu być do prospektu i afiszów

potrzebny, ale żeby go miał do familii wcielać i Maciórka razem z nim! na to p. Samuel nazbyt był roztropnym i oględnym. Kto wie nawet czy w jego hrabstwo wierzył, choć je głosił drugim!

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Józef Ignacy Kraszewski.*

III.

Nowe mieszkanie pana Bolesława wcale do pierwszego pod strychem nie było podobném, ale się téż i okoliczności zmieniły. Pensya wspaniale mu naznaczona, dozwalała żyć na kawalerskiéj bardzo przyzwoitéj stopie.

Na drugiem piętrze miał salonik umeblowany wcale wytwornie i świeżo, pokój do pracy, chociaż tu nigdy nic nie robił, sypialny, przedpokój i ciupkę dla służącego. Miał bowiem służącego pan Bolesław. Rzecz nie do wiary ale prawdziwa. Czuł on, że go mieć już był powinien. Był to chłopak, łobuz uliczny, sprytny jak ogień, zepsuty jak owoc przez robaka nawiedzony, kłamca, łasy, ciekawy lecz w potrzebie prezentujący się tak przyzwoicie w czarnéj liberyi, z takim szykiem, iż go wziąć było można za wychowańca jakiegoś dobroczynnego zakładu.

Właśnie to cenił w nim nieskończenie p. Bolesław. On go rozumiał doskonale, nie skompromitował nigdy, a że sobie w wolnych godzinach pozwalał, że przed nim wszystko zamykać było potrzeba, że się czasem w cztery oczy zuchwale stawił i z tyłu panu język pokazywał, że powracał niekiedy, mimo bardzo młodych lat, spity jak stary, że bielizny pańskiéj nadużywał, drobne pieniądze zmiatał i t. p. to mu przebaczał p. Bolesław.

Umyty, uczesany, ustrojony w liberyą elegancką, chłopak był do zazdrości. Nadewszystko roztropny i pojętny, choć tych talentów na złe używał. Bez Jacusia już by się hrabia

teraz obyć nie mógł a Jacusiowi też tu nie źle było. Obrywał czasami, ale się to opłacało niezmierną co do obyczajów i moralności tolerancyą.

Od owych dni smętnych na strychu, gdy trzeba było samemu naprawiać krawaty — jakby wieki upłynęły. Oprócz umeblowania bardzo pokaźnego, mnóstwo kosztownych i ładnych fraszek ozdabiało pokoiki p. Bolesława. Były to — jak się domyślać godziło — podarki i pamiątki przyjacielskie. Powoli przynosił je pan Tańczyński ze swych wycieczek na miasto i ustawiał szczególniéj w owym gabinecie, co się pracownią nazywał...

Było tu wszystko co do pracy potrzebném i wygodném być może, w najśliczniejszym porządku, lecz zdawało się nietykane.

Kałamarze kryształowe, pióra złote, papiery z koronami, przyciski rzeźbione i malowane, wszystko to, nader symetrycznie pokładzione, miłe na oku czyniło wrażenie. W szafeczce nawet jakieś książki oprawne przeglądały. Fotel safianem obity, zdawał się nietkniętym przez nikogo.

P. Bolesław lubił porządek, i zapewne naruszać go nie chcąc, nic tu nie tykał.

Jeśli pracował, to w biurze — tu nie potrzebował się niczém zajmować. Rzadko też i gości przyjmował, lecz w razie potrzeby, saloniku zielonego rypsem przyozdobionego nie powstydził się.

Zkąd się to wszystko wzięło? Trudno i nam odgadnąć. — Tytułowi przybranemu hrabiego winien był młodzieniec przecie pewne względy — musiał się do niego przystrajać.

Nazajutrz było jeszcze tak rano, że Jacuś spał nawet w

swéj ciupce, gdy do drzwi dzwonić zaczęto w sposób najnieprzyzwoitszy. Posądzając, że o téj godzinie chyba jaki łobuz jak on mógł się takiego hałasu dopuścić, Jacuś się porwał nagotowawszy pięść i już otwarłszy drzwi miał nią gwizdnąć, gdy zobaczył profesora. Znał go już — stanął więc bosy, w koszuli, z włosami potarganemi, sam nie wiedząc jak się znaleść.

— Pan hrabia śpi! — rzekł.

— To go obudzę — odparł wchodząc profesor z miną surową.

— To się będzie gniewał, bo wczoraj od hrabinéj wrócił po północku — rzekł łobuz.

— A jak się będzie gniewał, to co? — zawołał profesor, i minąwszy Jacusia, który mu z tyłu swoim zwyczajem figę i język pokazał, poszedł wprost do salonu.

Obudzony Bolesław, słysząc kroki w salonie, nie mógł pojąć co się stało. — Spojrzał na zegarek, była siódma.

— Kto tam? — zawołał z łóżka.

— Ja! — rzekł idąc Maciórek — ja, interes pilny... Wstawaj!

Nie odebrawszy na to odpowiedzi, profesor usiadł w najwygodniejszym fotelu i wyciągnął się.

W chwilkę potém, w szlafroku aksamitnym, w mesztach tureckich, w czapeczce ślicznie szytéj na głowie — wyszedł p. Bolesław.

Maciórek, który go jeszcze nigdy w tym negliżu nie widział — pokiwał głową.

— Splendory! — rzekł — fiu! fiu! co za splendory! proszę ja kogo!

— Dzień dobry — odezwał się ziewając i siadając w drugiém krześle Bolek — a co tam?

Maciórek wskazał na drzwi ręką.

— Wypraw tego łobuza po kawę, ażeby nie podsłuchiwał — rzekł. — Każ przynieść na dwóch, bo i ja nie piłem. A żeby do niéj było albo kawałek baby, albo chléb i świeże masło.

Bolesław zwlókł się opieszale, otworzył drzwi i dał rozkazy Jacusiowi, który wnet był gotów do drogi. Na rano nie miał zwyczaju się umywać, dopiéro gdy brał liberyę około południa.

— No — cóż to tam pilnego? — spytał Bolesław.

— Pilne jak pilne, a dalipan nie wiem nawet z którego końca zaczynać — rzekł Maciórek.

Czy pamiętasz choć cokolwiek starszego brata Kubcia?

— Hę? Kubcia? — odezwał się Bolesław marszcząc zarazem i bledniejąc. — Jakiego Kubcia? Ten wisus się utopił czy umarł, niema go na świecie.

— Ale ba! — rzekł profesor — otóż ci zwiastuję tę nowinę, że wczoraj na waszym sławnym obiedzie Kubcio asystował jako ober-kelner.

Bolesław się zerwał z fotelu.

— Kłamstwo! — krzyknął — samozwaństwo! Jak to może być!

— A dla czegożby nie mogło to być! — spytał profesor.

— Jakto? ten, ten wyelegantowany błazen jakiś, co mi się tak przypatrywał? Jakże? Monsieur Jacques?

— Tak jest.

— A niechże to jasne pioruny zatrzasną! — krzyknął,

ręce łamiąc, Bolek — ta szelma mnie zgubić może...

— E! nie — rzekł Maciórek łagodnie — on téj intencyi nie ma; alem cię przyszedł uprzedzić, abyś go przyjął jak brata — bo rozgniewawszy go, podrażniwszy!

Gospodarz nie słuchając przestróg chodził po pokoju zrozpaczony.

— Ober-kelner! To ironia losu! to, to się tylko mnie trafić mogło — zawołał — ober-kelner!!

Maciórek nosa poczynał ucierać, dając mu czas wysapania się.

— Profesor go widział? gdzie? — zapytał z gniewem Bolesław.

— Tylko co wyszedłeś z kawiarni, gdy nadszedł tam. Musiałem mu dać twój adres, nie było sposobu, trzeba uniknąć awantury...

— Ale ja mu gotów jestem zapłacić, byle precz ztąd jechał — choćby do Ameryki.

— On już bodaj z końca świata powraca — mówił Maciórek — a cóż ty mu dać możesz, gdy on z pewnością więcéj ma od ciebie.

— Hę? — Pan Bolesław odwrócił się jakby niedosłyszał. — Co?

— Tak, tak, chwalił mi się kilkunastu tysiącami rubli. Człek jakiś stateczny — i — daj go katu, że sześcią językami włada, podróżował po całym świecie, a jak się na wszystkiem zna!!

Maciórek głową kręcił.

— Chciałem cię uprzedzić — bo ma być u ciebie.

Bolek padł na fotel jak zabity.

— Nie — zawołał — jeden z nas ztąd ustąpić musi. To nie może być!

Jacuś wracał z kawą, profesor dał znak milczenia. Bolesław zgryziony powiedział, że kawy pić nie będzie, Maciórek więc zabrał się do niéj tém gorliwiéj.

— Jeśli nie pijesz, to ja — rzekł — po takiéj przechadzce pieszéj, chyba już obie porcye skonsumuję, żeby się to nie marnowało, bo chłopca do łasowania i przysmaków nie godzi się nazwyczajać.

Przysiadł się więc Maciórek, a Bolek wszerz i wzdłuż chodził po salonie zrozpaczony.

Nawet Jacuś zaglądający przez szparę dojrzał, że pan był nie w zwyczajném usposobieniu i miał jakąś zgryzotę. To go jeszcze bardziéj źle dla profesora usposobiło.

Pierwszy pocisk odebrawszy, pan Bolesław czuł się jakby śmiertelnie ranny, stracił przytomność — teraz poczynał rozważać, rachować, myśléć o sposobach ratowania się.

Profesor chciwie kawę zapijał i sumiennie baby dojadał, aby nic Jacusiowi na polizówkę nie zostawić — a Bolesław latał wzburzony, najdziwaczniejsze obmyślając środki. Zdawało mu się w początku, iż przyznając się do wypadku p. Bombasteinowi, wyrobić może przez niego wydalenie tego samozwańca. Teraz przychodziło mu na myśl, że otrzaskany ze wszystkiém i doświadczeńszy od niego człowiek, co całą Europę zwiédził, znał środki i drogi, mógł się niebezpiecznym bronić rozgłosem — wojować z nim — było niepodobieństwo — trzeba go było rozczulić, ukołysać, zjednać, a przy podanéj zręczności, pozbyć się —

bądź co bądź.

Dla Bolesława był on wiekuistą groźbą, nieustającém niebezpieczeństwem — żyć z nim w jedném mieście — nie było podobieństwa. Mógł się wygadać, pochwalić — zdradzić. Na tę myśl włosy mu stanęły na głowie.

Właśnie od wczora nosił się ze świetnym projektem Sanermanna, o którego szczegółach miał się nazajutrz dowiedzieć — wszystko się składało tak szczęśliwie, a los rzucał mu ten kamień pod nogi...

— Kiedyż ma być? — spytał po cichu kończącego śniadanie profesora.

— A, tego mi nie mówił — odparł Maciórek — zapewne w któréj z godzin wolnych od obowiązku. Ledwiebym nie był zatém, ażebyś skarbiąc go sobie, sam poszedł się z nim rozmówić.

Bolek kiwnął głową. Choć pokora była dlań ze wszystkich cnót najmniéj przystępną — był do niéj zmuszonym. Kazał natychmiast przygotować do ubierania. Żyć w téj niepewności nie było podobna. Jacuś pobiegł do sypialni, profesor zapalił cygaro, i — kapelusz nałożywszy — dodał na odchodném.

— Jutro, pół do dwunastéj.

— Pamiętam — rzekł głosem zniżonym Bolek.

Nigdy staranny bardzo o strój swój pan Bolesław z takim się nie ubierał pośpiechem. Zaniedbał włosy, rąk nie doprowadził do artystycznego wykończenia, zamyślony, roztargniony, nie łajał nawet Jacusia, który starał się wyczytać z niego co mu było. Chwycił przyodziewek, laskę i pobiegł wprost do hotelu.

Rachunki z wczorajszego obiadu usprawiedliwiały widzenie się z ober-kelnerem. Wskazano mu numer jego mieszkania na trzeciém piętrze, gdyż dotąd M. Jacques jeszcze się był nie pokazał na dole.

Z bijącém sercem wbiegł Bolek na wschody i zastukał do numeru....

— *Herein — Entrez — i Favorisca!* — odezwał się z wnętrza.

Bolek wszedł. Żak właśnie się ubierał przed zwierciadłem stojąc, na stoliczku stała niedopita kawa. Masa tłumoków bardzo eleganckich, pozamykanych i na pół otwartych, zalegała pół pokoiku. Nic nie mówiąc, jakby pod wrażeniem wzruszenia ogromnego, Bolek rzucił się na szyję bratu. Uściskali się jak najserdeczniéj.

— Wuj mi powiedział — wyjąknął Bolek — przyleciałem!...

Ober-kelner zdał się mocno tém ujęty, ścisnął mocno jego rękę.

— Siadaj — rzekł. — Ja muszę z obowiązku ubierać się i spieszyć, bo mnie już dwa razy na dół wołano. Zejdziemy się tu lub gdzieindziéj w wolnéj godzinie.

— Ja także mam obowiązki — zawołał Bolek — ale, umówmy się. Może tu, u ciebie, wieczorem.

— U mnie ciasno, przyjdę lepiéj do was, kiedy mi naznaczycie.

— Niech i tak będzie. Wracam z biura późno...

— A ja około północy się dopiéro uwolnić mogę...

Wśród téj rozmowy pospiesznéj, Mr. Jacques wpatrywał się w Bolka, Bolek w niego. Szukali w swych twarzach

podobieństwa, ale go niewiele było.

— Śliczny z ciebie chłopiec! — rzekł ober-kelner.

— Piękny z ciebie mężczyzna! — odparł Bolesław, płacąc gotówką za pochwałę.

— Że jeszcze do ludzi jestem podobny, to cud — ozwał się M. Jacques. — Oj! przebyłem ja łaźnie!

Wpadł chłopak, powołując na dół — trzeba było śpieszyć — lecz, lecz pierwsze lody zostały przełamane, i Bolek wychodząc, odetchnął. Nie miał już obawy tak wielkiéj.

Jednakże gdy tego dnia przyszedł do biura, gdzie Bombastein zajęty był właśnie akcyami i promieniał powodzeniem, jakie się dla nich obiecywało — pryncypał poznał z twarzy, iż hrabia miał jakieś zmartwienie.

Wziął go zaraz do kąta, na egzamin. Bolek przyznał mu się tylko, że miał ból głowy — — ot tak — nerwowym się czuł.

— To nic — rzekł p. Samuel. — Wié pan co? do mnie dziś na obiad, zjemy dobry bifsztyk i napijemy się dobrego reńskiego wina — to przejdzie. Na obiedzie będę miał artystę...

— A! — rzekł obojętnie Bolek.

— Sławnego malarza, wprost jadącego z Paryża — dodał p. Samuel — widzi pan to jest w dobrym tonie protegować sztukę. Ja mam gusta pańskie, mnie to czyni satysfakcyę.

W istocie, gdy z biura około godziny obiadowéj zeszli do salonu, znaleźli już w nim pułkownika i owego malarza pana Oskara Drucika, młodzieńca wesołego, śmiałego i dosyć miłéj powierzchowności. Oskar Drucik nie miał miny

ekscentrycznéj dawnych artystów paryzkich, wyglądał na swawolnego sobie i rubasznego chłopaka.

Trafili właśnie, gdy pannom opowiadał o obrazie, za który otrzymał medal na wystawie paryzkiéj.

— Nie chwaląc się, muszę powiedzieć, że zakasowałem wszystkich paryżanów — mówił śmiejąc się. Tłumy stawały koło mojego obrazu.. Nikt mnie nie znał wczora, nazajutrz z końca w koniec Paryża imię się moje rozniosło. Bo niéma dla rozgłosu jak Paryż. I niéma panie znawców, poczucia jak tam...

— A pan dawno z Paryża? — pytał gospodarz.

— Zaledwie parę tygodni — rzekł artysta, przyjechałem odwiedzić tylko rodzinę. — Mam tyle zamówień, że ledwie starczyć mogę — Goupil chce miéć dwa obrazy; Lipke do Berlina jeden, ale duży. Mam téż coś robić do Londynu.

— Znajdą się pewnie zamówienia i u nas — odparł grzecznie pułkownik.

— Pan maluje portrety? — spytał Bombastein.

— Tylko duże, w rodzaju Carolus Durand — rzekł artysta. — Robiłem taki księżnéj Las Gorbillas, który mi się udał bardzo, i Thiersa...

— A! Thiersa! — głową rzucając rzekł p. Samuel.

— Prawda — i pani Saint-Ernest...

— Cóż to za pani? — spytał niepotrzebnie pułkownik.

Artysta zrobił minkę tajemniczą.

— Jedna z najsłynniejszych piękności Paryża. Ma śliczny hotelik, Avenue des Champs Elysées. Więcéj się powiedzieć nie daje.

Któraś z pań spytała o paryzkich malarzy; skrzywił się

Drucik.

— Co do techniki są to mistrze — odparł — lecz po za tém — nic. Wystawa ostatnia była bardzo lichą.

Bombastein zabawiając gościa — chciał mu przez kułak pokazać obrazy swe, o których wartości miał wysokie wyobrażenie, panny się mocno zarumieniły, ale grzeczny gość znalazł się przyzwoicie i choć się na uwielbienie nie zdobył, przynajmniéj nie parsknął ze śmiechu.

P. Bolesław, który miał się za mistrza w swoim rodzaju, przy paryżaninie musiał się uznać żakiem. Przez cały obiad, bawiąc zebranych p. Oskar Drucik, tak umiał zręcznie głosić swą sławę i napomykać o stosunkach, o cenie jaką do jego prac przywiązywano, iż niepodobna było oprzéć się wrażeniu, że się miało do czynienia z mistrzem.

W początkach Bombastein miał myśl prosić go o portret à la Carolus Durand, w całéj postaci, a oprócz tego o drugi, na którym by razem Flora i Leonia mogły być połączone. (Zdało mu się to oszczędniejszém.) Ku końcowi jednak obiadu słysząc ciągle o dziesiątkach tysięcy franków, o ogromnych cenach jakie artysta brał i nakładał na swe prace, strwożył się, zostawując to czasowi późniejszemu.

Panna Leonia, która lubiła malarstwo, jak siostra jéj muzykę, szczególniej się téż zajmowała młodym artystą, który nawzajem ciągle się ku niéj zwracał.

Rozmowa między niemi trwała prawie nieprzerwanie w ciągu obiadu. P. Drucik oddawał jéj w końcu sprawiedliwość, iż doskonale mówiła o sztuce i miała wielkie jéj poczucie.

Pani powinna odbyć podróż artystyczną po Europie,

dodał w końcu, a ręczę, że wróci z niéj z nową miłością dla sztuki i pragnieniem uprawiania jéj.

Najbardziéj imponowało to p. Samuelowi, że Drucik mówił o Rotszyldzie, którego w salonach spotykał, jak o dobrym znajomym, wspomniał nawet, że raz był zaproszony na polowanie na bażanty... Inne znakomitości giełdowe nie były mu téż obce. Oprócz tego z mowy wnosić mógł o wielkiéj zamożności artysty.

Na pannach, na gospodarzu, na pułkowniku, na hrabi nawet uczynił Drucik wrażenie potężne.

Panna Leonia chciała koniecznie widzieć jaką jego pracę — lecz się wymówił, że wszystkie zostały w jego atelier w Paryżu, a same ich rozmiary nie dozwalały mu wozić się z niemi. Płótno ostatnie przedsięwzięte miało dwadzieścia łokci długości, a kilkanaście szerokości.

— Jedno z dwojga — zawołał Oskar albo miniatury jak Meissonier, albo machiny jak Véronèse... Średnie rozmiary niech zostaną dla średnich ludzi! Malarstwo staje się dziś monumentalném...

Bombastein myślą mierzył ściany swojego domu, — na monumentalne owe płótna, nie miał w niém miejsca.

Cały czas zajęła sztuka i z nią do wieczora się bawiono. Po wysunięciu się artysty, wyszedł i pan Bolesław, bo panny zaraz téż salon opuściły. Dnia tego miał być wieczorem u p. Laury.

Nie smakowało mu to widać jednak, bo poszedł tylko przez owe ciemne schodki, dać wiedzieć pannie Giertrudzie, iż ma bardzo pilne zajęcie w biurze i znajdować się na herbacie nie może.

Panna Giertruda, gdy się we drzwiach ukazał, prasowała, odwróciła się ku niemu, wysłuchała ekskuzy i poruszyła ramionami.

— Teraz to już panu nie pilno! — rzekła — dawniéj się prosiłeś, mało nie na klęczkach, dziś nie masz pan czasu, albo to ja nie wiedziałam, że tak będzie.

I nie patrząc już nań, wróciła do roboty. Bolek nie odpowiadając nic, zamknął drzwi i wysunął się z tego domu. Potrzebował zebrać myśli, czuł się niespokojnym. Przybycie tego brata ciążyło ciągle nad nim. Poszedł, co się rzadko trafiało, do mieszkania, spocząć i rozważyć co mu czynić wypadało.

W ulicy mrok już był. Z głową spuszczoną sunął się trotuarem powoli, gdy uczuł się pochwyconym za rękę i znany głos, od którego zadrżał — w ucho mu zawołał — Dobry wieczór.

Był to doktor Bazyli, którego od roku nie spotykał już Bolesław, dawny towarzysz, w którego głosie nie było ani gniewu, ani urazy, ani szyderstwa. Choć mógł miéć żal do niego, widząc go smutnym, zaczepił z dobrego serca.

Że jemu winien był nieporozumienie z radcą, tego się raczéj domyślał doktor, niż miał wiadomość pewną. Dziemba zmilczał, a z panią domu Bazyli nie był zbyt poufale. Przebaczał zresztą ten wybryk, tłómacząc go sobie mocném naówczas zajęciem się panną Emmą. Naostatek w naturze swéj spokojnéj doktor nie miał mściwości. Nie spotykali się od dawna, teraz spostrzegłszy go zadumanego i jakby zakłopotanego, doktor nie wahał się zbliżyć i przemówić.

Daleko mocniéj zmięszany był Bolek, któremu niespokojne sumienie wyrzucało postępek niegodziwy. Sądził, że doktor, o którym wiedział, że jest domowym u radcy, wymówki mu czynić będzie. Ochłonął jednak wprędce, widząc Bazylego ze zwyczajną swą dobrodusznością wyciągającego doń rękę.

— Dawnośmy się bardzo nie widzieli — odezwał się doktor. — No cóż? powinszować mam? Zewsząd słyszę, że ci się powodzi świetnie, że masz już nawet współkę w interesie wiele obiecującym!

Bolek milczał zakłopotany.

— A ja — dodał doktor — jakem przybył i rozpoczął, tak dotąd nie uczyniłem kroku, ale się nie skarżę. Zyskałem wiele doświadczenia, to coś warto. Pan Bolesław pono i stosunki porobił znakomite.

Tanczyński ciągle się jeszcze nie mógł zebrać na odpowiedź.

— Wszystko to dobre i piękne — mówił daléj doktor — a niemniéj z tego co słyszę, co mówią, mam obawę o ciebie, kochany kolego.

— Dla czego? — zapytał Bolesław.

— Prawda, że *audaces fortuna juvat* — kończył Bazyli — ale jest i polskie przysłowie. Albo starosta albo kapucyn.

Rozśmiał się patrząc mu w oczy, mrok niedozwalał dobrze widziéć twarzy p. Bolesława.

— Dokąd idziesz? do domu? — spytał doktor — chodźmy razem, przeprowadzę cię. Rad bym był się dowiedziéć jak w istocie stoisz, co myślisz!

— Zdaje mi się, że wiesz wszystko, bo moje położenie

jak na dłoni, tajemnic nie mam — rzekł na pozór spokojnie Tanczyński. — Dostałem miejsce u Bombasteina, powiodło mi się, stałem mu się potrzebnym, przypuścił mnie do udziału w interesie.

— Ale zkądże ci się wziął tytuł? — spytał doktor — to gra niebezpieczna.

— Tytuł mi dają, ale ja go sobie nie nadałem — odezwał się Bolesław. Okazało się z moich papierów familijnych, że rodzina podupadłszy i nazwisko trochę zmieniła i tytułu się wyrzekła. Mam prawo do niego powrócić?

— Serio? tak jest? masz na to dowody? — zapytał doktor.

Zająknął się nieco p. Bolesław, ale cofnąć nie było sposobu.

— A, dowody są — rzekł.

— Ha! to dobrze — począł doktor. — Jest rzeczą naturalną, że gdy co popłaca, to się wyciąga ze skarbca choćby długo leżało ukryte. Jeśli ci tytuł ma pomódz? cóż w tém złego. Z dowodami tylko potrzeba być w porządku, bo, wierzaj mi, lepiéj nie miéć tytułu, niż być potém przekonanym, że się go wzięło nieprawnie. Człowiek się okrywa śmiesznością, a śmieszność zabija.

Bolesław coś zamruczał.

— Szparko się drzesz do góry — odezwał się śmiejąc doktor. Radczyni rozpowiadała żeś i z panią Laurą znalazł się w jakiemś pokrewieństwie i stał się tam codziennym gościem? Spodziewam się, że plotki, jakie chodzą o tém, są fałszywe?

— Cóż za plotki? — zapytał Bolek — ja o niczém nie

wiem.

— Domyśléć się łatwo, kobieta niestara, a ty jesteś ładny chłopak — rzekł doktor.

— Ona przecie za mąż wychodzi! — dodał Tanczyński.

— Tak, coś tam i o tém mówiono — odezwał się doktor. — W ogóle od niejakiego czasu opinia co do téj pani się znacznie zmieniła. W początkach zaimponowała wszystkim swym taktem, dziś — dziś się tam wielu dopatrzono rzeczy.

— Naprzykład? — zapytał Bolesław.

— Plotek powtarzać nie lubię — przerwał doktor — powinna mniéj się okrywać tajemnicą, bo to zawsze podejrzenia rodzi.

— Mówię ci, że za mąż idzie — pół żartem odparł Bolesław — za to wszystko mąż będzie teraz odpowiadał.

— Ponieważ już o wszystkiém mówimy — wtrącił Bazyli — a pani Dziembina przy obiedzie dużo paple, powiem ci, że z jéj ust słyszałem i radca to potwierdza, że twój pryncypał Bombastein, pomimo pozorów, ma w interesach nie bardzo stać świetnie.

Bolesław chłodno przyjął przestrogę.

— Sądzę, że tak mówią zazdrośni — odezwał się.

— Może być, ja cię powinienem był ostrzedz.

— Ja tylko mogę zapewnić — odezwał się Bolesław — że na nim jednym mojéj przyszłości nie buduję, bądź o mnie spokojny.

Doktor począł się śmiać.

— A! mój kochany — zawołał wesoło — bogdajbym o siebie mógł być tak jak o ciebie ubezpieczonym! Nadto jesteś aferowiczem dobrym, abyś się dał podejść i zjeść w

kaszy. Dałeś tego dowody w ciągu roku; no, a egzamen i patent? nie myślisz o tém?

— Nie widzę, na co by mi się to przydało — rzekł Bolek.

— Zatém jak uważasz, panie Bolesławie — lecz, jeszcze słowo — rzekł Bazyli. — Pozwól mi sobie, jak dawnemu koledze i jakby starszemu bratu, słowo to powiedzieć otwarcie. Lękam się nie o to żebyś sobie rady dać nie miał, lecz że zdajesz się iść drogą fałszywą, która czasem prowadzi do fortuny, ale częściéj do upadku. Za prędko chcesz zbudować, co się latami, pracą i trudem dokonywa.

— A! a! — rozśmiał się Bolek — zapewne! niech pracą i trudem idzie powoli, kto niema intelligencyi. Piękna mi rzecz, dwadzieścia lub trzydzieści lat budować gmach, w którym przyjdzie zamieszkać, gdy już się na inny świat wybierać potrzeba!

— Ty to widzisz w ten sposób — odezwał się Bazyli, ale są ludzie, którym sama droga do celu jest miłą, i budowanie gmachu nie trudem ale rozkoszą. Przytém bezpieczniéj powoli iść, niż się tak rzucać po szulersku.

— A czémże życie, jeśli nie ciągłém stawianiem na kartę? — rzekł Bolesław. — Każdy tak sobie poczyna jak mu jego charakter i zdolności wskazują.

Zamilkł doktor. Cała ta rozmowa, w któréj z jego strony czuć było dobre serce i zdrowy rozsądek, a ze strony Bolesława upór i niechętne zwierzanie się z myślami, przykre widać zrobiła wrażenie na Bazylim. Nie chciał się już narzucać z radami dawnemu koledze, widząc że one nie zostały przyjęte jak się spodziewał. Zabierał się go

pożegnać, gdy nadciągnął stale teraz w Warszawie u radcy zamieszkujący pan Serafin i obu powitał nader wesoło.

Wracał z piwa. Zmuszony do oszczędności, a nałogowy próżniak i hulaka, rzucił się był p. Serafin do bawara, którego wypijał ogromne ilości, grając po całych dniach w bilard. Bolesław stronił teraz od niego, a doktor, spotykający się z nim często u radcy, mało z nim przestawał, widząc, że już nic z niego zrobić nie będzie podobna.

Rubasznie obu po bokach począł klepać przybywający.

— Cóż to, panowie, chłodku na ulicy używacie? Cóż pan bankier porabia? (tak zwał Bolesława). Dawno nie miałem szczęścia oblicza jego oglądać! Ha! ha! Jakże się powodzi? A ja, ciągle w procesie! Lecz dzięki Bogu, idzie dobrze, i tych łajdaków co mi ojcowiznę zagrabili nauczę — zapędzę gdzie pieprz rośnie! Szczęściem że mają z czego odpowiedzieć! Będzie jeszcze za co obiadek sprawić u Bouquerela na vivat! cha! cha!

Bolesław i doktor stali spoglądając na niego.

— Dziś mi w bilard nie szło! sześć partyi mi wygrał ten niepoczciwy Tymcio! — mówił wesoły pan Serafin. — Czuję żem głodny! nie funduje kto z panów kolacyjki?

Bolesław mruknął, że pilny interes ma do domu.

— Jeżeli porcyą bifsztyku i butelką wina służyć mogę, bo mnie na delikatesy nie stało — odezwał się doktor — to proszę, ale z warunkiem że i Bolesław z nami.

Zawahał się Tanczyński, Serafin go pochwycił.

— Ja go zaniosę gwałtem na rękach do Poziomkiewiczowéj, nieprawdaż?...

— Chodźmy — dodał doktor — tylko pamiętaj panie Serafinie, że ja jestem lekarz i zbytków żadnych nie toleruję.

— I nie może być żadnych — rzekł smutnie Serafin — proces mnie zjada, grosza przy duszy nie mam, a o kredyt prosić nie lubię.

— To szczęście — rozśmiał się Bazyli.

Bolesław nie poszedłby pewnie, ale doktorowi odmówić nie chciał, aby z nim stosunek utrzymać. W restauracyi właśnie zastali towarzystwo teatralne, które po skończeniu sztuki wpadło się posilić do Poziomkiewiczowéj. Hałas był, wrzawa i stoliki wszystkie zajęte prawie. Znalazło się jednak miejsce na trzy osoby.

Obok siedziało dwóch panów nieznajomych, głośno sobie rozpowiadających historyę jakąś.

— Ale nie tak było! — mówił jeden — sam przecie patrzałem na to od początku do końca.

— A jakże to było? jak? — spytał drugi.

— Pani Laura sama jedna — mówił pierwszy — czarno ubrana, piękna i interesująca zwracała na siebie oczy wszystkich. Jakiś nie młody już człowiek siedział w krzesłach, prawdopodobnie cudzoziemiec, bo i rysy twarzy nie nasze, i nikt go tu nie zna. Po pierwszym akcie począł się przez binokl rozglądać po lożach. Widziałem go doskonale, szpakowaty, twarz cała wygolona, rysy arystokratyczne. Coś tak jakby na jakiego dyplomatę wyglądał. Rozglądając się po lożach, trafił na panią Laurę, która czy że go zobaczyła, czy nie wiem z jakiego powodu, w téj chwili usunęła się z brzegu loży i ze światła w głąb’,

tak aby twarzy jéj widać nie było. Mężczyzna ów stary, zaintrygowany, wstał aż i począł uparcie ją lornetować. — Wszyscy na niego oczy zwrócili. Nagle rzucił się wychodzić z teatru, zapewne aby iść do loży, jak się było można domyślać, gdy i pani Laura zerwała się z siedzenia, jakby strwożona, otworzyła drzwiczki loży i znikła. Co to mogło być? Spotkanie jakie nieprzyjemne? Znajomość jaka stara? nie wiem. To mi tylko opowiadano, że wprost z loży zbiegła, wołając o konie, bo się czuła słabą, — i już siedziała w powozie, gdy ów szpakowaty nadbiegł, chcąc go zatrzymać.

— Kilka tylko słów gniewnych słyszeli stojący, stary chciał gwałtem siąść do powozu — pani Laura krzyknęła aby jechano do domu. Mówią, że wziął ten nieznajomy dorożkę i za nią popędził. Oczywiście, jakaś awantura...

Rozmawiający głośno to rozpowiadali, inni dodawali szczegóły, Bolesław pobladł niespokojny — chciał w początku wstać i iść zaraz na miejsce się dowiedzieć, lecz zdradzić się ze zbytniém zajęciem tą sprawą nie życzył sobie. Został więc, udając spokojnego, aż do końca wieczerzy, ścisnął rękę doktora i wysunął się co żywiéj.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Józef Ignacy Kraszewski.*

IV.

W pierwszéj chwili miał zamiar pan Bolesław wprost iść do Giertrudy, przynajmniéj dowiedzieć się co się stało. Wyszedłszy na chłodne powietrze, począł rozmyślać. Egoizm, który był wszystkich jego czynności sprężyną, odradzał pośpiech.

— Z pewnością ja tam nic nie pomogę — rzekł w duchu — a zaplątać się niepotrzebnie mogę łatwo! Gdyby się nawet stosunek ten miał zerwać — czy nie lepiéjby było dla mnie? Nie mam tu już nic więcéj do zyskania a wiele do stracenia.

Ktoś z dawnych znajomych, zapewne upominający się o jakieś prawa? Jakim ja tytułem mam się w to mięszać? po co?

Zwolnił więc kroku, skierował tylko drogę do domu tak, aby mijając kamienicę, w któréj mieszkała pani Laura, spojrzéć zdala w okna, co się tam dziać mogło.

Powóz jakiś stał przed nią, na piętrze widać było migające światła w pokojach, które żywo z jednego do drugiego okna się przesuwały. Kilku ludzi stało w bramie.

Bolesław minął zdala dom i powrócił do mieszkania niespokojny. Nierychło téż mógł zasnąć, do czego się i to przyczyniło, że wisus Jacuś gdzieś się był zawieruszył i nie powrócił aż nad rankiem, w stanie rozgorączkowanym, w surduciku podartym i szpetnie na twarzy potłuczony.

Przysięgał się jednak, bijąc w piersi z całych sił, że był

trzeźwy, że kropli w ustach nie miał i że po nocy spadł ze wschodów. Wypadek ten nie był pierwszym i zapewne nie ostatnim, musiał Bolesław znieść go stoicznie. Zmęczony zaspał na dzień długo. O pół do dwunastéj miał schadzkę z Maciórkiem, a wprzódy jeszcze rad się był dowiedzieć coś o pani Laurze. Pośpieszył więc naprzód do kamienicy i, jak zwykle wszedł ciemnemi tylnemi wschodami naprzód do powiernicy. Zastukał tu, drzwi były zamknięte — poszedł pukać do drugich, a nie dobiwszy się i do nich, probował otworzyć — i te na klucz były spuszczone. — Stukanie do nich nie wywołało nikogo. Nie pozostawało więc nic, jak wnijść na główne wschody i u służby się o panią dowiadywać.

Widząc go idącego, stróż, który stał właśnie w dziedzińcu, oparty na miotle, i fajkę usiłował zapalić, nie mogąc tego dokazać — rozśmiał się. Znał go dobrze.

— Niech pan darmo nie idzie — rzekł — niéma nikogo.

— Jakto? — spytał Bolesław — a gdzież pani.

— Wyjechała w nocy ze służącą... Czort ich wié, co to takiego — dodał stróż. — Niby się na tyatr wybrała, proszę pana — i tyle my ją widzieli. Nie powróciła.

— Jakaś istoria! — dodał stróż.

— Jakto historya? — pytał Bolesław.

— A jużci proszę pana — począł stróż — bo tak może w godzinę, albo w pięć kwadransy po wyjeździe — kiedy nie wpadnie tu jakiś jegomość, z policjom, narobili rejwachu, obstawili schody, poszli na górę szukać, obeszli wszystkie kąty... i — nie naleźli nikogo.

Służąca była poność z paniom w tyatrze, ta i razem

drapnęły! — rozśmiał się stróż. — Czort ich tam wié, tego nikt nie zrozumié. Policya wszyćko popieczętowała.

— Jakto, policya? to nie może być! — zakrzyczał Bolesław zmięszany — a cóż policyi było do tego?

— Albo ja wiem! albo to kto zrazu wié — mówił stróż. — Niech pan pyta kogo chce? Stary jakiś człek się tu rozbijał, krzyczał, rewidować kazał... złościł się. A musiał téż miéć jakieś prawo taj racyę — bo czegożby ta uciekała. I, niech tu kto chce sądzi — mówił daléj stróż — trzy czy coś lata grafinią ją nazywali, kto u niéj nie bywał? Tak się jéj kłaniali by czemu uczciwemu doprawdy — aż drapnęła gdyby złodziéjka!

Bolesław się oburzył strasznie.

— Co bo pleciesz? — zakrzyczał.

— A kiedy tak gadają, choćby i policyanci. Toć ja Semerowicza dobrze znam, dawałem mu ognia do cygara, ta i spytałem — proszę no pana porucznika (bo jego tak tytułują) — co to się stało? On mi na to ramionami żachnął. — Co my wiemy? Albo coś ukradła albo gorzéj. I więcéj nie mówił nic.

Niezmiernie zmięszany, Bolesław pomyślał, że jako codzienny gość w domu, mógł być niepotrzebnie wmięszany w sprawę, i uznał najbezpieczniejszém co prędzéj zrejterować. Wysunął się więc pewien, że w mieście, w którém się tak szybko każda wieść rozchodzi, coś się dowiedziéć wkrótce będzie można. Wszystko co słyszał było dlań niezrozumiałém. Lecz teraz przypominał sobie różne rzeczy. Dziwiło go nieraz, że w salonie tak poważnie umiejąca grać rolę osoby wielkiego tonu i

wychowania, pani Laura w bliższych stosunkach zdradzała obyczaje dziwnie trywialne i rozmaite wcale nie pańskie gusta. Uderzyło go i to, że gdy raz znienacka zszedł ją bez rękawiczek, a piękna pani zapomniała, że ich nie miała na ręku, zobaczył ukrywane owe i suponowane jako bardzo śliczne rączki — potwornie kształtne, jakby zapracowane, zgrubiałe i nieforemne. Zmięszana tém pani Laura natychmiast pośpieszyła je okryć, nie mówiąc słowa — lecz rąk tych Bolesław zapomnieć nie mógł. Rzadko, nawet u pracowitych dziewcząt, trafiało mu się widzieć tak zeszpecone i bezkształtne ręce.

Wprzódy wszystko to nie zwracało uwagi, teraz niepokoić go zaczynało. Nazywano go kuzynem, mógł więc być wplątany w jakieś śledztwo, sprawę... Nie śmiał się pytać nikogo, aby się nie zdradzić z niepokojem. Pół godziny mu zostawało jeszcze do umówionego spotkania z Maciórkiem, pewnym był, że profesor, który od rana już gdzieś był w mieście, języka i w téj sprawie musiał dostać. Zwrócił się zwolna w kierunku do Stępkowskiego, i nie omyliła go nadzieja, gdyż na drodze spotkał Maciórka, czatującego na Sanermanna.

— Lubię punktualność — odezwał się profesor. — Dobrze żeś przyszedł wcześniéj: co się u kaduka stało z tą wdową, u któréj i ty bywałeś?

— Ja nic nie wiem.

— Całe miasto o tém tylko rozpowiada. — Mówią, że z teatru wprost uciekła, spotkawszy się tam z jakimś cudzoziemcem, podobno francuzem, dyplomatą, który był przejazdem tylko tutaj. Powiadają, że ją poznał, gonił. Jedni

utrzymują że żona jego, drudzy że kochanka, która jakoby znaczną bardzo sumę zabrawszy mu, uciekła i znikła. Mówią, że wszystko u niéj w domu opieczętowano, a za zbiegłą poszły telegramy i pogonie.

Bolesław słuchał odrętwiały.

— To mi wygląda — rzekł — na bajkę z tysiąca nocy.

— Ale fakt jest że uciekła! — rzekł profesor.

— Może się zemsty obawiała.

— A po cóż opieczętowano u niéj wszystko...

— Wszystko to się wyjaśni — odezwał się Bolesław — pragnę tylko aby mnie nie pociągano do badań jakich. Bywałem tam tak jak wszyscy...

— Gadaj zdrów — szepnął profesor — obłowiłeś się u niéj dobrze — ja to wiem? A te wszystkie prezenta! No — ale to między nami — sza!

Położył palec na ustach.

— Nie wiem kto ona była i co zmalowała — dodał profesor — to pewna, że artysta z niéj! Trzy lata uchodzić za bardzo przyzwoitą osobę, ściągnąć do siebie najlepsze towarzystwo, i tak znakomicie się wykręcać! Jestem z respektem dla niéj. Nawet w ostatniéj chwili nie dała się schwytać! Zręczna z niéj bestyjka.

Zbliżyli się do wnijścia restauracyi, gdy nadszedł Sanermann, witając z wielką uprzejmością. Szczególniéj pana Bolesława za obie ręce ściskał i trząsł niemi uradowany niezmiernie ze znajomości.

— Słyszeli panowie o téj mniemanéj hrabinie Laurze? — rzekł wchodząc do już zamówionéj ciupki Sanermann.

— Mało co? i to cośmy słyszeli wygląda na bałamuctwo

— rzekł Boleś.

— No, to ja panom powiem z najlepszego źródła — odezwał się Sanermann, sadzając gości. Ta hrabina to ma być metressa jakiegoś bardzo bogatego księcia francuzkiego, która mu znaczne kapitały zabrawszy, uszła bez śladu. Mówią o milionie czy więcéj franków... Słyszałem téż, że w pierwszéj młodości była praczką gdzieś u nas, że ją ktoś wywiózł do Paryża, i że tam tak się znakomicie wykształciła.

Maciórek chrząknął, Bolesław czuł się w obowiązku dorzucić słowo.

— Być może — rzekł nieśmiało — iż do tego kapitału miała jakie prawo...

— A dla czegoż się tak ulotniła? — rozśmiał się Sanermann.

— Zawsze historyjka pocieszna — rzekł Maciórek — lat trzy praczce udawać hrabinę z sukcessem.

— Hę! — zawołał Sanermann — w Paryżu się nie takich sztuk uczą! Twarzyczkę miała ładną, a piękne kobiety i instynkta mają od natury nader szczęśliwe.

Maciórek był daleko ciekawszym spodziewanego śniadania, niż historyi praczki — Bolesław zadumany z oczyma wlepionemi w stół, medytował nad rękami, które widział przypadkiem i — śmiesznością niewygodną tego stosunku, którego wprzódy nie taił, a terazby się go był rad zaprzeć. Sanermann czekał tylko podania śniadania, aby traktowanie rozpocząć.

Maciórek w duchu powtarzał ciągle.

— Co oni tu podadzą?

Nadspodziewanie znalazł się dobrze pan Sanermann, ponieważ pora była jesienna i pierwsze ostrygi już się ukazały, kazał podać ich trzy tuziny — zapowiadając, że po nich będzie bifsztyczek, pieczystko, kompocik i deserek. Nadzwyczajnie się twarz profesora rozjaśniła. Sanermann przybrał postawę poważną.

— Zapewne, czcigodny mój przyjaciel, pan profesor — odezwał się — musiał panu hrabiemu wspomnieć o celu naszego spotkania. Ja, jestem człowiek otwarty, nie tak jak ten oszust, Bombastein, który nie stąpi żeby nie skłamał. Oświadczam więc naprzód z góry, że celem mojego życia jest zdemaskowanie, upokorzenie, znękanie tego jegomości, który siakiéj takiéj renomy używa najniesłuszniéj. Oszust jest — pospolity oszust, ja mu to dowiodę.

— Nie chciałbym dopuścić aby tak szanowny, uzdolniony młodzieniec jak hrabia miał paść jego ofiarą. A że się na tém skończy to pewna. Wyeksploatuje pana i rzuci. Daj mnie pan rękę, hrabio, idźmy z sobą razem. Na co panu to wszystko — ja panu dam fortunę gotową.

Bolesław uśmiechał się słuchając.

— Ja jestem człowiek otwarty — mówił daléj Sanermann, połykając razem ostrygi — lubię grę na czysto, *cartes sur table*. Żadnéj siurpryzy ze mną.

— Mów, mów — wtrącił Maciórek — tak najlepiéj.

— Bardzo panu wdzięczen jestem już za same jego dla mnie dobre chęci — dodał Bolesław.

— Dla pana mam najlepsze chęci — począł śmiejąc się Sanermann — ale ja i swój interes robię razem. On sobie bez pana hrabiego teraz rady nie da i — plaśnie. Mnie

trzeba żeby plasnął. Ja robię interes dla pana i dla siebie, masz pan w tém gwarancyę, że sprawa seryo. W romanse się ja nie wdaję. Gdybym niepotrzebował tego dla siebie, dla hrabiego bym tak gorliwie nie pracował. Interes nasz wspólny.

— Niech cię uścisnę! — przerwał Maciórek — otoż to mi człowiek! otoż, to dobrze zrozumiana uczciwość! prawość! zacność!

Sanermann nie dojadłszy ostryg, przysunął się z krzesłem do Bolesława, rękę położył na poręczy jego siedzenia i począł poufnie.

— Jest rzecz taka — panna lat 25, śliczna jak anioł.

W téj chwili sięgnął do kieszeni.

— Słowo honoru, wziąłem z albumu żony fotografię, patrz pan.

Podał ją Bolesławowi.

Obrazek był cudowny — profesor chwycił okulary, wszyscy się zwiesili nad nim. Wyobrażał osobę młodziutką, mocno wygorsowaną, z twarzą zwróconą ku patrzącym, uśmiechniętą z wdziękiem zalotnym. Jedną rączką trzymała się w bok, drugą (dziwna poza) zdawała się wołać i wabić ku sobie. Ogromne czarne oczy swawolnie jéj z pod ślicznych brwi patrzały. Usta były maleńkie i stworzone do wesołego śmiechu... Ubiór na niéj wytworny, od koronek i aksamitów, klejnoty któremi była obwieszona, wszystko jéj było do twarzy bardzo. Całość ze smakiem się układała, lecz pomimo bogactwa ubioru i gustu, piękna panna trąciła mocno paryzką loretą.

— Niech ją wilcy zjedzą jaka piękna! — zawołał

Maciórek.

Bolesław patrzał w milczeniu, Sanermann tryumfował.

— A co? nie skoczyć że to w ogień lub wodę za taką pokusą? — zawołał. — Czarodziejka, panie! ale to nic, śpiewa jak Patti i gra jak Clara Wieck, dowcipna jak Bettina...

Dodam przy tém, że ma wysoką bardzo protekcyę, dobra znaczne bez długu i kapitały w dodatku. Jednakże, jako człowiek otwarty, muszę i to powiedzieć, że osoba ta miała w życiu — nieprzyjemności. — Chrząknął. — Rozumie pan! przeszła niestety, przez szkołę doświadczenia.

Maciórek mruknął. — No, co tam! rzecz skończona.

— Najzupełniéj, żadnych pozostałości oprócz bolesnych wspomnień. Panna ta — mówił daléj — chce i życzy sobie wyjść za mąż przyzwoicie. Za warunek kładzie jedynie, aby się jéj podobał ten, którego ma wziąć za męża. Zatem — *cartes sur table*, jak powiedziałem. — Ofiaruję się u mnie w domu naprzód poznać pana z nią, potém popierać go. Nie potrzebujesz pan zrywać z tym oszustem, dopóki nie będziesz pewnym swego. Ja zaś ręczę, że się pan podobasz!

Spojrzał w oczy Bolesławowi, który stał zadumany jakoś.

— Cóż pan, będziesz zważał na te tam jakieś panie — przesądy? Inne panny przechodzą tak samo szkołę doświadczenia, choć o tém nikt nie wie, tu, ta różnica, że z góry jesteś uprzedzony. Panna bardzo miła i ręczę, że żoną będzie nie gorszą jak inne. Doświadczenie uczy i rozczarowuje.

Partya doskonała!

— Co tu się namyślać — żwawo wtrącił Maciórek — dziękuj panie Bolesławie i bierz się w kupę! o tych tam przesądach, o téj tam przeszłości niema co i mówić. Gdyby tego nie było.

— Gdyby tego nie było? — podchwycił Sanermann — ja jestem człowiek otwarty, ja panu powiem wręcz. Gdyby tego nie było, nie byłoby ani dóbr, ani kapitału, bo po rodzicach piękna panna miała tylko czarne oczki i białe rączki.

Począł się śmiać. Bolesław dumał.

Maciórka niecierpliwiło to.

— Panie Bolesławie, uściskaj pan, pana Sanermanna, ucałuj go, przyrzecz mu dozgonną wdzięczność i podajcie sobie ręce. — Zapijemy *Bonae spei*! hę?

Sanermann chwycił kieliszek.

— Zgoda?

W milczeniu Bolesław dał mu rękę.

— Dziękuję panu — rzekł.

Swat przysunął się do niego.

— Jutro — rzekł — ale pod wielkim sekretem, proszę do mnie na ósmą godzinę. Nie będzie nikogo oprócz mnie i żony mojéj i — panny.

— Jak imię? — spytał Maciórek.

— Aurora! — rzekł cicho Sanermann — imię do jéj twarzy, imię cudowne jak ona.

— Co za imię! — ogryzając kości zawołał profesor. — Aurora? pyszna rzecz!

Milczący Bolesław, chociaż targu dobił, czuł się nim upokorzonym i nie rychło się rozruszał. Potrzebował kilku

kieliszków, ażeby się rozweselić — począł rozpytywać o rodzinę.

— Rodziny? rodziny absolutnie nie ma — odezwał się Sanermann. — Nie jest że to szczęście największe. Takie błogosławieństwo rzadko kogo spotyka! panie! możeż być co przykszejszego, cięższego, więcéj ambarasującego nad rodzinę? Tu ani pruszynki! Jest tylko wysoki dygnitarz opiekun! Osoba poważna, szanowana powszechnie, w wieku już — interesująca się losem panny Aurory... Zapewne wypadnie panu jechać na wieś i prezentować mu się.

— Ponieważ panna sama tak nie mogła mieszkać ma przy sobie krewną, — osobę w wieku, nader skromną i prostą, która nigdy nawet nic nie mówi. Gdy trzeba, siedzi w salonie, gdy nie, wychodzi.

Śniadanie skończyło się już sérem, podano czarną kawę — Sanermann zastrzegł jeszcze sobie, ażeby w ulicy, w miejscach publicznych, pan Bolesław go nie znał i nie kłaniał mu się.

— Widzi pan, z Bombasteinem nie można być nadto ostrożnym. Choć się wydaje głupim, jest przebiegłym, gdyby zwąchał co się święci — użyłby wszelkich sprężyn, aby to w niwecz obrócić.

— Nadzwyczaj rozumnie! — potwierdził Maciórek. — To głowa! to głowa!

Boleś wyprosił sobie jeszcze pokazanie fotografii i zapatrzył się w nią mocno. Maciórek korzystał téż i wlepił w nią oczy.

— Fotografia podobna — rzekł amfitrion — ale ona przy

żywéj osobie! cieniem, karykaturą. — To jest piękność.

— *Primae classis!* — dodał profesor — Venus wychodząca z morza nie mogła być piękniejszą!

Rozstali się nareszcie, a Maciórek pociągnął na szachy. Nazajutrz przed wieczorem, pan Bolesław sprowadził fryzyera do domu, ubieranie się trwało godzin parę. Jacuś kilka szturchańców odebrał, lecz gdy przed zwierciadło wystąpił bohater, sam się sędzią czyniąc, uśmiech usta mu ozłocił. Był tak piękny, wedle własnego pojęcia piękności, iż z nim nikt nie mógł stanąć do walki. Mówiliśmy o téj piękności jego, brak jéj było wyrazu, brak uczucia i ducha, a ile razy coś tą maseczką poruszyło, stawała się straszną i niemal wstrętliwą.

Są takie piękności kobiece i męzkie, zimne, trupie, sobą tylko przejęte, z których egoizm zieje i odpycha od nich. Taką właśnie była twarz pana Bolesława — nic by jéj nie zarzucił rzeźbiarz, lecz tylko skażona, despotyczna natura, mogła w nim miéć upodobanie, jak w pięknéj zabawce bez życia.

Umiał się ubrać pan Tanczyński, wyuczył chodzić, wystudyowane miał ruchy, zalotnym był po swojemu, na zimno. Tego dnia chciał być pięknym i dystyngowanym i był nim. Cieszył się téż sobą. Ponieważ deszczyk przepruszał, posłał po dorożkę, bo i ulica na któréj mieszkał jego protektor, czystością się nie odznaczała.

Pan Sanermann nie należał do ludzi chcących imponować elegancyą i zbytkiem, przeciwnie, starał się dać pojęcie o wielkiéj swojego domu komisowego powadze i sile, brudem, niepozornością, staroświeckiém urządzeniem.

Firma istniała już od trzech pokoleń. W tym samym domu gdzie miał biuro, zajmował téż na pierwszém piętrze mieszkanie, urządzone po dawnemu, wcale nie pokaźnie. Nieraz już żona prosiła o odnowienie mebli, o odświeżenie pokojów, opierał się temu p. Sanermann, w przekonaniu że to by jego firmie szkodziło. Jak stały interesa, o tém chyba on wiedział sam. Były one przerozmaite, i takie które się w książki wpisywały i inne, niezostawujące śladu po sobie. Zdaje się, że ostatnie więcéj od pierwszych przynosić musiały.

Kamienica z powierzchowności była tak niepozorną, że się w niéj porządnego mieszkania domyślać było niepodobna. We wrotach massy jakichś fas się piętrzyły, w dziedzińcu widać było stosy pak ogromne. Wchód na pierwsze piętro elegancki nie był, schody ciemne, drewniane, starożytne, a oświetlenie ich niezmiernie pierwotne. Wszystko to obserwował wchodzący powoli pan Bolesław.

W przedpokoju był wprawdzie lokaj, lecz podobniejszy do parobka i w istocie, czasu powszedniego, obowiązki jego pełniący. We drzwiach powitał gospodarz i poprowadził do żony, osoby otyłéj, nie młodéj, humoru nieosobliwego, zajętéj na pozór robotą włóczkową. Widać jednak było, że ta ją niewiele obchodziła. Parę razy z ukosa patrzyła na ładnego chłopca, coś przemówiła po cichu i zostawiła go mężowi.

Salon był bez najmniejszéj pretensyi do wytworności, trochę zabrukany i bez smaku. Widać było że gospodarstwo wcale nie myśleli o nim. Na stoliku przy lampie leżała

Börsen-Zeitung i Kladderadatsch...

Przyobiecanéj pięknéj panny nie było jeszcze, chociaż zegar na kominie z Jowiszem, wskazywał pół do dziewiątéj. Gospodarz ująwszy pod rękę pana Bolesława dodawał mu otuchy.

— Śmiało i wesoło — niech pan będzie — mówił — ona téż bardzo śmiała, pieszczona trochę — samowolna i lubi wesołość. — Trzeba być śmiałym.

Bolesław potrzebował wielce téj nauki, gdyż wcale nie miał fiziognomii szczęśliwéj. Dom czynił na nim wrażenie więzienne.

Było już około dziewiątéj i oczekujący kandydat trochę się zżymać zaczynał, gdy zahuczało, gospodarz wybiegł do przedpokoju, gospodyni wyszła do pół salonu, i ze śmiechem jakimś trzpiotowatym wbiegła panna Aurora z bukietem w ręku, strojna jak na bal, w sukni z ogonem, przywitała gospodynię, okiem rzuciła po salonie, ciekawie się wpatrzyła w pana Bolesława, i nim siadła, już go jéj gospodarz zaprezentował.

Była może piękniejszą niż fotografia, ale mimo młodości nie świeżą, mimo śmiechu i trzpiotania się nie wesołą, mimo elegancyi pospolitą.

Natychmiast uderzyła pytaniami na przedstawionego jéj, który usiadł blizko. Gospodyni poszła spóźnioną kazać dawać herbatę, gospodarz się usunął. Pan i pani poczęli się z wielką ciekawością badać wzajemnie. Panna Aurora była śmiałą nadzwyczajnie, patrzała w oczy tak, że wzroku tego Bolesław wytrzymać prawie nie mógł, chwaliła się rękami, które rozmaicie ustawiała na widok, poprawiała włosy,

ociągała suknię i przytém wszystkiem paplała ciągle.

Zaprezentowany konkurent skromnie się znajdował i prawie nieśmiało. W kwadrans po rozpoczęciu egzaminu rozpięła się rękawiczka, i panna Aurora skinęła na Bolka, by ją zapiął. Przy téj zręczności mogła go zblizka szczegółowie obejrzéć.

— Jakie pan ma piękne guziki przy rękawach! pokaż no pan? Z guzikami ręce musiał pokazać pan Bolesław. Wszystko to do dobrego tonu nic a nic nie było podobne, ale ładnemu stworzeniu uchodziło.

Zaczęła wypytywać z kolei o wszystko, czy lubi muzykę, czy jest bardzo zazdrośny, czy na koniu jeździ.

— A! ja passyami konno latać lubię — dodała. — A jakiego mam araba! klękajcie narody!

Mówiąc nie spuszczała go z oka, usiłowała rozśmieszyć i ośmielić.

— Czy to pan taki zawsze, czy tylko dziś? — zapytała. — E! ja smutnych nie lubię.

Nim herbatę podano już była z Bolesławem, jakby go znała od dawna, a mając przejść do stolika, podała mu rękę.

Najzabawniejszem było, że idąc tak z nim, stanęła przed wielkiém zwierciadłem i rozśmiała się.

— Patrzaj że no pan, jak my się tam wydajemy oboje. Słowo daję, że doskonała para.

Sanermann cicho klasnął w ręce, Bolesław się uśmiechnął. Przy herbacie kazała siąść przy sobie Bolesławowi, i oddała mu rękawiczki, wachlarz i bukiet pod dozór. — Za to starała się herbatę przyprawić sąsiadowi i chwyciła rum aby mu go nalać. Bolesław

zaprotestował.

— Ale pij pan z rumem! — zawołała — to pana rozweseli. Kapkę tylko — no, dla kompanii, ja téż łyżeczkę sobie wieję. Patrz pan. Ze śmietanką i z rumem przedziwna. — I nie pytając już, nalała sporo sąsiadowi i sobie.

— A! mężczyzna żeby rumu nie znosił! to nie może być! — dodała. — To nawet bardzo zdrowo, sztabowy doktór mi mówił — tylko niewiele.

Bolesławowi może nie był ten ton dziwny i ta oryginalność do smaku, lecz, musiał się nastroić do niego i począł weseléj i śmieléj się odzywać. Gospodarstwo oboje wcale się prawie do rozmowy nie mięszali i nie przeszkadzali.

P. Bolesław miał na palcu pierścionek świeżo sfabrykowany z toporem i hrabiowską koroną, zobaczyła go panna Aurora.

— Pokaż mnie pan ten pierścionek! — zawołała.

Bolesław był posłuszny, przypatrzyła mu się u świecy, włożyła go na mały paluszek i poruszając nim w różne strony śmiała się.

Na tym samym ręku miał Tanczyński pierścień ze szmaragdem, po prawdzie powiedziawszy, ofiarowany mu przez panią Laurę.

— A to co za pierścionek? — zapytała wskazując — może od kochanki? a fe!

— O! nie — zaparł się Bolesław — to pamiątka po mojéj matce.

— A! to pan się nim powinieneś zaręczyć — odezwała się Aurora — niech że mi go pan pozwoli?

I ten włożyła na czwarty palec.

— Widzi pan, jakby dla mnie robiony. — Cha! cha!

I śmiać się mocno zaczęła, oddając go. W tym samym momencie, zdjęła z palca pierścień z dużym soliterem i pokazała go sąsiadowi.

— Sprobuj że pan także.

Bolesław się trochę ociągał, włożyła mu go na palec. — Chcę zobaczyć jak się zdaleka wydaje! — rzekła, i poczęła się śmiać głośno, a odbierając rzuciła przeciągłe, długie wejrzenie na Bolesława.

Sanermann mógł się cieszyć, tak się aż nadto jakoś prędko robiła poufała znajomość.

— Co to jest, że ja pana nigdy nawet w teatrze nie spostrzegłam! — odezwała się panna Aurora. — Juściż bym była zaremarkowała, bo ja się przypatruję twarzom i ludziom. Mnie to bawi. Myślę sobie zaraz, a czy ja téż odgadnę co to za jeden? co on robi? jaki charakter? dobry czy zły? Czy pan w teatrze nie bywa? Ja mam zawsze czwartą lożę po prawéj ręce.

— W teatrze bywam dość często — rzekł Bolesław — lecz może być, że z mojego miejsca w krzesłach loży téj nie widać, bo gdybym panią raz był miał szczęście widziéć, pewniebym tego nie zapomniał.

Aurora podziękowała za komplement uśmiechem i pokręciła główką.

— Teraz, to ja panu jako znajomemu pozwalam, możesz przyjść do mojéj loży. U mnie bywa wiele osób — o! ja mam znajomości dużo, a wszystko z wielkiego świata. Zobaczy pan.

Bolesław spojrzał tak jakoś, że panna wzięła ten wzrok za zapowiedź zazdrości — i dodała.

— Ja lubię towarzystwo, to daremna rzecz, tego się nigdy nie wyrzeknę. — Nudzę się gdy jestem sama, a znowu kobiecego towarzystwa nie mogę znieść, bo to wszystko nakrochmalone, zimne, a ja wesołości potrzebuję. Jeżeli się pan przypadkiem podobać mi zechce, bądź pan wesół, koniecznie.

— Postaram się być posłusznym — odparł Boleś po cichu, na wszystko już powoli się rezygnując — obawiałem się być nadto śmiałym.

— A! to dobre! pan przecie jako mężczyzna, powinieneś być śmiały. Cóż by to było? nam niewolno być zbyt otwartemi i napastliwemi, a jakby mężczyźni także nie śmieli, to by nigdy nikt się do nikogo nie zbliżył. E! trzeba porzucić ceremonie! W Paryżu panie dają dobry przykład, to téż tam bardzo wesoło, a u nas!!

— Była pani dawno w Paryżu? — spytał Bolesław.

— A! już rok, mój opiekun mnie woził. Nigdzie na świecie takiego raju niema jak tam! Ja passiami lubię Paryż — szczebiotała Aurora. — Jak się tam ubierają! co za wesołość, ile zabaw — jacy grzeczni mężczyźni. A lasek Buloński!

Westchnęła piękna pani.

— A pan byłeś w Paryżu? — spytała z kolei.

— Ja, dotąd nie mogłem być — odparł Bolesław — lecz, postanowiłem sobie pierwszą chwilę wolną poświęcić na zwiedzenie téj stolicy świata.

— Ja także, byle się moje interesa ułożyły — dodała

Aurora — zabieram się jednéj godziny i jadę! lecę!

— Jakież pani może miéć interesa? — zapytał Bolek.

— A! proszę pana, ogromne! — poczęła żywo i naiwnie Aurora. — Poczciwy mój dobry, stary opiekun, jest zmuszony mnie opuścić, bo wyjeżdża gdzieś za świat. Mam dobra, mam majątki, nieumiem się nic a nic rządzić, — rady sobie nie dam! Wszystko na mojéj głowie teraz.

— Łatwo pani znajdzie — rzekł uśmiechając się Bolesław — przyjaciela, który panią wyręczy.

— O! nie łatwo — szybko odezwała się panna — niełatwo! Ja jestem wymagającą.

To mówiąc wstała z kanapy.

— Chodź się pan ze mną przejść po salonie, bo ja długo siedzieć nie mogę. Otóż, widzi pan, mówiłam mu że jestem wymagającą — poczęła przechadzając się. — Mój przyjaciel musi być i przystojny, i miéć nazwisko, i mnie się podobać, i nie być zazdrosnym, bo zazdrośników nie cierpię, i bardzo mnie kochać, bo ja do tego przywykłam, że mnie kochano i padano przedemną. — Otóż to wszystko razem znaleść nie łatwo.

— Nadewszystko — rzekł Bolesław — trudno podobać się pani, a ktoby miał to szczęście, reszta by przyszła sama!

Aurora mu spojrzała w oczy.

— E! słowo honoru panu daję, ja jestem dobre stworzenie! — zawołała śmiejąc się — mnie się w początku każdy podoba, tylko to z tymi mężczyznami wielka biéda, bo to są komedyanci, póki się który stara przypodobać, to będzie jak cukierek — a potém!!

— Pani się pewnie skarżyć na nikogo nie może —

odezwał się Bolesław.

Aurora trochę pomyślała.

— A! miałam i ja zawody w życiu — rzekła — ale co tam o tém mamy mówić. Powiedz mi pan lepiéj, kiedy będziesz u mnie?

— Kiedy mi pani pozwoli? — odparł Bolesław.

— Ale, choćby jutro, bardzo proszę. Radabym go bliżéj poznać. Wie pan co? masz pan czas? przyjdź od razu bez ceremonii na obiad jutro, o godzinie piątéj, a potém zostaniesz na wieczór. Ja nikogo nie każę przyjmować. — No, a gdyby opiekun nadjechał, to się panowie poznacie i ja go zaprezentuję.

— Będę służył! — rzekł kłaniając się Bolesław.

— Tylko proszę bez wielkich ceremonii ze mną, i wesoło — dodała Aurora. Zagram panu, zaśpiewam, i uśmiejemy się...

Po chwilce dodała.

— Masz pan familię jaką tu w mieście?

— Nikogo prócz, dalekiego krewnego, profesora — odparł Bolesław.

— A pfe! profesora! dziękuję! — zawołała panna śmiejąc się.

— Pani go widziéć nie potrzebuje — odezwał się Bolesław — bo i ja nawet widuję go rzadko.

— Ja bo, starych w ogólności nie lubię, a co dopiéro, profesora. Co do mnie, nie mam nikogo a nikogo z familii. Opiekun nie jest moim krewnym, choć kocha mnie jak własne dziecko. Mam przy sobie panią Przemską, ale to sobie stary grat tylko dla reprezentacyi, żeby ktoś przecie w

kącie siedział. Doskonała, bo i głucha, i nic nie widzi, i posłuszna — nic a nic nie zawadza.

Rozśmiała się. — Ale przyjdź-że pan na pewno jutro. O piątéj, i nie spóźniaj się bo ja tego nie lubię. — Popatrzała mu w oczy.

— Pan dziś jeszcze jesteś zdetonowany, jutro się trzeba rozruszać!

— Nie dziw — zebrał się na grzeczność Bolesław — gdy się po raz pierwszy widzi tak zachwycającą...

Aurora właśnie stała przed zwierciadłem, i spojrzała w nie z ukosa.

— Żebyś mnie był pan widział lat temu dwa, nim chorowałam — odezwała się, to byś dopiéro powiedział! Od téj choroby nie mogę już przyjść do siebie.

— Cóż to było? — zapytał niezręcznie Bolesław.

Aurora bystro spojrzała mu w oczy.

— Cóż miało być? byłam chora! bardzo chora — blizko dwa miesiące w łóżku leżałam i namartwiłam się, nagryzła. Gdym wstała, sama się poznać nie mogłam.

— Ale niechno pojadę do Paryża — może daléj odżyję! A! jak bardzo lubię podróżować — szczebiotała — co dzień nowe znajomości, nowi ludzie, kraj nowy. Hotele takie przedziwne, widoki takie śliczne!.. Chciałoby się jechać i jechać bez końca. — Pan lubisz podróżować!

— Pewnie bym zgodził się na gusta pani — rzekł Bolesław — ale to bardzo kosztowna rozrywka, a ja dotąd nie mogłem jeszcze moich interesów doprowadzić do porządku.

— A! to i pan masz interesa? może majątki? — spytała.

— Nie — ale kapitały w różnych przedsiębiorstwach — śmiało odezwał się Bolesław — w spekulacyach!

— Czy pan jaki bankier? — odezwała się.

— W części — odparł Bolesław.

— Ale nie żyd? — spytała naiwnie patrząc mu w oczy.

— Same moje nazwisko świadczy — odezwał się Bolesław.

— A! prawda! hrabia! — dodała Aurora — przepraszam pana. To nudna rzecz spekulacye i interesa! Ja pieniądze lubię, ale żeby nie wiedziéć zkąd i jak się biorą. Takie ładne, świeże złoto duża kupa, to tak się błyszczy i brzęczy jakoś śmiesznie, zabawnie i człowiek sobie myśli, że co zechce za to kupi!

W ciągu rozmowy panna poddawała surowemu egzamenowi swojego towarzysza, oglądała go z dziwną śmiałością, stawała, szła znowu, zapatrywała się, zamyślała i z milczenia wychodziła nagle pustym, niezrozumiałym śmiechem.

— Myślę sobie — rzekła w końcu, jak to my jutro się zobaczemy po białym dniu — co pan powie na mnie, co ja o panu. Przy świetle wieczorem człowiek się zupełnie inaczéj wydaje!

— Ja mogę ręczyć, że po dniu pani zyskasz i jeszcze będziesz piękniéjszą — jestem tego pewny, odezwał się Boleś. Aurora wachlarzem go uderzyła po rękach i zawołała. — E, pochlebca!

Zniżyła potém głos i poprowadziła go daléj od gospodarstwa, szepcząc.

— Proszę pana jak tu nudno i smutno, paskudny salon.

Jak ci ludzie tak żyć mogą? Gdyby nie pan, jabym tu nie wysiedziała, mam już dosyć i tak. Tylko proszę nie zapomnieć jutro o piątéj.

Bolesław chciał jéj podziękować i sięgnął po rękę, podała mu ją chętnie, położyła i zatrzymała na jego dłoni; widocznie życzyła sobie, aby ją pocałował, co téż spełnił chętnie — rączka była bardzo ładna. Ścisnęła go z lekka, odbierając ją, i powtórzyła.

— Jutro o piątéj.

Natychmiast zawinęła się do wyjazdu, Sanermann podał jéj rękę, zwróciła głowę do Bolesława i dała mu nią znak poufały. Nie mógł ją daléj odprowadzać, gdyż gospodyni sama została w salonie.

Sanermann, odwiódłszy do powozu piękną panią, wrócił nadzwyczaj wesoły. W chwili gdy on wchodził, gospodyni jakby nadąsana i nieżycząca sobie być świadkiem rozmowy z pozostałym kawalerem, wyszła.

— A no, winszuję! — zawołał Sanermann — powiedziała mi, gdym ją do powozu wsadzał i zapytał, podobał się pani? — A! podobał, powiedz mu, tylko niech jutro będzie u mnie.

To mówiąc uściskał Bolesława.

— Teraz od pana zależy dobicie targu, początek zrobiony wyśmienicie.

Tanczyński, któremu się chciało coś dowiedzieć więcéj o opiekunie owym, zagadnął o niego Sanermanna.

— Najczcigodniejszy człowiek! powszechnie szanowany! dobroczyńca nie opiekun. Kupił dla niéj dobra, uposażył ją jak księżniczkę! własnych dzieci niema, i z

pewnością nadal nią, losem męża i familii opiekować się będzie — rzekł Sanermann.

Bolesław spojrzał mu w oczy tak, że wejrzenie za pytanie stało, a gospodarz się rozśmiał i wziął go za boki.

— Stary człek — rzekł cicho — nie pożyje długo, a teraz wyjeżdża właśnie do Azyi — cóż pan chcesz więcéj?

Tanczyński nic nie odpowiedział.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Józef Ignacy Kraszewski.*

V.

Upłynęło cztery tygodnie, jesień już była późna, dla profesora Maciórka pora najprzykszejsza w roku, bo się musiał włóczyć po błocie do miasta we dnie, a często w nocy przez niedobrze oświecone ulice powracać.

Ażeby się czémś pocieszyć w swém utrapieniu, profesor twierdził, iż te przechadzki przymusowe, utrzymując go w ruchu, zdrowie mu i czerstwość zapewniały. Tryb jego życia nie zmieniał się wcale, uległ tylko małéj modyfikacyi, z powodu iż czasami do nowo wynalezionego siostrzeńca do hotelu zachodził.

Mr Jacques przyjmował zawsze starego jakąś przekąską, nierzadko kawiorem, który Maciórek nadzwyczaj lubił, kieliszkiem dobrego wina, kawałkiem séra i t. p. W duchu profesor ober-kelnera daleko wyżéj stawił nad hrabiego, po którym się wiele spodziewał, dotąd napróżno. Maciórek utrzymywał, że ten niewdzięcznik wszystko mu był winien, a znać go nie chciał.

Prawda, że od zawarcia bliższego stosunku z Sanermannem, nie widział go wuj prawie. Parę razy spotkali się w ulicy, Bolek, ledwie się przywitawszy z nim, nagłe interesa miewał zawsze i natychmiast żegnał. Sanermann pytany co się tam święciło, ruszał ramionami i niechciał zdradzać tajemnicy.

Maciórka to niezmiernie bolało, powoli żal, gniew, urazy gromadziły się na dnie serca. Mr Żak téż, którego z

początku tak czule powitał brat, skarżył się nań, że go unikał.

— To jest fanaberya! — mówił — pana i grafiątko udaje, ja mu śmierdzę.

Z początku ani wuj siostrzeńcowi, ani ten jemu nie zwierzał się z usposobień dla Bolesława, milczeli o nim oba, — lecz gdy się raz zgadało Maciórek syknął. Kelner podchwycił téż.

— Ani go widać!

— Ma on tam interesa, to prawda — zawołał profesor — ale żeby téż ani chwili czasu dla familii nie znaleźć! Komuż on to winien swoją pozycyę w mieście, jeśli nie mnie? Ja go poznałem z Bombasteinem, ja mu dałem Sanermanna, wspierałem go radą. Przepadł by bezemnie jak ruda mysz — a oto miesiąc już ani wiem co się z nim dzieje.

— Ja tam o to niedbam — odezwał się Żak — nigdy na niego nie rachowałem, ale po cóż tak się ze mną czule całował, gdy teraz znać nie chce. Wstydzi się! — rzekł ze śmiechem kelner. Pozawczoraj spotkaliśmy się, udał że mnie nie widzi.

— A wiele razy to zrobił ze mną? — rzekł Maciórek — ani liczę!

— Co on robi? co ma za zajęcie i widoki? — odezwał się ober-kelner.

— Albo ja co wiem? — gniewnie począł stary — czy on mi się z czém zwierzy? To mruk! Jakieś spekulacye z jednéj strony, a z drugiéj, z drugiéj ożenienie bogate.

— Z kimże? wie wuj?

— Ja bo wiem wszystko — odparł Maciórek — choćby

co przedemną i tajono. Sanermann mu nastręczył pannę bogatą, któréj opiekunem jest czy był wysoki dygnitarz, baron. Ten dla niéj dobra kupił, wyposaża.

— Baron? baron? hę? — odezwał się Żak — czy nie ten co z siostrzenicą dwa czy coś lata temu był w Paryżu. Stali w Hotel de Bade, ja tam byłem naówczas. Imię panny, Aurora?

— A tak! — rzekł Maciórek.

Mr Żak okrutnie się śmiać zaczął, ręką sobie usta zasłonił i coś mu tak się na wesołość zebrało, że jéj rady dać nie mógł. Maciórek nań patrzał pilnie, czekając wyjaśnienia.

— Czego się ty śmiejesz? — zapytał.

— A! bo ja tę śliczną pannę znam doskonale. Zabawny trzpiot, była ze mną w wyśmienitych stosunkach. I to z nią się żeni Boleś! Dźwignął ramionami.

— Cóż ty chcesz? ona ma dobra i posag i protekcyą — a on nic! ma rozum, że się z nią żeni, tylko dla tego o familii by zapominać nie powinien.

Żak się śmiał do wspomnień swoich, nie odpowiadając profesorowi, w końcu rzekł:

— No, będę miał bratowę dobrze znajomą, trzpiota jakiego świat nie widział. Nie długo mieszkali w Paryżu, a w hotelu na raz trzy romanse poczęła, tak się nudziła!

— O! o! o! — odezwał się profesor — płocha?

Kelner głową pokręcił.

— No, ale się umityguje — dodał.

Żak jeszcze się śmiał i prychał.

— Osobliwy trafunek! — zawołał.

Chociaż do Bolesława miał żal i rad by był, aby mu się mała jaka nieprzyjemność wydarzyła, któraby pomściła lekceważenie familii — profesor Maciórek stanął w obronie przyszłéj narzeczonéj siostrzeńca.

— Grunt — rzekł — iż z pewnością bogata, bo zapisy są prawne, a o te się ja u ludzi kompetentnych dowiadywałem. Na inne tam okoliczności człowiek rozsądny powinien patrzéć przez szpary. Wywiezie ją, ożeniwszy się, na jaki rok, ludzie zapomną o tém co było, majątek mu wstęp wyrobi do świata — i — kobieta się ustatkuje.

— A co mnie tam do tego — odparł Żak — śmieję się tylko, iż się tak złożyło, że ja ją dobrze znam, a wiele jéj figlów wiem. Ale, mniejsza o to, niech się sobie żeni. Co nam tam!

Pierwszym razem na tém się skończyło. W kilka dni potém siedząc nad szachami w kawiarni, Maciórek dostrzegł wchodzącego do niéj Bombasteina. Nie miał ochoty zbliżać się do niego, ale stary znajomy sam się przysunął ku niemu.

— Jak się tam profesor ma? hę?

— Jako tako, a pan?

— A no, pomaleńku — rzekł zasiadając pan Samuel. Co pan porabia?

— Ja? jak zawsze, do roboty nic nie mam, panowie robicie pieniądze, a my płodzim nudy.

— Siostrzeńca pan dawno widział?

— Czasem mi się przesuwa przed oczyma — odparł Maciórek — ale zajęty mocno, mało ma godzin wolnych.

— U mnie on niewiele teraz pracuje — odezwał się

Bombastein — przyznam się panu, w początkach był pilniejszym, jakoś mu się sprzykrzyło.

Rzucił oczyma na profesora.

— Nic o tém nie wiem — rzekł spokojnie Maciórek.

— Serio? pan nic nie wie? — odezwał się p. Samuel i zamyślił, jakby wahał się powiedzieć co miał na sercu.

— Nie wiem. A jakże interesa panów idą, owe towarzystwo, akcye? — przebąknął stary, szachami się bawiąc.

— Idzie to, idzie — począł Bombastein — u mnie, kochany panie, gdy ja co obmyślę a wezmę się do wykonania, musi iść. Tylko z pana hrabiego mało mam pomocy, prawdę rzekłszy, więcéj się spodziewałem. Opuścił się, niech pan mu to powie delikatnie.

— Ja go prawie nie spotykam — rzekł Maciórek — a wpływem się na niego żadnym pochwalić nie mogę.

Zamilkli oba.

— Boję się, czy jako ładny chłopak nie wdaje się nadto w romanse, a kobiety, panie — dodał po chwili pan Samuel — jak kogo wezmą w swoje rączki, to po nim!

— Nic nie wiem! — powtórzył raz jeszcze profesor.

Pan Samuel pilno mu popatrzał w oczy i nic z nich wyczytać nie mógł; Maciórek siedział poważny, nadęty, ze swą miną pedagogiczną, udając zupełne oderwanie się od świata i obojętność.

Bombastein przerzucał szachy, nie myśląc grać, zdawało się jakby może dla wybadania profesora przybył umyślnie, bo się nie ruszał z miejsca. Niekiedy popatrzał nań, sapnął i znowu pionki ustawiał i przestawiał.

— Będzie tak temu z miesiąc — rzekł głos zniżając — może więcéj, właśnie po rozpoczęciu interesu, w którym jego imie figuruje, kiedyby najczynniejszym powinien się był stać p. hrabia — coś mu się zrobiło, czego nie pojmuję. Widocznie się zaniedbuje i nie jest już ze mną jak był. Hm, pan wie, każdy człowiek w interesach ma współzawodników; i mnie na nich nie zbywa. Mam posądzenie, czy się oni, chcąc mój interes podkopać, nie zwąchali z p. hrabią.

— Nic nie wiem! — odkaszlując powtórzył Maciórek — ja do żadnych się interesów nie mieszam, prawdziwie powiadam, nie wiem nic.

— Ale, jak się panu zdaje? może to być? — zapytał Bombastein. — Ja spodziewam się, że pan mi jesteś przyjacielem?

— Panie Samuelu! — podchwycił gorąco profesor — proszę nie wątpić.

Przy grzecznėm tém zapewnieniu przyszedł mu jednak na myśl ów obiad uroczysty, na który proszonym nie był, a którego dotąd strawić nie mógł.

— Ja — kończył Maciórek — ja czyim mam honor być przyjacielem, temu do końca i zawsze stałego przywiązania daję dowody. Nie uchybiam nigdy, nawet w małéj rzeczy, nawet w najmniejszéj.

Słowa te były wymówione z takim przyciskiem, że p. Samuel znaczenia się ich domyślił, przypomniawszy sobie ów obiad nieszczęśliwy.

— Ale, ale — odezwał się — co mi na myśl przychodzi! Miałem oddawna tłómaczyć się profesorowi, dla czego nie

ośmieliłem się go prosić na ów finansowy obiadek. Położyłem go na liście, nie wiem dla czego p. Bolesław skasował jego nazwisko, i powiedział mi — Nie trzeba.

— Z jakiejże racyi? — z zapałem począł Maciórek. Przyznam się panu, to było uchybienie, które uczułem mocno. Tak jest — nieszło mi o obiad, szło o honor!

— Mnie się zdaje — dołożył Bombastein — że siostrzeniec pański lękał się, aby go to nie żenowało.

— Jakto żenowało? cóż to ja w towarzystwach nie bywałem? Ja dwa razy u ministrów obiad jadłem! Fraka nie mam? znaleść się nie potrafię? Bał się żebym szparagów nie jadł od grubego końca?

Profesor był zaperzony, wzburzony, trząsł się z gniewu, Bombastein, mitygując go, uśmiechał się.

— Niewiedziałem, że pan to tak weźmiesz do serca, byłbym na swojem postawił — odezwał się.

— Więc to jego była robota! Błazen! — zamruczał profesor — chłopiec który mnie winien wszystko! mnie, jednemu mnie!!

Mówiąc to, bił się w piersi Maciórek, zbladłe oczy świeciły ogniem niezwykłym.

— A! tak to jest! tak! nawykłem do niewdzięczności ludzkich — jednak boli mnie ta nikczemność. — I zwracając się do p. Samuela — rzekł drżącym głosem.

— Masz pan naukę — nie powiem więcéj — widzisz jak się obszedł ze mną, wiesz ile mu ufać możesz.

Zmarszczyły się brwi p. Samuelowi.

— Widzisz, kochany pan — odezwał się słodziuchno — pan jesteś bezbronny, ja, w przypadku zdrady — któréj się

nie spodziewam, znalazł bym środki obrony — i pomścić bym się potrafił.

Maciórek miał już coś na ustach, ale się wstrzymał, bełkotał niewyraźnie i chcąc przyjść do straconéj równowagi, dobył chustkę do nosa, rozpoczynając ów akt uroczysty, który go na chwilę od mówienia uwalniał i ochłonąć dozwalał.

Gniewał się mocno na niewdzięcznika, jednakże konspiracyi, do któréj sam należał, zdradzić ani mógł, ani chciał. Bombastein siedział zadumany.

— Ale, wiesz pan co, profesorze — rzekł — zawsze, z czyjéjkolwiek to było winy, ja ci winienem rewanż, jutro zjemy razem dobry obiadek u Bouquerela? hę?

Onego Bouquerela znał profesor z wielkiéj sławy jego, lecz ani razu w życiu jakoś nie miał zręczności poznać się z kuchnią jego, pokusa była zbyt potężną, aby się jéj pasożyt taki mógł oprzéć. Rozjaśniło mu się lice natychmiast, i złagodniał wzrok, odezwał się.

— Ale po co to te wydatki?

— Cóż to dla mnie znaczy? — odparł p. Samuel — to jest nic. Chce pan, żebym wziął siostrzeńca, i żebyśmy mu dali delikatną nauczkę przy téj zręczności?

Po krótkim namyśle Maciórek odezwał się.

— Nie, niech go pan nie prosi. Naukę on miéć będzie i bez tego.

P. Samuel umilkł. Umówiono się o godzinę, żegnając Bombasteina, dodał Maciórek.

— Jedno jeszcze panu powiedzieć muszę, w razie gdyby panu chybił Bolesław, gdybyś przeciw niemu wystąpić

potrzebował, masz we mnie sprzymierzeńca. Błazen jest i znać go niechcę.

Gotowały się więc z różnych stron burze na pana Bolesława, który zdawał się lub o nich niewiedzieć, albo je lekceważyć. W największéj tajemnicy prowadzony romans ów improwizowany przez Sanermanna, szedł szczęśliwie ku rozwiązaniu. Panna żwawa i wrażliwa zakochała się w ładnym chłopcu, który dawał się kochać i na zimno ją uwielbiał. Sam po sobie miarkując, jak z ludźmi należy być ostrożnie i mało wierzyć pozorom, wprzódy nim przyszło do oświadczenia i umów wzajemnych, zręczny chłopak wywiedział się o stanie majątkowym swéj przyszłéj.

Mecenas przez którego miał wstęp do ksiąg hypotecznych, posłyszawszy nazwisko panny, uśmiechnął się trochę złośliwie, wykazał, że dobra były znaczne i czyste, ale wejrzenia jego szyderskie tak paliły p. Bolesława, że nie mogąc ich wytrzymać, oddalił się spiesznie.

W kilka dni po pierwszém poznaniu, codzień proszony i odwiedzając Aurorę w różnych godzinach, raz nareszcie spotkał u niéj opiekuna.

Był to w istocie człowiek bardzo poważny, miły, ugrzeczniony, należący widocznie do wyższego świata, jeszcze pomimo wieku podeszłego bardzo przystojny, rysów twarzy arystokratycznych, staranny w ubraniu, trochę się nawet strojący za młodo. Zresztą na pół wojskowy, pół dyplomata, niezbyt wielomówny, aż do przesady uprzejmy i delikatny, wydawał się trochę dziwnie z tą swą powagą przy trzpiotowatéj i naiwnéj dziewczynie.

Właśnie może ta płochość dziecinna, ta swoboda i niewymuszone, dzikie jakieś obejście się musiało go bawić i odżywiać. Zastygły był bowiem zwykle, smutny, zamyślony.

Aurora nawet przy p. Bolesławie, jakby naumyślnie, obchodziła się z nim despotycznie, drapieżnie, łajała go, rzucała mu się na szyję, szeptała na ucho, śmiała się, dokazywała. Stary był mocno zmięszany, lecz znosił heroicznie te zbytki. Bolesław grał rolę osobliwszą i wrócił do domu rozgorączkowany.

Opiekun obszedł się z nim protekcyonalnie, zimno, mówiąc o rzeczach obojętnych i ciągle przypominając to, że daleką podróż ma przed sobą. Zdawał się bacznie bardzo rozglądać w Tanczyńskim, zadawał mu pytania, usiłował go wyrozumieć, lecz p. Bolesław zamknięty był w sobie i milczący. Nazajutrz, gdy przyszedł do panny, pierwszém jéj było pytaniem, jak się podobał opiekun; zbył ją Bolesław parą słowy. Mówiła o nim dużo, a szczególniéj o nowych darach, jakie od niego otrzymała.

Gdy odchodził szepnęła mu:

— Tylko proszę bardzo nie być o niego zazdrosnym, bo ja niepozwalam.

Chociaż panna Aurora żyła w zupełnie oderwanéj od świata w sferze swéj własnéj i, oprócz znajomości męzkich, z których teraz wiele się cofnęło, innych nie miała — znano ją w mieście z teatru, z przechadzek, z historyi, którą sobie na ucho opowiadano. Częste odwiedziny pana Bolesława także się jakoś zdradziły przez sługi, i może własne panny szczebiotanie. Przebąkiwano już o ożenieniu, ruszając

ramionami.

P. Bolesław, choć go wyzywano nie oświadczył się był jeszcze z niczém więcéj nad gorącą miłość. Jednego wieczora, gdy głucha staruszka drzémała w kątku salonu, a panna Aurora po odśpiewaniu francuzkiéj piosenki wstała mocno ożywiona od fortepianu, przystąpiła żywo do swego adoratora.

— No, panie Bolesławie — odezwała się — dosyć już tych oględzin, obejrzałeś mnie na wszystkie strony, po dniu i przy świecach, wyspowiadałam się panu ze wszystkiego, znasz mnie, wiesz co mam — musiemy z sobą pogadać seryo.

— Mówisz, że się we mnie kochasz, ja panu sto razy dawałam do zrozumienia, żeś mi się podobał, żenisz się czy nie? masz wóz i przewóz. Ja muszę raz wiedzieć? po co te długie ceregiele? ja tego nie lubię.

Poufale rączkę mu położyła na ramieniu.

— Uprzedziłaś mnie pani o kilka minut, bo się dziś miałem jéj oświadczyć — rzekł Bolesław — przyjmujesz mnie pani!

— Cóż bo się pytasz, mówię ci, żem się zakochała! Brzydal jakiś? jakby nie wiedział? — odezwała się Aurora. Znasz moje warunki, żadnych zazdrości! to niema sensu?

Spojrzała mu w oczy swawolnie.

— Słuchaj że — wszak wiesz, że miałam opiekuna, reszty się możesz domyśléć. Proszę mi nigdy żadnéj przeszłości nie wspominać.

— Ale przyszłość do mnie należy — odezwał się Boleś.

Aurora się rozśmiała, przystąpiła do niego poufale i w

ciemne pukle włosów włożyła rękę, układając je fantastycznie.

— Co my, biorąc się dziś, możemy wiedzieć o przyszłości! — rzekła. — Ani ty, ani ja nie powinniśmy zaglądać się gdzie nie należy. Kochamy się, to pewno, a jak się długo kochać będziemy, czy ja wiem?

Wypowiedziała to tak jakoś naiwnie, że Bolesław się rozśmiał.

— Opiekunowi się dosyć podobałeś, mam już pozwolenie jego, zatém mówmy jak i kiedy ślub, i co potém. Ja chcę jechać do Paryża.

Tanczyńskiemu zostawał jeszcze jeden punkt do wyjaśnienia; nazywano go hrabią, miał i na pierścieniach i na biletach korony dziewięcio-perłowe — lecz — z hrabstwem tém fantastyczném do intercyzy stanąć nie mógł, a to było jedyne jego wyposażenie. Znając już pannę Aurorę, mógł się lękać, aby mu przy egzaminie ślubnym, przekonawszy się, że tytułu niema, nie zrobiła awantury. Musiał więc ją przygotować.

Siedli na kanapce w kątku, rozpoczynając marzenia o miodowych miesiącach, gdy pan Bolesław zwrócił rozmowę na swe sieroctwo i losy swéj rodziny.

— Nigdy mi one mocniéj się czuć nie dały jak dziś, droga moja — począł głosem czułym — dziś, gdy chciałbym ci całe skarby świata przynieść z sobą, a nie mogę ci dać nic oprócz serca.

— E! farsa! przerwała panna — co bo pleciesz, niby ja niewiem, że niemasz nic, ale ja na to nie zważam.

— Ale bo niewiesz, że ten tytuł nawet, który się od

wieków mojéj rodzinie należy — niestety — zatracony został! Dziad mój już i ojciec, wstydząc się w ubóstwie owego hrabstwa i niechcąc szarzać tak sławnego imienia, umyślnie odmienili nazwisko i zatarli tytuł.

— Śmieszni ludzie! — zawołała panna — ale cóż to znaczy? Tak samo jak oni porzucili, ty nazad odbierzesz, co ci się należy.

— A! nie tak to łatwo — odezwał się Bolesław — czas znaczny upłynął, papiery prawne poginęły. Nim się odzyszcze tytuł, dużo czasu upłynie — czyż na to czekać będziemy?

Panna się zerwała z siedzenia i poczęła żywo przechadzać.

— Pewnie że to nieprzyjemna rzecz! — zawołała — Zawsze tak dzieci za rodziców niedorzeczeństwa muszą pokutować. Bodaj ich!

Po chwili namysłu jednak zbliżyła się do Bolesława.

— E! zresztą — mniejsza oto! tymczasem się będziemy nazywali jak tam trzeba, a potém musisz odzyskać tytuł. O! koniecznie! Ja muszę być hrabiną; ja stworzoną bo byłam na hrabinę!

— O tytuł będziemy się starali, ale teraz do ślubu ja ci go nie przyniosę.

— No, to ja na niego poczekam — rzekła Aurora z rezygnacyą, stając naprzeciw niego. — Widzisz jaka ja jestem poczciwa. Widzisz!

Bolesław mocno wzruszony chwycił jéj ręce i całować je zaczął, uszczęśliwiony tém, iż ostatnia, jak mu się zdawało, przeszkoda usuniętą została. Tegoż wieczora umówiono się

aby nie dłużéj zwlekać ze ślubem tylko ile potrzeba na wyrobienie indultu, bo za zapowiedziami panna niechciała ślubu, ani go sobie życzył pan Bolesław. Szmaragdowy pierścień pani Laury przeszedł na paluszek Aurory, a brylant opiekuna na rękę Bolesława.

Tego wieczora siedział bardzo długo u niéj narzeczony.

— Pamiętaj tylko — odezwała się do niego, gdy wychodzić miał — że tobie nie wolno być zazdrosnym, ale ja będę i jestem o ciebie zazdrosną okropnie. A, jakbyś mnie, broń Boże, zdradzić miał, otruję, zabiję! — Ścisnęła małe rączki we dwie pięści i śmiejąc się, pokazała je odchodzącemu.

Bolesław dosyć wesół wyszedł tego wieczora — oswoił się ze swojém przeznaczeniem. Chciał majątku i pozycyi socyalnéj, zyskiwał je. Był pewnym, że przeszłości żony nikt mu nie wspomni, bo widział do koła poosłaniane skandale kupkami złota; zresztą szło mu tylko o pozory, a coby ludzie po cichu prawili? na to zważać nie myślał wcale. Kości były rzucone, pierwszy szczebel trzymał pod nogą, środki miał w ręku... daléj iść, pochlebiał sobie, że potrafi.

Świszcząc wszedł na wschody i w niezwykle dobrym humorze, nie dawszy kuksańca Jacusiowi, położył się na spoczynek. Rozkoszne sny go kołysały, — był panem! Żona — myślał sobie — słabą jest kobietą, z nią poradzić będzie najłatwiéj.

Ubierał się myśląc iść do narzeczonéj, bo biuro Bombasteina bardzo od niejakiego czasu zaniedbywał, gdy zadzwoniono i Sanermann wszedł z powinszowaniem.

Protektor i przyjaciel miał znać swoje stosunki w domu panny Aurory i już był o zaręczynach uwiadomiony.

— Winszuję sukcessu, o którym, poznawszy kochanego hrabiego, na chwilę nie powątpiewałem — rzekł Sanermann — no, teraz, mam słówko jego, trzeba zerwać z Bombasteinem!

— A tak, ja to właśnie myślę — odparł cicho gospodarz.

— Chwila jest bardzo po temu, bo ja już trochę kurtę skroiłem mu, interes jest zachwiany, pan swém usunięciem się dobijesz go i mój pan Samuel *caput!*

Zacierał ręce poczciwy człowieczyna, samą myślą tego wypadku uszczęśliwiony.

— Jak się panu zdaje — odezwał się Bolesław wahając — jakiego mam użyć pretekstu do — usunięcia się.

— Po co pretekst — zawołał Sanermann — cóż to pan niewolnik jesteś? Widzisz, że interes źle idzie i dla honoru pańskiego mógłby być szkodliwym — cofasz się, rzecz prosta, nader prosta.

Bolesław, nic nie mówiąc, stał zadumany.

— Kochany panie — odezwał się Sanermann — mam pańskie słowo i domagam się, abyś to coś przyrzekł spełnił natychmiast. Nieodzownie.

— Kiedyż? — spytał Bolesław.

— Dziś — dziś! Chwili niéma do stracenia, kochany panie! tak, tak, dziś!

— Dziś — powtórzył Bolesław — więc starać się będę.

— Ale co, starać się! trzeba zrobić i po wszystkiem!

To mówiąc, spojrzał nań Sanermann natarczywie.

— Wie pan, ja w tym domu pańskiéj narzeczonej mam

wpływ, nie kryję się z tém, że jeśli zwlekać będziesz, ja wszystko popsuć mogę.

Bolesław się zarumienił z gniewu.

— Ale do tego nie przyjdzie! — rzekł, chwytając go za ręce grzeczny pan Sanermann — to się tak mówi, pan dopełni, co obiecał. Ja jestem o tém przekonanym...

Wziął za kapelusz...

— Mnie o skutku uwiadamiać niema pan potrzeby — dodał śmiejąc się — ja w kancellaryi Samuela mam swoich ludzi, dadzą mi znać natychmiast. Ma pan czas do wieczora. Dwa słowa powiesz i wyjdziesz — cała rzecz skończona. Do widzenia, kochany panie, do widzenia. Czekam na skutek!

Wyszedł zostawując pana Tanczyńskiego w głębokich rozmysłach. Jak sobie miał postąpić z panem Samuelem, nie wiedział sam. Czuł, że wiele mu był winien, a choć Bombastein spekulował na nim pewnie, stosunki ich zbliżyły, zerwać je nagle trudno było, niewygodnie, przykro. Szczególniéj milczący i wstrzemięźliwy pan Bolesław obawiał się osobistéj rozprawy, oko w oko — gniewu p. Samuela, wymówek, sceny, może nawet owego adjutanta wiernego, pułkownika, który chwalił się w życiu dwoma pojedynkami.

Po namyśle zrzucił rękawiczki, już włożone, kapelusz położył, i siadł do stolika, probując, azali nie uda mu się listem pożegnalnym wywinąć z przykrego położenia. Długo jednak pióro gryzł, nim potrafił słodko-kwaśne pismo ułożyć, którém żegnał pryncypała i wypowiadał mu służby swoje.

List był grzeczny, przyczyny tak nagłego ustąpienia niejasne, ale sprowadzone do obrótu osobistych interesów piszącego. Tłumaczył się, że mu skład familijnych jego spraw niedozwalał nadal pracować. Nieupominał się o nic, nie rościł żadnych pretensyi, żegnał i dziękował za dowody życzliwości. Raz i drugi odczytawszy pismo swe, zastanowiwszy się nad każdym jego wyrazem, który miał być rozbierany i tłomaczony, p. Bolesław przepisał je na czysto, zaadresował, i przewidując, że będzie pociągnięty do osobistego tłomaczenia się, postanowił nie być tego dnia w domu. Mógł go spędzić u narzeczonéj.

Po drodze do niéj rzucił drżącą ręką list do skrzynki. Jacusiowi zapowiedzianém było, aby na wszelkie zapytania o pana, odpowiadał iż niewie, kiedy do domu powróci.

Stało się — kość była rzucona! P. Bolesław jednak dosyć niespokojny zwrócił się ku mieszkaniu Aurory.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Józef Ignacy Kraszewski.*

VI.

Jacuś miał się na krok nie oddalać od domu, i najuroczyściéj poprzysiągł, iż spełni rozkaz pański; jakkolwiek przychodziło mu z trudnością w ciemnéj ciupce jak w areszcie wysiedzieć. Dla rozrywki mógł chodzić po pokojach, ale od czasu jak przed nim wszelkie źródła roztargnień zamykano, nie miał do tego ochoty. W sieniach siedzieć nie lubił, od biedy, gdy go rozkaz przykuwał, wybierał już wrota z widokiem na ulicę. Tu przynajmniéj miał ruch i życie przed sobą.

Zamknąwszy więc mieszkanie i klucz włożywszy do kieszeni, poszedł przypatrywać się łobuzującym, gdy sam łobuzować nie mógł. Wyrywało to z jego piersi westchnienia! Jedyną pociechą były papierosy i resztki cygarów pańskich, które dopalał.

Siedział już tak przeszło godzinę, gdy powóz się zatrzymał przed domem i z niego wysiadł niezmiernie poruszony, niespokojny p. Samuel, któremu tylko co list ów oddano. Jacuś go znał i wiedział, że musiał szukać jego pana, pędzącemu więc na górę zastąpił drogę.

— Przepraszam pana, hrabiego niema w domu — zawołał prawie nieprzytomnemu Bombasteinowi.

— A gdzież jest?

— Niewiem proszę pana — odparł Jacuś, któremu pomięszanie i niepokój Samuela, czyniły prawdziwą przyjemność — pan mi powiedział, że niewie kiedy

powróci.

Stanął zmięszany Bombastein, wodząc dokoła jakby obłąkanemi oczyma. Niewypadało mu chłopca egzaminować, lecz się powstrzymać nie mógł.

— Czy listy jakie odebrał? czy kto był? cóż się stało? — zapytał.

W łobuziej naturze chłopca było płatanie figlów, śmiało patrząc w oczy pytającemu, im go więcéj skłopotanym widział, tém większéj nabierał ochoty coś zmalować.

— E, proszę pana! albo ja to tam mogę wiedziéć, co się u pana dzieje? Dużo osób było, coś głośno gadali, potém pan siadł pisać list.

— Ale któż był? kto? — pytał natarczywie Samuel, szukając po kieszeniach drobnych, aby chłopca zachęcić do mówienia. Ruch ten ręki, wcale przyjemne dlań zwiastujący następstwo, nie pobudził do mówienia, owszem powstrzymał je aż do skutku.

Dopiéro uczuwszy drobne w ręku, Jacuś spoufalał i stał się serdeczniejszym.

— Ostatni co był, proszę pana, to tak jakiś jegomość, ot — jak pan, nie przymierzając — nawet zdziebdziątko z nosa do pana podobny — czarne włosy takie! Ten coś strasznie ujadał, gardłował i po jego wyjściu pan zaraz siadł do listu.

Z otwartemi usty słuchał p. Samuel, to tylko wyciągnąwszy z relacyi, że nikt z familii nie był, ale ktoś z miasta.

— Znasz ty kogo z familii hrabiego? — zapytał.

— A jakże, proszę pana, *profesora*, więcéj ja o żadnéj

niewiem — rzekł Jacuś.

— Dokądże pan pojechał?

— A kto go wie? On nigdy się mnie nie opowiada — zawołał chłopiec, ramionami dźwigając — tyle tylko powiedział — żebyś mi nie odchodził ani na krok od domu, i dodał, że niewie kiedy powróci.

Tu Jacuś się rozśmiał dziwnie i śmiech zatulił ręką.

— Gadaj, czego się śmiejesz? — zawołał Bombastein.

— Kiedy nie można! bo to sekret — rzekł Jacuś.

P. Samuel dobył z kieszeni grubszą już monetę, i cisnąc mu ją w rękę, rzekł natarczywie.

— Gadaj mi zaraz.

Poskrobał się chłopak w głowę, pomyślał.

— Ja bo — rzekł — mógłbym przysiądz, że nie gdzie on, tylko u téj kochanki co się z nią ma żenić!

Bombastein aż się żachnął — bo niewiedział o niczém. Ponieważ we wrotach dalsze badanie było niebezpieczném, pociągnął z sobą chłopca ku wschodom. Tu przyparłszy go do muru, jak go zaczął różnemi środkami konwinkować i zapewniać mu w razie nieszczęścia sowite wynagrodzenie, dobył z Jacusia i adres panny Aurory, do któréj nieraz chodził z listami, i różne drobne szczegóły.

Nie wyjaśniało mu to jeszcze położenia. Chciał z początku jechać i ścigać zbiega do mieszkania panny, potém zastanowiwszy się, odłożył to na późniéj. Zbyt się uganiać za nim nie chciał, aby nie pokazać, że mu idzie wielce o niego. Odprawiwszy konie, pieszo poszedł na miasto szukać naprzód Maciórka, który jako należący do rodziny, o wszystkiem być musiał uwiadomiony co zaszło.

Przyśpieszonym krokiem udał się do kawiarni, ale tu w rannych godzinach profesor nigdy nie bywał — była to jego stacya poobiednia. Ktoś mu powiedział, że go około Poziomkiewiczowéj spotkać można, p. Samuel udał się na miejsce wskazane; na drodze sprostowano pierwsze twierdzenie, wyprawując go pod Szczupaka. Zmęczony i niespokojny miał już dorożkę wziąć około teatru Bombastein, gdy zobaczył profesora z parasolem pod pachą. Szedł — *quaerens quem devoret*. P. Samuel poleciał ku niemu.

— Wiesz co się stało? — zawołał, nie witając się i dobywając listu — hrabia mnie porzuca. Czytaj? Co to jest?

Maciórek zwrócił uwagę, że w ulicy z listem stać i rozprawiać nie było podobna.

— Zajdźmy — rzekł — do pierwszéj lepszéj dziury.

Pod bokiem była stara winiarnia — wsunęli się do niéj. — Znając się na rzeczy Bombastein, kazał dać butelkę, Maciórek dobywał okulary i czytał, domyślając się wszystkiego, lecz udając, że nic nie wie.

List przebiegłszy, oddał go z chłodną krwią panu Samuelowi.

— Co to ma znaczyć? wytłomacz mi pan, co to ma znaczyć? — wołał bijąc o papier Bombastein.

— To znaczy — odparł profesor — że ten błazen, dla którego nie ma nic świętego, znalazł sobie już gdzieś lepszą sperandę!

— Doszedłem, że się żeni, chociaż niewiem jeszcze z kim — rzekł p. Samuel — ale mu to przecie nie przeszkadza być ze mną w interesie.

Maciórek się namyślał; zemsta za obiad i lekceważenie w sercu mu kipiało.

— Warto by mu dać naukę — rzekł — ale się należy zastanowić nad środkami. Ja jeden w ręku mam, i zdaje mi się, że gdy go użyję, chłopiec się będzie musiał upokorzyć i do waćpana powrócić. Lecz, środek to radykalny! radykalny! — śmiejąc się, dodał Maciórek.

Bombastein patrzał i słuchał, nic nie rozumiejąc.

— Nie idzie mi o niego — rzekł — ale w téj chwili usunięcie się jego będzie dla mnie szkodliwém. Rób pan co możesz, aby temu zapobiedz, późniéj...

Niedokończył gniewny p. Samuel, lecz w myśli rzekł — późniéj, ja go sam wypędzę.

Profesor stał zadumany, walczył z sobą — zemsta przemogła. Z Bolesława żadnéj się nie spodziewał pociechy — potrzeba mu było dać nauczkę.

— Jedź pan do domu — odezwał się do p. Samuela — wypijmy po lampce i rozstańmy się, ja idę i radykalnego środka użyję, a jutro waćpanu wróci upokorzony błazen, i prosić się będzie, abyś go przyjął napowrót. Dziś tylko nieogłaszajcie nic.

— Jakimże sposobem? — spytał Bombastein.

— To moja rzecz — odparł profesor — trzeba go nauczyć rozumu. Idziemy.

Nic się więcéj dowiedzieć już nie mógł Bombastein, lecz uspokojony przyrzeczeniem, poszeptawszy coś do ucha profesorowi, z którym w ten sam sposób sobie postąpił co z Jacusiem, tylko nieco oględniéj dla jego miłości własnéj, pożegnał go uściskiem ręki.

Profesor śpiesznym krokiem, ale zawsze ze swą powagą pedagogiczną, którą w ulicach zachować się starał — poszedł do Żaka. Tego dnia Mr. Jacques był bardzo zajęty, na chwilkę zdawszy regiment swój zastępcy, wszedł z profesorem do próżnego numeru hotelowego na dole.

— Słuchaj no — począł siadając Maciórek — potrzeba ażebyś rodzinie wyświadczył posługę i tego błazna Bolesława rozumu nauczył. Ma się żenić już z tą — osobą bardzo lekkomyślną, o któréj wiesz, dla majątku. Zakałę nam zrobi, zresztą i on sam z nią nie będzie szczęśliwy. Trzeba go ratować. Udawał przed nią hrabiego, — dziewczyna się tego chwyciła, trzeba żebyś do niéj poszedł i przypomniawszy się dawnéj znajomości z Paryża, podziękował jéj za to, że rodzonego brata twego rączką swą chce zaszczycić. Tym sposobem, pewny jestem, zerwiemy głupie małżeństwo.

Mr. Jacques stał, słuchał i bawił się medalionem od zegarka, zdając rozważać czy mu tak wystąpić wypadało.

— Wiesz profesorze, choć tego, z pozwoleniem, (nazwał go czterma literami) znieść nie mogę — no jednak nie bardzo bym chciał mu drogę zapierać do majątku i poprawy losu... Dziewczyna rześka, to prawda — ale jak ją weźmie...

— Ona go weźmie, nie on ją! — zawołał profesor — ona! majątek jéj, będzie musiał służyć za parawan w imię moralności.

Kelner się rozśmiał wesoło.

— Proszę cię — trzeba tak zrobić! nie ma rady! Prawda i rzetelność przedewszystkiem! Moralność! zasady! Niech wie do jakiéj familii ma należéć. On przed nią kłamie, po co

sekreta, aby potém były nieprzyjemne siurpryzy? Nie, karty na stół — chce za niego iść, bardzo dobrze — ale niech wie, za kogo idzie!

— Zgoda — rzekł kelner — z tym warunkiem, że pójdziemy razem.

Profesor pochylił się na poręcz kanapy zdziwiony.

— A ja tam po co?

— Cała familia! hę! — zawołał Żak — kiedy ma ją poznać, niech wszyscy wystąpią. Pójdźmy jéj dziękować razem...

Maciórek radby był żar zagrzebywać ale nie swemi rękami, ściągnęła mu się twarz, pogładził włosy, nie wiedział co począć.

— Przyznam ci się — odparł — że co innego ty, a co innego ja. Jesteś znajomy jéj osobiście; ja — musiałbym się prezentować, i — *quo titulo* się tam znajdę.

— Jako wuj narzeczonego.

— Kiedy nie wiemy, czy już jest narzeczoną.

— To w takim razie — odezwał się Żak — i ja iść nie mam prawa.

Maciórek dla wybrnięcia z trudnego położenia zaczynał nos ucierać, gdy kelner przeszedłszy się po pokoju — dodał.

— No, chodźmy. Wyproszę się na jaką godzinę i służę.

— A jak jego tam zastaniemy? — mruknął profesor.

— Ja się tego nie obawiam, uściskam go jak brata — tém łatwiéj pójdzie sprawa.

Maciórek ręką, w któréj chustkę trzymał, strzepnął.

— Ja niemogę — rzekł — mój wiek, moja powaga, iść

do takiego domu! Ja muszę się trzymać neutralnie.

— Ale by to było zabawne! — rozśmiał się Mr. Jacques — słowo daję, nęci mnie to.

— Idź sam, idź, proszę cię — zachęcał profesor. W ostateczności, jeśli się to na co przyda, możesz o mnie wspomnieć, powołać się na mnie, lecz osobiście mieszać się ja nie mogę.

— Pójdę — zacierając ręce, zawołał Żak — bierz licho ceremonie — jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

— Więc idziesz? kiedy? — spytał profesor.

Spojrzał na zegarek kelner.

— Spodziewam się uwolnić w pół godziny.

— Na pewno? — rzekł wstając stary.

— Słowo się rzekło, pójdę — odparł śmiejąc się Żak — ale muszę się zaczesać i ubrać. Do takiéj pięknéj pani trzeba się stawić elegancko.

P. Bolesław siedział w gabinecie zamknięty u panny Aurory, która znudziwszy się rozmową, poszła palce wprawiać na fortepianie miała bowiem to przekonanie, że gdyby pobrała lekcye u Liszta, mogłaby wszystkie fortepianistki prześcignąć. Grała tak bezmyślnie, błądząc oczyma po saloniku, rojąc o sukniach i gałgankach, o podróży poślubnéj, o przeszłości, o różnych drobnych niewieścich niezmiernéj wagi fraszkach, gdy służący przyniósł jéj bilet wizytowy.

Stało na nim wysztychowane bardzo elegancko: Monsieur Jacques Tanczyński, a pod spodem drobniutkiemi literkami — *Hotel de Bade*. — Panna Aurora miała w życiu tyle i tak rozmaitych znajomości, iż wszystkich sobie

naprędce przypomnieć nie mogła. Zadumana stała długo nad zagadkową kartą, wreszcie uderzona nazwiskiem podobném do tego, które nosił narzeczony, kazała prosić.

Pamięć nazwisk zawodziła ją często, za to fiziognomie przypominała sobie doskonale. Wstała od fortepianu aby się przejrzéć w zwierciadle, bo ładną chciała być dla każdego — lecz zaledwie miała czas okiem rzucić na nie, gdy drzwi się otworzyły i Monsieur Jacques w białych rękawiczkach, z kapeluszem pod pachą, cudownie ufryzowany, z uśmiechem na ustach, z nizkim ukłonem zjawił się w progu. Spojrzawszy nań, panna Aurora mimowolnie krzyknęła i pobladła, zmieszała się mocno, nie umiała przemówić słowa.

Żak zbliżał się ku niéj ze śmiałością dawnego, dobrego znajomego.

— Jak to się ludzie spotykają! — odezwał się z grzecznością przesadzoną. — Nigdy w świecie nie spodziewałem się mieć szczęście widziéć pani?

— Ale zkądże pan — tu? pan byłeś w Paryżu? — drżącym głosem i niespokojnie trochę oglądając się, odezwała panna Aurora.

— W tych samych, a nawet wyższych obowiązkach, co w hotelu paryzkim zostałem tu powołanym — rzekł Żak. Przypadek, istny traf szczęśliwy dla mnie dozwolił mi się dowiedziéć o pobycie pani.

Aurora poczynała powoli odzyskiwać przytomność.

— Sądziłem, że obowiązkiem jest moim przedstawić się jéj, złożyć uszanowanie, a zarazem podziękować.

— Za co? — spytała zdziwiona panna.

— Za to szczęście, które naszą familię spotyka... — rzekł Żak.

— Jakie? co? trochę niecierpliwie już zawołała panna.

— Mój brat.

Aurora stała, nierozumiejąc.

— Mój brat, tak zwany hrabia Tęczyński, rodzoniuteńki brat mój, jak mówią, miał łaskawe jéj względy pozyskać.

— Brat! waćpana brat! — krzyknęła, odskakując zmarszczona, z twarzą zaczerwienioną Aurora — brat!!

— Rodzony mój brat, pani! potwierdził kelner. — Trudno się wypierać, gdy tak jest — dodał — mogę mu to w oczy powiedzieć.

Oniemiała stała panna. Zdawało się jéj, że w nią piorun uderzył. Gabinet, w którym siedział Bolesław, rozdzielało parę pokojów, nie mówiąc nic posunęła się ku drzwiom na przestrzał otwartym, i zawołała p. Bolesława po imieniu.

Niewiedzący o niczem, wstał zwolna narzeczony i wolnym krokiem zbliżył się ku salonowi. Rzucił okiem na wołającą go pannę, i przestraszył się zmienionéj gniewem twarzy.

Przeczuwał już coś złego, lecz nie mógł odgadnąć, co go czeka. Przyśpieszył i zwolnił kroku, zawahawszy się.

— Chodź-że pan — tupiąc nogą, podniesionym głosem poczęła wołać Aurora — chodź pan.

Gdy Bolesław stanął we drzwiach, ręką mu wskazała na Żaka.

Spostrzegłszy go narzeczony pobladł. — Brat, nie straciwszy wcale zimnéj krwi, przywitał go zdaleka.

— Kochanego pana brata!

Dobra chwila upłynęła, nim namyśliwszy się nieco, pan Bolesław odzyskał mowę. Drżący zwrócił się do kelnera i skinął mu głową, zuchwałe zaraz spoglądając na pannę.

— Tak, rzekł — jest to mój brat. Nic dziwnego, że w podupadłéj familii znalazł się syn marnotrawny, którego się ona wyparła. Tak jest — brat to mój, niezaprzeczam, ale niech sam powie, czy nie był wygnany z domu i czyśmy mieli kiedy o nim wiadomość i stosunki.

— Tak, wszystko to szczera prawda — odezwał się z pozorną zimną krwią kelner. Ojciec nasz był ekonomem u hrabiów, mnie się boso latać sprzykrzyło za gęśmi, i drapnąłem z domu. Czułem powołanie, a jemu zawdzięczam, że i panią mogłem poznać w Paryżu, i ściślejszą z nią zawiązać znajomość.

Aurora zakąsiła do krwi usta — Bolesław popatrzał na nią dziwnie.

— No to cóż? — odezwała się — to co?

Nastąpiło milczenie ogólne. Po chwili panna, namyśliwszy się, śpiewając coś dla nadania sobie tonu, ułożywszy ogon sukni, aby jéj ruchem nie zawadzał, zostawując obu braci z sobą oko w oko, wyszła obojętna do swojego pokoju i na klucz się w nim zamknęła.

Żak patrzał na Bolesia bez gniewu, z politowaniem jakiémś — Bolesław, ręce w kieszenie włożywszy, odstąpił ku oknu.

— Nie gniewaj że się — odezwał Żak — przyszedłem cię ratować! Chciałeś się, słyszę, nie do rzeczy ożenić, dla pieniędzy, szkoda mi było ciebie. Ja pannę Aurorę tak dobrze znam z Paryża, a może lepiéj jak ciebie. Na

przyjaciółkę bardzo przyjemna, ale na żonę!

— Cóż komu do tego? — odparł gniewnie Bolesław — ja panu nie przeszkadzam się ożenić choćby z pomywaczką w hotelu — po co się pan mieszasz w moje sprawy?

— Bo to gorsze ożenienie niż z pomywaczką — mój panie Bolesławie — odezwał się Żak. Nie lękaj się, ja ci wstydu nie zrobię, ale nie chciałbym, abyś z siebie śmiech robił.

— Co panu do tego? — wybuchnął Bolesław — powtarzam — proszę się do mnie ani dziś, ani teraz, ani nigdy nie mieszać. Przypadek nas uczynił braćmi, wychowanie postawiło o sto mil od siebie. Daj mi pan pokój! Zemściłeś się — żegnam pana.

Żak popatrzał nań wzgardliwie.

— Żal mi cię — rzekł — ale spełniwszy co było obowiązkiem i satysfakcyą, kłaniam uniżenie!

Zakręcił się Żak i wyszedł, nie śpiesząc. Bolesław stał w oknie jak skamieniały, stał i niewiedział jak długo patrzał, nic nie widząc, w ulicę.

Rozbudziło go otwieranie hałaśliwe, niecierpliwe drzwi gabinetu panny Aurory, która wyszła podśpiewując. Trzymała w ręku pierścień ze szmaragdem i przypatrywała mu się obojętnie. Podeszła z nim do Bolesława, i śmiejąc się, rzekła:

— Proszę o mój!

— Cóż to znaczy? — zapytał Bolek.

— Choć to pan powinieneś zrozumiéć, że już mi się tego małżeństwa odechciało. A pfe! kelner z hotelu szwagrem, to ślicznie! Jakby się opiekun dowiedział. Nigdy w świecie,

nie mogę — nie — nie mogę.

Bolesławowi twarz zaszła krwią.

— Ale pani z nim byłaś w przyjaźni, jak powiada? — ozwał się szydersko.

— Wielka rzecz co on tam gada? — odparła Aurora. — A gdyby tak i było? A panowie się nie umizgacie do ładnych garderobianek? Chłopiec przystojny i taki sprytny! Dla tego za jego brata iść — a pfe... daj że mi pan pokój. — Proszę o mój pierścionek?

Gwałtownym ruchem zdjął go z palca Bolesław i rzucił na ziemię. Aurora, śmiejąc się, podniosła i poszła ku niemu.

— Wstydź że się pan tak gniewać! cóż to znowu jest? Możemy zostać dobremi przyjaciółmi, przychodź pan sobie do mnie, będziemy się śmiać i gawędzić. — Ja nie mam urazy. — Słowo daję...

— Co mi tam? Pójdę za mąż czy nie? Jutro, po jutrze? wszystko jedno... Jakem się zamknęła w gabinecie, namyślałam się, namyślałam, aż mi głowa trochę boleć zaczęła. Nie, za młodego chłopca iść, mnie — niema żadnéj kalkulacyi — zawsze to niewola i niewygoda, ja sobie wyszukam takiego, którego i widywać nie będę potrzebowała. — Dam mu tam co...

Bolesław stał, w okno ciągle patrząc, nieporuszony.

— No, no, dość bo tych gniewów? Kiedy ja się nie gniewam — za cóż ty masz się dąsać! Mówię ci, że możemy być dobremi przyjaciółmi. Ja się troszynę przyzwyczaiłam do pana, a jak się przyzwyczaję, to, póki mnie kto nie znudzi, tęskno mi za nim. Jakoś teraz się nawet nikt zabawny nie trafia — pan sobie, panie

Bolesławie, możesz przychodzić kiedy zechcesz...

Słysząc to, Boleś — sądził że rozumnie postąpi, wybuchając w sposób tragiczny.

— Ja, jeśli raz moja noga ten próg przestąpi, nigdy więcéj się tu niepokażę!

Rozśmiała się Aurora.

— Jakby w teatrze! — zawołała, drapując się zarzutką, stanęła niby aktorka w roli kochanki.

— Sztylet! podajcie mi sztylet... utopię go w mém łonie! Niewdzięczny! opuszczasz mnie! śmierci więc méj pragniesz...

Cha! cha! cha... I śmiejąc się, rzuciła na niedaleko stojącą kozetkę. Podparła się na ładnéj rączce i poczęła przyglądać osłupiałemu, w istocie litość obudzającemu Bolesławowi, przez którego głowę przechodziły wszystkie następstwa nieszczęścia, które go spotkało.

Co miał począć teraz?

Postawszy tak czas jakiś, zbliżył się ku Aurorze.

— Słowo jeszcze — rzekł do niéj. — Pani więc téj intrydze uknutéj na mą zgubę dajesz się do takiego kroku popchnąć... Niech pani rozważy! Ja — ja mogę, ja mam prawo się pomścić — ja...

Panna się śmiać zaczęła.

— Ale, słuchajże — odezwała się zimno — nie trać głowy! Pomścić? jak? będziesz na mnie plótł? A co mi to szkodzi, ludzie źle mówią, to mnie jeszcze czyni ponętniejszą. Ja o to dawno dbać przestałam! Jak się nie będziesz dąsał, to możesz u mnie bywać i zostaniemy dobremi przyjaciółmi, nie — to ci drzwi zamknę. Zyszczesz

tylko tyle. Zechcesz bardzo dokazywać? i na to radę znajdę. Ktoś się chętnie ujmie za mnie i zrobi tobie awanturę... Nie bądź dudkiem.

— Żegnam panią! — odezwał się patetycznie Bolesław.

Aurora wstała żywo z kanapki, poważną nastroiła minkę, z obu stron ujęła spódniczkę rękami i oddała mu ukłon tak pocieszny, że, gdyby się nie wściekał, musiałby się był rozśmiać z niego. Głos, którym wymówiła — Żegnam pana!! był pełen niby głębokiego uczucia.

Natychmiast potém rzuciła się na kozetkę z nogami, wyciągnęła białe ręce do góry i ziewnęła straszliwie. Oko jéj pobiegło za Bolesławem, który szedł ku drzwiom jak pijany.

W chwili gdy drzwi otworzył, panna zawołała na lokaja stojącego w przedpokoju.

— Michał! Tego pana więcéj nigdy nie przyjmować! Rozumiesz?

Było już dobrze z południa, gdy zszedłszy w ulicę, począł się namyślać pan Bolesław co ma zrobić z sobą. Chciał iść do p. Samuela, ale się zawstydził, wolał napisać do niego. Udał się więc do domu. W ulicy spotkał go przechodzący doktór, spojrzał mu w twarz.

— Co ci to jest? nie swój jesteś? chory, czy...

— Czuję się nie dobrze, ale to zmęczenie — rzekł Boleś.

— Idź wypocznij.

I tak się rozstali.

Jacusia znalazł w bramie stojącego na straży. Zobaczywszy pana niespodziewanie prędko wracającego, chłopiec opowiadać mu zaczął o tém, jak się o niego

dowiadywano; lecz, nieotrzymawszy ani słowa odpowiedzi — w końcu zamknąć musiał usta. Zaledwie przyszedłszy do mieszkania, siadł nieszczęśliwy, zawiedziony w swych nadziejach Tanczyński, pisać list nowy.

Odwoływał w nim ranne pismo swe, pod pozorem iż było pisane w chwili mimowolnego rozdrażnienia, tłomaczył się znowu familijnemi zawikłaniami, na przyszłość zaręczając, iż raz na zawsze usunięte zostały.

Nie miał już czasu wystylizować tak starannie odwołania, szło mu o to, aby doszło jak najrychléj i zaledwie dokończywszy je, kazał się Jacusiowi ubrać, iść wprost, co najprędzéj i oddać je do rąk własnych pana Samuela. Chłopcu było bardzo na rękę przewietrzenie się na mieście i to jeszcze w liberyi nowéj, bo wychodząc z listem lub posyłką miał ją kłaść prawo.

Napędzał go tylko p. Bolesław, gorączkowo nalegając o pośpiech, przyrzekając nawet nagrodę, jeśli się żywo sprawi, i wymagając ażeby przyniósł odpowiedź.

Po wyjściu Jacusia, o którego poselstwa dobrym skutku nie powątpiewał — p. Bolesław drzwi zamknął, i padł na fotelu odpoczywać. Nie mógł jeszcze przyjść do siebie, po tém co z nim zaszło. Teraz, jak zwykle człowiek, gdy mu się co niepowiedzie, starał się sam dowieść przed sobą, iż się to stało szczęśliwie, że Aurora była do zbytku płochą i zuchwałą, życie z nią groźne i t. p. Na myśl mu téż przychodziło co pocznie w razie (nadzwyczaj nieprawdopodobnym) gdyby p. Samuel obrażony dawnego stosunku nie chciał przywrócić. Nad tém się jednak nie bardzo zastanawiał, bo nieprzypuszczał, ażeby do tego aż

przyjść mogło.

W zadumie bezładnie krążących myśli upłynęła godzina. — Wedle rachuby p. Bolesława Jacuś powinien by już był być z powrotem... Znał jednak nadto jego wisusowatą naturę, by się dziwił spóźnieniu.

Zaczynało zmierzchać, Jacusia nie było; zciemniło się zupełnie, nie nadchodził.

Boleś począł niecierpliwemi krokami mierzyć pokoiki — niepokój go ogarniał. Opóźnienie było złym znakiem. W ostatku zadzwonił Jacuś, bo drzwi były zamknięte. Bolesław pobiegł mu otworzyć.

— Czego żeś bawił tak długo? — zakrzyczał.

— Kazano mi czekać — słowo honoru daję.

— Gdzież odpowiedź.

— Nie dano mi żadnéj.

— Jakto? — groźnie krzyknął Bolesław. — Cóż ci powiedziano?

— Wyszedł sam pan do mnie — tu Jacuś włosy sobie poprawił — i powiedział mi. — Nie ma nic pilnego, ja sam odpowiedź w tych dniach przyślę.

— Jak to — w tych dniach! — zawołał z gniewem Boleś — toś nie dosłyszał chyba.

— Słowo honoru — w tych dniach.

Bolesław się zamyślił. widocznie sprawa gorzéj stała, niż sądził. Do kogo się miał uciec, co zrobić? nie mógł jeszcze rozsądzić. Nie było się co łudzić — z wielkiéj wysokości runął głęboko. — Jak wszyscy jemu podobni awanturnicy, nim potrafił nowy jakiś plan ułożyć, stracił zupełnie przytomność — obawa chwyciła za serce. — Co począć?

Tegoż wieczora, obliczył się p. Bolesław ze wszystkiem, co miał; nie rachując tylko długów. — Gotowizna w biórku wynosiła około trzechset złotych, ładne bardzo fraszki sam niewiedział jaką miéć mogły wartość, sprzęty wzięte zostały na kredyt. Należało się oprócz tego krawcowi za garderobę, coś w restauracyi, drobnych dłużków po mieście miał sporo...

Z rachunku z p. Samuelem, u którego czerpał, najczęściéj wybierając naprzód naznaczoną mu pensyę — prawdopodobnie lub nie wiele albo się nic nie mógł spodziewać.

Do kogo by się mógł udać, co przedsięwziąć, nie wiedział wcale. Czuł, że odwołanie się do Sanermanna było niemożliwe i niemogło żadnego miéć skutku. Całą prawie noc przemęczył się tak, usnął nad ranem i obudził późno. Wychodzić na miasto nie miał ochoty ani potrzeby, nie ubrany nawet przesiedział część dnia w krześle, oczekując na zapowiedzianą rezolucyę Bombasteina.

Profesor w części tylko zawiadomiony przez Żaka, który mu scenę swą w domu p. Aurory opowiedział, mocno był ciekaw dowiedzieć się reszty. Jako neutralny na pozór w téj sprawie, nazajutrz postanowił dotrzéć — i poszedł do siostrzeńca.

Godzina była popołudniowa, gdy Jacuś, nie pytając nawet pana o pozwolenie, wpuścił go. Maciórek wszedł majestatycznie aż do gabinetu, w którym siedział gospodarz domu.

— Dobry wieczór. Cóż to czy chory jesteś? Przypadkiem przechodząc spostrzegłem Jacusia — który mi powiedział,

że jesteś w domu.

Bolesław nie umiał jeszcze odpowiedzieć.

— Wuj nie wie? — zawołał.

— O czém? gdzie? co?

— O pięknym postępku kochanego braciszka! pana Jakuba?

— Cóż zrobił!

— A! widać się chciał pomścić na mnie za to, żem go przyjął jak brata. Wpadł wczoraj do panny, którą gdzieś pono widział w Paryżu, i zameldował się jéj jako brat jéj narzeczonego.

— Historye! — rzekł profesor — i cóż?

— Wszystko zerwane — zawołał Bolesław. — Ja się z tego cieszę!

— A, cieszysz się z tego? — podchwycił Maciórek.

— Panna była lekkomyślna — rzekł Bolek — sądziłem, że przywiązawszy się do mnie, ustatkuje — ale gdzie tam! Lepiéj że się tak stało.

— Zapewne, jeżeli tak lekkomyślna — rzekł profesor siadając.

— Gorzéj jest — dodał Boleś — że ja wczoraj musiałem zerwać z tym Bombasteinem.

— O! o! zerwałeś z nim! proszę — odezwał się Maciórek — po cóż było tak spiesznie.

— Sanermann naglił! — rzekł Bolesław. — Napisałem potém do niego że wracam, ale mi nawet dotąd nie dał odpowiedzi.

Profesor pokręcił głową.

— Fatalny skład okoliczności, wcale jakoś nie dobrze! Ja

znam p. Samuela, jak się raz obraził — bywaj zdrów! Ha! — dodał — na to nie ma ratunku. Cóż teraz myślisz z sobą?

— Sam niewiem.

Milczał czas jakiś Maciórek.

— Fatalny skład okoliczności! — powtórzył po cichu — bardzo fatalny, tém bardziéj że z Sanermannem téż niema co i gadać.

Przybity Bolesław westchnął.

— Ale musisz miéć pieniądze? — dodał profesor po cichu.

Z odpowiedzią nie spieszył spytany, milczenie trwało minut kilka.

— Żebyś téż sobie nie oszczędził? hę? — spytał powtórnie Maciórek.

— Jakim sposobem — odezwał się Bolesław z gorzkim uśmiechem. — Starając się o pannę, będąc zmuszonym do pewnéj reprezentacyi jako spólnik Bombasteina?!

— Trzeba zawsze żyć z jutrem — rzekł dogmatycznie profesor. — Widzisz, coś ty sobie tém swojém szałapuctwem narobił! Ha! a niemówiłem?

— Wuj wszakżeś chwalił wszelkie moje projekta! — zawołał Tanczyński.

— Zawsze warunkowo — odparł Maciórek. — Projekta o tyle są dobre, o ile się udają. Byłeś nie praktycznym. Sam winieneś sobie. Nie godziło się zrywać z poczciwym tym Samuelem, póki ptaka nie miałeś w garści.

— Któż mógł przewidzieć, że Żak będzie tak podłym?

— Wszystko złe zawsze należy przewidywać, a dobremu niedowierzać — to moja zasada — odezwał się profesor. —

Z wami młodymi daremna rada, kuj, kuj, gadaj, nawracaj, lekkomyślność, zawsze toż samo! A w końcu bieda...

Bolesław westchnął.

— Nieszczęśliwa rodzina — zawołał — do któréj się takie indywiduum przypląta jak ten nikczemny Żak.

— Ale bo co się stało Żakowi! — zamruczał profesor — to nie jest tak zły chłopiec! Fantazya! Zdało mu się, że cię wyrwie z rąk téj płochéj zalotnicy! mógł to uczynić w najlepszéj myśli.

— Niech go tam kaci porwą! — wrzasnął Boleś.

— Widzę, że jesteś mocno podrażniony — z flegmą odezwał się Maciórek wstając. — Nie będę ci się naprzykrzał, potrzebujesz wypoczynku. Dobranoc ci — dobranoc...

— Jacuś! poświeć mi na wschodach, abym gdzie nie rozbił głowy!

I Maciórek wyciągnął poważnym krokiem, zmierzając ku szachownicy, a powtarzając w duchu.

— Zerżnięty! kompletnie, co się zowie zerżnięty. — Dobrze mu tak!

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Józef Ignacy Kraszewski.*

VII.

Nie zawsze wesoło na wysokościach, a niema nic w świecie smutniejszego nad mieszkanie pod strychem w zimie, — nawet w najparadniejszej z kamienic, w miarę jak się wzbija ku górnym piętrom, wschody stają się coraz ekonomiczniejsze, ciaśniejsze i coraz trudniejsze za to. Błoto które na nich narasta, woda obmarzająca, rzadko bardzo bywa naruszoną ręką stróża, który w opiece ma szczególniéj piętra zamieszkane przez osoby, pozdrawiane ukłonem i uśmiechem. Lokatorowie z pod strychów przeciwnie pierwsi mu się grzecznie kłaniać muszą, i z temi ceremonij niema.

Na poddaszu i śnieg zalatuje, i wiatr się wdziera i pustką czuć smutną, bezludną. Ci co się tam kryć muszą, siedzą cicho, jakby się wstydzili dać znak życia. W jednéj z takich wygnańczych ciupek na strychu i na starem mieście, więc w starym domu, którego i dolne piętra konfortem zbytnim nie grzeszyły — leżał na łóżeczku małem, wymizerowany młody człowiek, obwinięty zbrukaną kołdrą wełnianą. — Była już godzina dwunasta, nie wstawał jednak i z głową zanurzoną w poduszki drzemał czy odpoczywał.

Jedna jedyna izdebka składająca całe mieszkanie, z żelaznym piecykiem starym, łóżkiem w kącie, stolikiem, parą krzeseł i komodą, z któréj bejc się mocno pościerał, nagą była i smutną. Podróżny kufer wyszarzany stojący w rogach łóżka, napół otwarty był, wyzierały z niego suknie

przeszarzane, inne leżały porozrzucane po kątach.

Na stoliku zgaszona świeca, kilka kawałków papieru, zmięty krawat, trochę drobnych rozsypanych pieniędzy, karafka z wodą, talerz z zastygłą tłustością, w nieładzie były porozrzucane.

W izdebce mocno czuć się chłód dawał, jedyne okno było zamarzłe i ledwie szary dnia blask przepuszczało. Podłoga od dawna nie zamiatana, okryta była szczątkami różnemi stanowiącemi historyą niedawnéj przeszłości.

Zapukano do drzwi.

— Kto u licha? — odezwał się głos ochrypły i głowa leżącego podniosła, okryta włosami czarnemi rozrzuconemi i zwichrzonemi. Trudno było w niéj poznać nie dawno jeszcze tak pięknego i wytwornie zawsze ubranego pana Bolesława Tanczyńskiego, chyba po zuchwałym i dumnym wyrazie twarzy, która go i teraz zachowała.

— Kto u licha?

Wzrok oczu zmrużonych prawie gniewnie zwrócił się na drzwi.

— Któż tam? — zawołał.

W krótkiem futerku, z laską w ręku wsunął się ciekawie rozpatrując, doktor Bazyli. Ten, nic a nic się był nie zmienił, nieco mu może ciała przybyło. Na twarzy jego dawny spokój panował. Wszedłszy i drzwi za sobą zamknąwszy, stanął jakby niedowierzając oczom swoim.

Tanczyński, który był podniósł głowę, zobaczywszy doktora, na pół ją znów ukrył w poduszki.

— Jakżeś ty do mnie trafił? — odezwał się grobowym głosem.

— Znikłeś mi oddawna z oczów, dowiadywałem się — rzekł doktor — nie wyobrażałem sobie żeby — żebyś był w takim położeniu.

— W jakiem położeniu? — odparł głos z pod poduszki. — Chwilowe kłopoty...

Zmilczał nieco. — No, prawda — dodał — że w tym momencie jestem w ambarasie.

Doktor usiadł w nogach łóżka.

— Jakimże sposobem aż do tego przyszło? — zapytał.

— Pytasz o to! proszę cię! — zawołał Bolesław — podłość ludzka, intrygi, szelmostwa! Człowiek idący prostą drogą zawsze się znajdzie prędzéj późniéj w tém położeniu.

— Ale przecież? jakim sposobem? Miałeś miejsce, mówiono że stałeś świetnie, że były nadzieje jakiegoś ożenienia? niewiem...

— Ożenienia! — podchwycił Bolesław podnosząc się na łokciu — ale jakiego! jakiego! Z osobą wykształconą, arystokratycznego pochodzenia, z najpiękniejszemi stosunkami, ze sperandami na przyszłość!! Wszystko to zabiły nikczemnych ludzi zazdrość i intrygi. Oczerniono mnie najniewinniéj — usunąłem się sam, oburzony. Wolałem znosić nędzę.

— Ale, to nie potrwa — dodał Bolesław — mam jeszcze bardzo możną rodzinę, mam środki.

Chwalił się tak, a doktor słuchał cierpliwie, choć znając go z uniwersytetu wiedział, że te nadzieje były próżne, a raczéj zmyślone. Nie mówił jednak nic, bo mu go serdecznie żal było. Dopiéro gdy się Bolesław wygadał i ulżył sobie, doktór począł łagodnie.

— Wszystko to dobre, mój kochany kolego, ale daleko by lepiéj było nie spuszczać się na familię, nie spieszyć z ożenieniem, oszczędnie żyć i powoli dopracowywać się przyszłości. Masz zdolności, masz młodość.

— Słuchaj — odparł Bolesław — zdaje mi się żeśmy już nieraz o tém mówili. Drogi ludzkie są różne jak charaktery i temperamenta, ja nie umiem iść powoli.

— I dla tego padasz! — odezwał się doktor.

Bolesław ukrył głowę w poduszki.

— Przyszedłeś mnie karmić temi morałami — mruknął.

— Nie — odparł doktór — mylisz się. Jestem sam w dorobku, kapitałów niemam, lecz pomogę ci chętnie. Ile ci potrzeba abyś na nogach stanął? mów!

Bolesław się porwał, oczy mu się świeciły.

— O! ja wiem — zawołał wyciągając chudą rękę — tyś poczciwy, ty serce masz złote. Wierz mi oddam ci z wdzięcznością! Dziś, wiesz tysiąc złotych może mnie wybawić i zapewnić przyszłość.

Bazyli potrząsł głową.

— Dla mnie to są już grube pieniądze — rzekł — ale, jeżeli one istotnie mogą cię uratować.

— Przyjacielu! — patetycznie krzyknął Bolesław — dźwignę się na nogi! Będziesz moim zbawcą!

— Jutro ci je przyniosę — odezwał się przyjaciel wstając z krzesła — ale, dodał, pokaż no mi puls? Jesteś chory czy nie? — Język?

Bolesław posłuszny dał się badać. — Doktor rozpytywał o jadło i sposób życia.

— Nic ci nie jest — rzekł — aleś zmizerowany i

zgryziony. Staraj się życie odmienić! Zaklinam cię! szukaj zajęcia, przestań grać na loteryi, a weź się do roboty...

Tanczyński począł dziękować głosem przejętym. Widocznie rozweselony już i jakby na nowo zbudzony do życia.

— Bądź spokojny o mnie, smutne doświadczenie nauczyło jak się z ludźmi obchodzić i jak życie pojmować. Nie tłómaczę ci się, ale zobaczysz! Mam projekta nieomylne, zawstydzę mych prześladowców...

Pożegnali się, doktor wyszedł, nie zbyt zbudowany i nie bardzo pewny nowéj przyszłości Bolesława, lecz chętnie poświęcając swe oszczędności aby go wyrwać ze złéj toni. Zaledwie on był za drzwiami, gdy Boleś porwał się z łóżka i okrywszy kołdrą poszedł naprzód szukać środków ogrzania izdebki. Resztka węgla i kawałków drzewa walała się w koszyku, starczyło to na rozpalenie ognia w piecyku, od którego natychmiast mała izdebka ocieplać się zaczęła. Żywo zabrał się gospodarz do rozpatrzenia w pozostałéj tualecie. Nadzieja jutra lepszego, dozwalała mu wyruszyć z pieniędzmi jakie miał, na miasto. Surdut, palto, nie zbyt wytarty kapelusz, całe ubranie jak do wyjścia, nie świetne, ale znośne, znalazło się w kuferku. Co było najlepszego zabrali już tandeciarze. P. Bolesław, który zrozpaczony nie wychodził dni parę, chciał wyszukać wuja aby się od niego dowiedzieć o osobach, które go obchodziły, a do których dawno już przystępu nie miał. Bombastein dawszy mu odprawę, drzwi mu zamknął, do Sanermanna próbował się dostać napróżno, brata ani chciał ani mógł widzieć. — Profesor raz się przekonawszy iż siostrzan — plasł, ani się

dowiadywał o niego.

Mówił tylko usprawiedliwiając siebie — któż mu winien. — Sam sobie to zgotował.

Bolesław prędko bardzo z owego apartamentu z Jacusiem, zszedł na strych i łaskę stróża. Projektów o których mówił doktorowi, niemiał żadnych, lecz pewien był, że umiejętnie występując znowu, coś sobie znajdzie. Przychodziła mu na myśl Arcia, ale nie był pewien czy już za mąż nie wyszła; miał na pamięci pewną wdowę trzymającą restauracyjkę na Starem mieście, u któréj jadał bardzo mile będąc przyjmowany.

Któż wie? nawet do panny Aurory wcisnąć się jeszcze możeby się udało? — Wszystkie plany przyszłości, jak widzimy, krążyły nie około czego innego, tylko około łatwego zdobycia środków próżnowania. Nie tak już teraz wysoko sięgał ex-hrabia, tłómacząc sobie że w wyższych sferach, zepsutych, przesądami strawionych, ocenionym nie będzie.

Spadłszy tak nizko, gotów się był i mniejszém zaspokoić.

Z temi powikłanemi nadziejami przyszłości, poszedł wprost do kawiarni, w któréj prawie pewien był znaleźć Maciórka. W istocie szanowny profesor, który był konserwatystą znakomitym, ze stanowiska swojego wyrzucić się nie dawał. Około niego mieniało się i przewracało wszystko, on — trwał ze swym starym parasolem, chustką od nosa, uśmiechem poważnym i twarzą pięknie wypogodzoną, znamionującą sumienie czyste i żołądek nie próżny.

Na widok siostrzeńca, jakby upiora z grobu wstałego, poruszył się mocno wuj, zdziwił, zaciekawił. Bolesław już miał twarz znowu zarozumiałości i pewności siebie pełną.

— Cóż to się z tobą działo? — spytał wuj czule — napróżno cię szukałem? byłem w obawie.

— Byłem chory — ale, już wyzdrowiałem zupełnie, dzięki przyjacielowi mojemu doktorowi — odparł siadając pan Bolesław. — Cóż tam słychać w świecie?

— W jakim? — spytał Maciórek.

— Co porabia braciszek kochany? hę? — szepnął Bolek.

Professor się skrzywił, głową potrząsł.

— Gdybym ci powiedział, nie uwierzysz! — rzekł.

— Wszystkiemu w świecie! — śmiejąc się zawołał Bolek. — Cóż się z nim stało?

— *Stupendum!* — zawołał Maciórek. — Jeśli mam wierzyć wieści, to ożenił się z panną Aurorą i wyjechał z nią za granicę.

Bolesław poskoczył z kanapy.

— To wprost niedorzeczność! bo to być nie może! — krzyknął. — Jakże? odprawiła mnie za to że byłem jego bratem, a —?

— A jego sobie wzięła dla tego że jednego ranka nudziło się jéj bardzo... Proszę cię — dodał Maciórek — miała podróżować, możeż być co na świecie wygodniejszego nad ober-kelnera miéć w podróży? Zresztą i to pewna że Żak polskiego grafa rolę grać będzie przedziwnie za granicą! Może lepiéj niż ty.

Stał jak osłupiały Bolesław, myśląc że stryj sobie z niego robi żarty; gdy stary dobył z bocznéj kieszeni pugilares, a z

niego dwa bilety wizytowe, z dopisanemi u spodu literami. P. P. C. Na jednym z nich stało pod szlachecką koroną: Monsieur Jacques de Tanczyński.

Na drugim.

Madame Aurore de Tanczyńska née comtesse de Przetak.

— Zaszczycili mnie, jak widzisz pożegnalną wizytą — rzekł śmiejąc się professor i chowając skrzętnie bilety. — Pan Żak krył się przedemną z tém że trafił do panny Aurory i zawiązał z nią stosunki, dopiéro gdy miał już do ślubu iść (a ten odbył się prywatnie) przyszedł mnie niby prosić o błogosławieństwo. Wesela i kolacyi wcale nie było, bo państwo młodzi natychmiast wyjechali. Pytałem go jakim się to sposobem stać mogło. Opowiadał mi, śmiejąc się, że wieczorem tegoż dnia odebrał bilecik, zapraszający go aby się przyszedł tłómaczyć. — Pannie się podobał. Co do niego, mówił mi że się jéj nie boi. — E! co było a nie jest, nie pisze się w rejestr — dodał, a teraz ja ją wezmę tak w kluby, że brykać nie pozwolę.

Bolesław westchnął i gniewnie rzucił rękawiczkami o stół.

— A cóż się dzieje z Sanermannem i Bombasteinem.

— W najlepszéj komitywie — rozśmiał się Maciórek — zaraz nazajutrz po katastrofie, spotkali się, starli, wykłócili, porozumieli, zawarli spółkę i razem ludzi oszukują, co im we dwu daleko lepiéj przychodzi, niż każdemu z osobna na własną rękę. Powiem ci téż nowinę tyczącą się twojego doktora, do któréj się on pewnie nie przyznał. Radzca ma nadzieję mu wyrobić miejsce przy szpitalu, a że podobno bez posagu bierze pannę Emmę, więc mu ją dadzą.

— Bravissimo! — rzekł gorzko Tanczyński — słowem tego tylko brak, żeby i pana Serafina ożenić i wujaszka. Ja podobno sam jeden w celibacie zostanę.

— A! pana Serafina żenią z córką bogatego kupca z Franciszkańskiéj ulicy — to pewna. Panna ospowata, ale milionowa. Co do mnie, zdaje się, że ja asindziejowi dotrzymam kompanii, chybaby na łożu śmiertelném bogata jaka dziedziczka chciała mi rękę kostniejącą podać i *in articulo mortis* ślubować, aby w testamencie zapisać. Podobne wypadki rzadko się jednak zdarzają — mówił Maciórek — nie rachuję na to.

Spojrzał na Bolesława, który patrzał smutnie na popękane swe buty lakierowane — i myślał o marnościach świata tego.

Arcia mu się po głowie kręciła. Profesor tym czasem go zabawił.

— Ale, ale — odezwał się — była pono wiadomość o pani téj, wdowie, u któréj i asindziéj bywałeś. — Niedowiary! zbiegła słyszę ze strachu do Ameryki, bo, jak się okazuje, istotnie znaczną summę zabrała księciu... u którego była quasi gospodynią. Wszystko co tu miała zlicytowano, ale książę nie wiele z tego skorzystał. Była podobno tak ostrożną, iż owoc swych zabiegów, złożony w rencie francuzkiéj, zawsze nosiła przy sobie, mogła więc wprost z teatru udać się w podróż, mając środki po temu.

— Szczęście to wielkie — odezwał się Bolesław — iż ja, zawsze mając ją w podejrzeniu pewném, nie starałem się zbliżyć do niéj. Byłbym piękne zrobił ożenienie!

— Jednakżeś tam i gościł i obławiał się u niéj — szepnął

profesor — a to nie bez kozery!

Pogroził mu na nosie. Uśmieszek pogardliwy przebiegł po ustach wybladłego młodzieńca. Ponieważ miał zamiar dotrzéć tego jeszcze wieczora do kamienicy Rehmajera dla powzięcia języka, Bolesław wstał żegnając wuja.

— Mój kochany — odezwał się Maciórek z powagą zwykłą — ustatkuj że się, proszę, zrób raz stały jakiś projekt, nie rozrywaj się, wszystkie siły swe skieruj ku jednemu celowi. Niech że ci się choć tak powiedzie jak Żakowi, który, jak na siebie, świetną wygrał stawkę.

— O! ja — spodziewam się przecie coś lepszego — rzekł układając włosy Bolek. Człowiek bez wychowania, pospolity, bez manier, spodziewam się, żem więcéj wart od niego.

— Ale tu o to idzie, żebyś więcéj niż on potrafił — rzekł profesor — ludzie nie mierzą się tém co są warci, lecz tém co zrobić mogą. Sam widzisz, że cię prostaczek przez kij przesadził.

— To się bardzo szczęśliwie stało! — zakończył.

Wieczorna wycieczka ku kamienicy Rehmajera tém bardziéj na rękę była p. Bolesławowi, że jego strój na mroku nocnym zyskiwał. Znał wybornie wszystkie obyczaje domowe i ufał, jeśli się tu nic wciągu tego czasu nie zmieniło, że stając na przesmyku, którąś z panien spotkać może.

Na dole w sklepie korzennym ruch był wielki, tu się kucharki zaopatrywały w pieprz za trzy grosze, w bobkowy liść, mączkę cukrową, świece, kawę i różne domowe potrzeby. Zdala dojrzał już p. Bolesław znanych sobie

sklepowych chłopców, i sprzedających komisantów. Wszystko po staremu na miejscu było, tylko zbliżywszy się nieco, zauważył baczny postrzegacz, że służba sklepowa tak głośno i swobodnie gospodarowała jakoś, jak nigdy, chyba gdy starego Rehmajera wcale się nie spodziewano.

I on więc śmieléj wszedł na próg sklepu, w którym blizko już lat dwa się nie pokazywał, pod pozorem kupienia papierosów, bo i tych dystrybucya łączyła się do wyprzedaży innych delikatesów.

Pan Derbisz pierwszy komisant, człek wesoły, postrzegłszy dawną znajomość, powitał ją dotykając aksamitnéj czapeczki.

— O to, sto lat? gdzież to pan bywał? — spytał.

— A! różnie — rzekł Bolesław, który się chwalić lubił — jeździłem trochę po świecie. Cóż tu u państwa słychać?

— A! u nas? pan nic nie wie! — rzekł Derbisz — niestety! pryncypałaśmy stracili! A! panie, człowiek był zdaje się nic. Stał bywało w kątku, ręce w tył założywszy, cały słowa nie mówiąc — a jak go nie stało! prawéj ręki, powiadam panu nam zabrakło! Idzie wszystko kulawo.

— Cóż więcéj w domu u państwa? — cicho odezwał się Boleś, którego wiadomość o śmierci czcigodnego Rehmajera, zamiast zasmucić, jakoś raźniejszym zrobiła. Co więcéj.

— A cóż? nic, nic, bieda!

— Panny powychodziły za mąż? — odważył się spytać Boleś.

— Są tam projekta! są — rzekł Derbisz — lecz pewnego dotąd niema nic. My panie, dla starszéj panny potrzebujemy

fachowego człowieka. Ja sam wydołać nie mogę.

Paczka papierosów leżała już dawno na stole, Boleś zapłacił, ukłonił się grzecznie i wyszedł. Powiodło mu się nader szczęśliwie, szło tylko teraz o to, ażeby mógł w jakikolwiek sposób widzieć się z tém bóstwem, które mu naprawiało krawaty. Nieśmiało posunął się na pierwsze piętro, ufając gwiaździe szczególnéj. Słabiuchne światełko oszczędne rzucało smutny blask na nieczyste schody, ale tylu pamiątkami usłane. Gdy p. Bolesław doszedł na piętro, otworzyły się właśnie drzwi i główka średniéj panny Rehmajerównéj wysunęła się ciekawie, rozglądając. Oczekiwała ona na kogoś, bo wschody tradycyjnie służyły do zawiązywania niedozwolonych prawnie znajomości, i do ich utrzymywania tajemniczego... Pomimo słabego oświetlenia panienka poznała Bolesława, i wybiegła ku niemu.

— A, Boże wszechmogący, to pan! — poczęła wołać — to pan! Cóż się z panem działo! Arcia oczy wypłakiwała...

— Byłem w podróży, potém chory — rzekł Bolesław.

— Chcesz pan się z nią widzieć? prawda? ja pobiegnę. Albo nie — mówiła zniżając głos dzieweczka — pan możesz śmiało zajść do jéj pokoju. Mama o téj porze nigdy tam nie chodzi. Gdyby broń Boże nadeszła, no to co? świecę zgasić! i po wszystkiem!

Dziewczę szczebiotało z gorączkowym pośpiechem.

— Stój że pan, nie ruszaj się — ja Arci dam znać i wprowadzę pana...

Znikła mówiąc i pobiegła. Nie upłynęło i pięć minut, gdy z ciemności wynurzyła się w drugim kątku i skinęła, aby

szedł za nią.

Bolesław był posłuszny. W progu z rękami załamanemi stała Arcia, nie wiele zmieniona, pulchniejsza tylko jeszcze, niż była.

Siostra popchnęła go, śmiejąc się, do pokoiku i drzwi za nim zamknęła, sama stając na straży z towarzyszem, który właśnie od dołu wschodów się zjawił.

Pokoik panny Arkadyi, nie był ani ładny, ani porządnie utrzymany, nie przyjmowała w nim nigdy nikogo. Sukienki leżały, wisiały, walały się po wszystkich kątach, toaleta zajmowała dość miejsca, a na niéj nieład był, który tylko młodości wybaczony być może. Arcia ręce załamywała, potém rzuciła się na szyję dawno niewidzianemu.

— Co się z tobą działo? żeby ani się zgłosić? myślałam już, że chyba umarłeś, o mój Boże! co ja tych łez wylałam! O włos mnie nie wydali za Wilbacha — co był w korzennym sklepie na Długiéj. Ordynaryjny człek — ale byłabym już poszła dla matki, bo sobie rady dać ze sklepem nie może. Gdzieżeś ty był? co się z tobą działo?

— Ja? — odparł, tragiczny ton przybierając, Boleś — byłem przez familią wysłany, miałem nadzieję otrzymać miejsce w dyplomacyi. Gwałtem mnie z Warszawy wypchnięto — przechodziłem koleje najrozmaitsze, poświęciłem, mogę powiedzieć, karyerę moją i przyszłość aby do ciebie powrócić. A! niepodobna opisać co wycierpiałem od przewrotności ludzi.

Westchnął, nie mogąc jakoś na prędce wymyśléć bardziéj szczegółowéj historyi. Arci łzy się puściły z oczów.

— Ale teraz tu zostaniesz? — zapytała.

— Nie wiem — rzekł.

— Musisz! A ja za nic w świecie za Wilbacha nie pójdę. Śmierdzi tabaką okropnie.

Usiedli razem na kuferku i poczęła się cicha, poufna rozmowa. P. Bolesław zawsze jeszcze, nie będąc pewien czy ma się na kupcównie ograniczyć i świat sobie zawiązać, mówił jéj o swéj niezmiernie dumnéj i wymagającéj rodzinie, pod któréj władzą zostawał. Spodziewał się uchylić przeszkody — gotów był uczynić wszystko, największe ponieść ofiary dla wspólnego szczęścia.

Stosunki teraz niezmiernie były ułatwione, matka nie mogła tak surowo córek pilnować, niedowidziała na oczy, przybita była poniesioną stratą, Bolesław więc mógł zachodzić w różnych dnia porach i widywać się z nią.

Obie panny starsze były w najlepszéj przyjaźni, kazano się tylko wystrzegać pana Derbisza, który miał być niegodziwym szpiegiem i wszystko matce donosił. On to w interesie handlu nastawał na wydanie Arci za Wilbacha.

— A! to człowiek? żebyś wiedział. Nienawidzę go, niecierpię — dodało dziewczę.

— Ja właśnie w sklepie z nim mówiłem i widział mnie — rzekł Boleś — co się bardzo źle stało.

— O! ręczę że będzie szpiegował — zawołała Arcia — ale niedoczekanie jego! niech stu postawi, my sobie radę damy!

W ten sposób zawiązały się na nowo stosunki z panną Rehmajerówną i uszczęśliwiony powodzeniem dnia tego, wyszedł Tanczyński pełen nadziei. W ostatecznym razie miał jakikolwiek widok przyszłości. Nim jednak doszedł do

domu, już mu co innego w głowie świtało. Arcia była dlań bardzo chudym kąskiem, marzenie popychało go wyżéj. Nie mógł się oswoić z tą myślą, aby na kupcównie i korzennym sklepie miał poprzestać.

Nazajutrz wierny słowu swojemu nadszedł Bazyli, niosąc pomoc przyrzeczoną.

— Daleko ci lepszą rzecz jeszcze przynoszę, niż te mizerne tysiąc złotych — odezwał się, kładnąc papierki na stole. — Mówiłem z radzcą, widział się wczoraj z Mecenasem, któremu zaręczył, że macie prawnicze wykształcenie. U mecenasa jest miejsce nie świetne, ale na początek dobre. Ubiega się o nie wielu, daj się poznać, zechciéj pracować, przyszłość masz zapewnioną.

— Serdecznie ci dziękuję za troskliwość — odparł Bolesław — ale ja tego nie potrzebuję — mam inne i daleko świetniejsze widoki.

Mówił to z taką pewnością, że doktor umilkł.

— Mam ci powinszować? — dorzucił — w mieście powiadają, że się żenisz z panną Emmą?

— Kto ci to mówił? — spytał Bazyli.

— Mówią o tém powszechnie, nie pamiętam, od kogo to słyszałem wczoraj. Cóż, prawda to?

— Nie będę się zapierał projektu — odezwał się Bazyli — ale nie mogę się żenić, dopóki nie będę pewnym, że żonę potrafię utrzymać przyzwoicie. Posagu niema.

— Jakto? żadnego? — zawołał Boleś.

— Na teraz żadnego, radzca jest w interesach — dokończył sucho Bazyli.

— A toż prawda, że Serafina żenicie?

— Radbym, aby się to sprawdziło, bo domowi cięży — rzekł z niesmakiem doktor. — W posagu ma pan Serafin tęgą butę szlachecką i więcéj nic, — a panna nie ładna ale milionowa.

— Miliony na gałganach zrobione? — rozśmiał się Boleś — gdzieś na Franciszkanach.

— Choćby i na gałganach — rzekł doktor surowo. — Wolałbym to, jak lichwę. Z pewnością Serafin téj ospowatéj panny nie wart...

Nie odzywał się już p. Bolesław.

— Zatém z mojego projektu u mecenasa? — spytał wstając Bazyli.

— Nic, dziękuję ci — odezwał się Bolesław. — Stanowisko podrzędne, jakiś tam adwokat miał by się mną posługiwać? Ja mam we krwi, że się nie łatwo poddaję i słucham. Na widoku zaś są daleko świetniejsze rzeczy.

Doktor go pożegnał, nic już nie mówiąc.

Nazajutrz znalazło się mieszkanko wcale przyzwoite na drugiém piętrze, na Nowym Świecie. Znajomi krawcy, widząc znów wypływającego na wierzch dawnego klienta, ofiarowali się go ustroić wedle ostatniéj mody. Ku wieczorowi wszystko było do nowego wystąpienia gotowe, szło tylko o to gdzie i jak się pokazać, aby efekt nie chybił. Około południa, nieposzlakowanie ubrany i urękawiczkowany, z laseczką w ręku, zjawił się piękny, bladawy, interesujący Bolek, wpośród dawnych znajomych, którzy go z oczów straciwszy, napróżno sobie głowy łamali nad tém, co się z nim stać mogło.

Pan Serafin powitał go jeden z pierwszych i na widok

jego zmięszał się nieco Bolek, gdyż zląkł się, czy doktor nie opowiadał, w jakiém go zastał położeniu. Ale doktor Bazyli miał i ten przymiot, że niechętnie mówił to co komu przykrość uczynić mogło. Starając się o miejsce dla przyjaciela, wcale nie opisywał, co porabiał i jak mu było na świecie — szukał dlań zajęcia. P. Serafin więc tyle wiedział, co i drudzy.

— Zkądże? z za świata? gdzie bywałeś? gdzieś się ukrywał?

Tajemniczemi odpowiedziami swemi Tanczyński starał się dać do zrozumienia, iż jakaś Don Żuanowska historya była powodem jego zaćmienia. Smutek który mu po niéj pozostał, był jakby gałęzią cyprysową na grobie szczęścia utraconego. Młodsi od niego a naiwniejsi zazdrościli mu.

Wiedziano, że się rozstał z Bombasteinem, i zapytywano, co robić myśli.

— Dotąd, prawdę powiedziawszy — odezwał się głośno zagadnięty — nie mam jeszcze stałego postanowienia. Nabyłem pewnéj praktyki w interesach bankowych, mam jaki taki kapitalik, gdybym spólnika znalazł, możebym coś założył! Dom bankowy, komisowy — wekslu! coś podobnego!

Sama ta myśl postawiła pana Bolesława znakomicie w oczach wszystkich.

— Zdaje mi się, że w tém — dodał — jak w wielu innych dziś trybach i praktykach jest wiele do uczynienia i do zreformowania! Mam myśli pewne, któreby społeczeństwu naszemu wyszły na korzyść — prawda, że starzy rutyniści, co ze ślepoty tłumu korzystają, możeby na

tém nie dobrze wyszli — ale ogół by zyskał — a spodziewam się — i my także!

Tu począł się śmiać podnosząc głowę i pyszniąc się. Słuchano go z zajęciem. Ludzie, ile razy spotkają się z podobną bezczelną zuchwałością, najczęściéj przed nią głowę skłaniają.

Tegoż dnia od Lursa rozeszła się wiadomość, już w pewną określoną formę ujęta — że pan Bolesław Tanczyński, który był spólnikiem Bombasteina, i odszedł od niego, odziedziczywszy gdzieś, coś, szuka spólnika dla założenia domu bankiersko-komisowo — wekslowego, na nowych podstawach. Instytucya ta ruinę innym zapowiadała!

Roznosząc tę wieść, każdy coś dodawał, jeden, że młodzieniec był zdolny i śmiały, drugi, że po za nim stały pewne kapitały zamaskowane, ogromne, inni, że nowy bank miał zniżyć stopę procentową, ułatwić kredyt, warunki dawać niesłychane.

Tymczasem autor śmiało rzuconéj myśli szedł spać, mając pod poduszką kapitału już tylko złotych sześćset — odwaga starczyła za resztę, ciekawość niesłychanie była rozbudzoną, zaczęto szukać pana Bolesława. Nazajutrz się nie ukazał. P. Samuel Bombastein ze stron kilku zarazem dowiedział się o projekcie i — zmięszał się. Widział w nim cios wymierzony przeciw sobie, kto wie jak groźny! Nie było w ostateczności niepodobieństwem, by pan Tanczyński czegoś gdzieś nie odziedziczył, spólnika nie znalazł, i figla nie spłatał, będąc przez pobyt w domu obeznany z jego działalnością.

P. Samuel tegoż dnia potrafił się spotkać z profesorem u szachów.

— Kochanego profesora! Jakże mi się masz? Cóż tam słyszę, wasz siostrzan wypłynął znowu. Powiadają, że ma dom bankowy zakładać? jakieś ogromne projekta? kapitały? jakieś szalone reformy?

Maciórek, choć się do osłupienia zdumiał, nie myślał zaprzeczać, pochlebiało mu to. Twarz oblókł wyrazem tajemniczym.

— Szczegółów nie wiem — rzekł — pan dobrze znasz mnie, neutralnym zawsze jestem, byłem, będę. — Nic niewiem.

Przysunął się poufale p. Samuel i rzekł cicho.

— Jakto? ze mną, z przyjacielem dawnym, będziesz robił takie ceregiele i milczał?

Uderzył go po kolanie. — Hę?

— Nic nie wiem — odparł poważnie bardzo profesor.

— Zkądże kapitały? — szepnął p. Samuel.

— Powiadam panu, że mi nic nie komunikował — potwierdził profesor.

— I nic się od pana nie dowiem?

— Bo niewiem o niczém.

— Dobrze — rzekł Bombastein — to niechże mu pan powie przy zręczności, ażeby spólnika nie szukał, ma we mnie gotowego.

Profesor spojrzał nań.

— Potém jakeście się rozstali? — spytał.

— Wszystko się daje skombinować! rozumie pan? — odezwał się klepiąc po ramieniu Bombastein — niech mu

pan to powie.

Kiwnął głową Maciórek i pomyślał. — Jak kot, zleci z dachu i zawsze na nogi!

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

VIII.

Znowu tedy o Arci nie było mowy. Pan Bolesław, nie zrywając z nią, przewidywał, że rzucone w porze, w szczęśliwą godzinę słówko, mogło go na nogi postawić. Wymawiając je, wcale się tego skutku nie spodziewał, puścił je na wiatr, — tym czasem nad wszelkie przewidywania powiodło mu się umysły poruszyć.

— Miejże tu rozum — rzekł w duchu — póki szedłem ostrożnie i z pewną rachubą, wszystko mi się nie wiodło. Rzuciłem się zuchwale, szalenie, i kto wie? kto wie?

Najbardziéj go utwierdziło w przekonaniu, iż z bałamutnéj przechwałki coś urosnąć może — to, że drugiego dnia ujrzał wchodzącego do siebie Sanermanna.

— Jakem się tylko dowiedział, że pana tu znowu mamy — rzekł ze swą dobrodusznością przybyły, obie ręce wyciągając ku Bolesławowi — spieszę, abym się wytłomaczył. Zniknąłeś nam pan z oczów. Pragnąłem dawno oczyścić się, udowodnić, że w tém co zaszło, mojéj winy nie było.

— Nie mówmy o tém — przerwał Bolesław — proszę bardzo, niemam żadnéj pretensyi.

— Z czém że pan do nas powraca? — dodał śmiejąc się Sanermann — ludzie powiadają, że z projektami.

— Może to być — rzekł krótko Bolesław — jeszcze nic stałego nie mam obmyślanego.

— No, bo gdyby co było do zrobienia, pan wie, ja lubię

być czynnym, i zemną idzie gładko, *coulant*. Cha, cha!

Bolesław podał mu cygaro; był zamyślony, zamknięty, milczący.

— Od familii mojéj spodziewam się nareszcie odzyskać należne mi kapitały — rzekł. — To prawda, że nie bardzo dotąd wiem, co z niemi zrobię. — Chciałbym je użytecznie dla kraju i dla siebie obrócić.

— Dla kraju? — podchwycił Sanermann — to tak się mówi — ale pierwsza rzecz dla siebie. U nas, to prawda, weszło teraz w zwyczaj mówić, że się wszystko robi dla kraju. Tyje kto, to dla ogółu, zbiera kapitały, to dla ojczyzny. Kupuje dobra, poświęca się dla gospodarstwa krajowego — no! tak ale pieniądze się dla tego chowa do swojéj kieszeni! cha! cha...

— Nie zaprzeczy pan — przerwał Bolesław z wielką serią....

— Ja niczemu nie przeczę! — odparł żywo Sanermann — byle mnie dobrze było, co mi to szkodzi, że się kraj z tego cieszy! — Mnie mówiono — dodał — że pan szuka spólnika?

— Być może iż go przyjmę — rzekł namyślając się gospodarz — ale pan, jeśli się nie mylę, jest już w spółce z p. Samuelem.

— Cóż to szkodzi?

Bolesław się skłonił.

— P. Samuel mocno mi uchybił.

— Pan jemu także! bądźmy szczerzy — podchwycił Sanermann. — Ja sam byłem sprężyną, ale muszę być sprawiedliwym. Tu jest tylko kwita — cha, cha!

— Ale po takiém doświadczeniu — dodał Bolesław — kwitujmy lepiéj oba z siebie na przyszłość.

— Co ja panu powiem — odezwał się Sanermann — w interesach nie powinno być ani gniewu, ani miłości, tylko *Geschäft*.

— Ja mam inne wyobrażenia — zamknął Bolesław.

Sanermann się zadumał trochę i ręką po brodzie powiódł, jakby probował, czy dobrze jest ogolona.

— Ja panu co powiem — powtórzył cicho — niech się pan nie spieszy z tą rewolucyą w bankowych sprawach, niech się pan namyśli dobrze — i niech pan ze mną czasem pogada.

— Gdyby mi kapitały nadeszły — przerwał Bolesław, zbliżając się do niego, widzi pan, ja teraz chcę być bardzo, bardzo oszczędnym — i mieszkania nawet nie spieszę najmować, czy mogę rachować na to, że pan je do swéj kassy weźmiesz w depozyt, póki ja sobie lokalu nieopatrzę?

— Ale z duszy serca! — chwytając go za ręce, zawołał Sanermann. — U mnie jest trzy Werthejmowskie kassy! miejsca dosyć — proszę bardzo!

Aż mu się lice rozjaśniło.

— Więc mogę rachować? — dodał kłaniając się gospodarz i przeprowadzając go do drzwi.

— A jakże! a jakże!

Zaledwie się rozstali, Sanermann zupełnie w pole wywiedziony, poleciał do wspólnika zdać mu sprawę z rozmowy. Bombastein się namyślał.

— Ja muszę się z nim widzieć! — rzekł — to nic nie pomoże. Ubiję to wszystko, zobaczysz.

Po obiedzie Boleś znalazł w kawiarni wuja. Jak tylko go zobaczył Maciórek, powołał natychmiast do siebie.

— Co ty to za bąka w kurs puściłeś? — zapytał.

— Bąka? — odparł Bolesław — ja?

— A no, o kapitałach — zkądżeś je wziął? Od familii? gdzie u dyabła familia? Sfiksowałeś czy co?

— A jeśli ja kapitały mam, niewchodząc w to czyje — rzekł Bolesław — i obrócę je na to ażeby porujnować tych, co mnie chcieli zgnębić?

— Kochany Bolesiu — odezwał się Maciórek — wszystko się na świecie trafia, ale żeby kto tobie miał powierzyć kapitały? Jutro by go trzeba oddać do Bonifratrów.

Bolesław zmilczał, kazał podać kawę, pytając wuja, czy mu nie może czém służyć. Było to poruszenie serca zupełnie nowe, Maciórek nigdy nie odmawiał.

— Wiesz co, kawę piłem — ale kieliszeczek maleńki likworu jakiego, dla konkokcyi, nie odmawiam.

P. Bolesław kazał podać Chartreusę najlepszą.

Ta wspaniałomyślność więcéj dała do myślenia profesorowi, niż plotki o kapitałach.

— Któż go wie? może na jaką żyłę złota natrafił? — rzekł w duchu. — Ludzi głupich, nie siedzących u Bonifratrów, jest dużo!

Zaledwie pół kieliszka wysączył profesor, gdy zdyszany zjawił się p. Samuel. Natychmiast Bolesław wstał i chciał odejść spiesznie, gdy Bombastein pochwycił go za rękę.

— Cieszę się, że pana spotykam — zawołał — bardzo potrzebowałem się wytłomaczyć przed nim. Niechno pan

siada. Pan do mnie ma urazę, ja do pana.

Maciórek, niechcąc przeszkadzać poufnemu tłomaczeniu się, zabrał kieliszek i wstał, idąc się przypatrywać bilardzistom. Tu znalazł w tylnéj straży widać umieszczonego Sanermanna. Przywitali się milcząco.

— A co, mówią z sobą?

Profesor głową kiwnął tylko.

— Jak pan sądzi, porozumieją się?

— Nic niewiem — ja w ogóle nic, nic niewiem.

Sanermann bywał złośliwy.

— Jakto, to pan niewie téż, gdzie najlepszy kawior?

— A, to wiem — zaśmiał się profesor. — Pod teatrem...

— Widzi pan, że są rzeczy, które pan wie, nawet lepiéj niż drudzy — rzekł Sanermann. — Gdyby się zawarł pokój z Bombasteinem, szepnął cicho — to byśmy go gdzieś zaleli trochę i zakąsili — Hę?

— Niemam nic przeciwko temu — odezwał się profesor, byleby w przyzwoitéj porze i warunkach, a nie dorywczo. Dorywczych takich, chwytanych zakąsywań ja nie lubię. Każda rzecz wymaga rozwagi pewnéj i planu.

— Ma pan racyę — rzekł Sanermann, usiłując zajrzéć do drugiego pokoju. Spotrzegł tam pana Bolesława na kanapie rozpartego, z cygarem w ustach, na którego argumentami nacierał p. Samuel.

Szła rozmowa trybem przyzwoitym, lecz ze strony młodzieńca widać było bierny opór, nieprzełamany jeszcze, a p. Samuel silił się mocno o rozbicie spotkanéj na drodze przeszkody. Bolesław mówił mało, słowa mu się wyrywały z dymem cygara, oszczędne, obojętne, gdy z drugiéj strony

sypał się grad, lała powódź wyrazów coraz dobitniejszych, a ruchy rąk obu popierały argumentacyę tak dzielnie, iż obawiać się było można, aby nie zaczepiły o cygaro milczącego przeciwnika. Ustąpił więc p. Sanermann, zostawując ich z sobą. Profesor udawał, że patrzy na bilard, ale w istocie łamał sobie głowę co to wszystko znaczyć mogło? Jakim sposobem ten Boleś już podeptany, nagle znowu wypływał i stawał się figurą tak ważną.

— Nie podobna zrozumiéć — mówił w duchu — i niezręczny i nie tak bardzo bystry, a tu nagle staje się bohaterem! Ludzie koło niego tańcują — i gotów być obiadek do zjedzenia! Nie pojmuję.

Wtém pod ręce się wiodąc, jak dwaj starzy, dobrzy przyjaciele wyszli z gabinetu p. Samuel z Bolesławem, śmiejąc się, szepcząc coś po cichu, uradowani oba. Bombastein zbliżył się do Maciórka.

— Ja w domu nie lubię obiadków dawać, kobiety zawsze zawadzają, jutro sobie u Bouquerela zjemy we czterech, co?

Skłonił się profesor.

Wszystko tedy było skończone — zgoda między panami chrześciańskiemi zawarta. P. Bolesław, jakoś już dłużéj niemając ochoty rozprawiać, wziął zaraz za kapelusz i opuścił kawiarnię. Potrzebował sam z sobą być i namyśléć się, co z tego wszystkiego wyniknie. Odegrał rolę swoją wybornie, złudzenie było zupełne — może nawet posunięte za daleko; jednakże spektatorowie musieli z niego być wyprowadzeni. — Na czém się to więc skończyć miało?

Jak było wyjść z tego położenia, aby się nie przyznawać do kłamstwa i nie być zawstydzonym.

Położenie to wątpliwe mogło się przeciągnąć, w najszczęśliwszym razie, chociażby parę tygodni, ale potém? Grać rolę kapitalisty, nie mając kapitału, można bardzo krótko tylko, przeciągnąć się ona nie daje.

Prawie machinalnie, nie mając co z sobą począć, Boleś skierował się ku kamienicy Rehmajerów. Mrok padał, była to najlepsza do odwiedzin godzina, tu i owdzie światła zapalać zaczynano. Zdala w sklepie dostrzegł zwykły ruch wieczorny, starannie ominął go aby nie być postrzeżonym, i dostawszy się do drzwi, śpiesznie kroczył ku wschodom. W téj chwili coś z kąta pierzchnęło, jakby chłopiec sklepowy i znikło, a Boleś nie był i w połowie wschodów, gdy na dole ukazał się Derbisz w aksamitnéj czapce.

Podniósł głowę do góry i zawołał.

— Za pozwoleniem, a dokąd to pan, dokąd?

Unikając pokazania się i odpowiedzi, pan Bolesław popędził żywiéj i z cicha dobiegł do drzwi pokoiku Arci, probował — były zamknięte. Zajrzał przez dziurkę, nie było wewnątrz światła.

W tém tuż za sobą spostrzegł nacierającego Derbisza.

— Co pan tu robi? — spytał surowo komisant.

Przybyły nie odpowiedział wcale.

— Niepotrzebnie się pan fatygował — dodał szydersko Derbisz — nikogo niema i długo nikogo tu nie będzie. Pani z pannami wyjechała z miasta — tak, tak. — Niema tu już po co się skradać. Panna Arkadya wychodzi za mąż, nic nie pomoże. Te pańskie romanse skończyły się już.

— Mój panie! — rzekł dumnie Bolesław.

— Ale co tam, mój panie! — odparł komisant — ja się

kłócić nie mam czasu, chciałem panu po dawnéj znajomości dać dobrą radę, żebyś pan próżno sam nie bałamucił i na nasz dom ludzkich oczów nie ściągał. Jejmość z córkami wyjechała i nie wróci, aż wyda starszą za mąż za fachowego człowieka, jak nam potrzeba. Późniéj to już Wilbacha sprawa będzie swojego dobra pilnować.

Niechaj pan wraca, niema tu czego czekać.

To mówiąc, zawrócił się Derbisz i począł schodzić ze schodów, oglądając się, czy za nim idzie pan Bolesław. Tanczyński byłby to uczynił pewnie, ale w dole stało ciekawych dwóch chłopców, na których śmiechy narażać się niechciał. Jak przewidywał, tak się stało, surowy Derbisz popędził ich do sklepu. Zszedł więc Bolesław gniewny, poprzysięgając sobie, że tu już więcéj noga jego nie postanie. W ulicy chłopcy z kątów powitali go śmieszkami, nie oglądając się już — poszedł daléj.

Pieniędzy miał jeszcze tyle, że dla rozrywki mógł sobie pozwolić pójść do teatru, rachując iż ukazanie się na nim mogło nawet być efektowne i przydatne.

Dnia tego grał Żółkowski, teatr był pełen, do krzeseł ledwie z wielką biedą dostał bilet jeszcze. Nie szło mu o sztukę, pogrążony był w tém smutniejszych myślach, że jedna z brzytew, za którą miał pochwycić tonący, wymknęła mu się. Bądź co bądź Arcia przedstawiała choć trzecią część kamienicy i handlu! Oprócz tego żal mu było trzpiotowatéj dzieweczki, która rzuconemu na nią urokowi została wierną. Wyobrażał ją sobie we łzach, tyranizowaną, zmuszoną podać dłoń zatabaczonemu Wilbachowi i w prozaiczném życiu, zaprawném cynamonem i gałką

muszkatołową, znędznieć i zeschnąć, zwiędnąć jak kwiatek podcięty.

Silniéj jednak niż litość i miłość mówiły w nim doznane zawody i troska o samego siebie.

Pożyczone od doktora pieniądze długo trwać nie mogły. Kredyt który przez nie zyskiwał, także, choćby najartystyczniéj przedłużany, przeciągnąć się nad miarę nie dawał. Co daléj, nie wiedział.

Praca, szczególniéj cicha i pokątna była mu obmierzłą.

Wodząc oczyma po sali i nadając sobie pozór eleganta wielkiego tonu, pan Bolesław od loż przeszedł na krzesła, szukając znajomych twarzy. Jakież było jego zdziwienie, gdy przed sobą w trzecim rzędzie zobaczył odwróconego właśnie ku lożom — z ogromną teatralną perspektywą w obu rękach, obcisłemi rękawiczkami ujętych, świetnie bardzo wystrojonego pana Żaka. Wiedział o wyjeździe jego z żoną za granicę — nie umiał sobie powrotu tak prędkiego wytłomaczyć. Żak wcale pańską miał minę.

Ze stroju znać było, że świeżo ze stolicy mody przybywał, leżało na nim wszystko jak ulane. Żak byłby dystyngowaną miał powierzchowność, gdyby z nawyknień dawnego stanu nie pozostało mu upodobanie w szpilkach, łańcuszkach i pierścieniach. Zbytek ich zwracał na niego oczy... klejnoty te były bardzo piękne — lecz dla poważnego człowieka nie przystały, a takim chciał się wydawać M. Jacques... Chociaż ujrzawszy go Bolesław siadł zaraz, zasłaniając się plecami widza, który przed nim krzesło zajmował, Żak musiał go zobaczyć, spiął się na palce, przypatrzył i uśmiechnął.

W czasie sztuki, w któréj występował Żółkowski, teatr się trząsł od śmiechu, sam nawet Boleś kilka razy się zapomniał i uległ ogólnéj, zaraźliwéj wesołości, lecz nie trwało to długo, wpadał w zadumę i zapominał nawzajem o teatrze, by pamiętać o sobie.

Co tu Żak robił? mało go to obchodziło, na widok jego otworzyła się tylko nowa rana. Niechciał już nawet dotrwać do końca widowiska i po pierwszéj sztuce wysunął się z zamiarem schronienia do domu. Był już w korytarzu, gdy uczuł, że go ktoś pochwycił pod rękę, obejrzał się. Żak z uśmiechem na ustach stał przy nim.

— No, bez gniewu! — rzekł — niema już się o co kłócić. Byłem głupi i wyszedłem na dudka, możemy razem śpiewać Tadeusza.

Boleś chciał się wyrwać.

— Daj pokój — odezwał się Żak — nie dąsaj się, dajmy sobie ręce jak dobrzy bracia. Dla uspokojenia cię powiem, że kelnerstwo wszelkie porzuciłem, umyśliłem założyć handel.

— Postąpiłeś pan ze mną! — odezwał się Boleś.

— No, źle! prawda, ale ty na tém wyszedłeś dobrze — przepraszam, zgoda! Chodźmy razem na herbatę do Lursa — winienem ci choć historyę twojéj narzeczonéj a mojéj żony?

Bolesław jeszcze coś zamruczał, Żak mu mówić nie dał.

— Słowo ci daję, niemasz się za co gniewać — zgoda, chodź ze mną.

Nadymając się jeszcze i strojąc zagniewanego minę, dał się wszakże pan Bolesław pociągnąć. Żak był w

doskonałym humorze, kazał podać herbaty i niktby nie poznał w nim kelnera, tak doskonale teraz panicza udawał, arystokratyczniéj daleko od Bolka wyglądał. Przypominał anglika niedobrego gatunku.

— Wiesz tedy, żeśmy z moją małżonką zaraz po ślubie wyruszyli — mówił Żak, podając doskonałe cygaro. — Aurorcia była wesoła jak ptaszę i całą drogę do Paryża swawoliliśmy, jedli, pili i śpiewali w osobném kupe, który mi zamówić kazała. Na dłuższych tylko przestankach wyrywała się na peronie, wabiąc ku sobie oczy i robiąc znajomości.

W Kolonii było trochę więcéj czasu, namówiłem ją żebyśmy się przeszli ku katedrze. Jéj przyszła fantazya, żeby w każdéj z fabryk wódki kolońskiéj kupić po flaszce. Śmiejąc się, napakowaliśmy cały kosz, z którym niewiedzieć co robić było. Na kilka stacyi wprzód już zetknęliśmy się z anglikiem, który niezmiernie się żonie mojéj przypatrywał i nad każdą jéj ekscentrycznością głośno się unosił. Poznał się nawet z nami. Człowiek był młody, nie ładny, jasny blondyn, wyrosły ogromnie, niezgrabny, ale dziwnie oryginalny. Gdy śmiał się, wystawiał niesłychanie długie białe zęby, i miał minę zająca z niemi — Aurora znajdowała go przystojnym — nie sprzeczałem się, prawda że atletycznie wyglądał.

W Kolonii przyczepił się do nas i pomógł kupować ową kollekcyę wódek kolońskich, chodził za nami ciągle, dostał winogron dla pani, która była na wszystko łasa i gotowa coś gryźć po dniach całych. Spędziwszy z nim godzinę, siedliśmy znów do wagonu, nie wychodząc z niego aż do

Verviers. Anglik znalazł się tu znowu i po staréj znajomości przylgnął do Aurory, napiliśmy się z nim szampańskiego wina i sądziłem, że się go już pozbędę na wieki.

W Paryżu, unikając niemiłych wspomnień, zajechaliśmy do hotelu du Louvre. Ledwieśmy mieszkanie zajęli, gdy wyszedłszy na korytarz spotykam — Hou do you dow? — Trochę mi było kwaśno — alem go zbył krótko. Przy table d'hôte anglik się usadowił u boku Aurory i cały czas z nią się gził i śmiał. Gdyśmy wrócili do mieszkania, powiedziałem jéj wręcz, że to mi się nie podoba, i żeby anglikowi dała pokój.

— A, to mi się podoba! — zawołała. — Cóż to pan sobie będziesz tony dawał zazdrośnika! Proszę, żeby mi tego więcéj nie było. Anglik mnie bawi i nie myślę wcale go odpędzać, a jak się ty to ważysz zrobić, to — zobaczysz!

Starliśmy się żywo tego dnia, ale do wieczora śladu nie było, nastąpiła zgoda i o angliku zapomniałem. Następnych dni Aurora trochę się miała na baczności, lecz uważałem, iż mu na ucho coś szepnęła — pewnie że ja jestem zazdrośny. Późniéj jakoś dni kilka mojego Sir Martin Dougby widać nie było.

Aurora bawiła się jak dziecko, wodziłem ją gdzie chciała, często tam gdzie kobiecie nie koniecznie bywać wypada, lecz musiała swéj ciekawości dogodzić jak dziecko... Nakupowawszy mnóstwo rzeczy, bo raz dwa tuziny podwiązek za jednym zamachem przywiozła do domu, zaproponowałem Szwajcaryę — ruszyliśmy do Interlacken. Pora nie bardzo sprzyjała, wprędce zażądała Aurora Nizzy i Monaco; nie mogłem się oprzéć.

Tu i owdzie po drodze, zdawało mi się, że Anglika widzę, ale znikał mi z oczów. Gdym o tém mówił Aurorze, śmiała się do rozpuku i szydziła ze mnie, że jego widmo wszędzie ściga zazdrośnika...

W Monaco moja pani — wstrzymać jéj nie było podobna, rzuciła się do gry z wściekłością. Cudem jakimś wygrywała szalenie.

Jednego dnia najwyraźniéj już mojego anglika zobaczyłem, który pozdrowiwszy mnie zdaleka, także siadł do gry. Grałem i ja, ale mi nie szło, dałem pokój. Nudziło mi się w Monaco, pani ani chciała słuchać o wyjeździe. Co najwięcéj, gdym wymógł, że czasem pojechała spocząć do Nizzy. Tu i wszędzie gdzie się pokazała, toalety excentryczne i śmiałe bardzo obejście się Aurory, tłumy mężczyzn ciągnęło za nami.

Trwało to kilka miesięcy, anglik mój to się pokazywał to niknął. Aurora z wielkiego szczęścia jakie miała w grze, nagle przeszła na jakąś fatalność, przegrywała co tylko miała. Przyszło do tego że się przebrało grosza jéj własnego, zażądała odemnie, powiedziałem, że nie dam — pokłóciliśmy się. Nazajutrz, zdumiałem się niezmiernie, bo zażądała jechać do Monaco, siadła do gry i dobyła z kieszeni całą paczkę tysiąc frankowych biletów. Spytałem zkąd je miała.

— A tobie co do tego? — odparła.

Dzień był szczęśliwszy, zaczęła wygrywać znowu. Chciałem ją z wygraną do Nizzy odwieść, oparła się. Pokłóciliśmy się ostro. Musiałem z nią zostać na noc w Monaco. Nazajutrz, była słodziuteńka, groziła mi tylko,

szydziła i kazawszy się przeprosić, poszła grać znowu.

Uważałem, że anglik się zjawił i siadł u tego samego stołu naprzeciw niéj. Zdala mi się zdawało, że sobie oczyma znaki dawali. Niechcąc grać wysunąłem się do ogrodu i zapomniawszy się w nim, przebyłem godzin parę. Ku obiadowéj porze wróciłem po żonę i — nieznalazłem jéj w sali. Szukałem do koła, potém w restauracyi, na ostatek w hotelu, nie było jéj nigdzie. Wróciłem do gry, tam téż śladu jéj i anglika nie znalazłem. Ku wieczorowi — nikogo. Zacząłem być niespokojny, choć mi już kilka razy podobne figle płatała, i na morze łódką wypływała nic nie powiedziawszy, nie wracając aż w nocy. Czekałem jéj długo u brzegu morza — napróżno.

Nadedniem już, przyszedłszy znowu do hotelu, dopierom od kelnera się dowiedział, że był list do mnie w biurze. Posłałem po niego natychmiast. Na świstku stało kilka słów.

„Wyjeżdżam z Sir Martinem do Anglii, my z sobą żyć nie możemy, postaram się o rozwód. Bywaj zdrów. Znudziłeś mnie, chcąc grać rolę męża na seryo — Adieu.“

W pokojach przez nią zajmowanych nie było nic, gdyż tłumoki, jak późniéj mówiono, od dni kilku już wywożono na kolej i pooddawano. Szczęściem, że mój zapas pieniędzy miałem przy sobie i nie zakłopotałem się o powrót do domu. Cóżem miał robić? płakać, gonić? Śmiałem się i koniec. Anglik mnie uwolnił od prawdziwych kajdan, które sam sobie na szyję włożyłem. Nim do rozwodu dla anglika przyjdzie, mam nadzieję, że mu ją włoch odkradnie.

Zapił herbatą Żak.

— Zabawna historya — dodał — nie biorę jéj do serca. Do kelnerstwa już mi powracać nie wypada, pieniędzy się trochę uzbierało, trzeba pomyśléć o sobie.

P. Bolesław z cicha spytał — co zamyśla.

— Muszę jakiś handel założyć — odezwał się Żak — sam niewiem jeszcze, cygara czy delikatesy. Taką *branszę* sobie wybiorę, na któréj się znam, bo nie lubię, żeby mnie oszukiwano. Gdzieindziéj ludzie się dorabiają łatwiéj na wszelakich innych handlach, u nas tylko na jedzeniu i piciu.

— Ale, konkurencya! — odezwał się Bolesław już uspokojony.

Ober-kelner minę zrobił znawcy serc i filozofa.

— Żadnéj konkurencyi się nie obawiam — rzekł — cała tajemnica, żeby u mnie było *drożéj* niż wszędzie! Publiczność lubi płacić dobrze, bo to próżność łechce, a wyobraża sobie, że co drogie to i dobre być musi. Śmiał się Żak. — Ja u siebie ceny postawię ogromne — niech drudzy zniżają.

Bolesławowi przyszło na myśl nagle, czyby kapitałem brata salwować się nie mógł.

Rozwinął przed nim świetny program współki, domu bankowego, nadzwyczajnych zysków na handlu pieniędzmi. Żak słuchał pilno, ciekawie, lecz wcale ująć się nie dawał.

— Ja tego nierozumiem — odparł — to nie dla mnie rzecz.

— Ależ byśmy szli razem.

Potrząsł głową Żak.

Napróżno nad nim łagodnie pracował Boleś, nie dał się

wziąć i gdy się rozstawali, prawie urażony pożegnał go. Ober-kelner daleko praktyczniejszym się okazał, niż się zdawało.

Wróciwszy do mieszkania, Bolesław nie rad z siebie, losów i obrotu spraw swoich, pierwszy raz w życiu, jakimś instynktem kazał sobie z magazynu na dole przynieść butelkę wina i sam z sobą medytując ją wysączył.

Nie był on i dawniéj przeciwko dobremu Bordeaux, lub wytrawnemu Burgundowi, ale sam na sam nie pijał nigdy. Teraz dopiéro uczynił odkrycie, iż w stanie ducha podobnym temu, jaki mu dojmował, nie było nic lepszego nad parę szklanek a nawet całą butelkę dobrego wina. Myśli zaczęły mu się wyjaśniać, poczuł jakąś potęgę wstępującą w siebie, jakąś nową ufność w siły, bogactwo myśli niezwyczajne. Wszystko mu się zdawało łatwém na podziw do wykonania, cisnęły się pomysły jedne od drugich wspanialsze, a tak proste, nieochybne, zwycięzkie na pewno — iż on, co przed chwilą rozpaczał prawie, przyszedł do przekonania, iż był w położeniu najszczęśliwszém, którego by na żadne inne nie mieniał.

Śmiał się teraz ze strachu, który go niedawno ogarniał, szydził z głupiego Żaka, co mu odmawiał kapitału. Wino mu powiedziało, że powinien był śmiało daléj kroczyć w tym samym kierunku i mówić o swych kapitałach. Tymczasem coś — nie to, to tamto znaleść się musiało, poczciwy los powinien był coś nastręczyć.

Do poduszki wypiwszy ostatnią szklankę, pan Bolesław powiedział sobie kładnąc się, iż pracując tak myślą i głową nieustannie, potrzebował koniecznie czegoś

podbudzającego, — postanowił nie zaniedbywać tego środka, który siły spotęgowywał. Spał potém jak kamień, a że nazajutrz czuł się trochę ciężkim, do herbaty rannéj dolał rumu, co go zaraz orzeźwiło.

Nim nadeszła godzina proszonego obiadu pociągnął tam i owdzie pokazać się na mieście z miną tém lepszą im mniéj wiedział co jutro będzie. Maciórek się z nim zszedł przed hotelem, podali sobie ręce. Profesor był tego dnia poważniejszy jeszcze niż zwykle, czuł całą wielkość zobowiązań, jakie na siebie bierze człowiek przybywający na obiadek wykwintny. Dla tego kawy zrana zaledwie dotknął i wstrzymywał się od wszelkich przekąsek, aby z całą świeżością apetytu stawić się do apelu.

— Kochany mój — szepnął do Bolesława — nie codzień się jada u takiego Bouquerela, jestem głodny jak pies....

— Wie profesor nowinę? — spytał siostrzeniec.

— Nowinę! zmiłuj się! przed obiadem! — zawołał Maciórek — przed obiadem się nie mówi nowin, które obudzają wzruszenie i mogą pozbawić apetytu. Po obiedzie natychmiast także się nie mówi nic wzruszającego, dopiéro w tych interwallach, gdy funkcye trawienia są skończone...

— Żak powrócił bez żony — rzekł śmiejąc się Boleś — wykradł mu ją syn Albionu. Rozwód ma nastąpić.

— O! o! o! — krzyknął profesor — żartujesz chyba!

— A! nie! — mówił Bolesław — Żak ma myśl nowe rozpocząć życie i rozpocząć handel.

— Jaki?

— Wujaszek poweźmiesz dla niego szacunek — odezwał się Tanczyński żartobliwie. — Myśli o handlu

delikatesów...

Maciórek posądził o szyderstwo Bolesława i zachmurzył się, nie dawał się naigrawać ze swych słabości.

— Seryo? — zapytał.

— Tak mi mówił — odparł Boleś.

— To dowodzi, że nie głupi — rzekł Maciórek. — Zawsze miałem o nim opinię dobrą, od czasu jakem się dowiedział, że boso uciekłszy z domu, dorobił się grosza i dobréj tuszy; teraz jestem dlań z szacunkiem. Wie on co człowiekowi najdroższe...

Poklepał się profesor po brzuchu.

— Spekulować dobrze można tylko na dwóch rzeczach, na tém co łechce miłość własną i co brzuch wypełnia a podniebieniu pochlebia. Ma rozum, powiadam ci.

Rozmowę tę przerwało amfitrionów przybycie i podanie przekąsek, do których Maciórek nie brał się zbyt skwapliwie.

— Z kaparkami radzę ostrożnie — rzekł — są one zdradzieckim podstępem, aby odjąć apetyt do potraw następujących. Doktor mi jeden mówił, że i zupy jeść nie należy, kto chce...

W tém spojrzał Maciórek na menu obiadu na którym stała — *Turtle soupe* — i zamilkł.

Siadł zawiązując serwetę pod brodę, rozkładając ją do koła, i z rozjaśnioną twarzą wziął się do pożywania darów Bożych.

— Właśnie już dziś — odezwał się Bolek — spotkałem brata mojego, który część kapitałów naszych odebrał. Namawiałem go do spółki naszéj, lecz, waha się jeszcze —

nie wypadało mi nalegać.

— A czemuś go pan na obiad nie prosił? — odezwali się jednocześnie dwaj amfitrionowie.

— Jest to człowiek dziki — rzekł Bolek — towarzystw unika, lubi naukę i samotność.

Maciórek popatrzał nań, jakby mu oczyma dawał Bravo! — i wrócił do talerza.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

IX.

Minęło kilka miesięcy.

Dzień był skwarnego bardzo lata, dającego się czuć w mieście stokroć przykrzéj niż na wsi. Wiatr coby ochłodzić miał powietrze, niósł tumany kurzawy i zasypywał niemi oczy; wszystkie mury rozpieczone od słońca ziały spieką, zdala widać było Wisłę wyschłą, płową, wązkim korytem toczącą resztki wód swoich. W mieście téż pusto było, bo w niém zostali ci tylko, co musieli, a i ci chowali się po kątach, których cień czynił im choć illuzyę chłodu, bo skwar się wszędzie wciskał. — Miało się ku wieczorowi, ale pożądana świeżość i rosa nie przybywały, owszem zbierało się na burzę i powietrze cięższe było co chwila.

Po nad brzegiem Wisły, sprowadzonéj posuchą do rozmiarów tak szczupłych, iż zdawało się, że ją niemal pieszo przebrnąć by można, przechadzał się mężczyzna, laseczką bez gałki i skówki podrzucając to kamyki, to trzaski, to wszelkie śmiecie, które woda wyrzuca na brzegi. Czynił to bezmyślnie, mechanicznie, o czém inném zadumany, bo i chód jego dowodził, że niedobrze wiedział, co się z nim działo. Potykał się co chwila, stawał, szedł wężowato, to się oddalając od wody, to zbliżając ku niéj do zbytku, tak że niemal lekko poruszającéj się fali dosięgał. Wpatrywał się w nią dziwnemi oczyma. Brzask wieczora oświecał twarz jego pięknych rysów, lecz zniszczoną, wymoczoną, zbladłą i wyrzutami poszpeconą. Wejrzenie

miało w sobie coś obłąkanego. Ubiór na nim, niegdyś może wytworny, zszarzany był, zaniedbany, zużyty, kamizelka na pół rozpięta, chustka na szyi na w pół rozwiązana, lakierowane buty wykrzywione i pogięte. Na głowie miał kapelusz tak zniszczony jak inne części stroju, a z jednego boku świeżo uderzeniem jakiemś zgięty.

Ktokolwiek by go zobaczył nad brzegiem rzeki, miałby prawo posądzić o samobójcze zamiary, ale nikogo nie było dokoła. Trochę opodal ubogie psisko z podwiniętym ogonem równie desperacko jak ten człowiek szukało napróżno jakiéjś zapomnianéj kości.

Był to pan Bolesław, nieszczęśliwemi losu prześladowaniami przywiedziony do tego stanu w dosyć krótkim czasie, przy pomocy nagle rozwiniętego nałogu pokrzepiania się i dźwigania ducha z pomocą wina, a późniéj nawet, nieskończenie skuteczniejszéj wódki.

Skutkiem nieprzewidzianym jakimś, napoje owe, które w początkach tak dzielnie podnosiły ducha i wlewały męztwo, późniéj zaczęły robić skutek przeciwny, rodzić myśli czarne, budzić obawy, sprowadzać widma. Nie mniéj jednak potrzeba ich czuć się dawała tak gwałtownie, iż od nich niepodobieństwem się było powstrzymać.

W kilka tygodni po wyśmienitym owym obiedzie, który Maciórek odchorował, ale nie mniéj zapisał go w kronice swéj gastronomicznéj jako *unicum*, poczęto powątpiewać o kapitałach pana Bolesława. Sam on z goryczą się zaczął odzywać, iż doznał zawodu od ludzi niewdzięcznych — ale zawsze przyrzekał zwyciężyć te trudności i t. p.

Panowie Bombastein i Sanermann, zwolna zaczęli

stronić od niego. Codzień jakoś ludzie mniéj ochotnie się doń zbliżali. Natomiast on coraz więcéj się zbliżał do butelki. Nie pił przez oszczędność inaczéj, jak sam na sam. Zwykle w ciągu dnia pokrzepiając się po troszę, nawykł do owego staro niemieckiego *schlaf trunku* i obejść się bez niego nie mógł. Kładł się już zupełnie wolny od trosk ziemskich i szczęśliwy.

Gdy i fundusze doktora Bazylego się wyczerpały i inne pożyczki pozaciągane tu i owdzie coraz skromniejsze przybrały rozmiary, wino okazało się za kosztowném. Bolesław odkrył téż, że mdłém było. Pił więc rodzaj grogu z początku, późniéj już wódkę słodką, naostatek prostą — szpagat. Wyrozumował sobie, iż to jest logiczném uproszczeniem procesu, a skutek dawało jeden.

Pod wrażeniem szpagatu rodziły się myśli szczęśliwe, taką była naprzykład zwrócenia się do dawnéj serca przyjaciółki, teraźniejszéj pani Wilbachowéj.

Kilka razy udało mu się nawet widzieć z nią na wschodach i wymódz na niéj zasiłek mały — na ostatek, gdy raz mniéj oględnie dostał się na górę, gdzie nań pewnie czatowano, Wilbach, człowiek prosty, gbur w całém znaczeniu wyrazu, z kijem wypadł z zasadzki i waląc nim ze schodów go spędził. Odtąd nieśmiał już się pokazywać w kamienicy pan Bolesław, grożąc tylko najokropniejszą zemstą. Do téj jednak nie przyszło.

Gdy się wszelkie środki wyczerpały, miał odwagę po wódce pójść do doktora Bazylego (ten już był żonatym) i żądać od niego bezwstydnie nowéj pożyczki.

Doktor, który od progu poczuł w nim wódkę, znalazł się

najnielitościwiéj, powiedział mu ostrą prawdę, i nic nie dawszy, za drzwi go wyprawił.

Już odchodzącemu, ulitował się widać, otworzył drzwi — ofiarował mu na górze izbę i zajęcie, ale z tém, żeby kropli wódki do ust nie brał.

Na to z pogardą mu odpowiedział Boleś, że niepotrzebuje łaski jego, że zna nikczemny jego charakter, że nim się brzydzi, jako człowiekiem egoistą i podłym. Drzwi się zamknęły, burczał na wschodach i zszedł z nich wprost do szynku, gdyż tak był zburzony, że się koniecznie musiał czemś posilić.

Do ostateczności przywiedziony potem pisał i przepisywał różne rzeczy p. Bolesław, najczęściéj po szynkach, gdzie różnych znajdował klientów, dawał rady prawne i razem z nieborakami przeciwko zepsutym ludziom, światu podłemu i niemiłosiernym bogaczom, krew wysysającym z biednych wykrzykiwał.

Bywały jednak dnie, że i roboty trudno znaleźć było i za wódkę zapłacić.

Tego dnia właśnie pan Bolesław do ostateczności przywiedziony został znalezieniem się Maciórka, do którego umyślnie chodził do kawiarni, aby mu choć kilka złotych pożyczył. Profesor wyłajał go i wypędził.

Najwięcéj litości miewał nad nim Żak, który był w istocie założył handel delikatesów, ten dawał mu *in natura* wódkę przynajmniéj bezpłatnie, ale się go pozbywał z lokalu natychmiast.

Gorycz zaległa zranione serce pana Bolesława. Chodząc nad Wisłą, mówił sam do siebie.

— Otóż to jest świat, na którym lada łajdak się wszystkiego dorobi, a człowiek jak ja uczciwy, prostą idący drogą przepada! Otóż to są ludzie, którzy litości nie mają i padającego popychają. Otóż to familia!

Wartoż to żyć! Co takie życie warte! Patrzéć na świat obrzydliwość porywa!

Tego dnia po wódce miał apetyt do wody nadzwyczajny. Szło o to, aby znaleźć miejsce głębokie, w które wpadłszy od razu, człowiek by się schował i nie męcząc poszedł na świat drugi...

Przeklinał niewierne niewiasty, niegodziwych krewnych, wszystko co żyło bez wyjątku. Wstręt do życia po ostatnim wódki kieliszku wzmógł się tak, iż najmocniéjsze już miał postanowienie — raz na zawsze z niém się rozbratać. Męczyć się tylko nie miał ochoty, a wyboru miejsca sam uczynić nie umiał, bo mu i oczy mgłą zachodziły. Oglądał się po kilkakroć dokoła, nie widząc nikogo oprócz psa gospodarującego na śmietnisku, gdy zdala ukazał się idący powoli człowiek.

Maleńki obłoczek dymu sinawego, który czasami około głowy jego się okręcał, zapowiadał mężczyznę.

Gdy się nieco przybliżył, mógł oczekujący nań rozeznać starego rybaka czy wyrobnika, z twarzą pomarszczoną, w podartym kapeluszu słomianym, z fajeczką w zębach, w koszuli zgrzebnéj i spodniach, słomą około nóg bosych poobwiązywanych. Szło sobie to człeczysko zwolna, niespiesząc, zapewne robotę dzienną swą skończywszy, bo słońce już zachodziło za gęstą chmur ławę. Spostrzegłszy błądzącego po wybrzeżu nieznanego mężczyznę — idący

kroku zwolnił, począł mu się przypatrywać, stanął o kroków kilka.

— A czego to panisko szukacie? — spytał spluwając, fajeczkę z ust wyjąwszy, palcem tytuń w niéj ugniatając.

— E! jakbyście téż byli dobrzy — odparł Boleś podchodząc do niego — pokazalibyście mi, gdzie tutaj najgłębiéj.

Stary się rozśmiał.

Wpatrzył się z wielką pilnością w mówiącego.

— Cóż to pan się chce kąpać? — spytał szydersko.

— Aha! aha! — rzekł Boleś.

Pokiwał głową stary.

— Na co to panu? — odezwał się cicho.

Bolesław nań spojrzał ręce kładnąc w kieszenie.

— Hę? a kiedy mi na świecie gorąco? cóż to komu szkodzi?

— Dyć to nie szkodzi nikomu — rzekł stary — wolnać wola każdemu. Ja tam przeciw temu nie mówię. — Zaczął głową kiwać.

— Pokażcie bo mi miejsce — jakeście poczciwi! — wołał Boleś. Czkawka mu głos tamowała.

Stary patrzał milcząc.

— Abo to pan se innego roku nie mógł dobrać — ozwał się — dyć to lato jakiego ludziska nie pamiętają. Wszyćko poschło, rybsko zdycha, wody wszędy mało. Dalibyście bo pokój, na przyszły rok ja bym wam takie miejsce pokazał, że aż miło. A no teraz! żal się Boże...

Coś jednak na myśl musiało przyjść staruszkowi, uśmiechnął się do siebie sam.

— Patrzajcie no ino — rzekł palcem w dal ukazując. — Hen! hen! widzicie, gdzie ta kłoda leży?

— Widzę.

— Chyba tam! — dodał stary. W tém obejrzał się, że mu fajka zgasła, klnął, dobył krzesiwa i niepatrząc już na Bolesława, który stał jeszcze, począł ognia krzesać. Hubkę założywszy w fajkę na dno, pospieszniejszym krokiem ruszył stary, kapelusza tylko dotknąwszy, jakby śmierć chciał pozdrowić.

Gdy pan Bolesław szedł zwolna ku wskazanéj kłodzie, stary szybciéj coraz ruszał ku mostowi pragskiemu tak, że biegiem do niego doleciał prawie i zniknął w tłumie, który się na nim roił. Boleś krokiem opieszałym, zamyślony posuwał się ku kłodzie. Woda jakoś wcale mu się tu nie zdawała tak głęboka, jak twierdził stary, powierzchnia jéj była gładka, śladu żadnego na niéj wiru niedostrzegł. Przypomniał sobie, że bywają i takie zdradzieckie miejsca na największych głębinach. Kłoda stara na pół zgniła, była tu jakby umyślnie położoną na to, aby na niéj niepotrzebny surdut zrzucić. Obejrzał się w koło i żywego nie zobaczył ducha. Zmierzch nadchodził szybko. Zrzucił więc surducinę wytartą z siebie — i wołając — kiep świat! — puścił się do wody — skoczył, zanurzył, zniknął.

Niestety, właśnie w tém samém miejscu, które mu ten niegodziwy wskazał, płytko tak było, że woda do szyi nie dochodziła. Instynktowo puścił się daléj p. Bolesław, żywszy prąd chwycił go i unosić zaczął. Znikł kilka razy, wydobył się — otrzeźwiony walczył chcąc się znowu ratować, wreszcie — poszedł na dno.

W téj że chwili ludzie biegli tu kupą i czółen na którym stary siedział z fajeczką, pędził ku miejscu, gdzie się topielec zanurzył. Dwóch zdjąwszy odzież, popłynęło za topielcem i jeden z nich wyciągnął bezprzytomnego z wody... Rozciągnięto go na ziemi i zwykłemi środkami ratować zaczęto, a w kilkanaście minut przywołano do życia. Gdy p. Bolesław oczy otworzył i znowu się ujrzał na tym samym świecie, z którego się na inny przekraść pragnął, zatoczył oczyma błędnemi i zamknął powieki, dając z sobą robić co chciano.

Nadbiegła policya, kazała go zawieść do szpitala. Tym to sposobem nazajutrz rano przybyły jako ordynaryusz do niego doktor Bazyli, dowiedział się od felczera na służbie będącego, że pod numerem 9 leżał człowiek, którego wczoraj z Wisły wyciągnięto.

Ciekawym będąc w jakim się znajdował stanie ów topielec, poszedł pod numer 9.

Jakież było podziwienie jego, gdy w wybladłym znędzniałym, trzęsącym się dziwnie człowieku, który błędnemi oczyma wodził do koła przestraszony, poznał dawnego towarzysza i przyjaciela.

Stał z początku niemy i łza mu się zakręciła w oku. Patrzał i pytał sam siebie, czy należało ocalić to życie, i probować jeszcze coś z niego uczynić dla świata.

Bolesław, choć go poznał, nie odezwał się wcale. Bazyli czuł się tu lekarzem tylko, wziął go za puls, spytał co mu dawano. Od rana topielec błagał i dopraszał się wódki, któréj mu odmawiano. Widząc przed sobą doktora, nie pomyślał o czém inném, i zawołał głosem ochrypłym.

— Wódki! wódki!

Doktor potrząsł głową i odszedł...

Największą męczarnią dla ludzi, których nałóg opanował, jest pozbawienie środków zaspokojenia go. Bolesław dochodził prawie do szału i wściekłości. Musiano go strzedz, bo lekarz nakazał, aby szczególny nadzór nad nim miano. Nad wieczorem zdawał się usypiać ze znużenia i stróże odstąpili trochę, pobudził ich łoskot jakby spadającego ciała, przybiegli gdy topielec na cienkim sznurku sprobował się był powiesić nad łóżkiem, ale nie dokazawszy czego zamierzał, bo i sznur i hak się urwał, miotał się i pienił w gniewie.

Nazajutrz doktor Bazyli dowiedział się ze zgrozą o tém nowém pokuszeniu — i przybywszy do łóżka, usiadł przy dawnym towarzyszu.

— Nic nie pomoże, panie Bolesławie — rzekł — potrzeba żyć i nowe życie rozpocząć.

Nie było na to odpowiedzi. Wysiedziawszy dosyć długo, widząc że słowem na chorego nie podziała, musiał Bazyli uciec się do środków lekarskich, ktoreby pewne uspokojenie sztuczne sprowadziły. Cały mu się poświęcił, nieopuszczając prawie szpitalu.

Czynił co mu kazał obowiązek, chociaż w duszy sam się pytał, czy było podobieństwem wyleczyć zepsucie i zwichnięcie moralne, inaczéj jak środkami najgwałtowniejszemi. A i tych wybór jeszcze był trudnym! Miał i organizm i temperament, i wychowanie udział w skrzywieniu tego człowieka, w jego upadku, możnaż było temperament charakter i piętna, które zostawiło

wychowanie, znieść wpływy przeciwnemi?

Było to zadanie zaprawdę godne psychiatry i lekarza ciała, Bazyli się nie cofał przed niém, choć wątpił zupełnie o skutku.

Człowieka trzeba było znowu niemal uczynić dziecięciem i na nowo go wychowywać, pozbawić woli, czuwać nad każdém wrażeniem, ruchu każdego myśli pilnować. Doktor Bazyli postanowił jedném słowem przetworzyć człowieka. Mówił sobie — azali mi się to uda? dlaczegoż bym choć próby uczynić nie miał, jak się próby czynią nad skazanemi na śmierć winowajcami?

W kilka dni dopiéro szał, rozpacze, rzucania się, ustąpiły miejsca prostracyi i opadnięciu. Razem z tą niemocą zjawiło się dziwnym fenomenem życia jakieś pragnienie. Doktor Bazyli każdy symptom badał, rozumował nad każdym. Mówić z chorym nie było jeszcze podobna, ciało należało wprzódy ukrzepić, nimby się działało na duszę. Szło to bardzo powoli.

Gdy cokolwiek pozdrowiawszy, pan Bolesław, który pamięć odzyskiwał, począł mówić o przeszłości jéj własnym językiem, Doktor usta mu zamknął. Gdyby był mógł, byłby tak samo myśl powstrzymał.

W krótkich z chorym rozmowach starał się prowadzić go w światy zupełnie nowe, jak najmniéj mające związku z tém wszystkiem, co do jego przeszłości należało. Bolesław nie widywał nikogo oprócz doktora, zmuszonym był obcować z nim tylko i z nim wymieniać myśli. Te, które mu przychodziły od Bazylego, obrachowane były tak aby go wiodły na drogi nowe i działały uzdrawiająco na ducha.

Gdy chory czuł się nieco silniejszym i żadne mu już nie zagrażało niebezpieczeństwo, doktor umyślnie go w łóżku zatrzymał, na dyecie i pod nadzorem, aby wyjście na świat nie stało się recydywą od choroby straszniejszą. Miłosierdzie zarówno i chęć doświadczenia, o ile człowiek dojrzały ze stanu upadku wyprowadzonym być może fizyczną i moralną kuracyą, powoływały doktora do opiekowania się szczególnego nieszczęśliwym. Ze wspólnéj z innemi choremi sali przeprowadził go do oddzielnéj izby, gdzie Bolesław sam jeden nieco być mógł swobodniejszym. Ponieważ kilkakrotnie już od stróżów swych żądał wódki, o czém doktorowi doniesiono, otoczono go strażą jak najsilniejszą, ażeby płoche politowanie mu jéj nie dostarczyło.

Ile razy Bazyli przyszedł, chory witając go rozpoczynał zaraz kłamliwe swe opowiadania o przeszłości, skargi na ludzi i plany dziwaczne rozmaitych przedsiębierstw, któremi by mógł się dźwignąć, gdyby tylko miał środki potemu.

Doktor zwykle słuchał w milczeniu, a potem zagajał o czémś zupełnie inném, o pracy, o życiu i jego warunkach, o czasach i studyach uniwersyteckich. Bolesław niecierpliwił się, zżymał, przerywał chcąc go wciągnąć w koło swych niedorzeczeństw, na ostatek milczał i słuchał. Dopatrzywszy chwilę właściwą, Bazyli położył mu parę książek poważniejszéj treści na stoliku i parę powieści z angielskiego tłomaczonych, między innemi Thakeray’a Targowicę próżności i książkę Snobów.

Nazajutrz znalazł to wszystko nietkniętém.

W kilka dni jednak z nudów i osamotnienia Bolesław począł czytać, zajęło go to i godziny przeszły mu prędzéj, czas stał się krótszy, więzienie owe znośniejszém. W pierwszéj rozmowie zaraz dał się czuć skutek czytania, umysł znękany, wrażliwy przyjmował pokarm mu dany, choć widać było, że w nim jeszcze obracał się on nie w sok pożywny, ale w chorobliwe humory. Bazyli obserwował uważnie, czekał — książki niektóre zmieniał, a że Boleś studyował prawo niegdyś, przyniósł mu coś co było w związku z jego chybionym zawodem.

Nie mówili z sobą o tém, doktor go ani przekonywał ani zachęcał, działanie zostawił czasowi i sile warunków, jakie pacyenta otaczały.

Zdrowie na dyecie szpitalnéj poprawiło się widocznie, o wyjściu jednak z pod tego nadzoru mowy nie było. Bolesław przechadzał się po ogródku, po pokoju, nabierał sił. Jednego dnia odwiedzającemu doktorowi napomknął, że się zdrowym czuje, a juściż w szpitalu wiecznie pozostać nie może.

— Odpocznij-no dobrze — odezwał się Bazyli — a gdybyś wyszedł, cóż zamyślasz z sobą, mów mi otwarcie, i bez żadnych fikcyi poetycznych, które się mnie nie imają.

— Wprawdzie, sam nie wiem co pocznę — rzekł Bolesław — ale z miasta muszę się oddalić. Nadto tu jestem znany.

Spuścił głowę.

— Myśl jest dobra — rzekł doktor — lecz mówmy otwarcie, czy się czujesz na siłach panować nad sobą, nad nałogiem i nad dawnemi nawyknieniami lekkiego

obchodzenia się z ludźmi i z życiem. Gdyby wyjście ztąd miało za sobą prowadzić powtórzenie tego co było i ten sam rezultat w ostatku, i twoje i moje prace i starania byłyby stracone.

Bolesław nic nie odpowiadał długo, usiadł na łóżku, podparł się na łokciu, dumał.

— Cóż mi radzisz? — spytał.

— Radzę ci jeden hygieniczny środek — rzekł doktor — kto raz doświadczył, że własną wolą rządzić się nie umie, ten powinien ze świadomością słabości własnéj, wolę swą poddać innéj, wyższéj i wykształceńszéj.

— Jakiéj? gdzie? klasztor czy wojsko? — rozśmiał się gorzko topielec.

— Do klasztoru nie masz ducha dosyć, w wojsku nadto byś był narażony na pokusy — odparł doktor — jedno i drugie dla ciebie nie stosowne.

— Zatem co? więzienie poprawcze? — wtrącił Boleś wzdychając. Dom poprawy?

— Dom kuracyi moralnéj — tak! — odparł doktor — ale nam jeszcze instytucyi téj braknie. Nabieraj sił w téj celi, naucz się zwyciężać siebie, a oducz tych dróg któremi chodziłeś dawniéj. Owo *mundus vult decepi*, na którem budowałeś teorye swoje i praktykę życia, zostaw Barnumom. Gdy będziesz się czuł dość silnym by nowe, skromne rozpocząć życie, nowicyat jakiś, pomówimy.

Wciągu kilku tygodni mowy nie było o niczém. Prawnik zaczął się prawnemi dziełami nużyć i przestał je otwierać. Wypadkiem w szpitalu do obserwacyi znajdował się mikroskop. Doktor przyniósł go raz z sobą i zapomniawszy

o nim, zostawił w stancyjce Bolesława. Próżnowanie, ciekawość skłoniły chorego do zabawki z tém narzędziem, a że niemiał co poddać mikroskopowi, przyniósł sobie z ogrodu roślin, pleśni i obserwować je począł. Zajęło go to tak, że gdy doktor powrócił zastał rozgorączkowanego prawie. Błagał go na wszystko ażeby mu dostarczył dzieła o fizyologii roślin i mikroskop zostawił.

Skutek, jaki wywarł pierwszy dzień przeżyty z mikroskopem tak był zdumiewający, że doktor Bazyli, który rozmyślał nad środkami leczebnemi, znaleźć ich nie mógł, a przypadkowi był winien natrafienie na tak dzielne lekarstwo — nietylko mikroskop zostawił, książek dostarczył, ale wskazał sposoby używania narzędzia i t. p.

Dni kilka następnych, Bolesław czytał i siedział z okiem zanurzoném w szkło; gdy Bazyli przychodził nie było mowy tylko o komórkach, ścianach, cieczy wewnątrz, zarodku, włóknach i tego rodzaju zagadnieniach. Gorączkowo zajmował się tém pacyent i żądał nie innych książek tylko w związku będących z poszukiwaniami mikroskopowemi.

Bazyli przedstawił mu, że należało chyba wziąć się do przestudyowania całego szeregu nauk przyrodniczych i w związku będących z niemi, fizyki, chemii nawet i t. d.

Nieustraszyło to pana Bolesława. Z dawnego jego usposobienia zostało mu tylko to przekonanie, z którém się nie taił, że jeśli się weźmie do nauki, poczyni odkrycia, które świat zdumiewać będą.

W tém szczęśliwém złudzeniu zostawił go doktor, jedną tylko czyniąc uwagę, aby się starał poznać to co już było

odkryte, by powtórnie zdobytych już rzeczy nie dobijać się mozolnie.

— To się rozumie! — rzekł Bolesław. I wziął się z zapadem do dzieł których mu doktor dostarczył. Widać było jak pragnął mocno stanąć obok tych wielkich mężów, co naukę zbogacili spostrzeżeniami nowemi i otwarli jéj drogi nieznane.

Zdawało się doktorowi Bazylemu, że już by szpital mógł opuścić chory i zająć pokoik na drugiém piętrze, w tym domu, w którym on mieszkał. Tam i o książki było łatwiéj i z wielu względów wygodniéj. Wahał się jednak, gdy raz sam pan Bolesław, zaręczając mu za siebie, zażądał wypisania ze szpitalu. Tegoż wieczoru przeniesiono go na drugie piętro domu, którego całe pierwsze doktor zajmował. Oprócz Bolesława mieścił się tam właściciel domu z rodziną, człowiek dobry, łagodny, spokojny, mający tą wadę tylko, że nigdy nic nie robił i jako *rentier*, używał swojego dochodziku w błogim spoczynku. Syn, córka, żona składali rodzinę państwa Skwojszów. Doktor uprzedził ich zawczasu, że wprowadza obok nich na piętro przyjaciela swego, człowieka nieszczęśliwego, który tylko co z ciężkiéj powstał choroby i potrzebuje ciszy i spoczynku.

Poczciwi państwo Skwojszowie przyrzekli, iż troskliwie dopilnują, aby mu tam dobrze było.

Bolesław wracając do miasta doznał wstrząśnienia wielkiego, wywołanego wspomnieniami przeszłości. Dnia tego do mikroskopu zajrzéć nie mógł, siadł w oknie i płakał jak dziecko — książki przestały go nęcić, siła jakaś niezwyciężona, straszna, ciągnęła go w wir, na ulicę. Oparł

się jéj i zwyciężył dnia pierwszego.

Nazajutrz stary Skwojsz znajdował nieodzownem, koniecznem, odwiedzić tego nieszczęśliwego, od którego tylko przez drzwi mieszkali. Sama przyzwoitość to nakazywała. Niezrzucając więc pantofli szytych ręką córki, do których był w domu nawykł, ani czapeczki, noszonéj dla łysiny, wziął Skwojsz surdut czarny przenoszony, chustkę i tabakierkę w rękę i poszedł zapukać do Bolesia. Oświadczył mu grzecznie bardzo, że jest właścicielem domu i sąsiadem jego, że ma go sobie poleconym przez doktora, że bardzo by mu rad służyć i t. d. Boleś podziękował z westchnieniem.

Na gospodarzu piękna, wymizerowana twarz chorego uczyniła wrażenie jak najlepsze. Wprzódy jeszcze panna Cecylia Skwojszówna, już niezbyt młoda panienka, ujrzała była gościa i wiele mówiła o jego sympatycznéj fiziognomii.

Widokiem mikroskopu i ksiąg pobudzony pan Skwojsz, czuł się w obowiązku uczynić uwagę, że się znowu zbytecznie tak nad książkami zasiadywać było niezdrowo dla rekonwalescenta, że należało czasem pogawędzić, odetchnąć, a choćby i w warcaby lub maryasza pograć dla spoczynku. Zapraszał czasem na godzinkę jaką do siebie. Ze strony poczciwego Skwojsza było to bardzo chrześciańskiém i miłosierném.

W pierwszych dniach pobytu w domu tym i w mieście, prace mikroskopowe znacznie zwolniały — wziął się do nich żywiéj potém Bolesław, ale jakoś bez tego smaku co w szpitalu. Doktor przychodził, uważał, notował i tłomaczył

sobie to przejście i wpływ wspomnień, jako rzecz naturalną. Rozbudzał jak mógł i umiał do studyów.

Szły one daléj, lecz opieszaléj znacznie, niż wprzódy.

Do poczciwych państwa Skwojszów pewnie by się nie dał wciągnąć tak łatwo p. Bolesław — gdyby we wspólnym korytarzu nie spotykał się ciągle z panną Cecylią. Panna, jakeśmy mówili, niezbyt była młodą, zbliżała się do trzydziestki, raz już miała wychodzić na pewno za mąż, lecz młodzieniec, z którym była zaręczoną, z tyfusu umarł. Chodziła odtąd czarno i świat jéj zobojętniał. Piękną była, miała oczy czarne, wyraziste, a choć troszkę siedzenie ją może do zbytku zaokrągliło, choć opuściła się w stroju, wyglądała ponętnie. Zdaje się, że czarne oczy panny Cecylii ciekawie się wpatrujące w nieznajomego przybysza, z zajęciem i współczuciem go ścigające, uczyniły na nim wrażenie pewne.

P. Bolesław wieczorem raz poszedł do Skwojszów. Przy herbacie i warcabach, rozmowa się rozpoczęła, i — zagadywany o przeszłość, pacyent puścił się trochę dawną metodą w państwo fantazyi, opowiadając epizody z żywota swojego, przetworzone na wcale udatne powieści i dramata. Skwojszowie oboje słuchali z oznakami najwyższego zajęcia i sympatyi, a panna Cecylia, nieco daléj ku oknu siedząca, kilka razy łzy ocierała.

Nikomu ani na myśl nie przychodziło wątpić o prawdziwości twierdzeń owéj nieszczęśliwéj ofiary przewrotności ludzkiéj.

Jak Otello Desdemonę temi historyami pan Bolesław uwiódł, rozkochał, pociągnął ku sobie pannę Cecylię.

Sympatya jéj jednak wyrażała się zdala, dyskretnie, rzucanemi wejrzeniami, pełnemi współczucia i tęsknoty. Jakim potém sposobem przyszło do tego, że panna Skwojszówna zaczęła dla obaczenia mikroskopu chodzić do pokoju pana Bolesława, który razem z nią obserwował tkanki, ścianki i włókna rozmaitych ciekawych pleśni — tego powiedzieć nieumiemy.

Skwojszowie oboje dla nieszczęśliwego naturalisty, który się im przyznał w sekrecie, że był ukrytym hrabią, miał bardzo bogatą rodzinę i wielkie nadzieje — żywili jak najgorętsze współczucie. Z rozmaitych powodów zawiązanie bliższych stosunków chciał taić pan Bolesław przed doktorem. Już się nawet rodzicom oświadczył, dzień ślubu był wyznaczony, a doktor Bazyli o niczém nie wiedział.

Ślub odbył się jak najciszéj, najprywatniéj i dopiéro wieczorem, zaproszony na herbatę doktor Bazyli ujrzał państwa młodych już zażywających na kanapce szczęśliwości małżeńskiego stanu, w poufnéj bardzo cichéj rozmowie, któréj połączone dłonie dodawały wyrazistości. Ponieważ panna Cecylia miała wianuszek na głowie z pomarańczowych kwiatów — doktor się domyślił w progu wielkiéj tajemnicy, westchnął, lecz, po czasie nie było już co mówić — ani na co narzekać.

Nigdy w świecie się tego nie spodziewał, a gdy przy wieczerzy tego dnia pan Bolesław już pół gospodarz przyszedł do niego z kieliszkiem wódki, przepijając, rzucił nań wejrzenie takie iż Tanczyński cały się zapłonił.

— Nie bój się — rzekł cicho — *non bis in idem*.

— W takim razie najlepiéj ani w usta! — odparł doktor.

Bolesław kieliszek postawił nietknięty.

Nie miał już teraz obowiązku zajmowania się przyjacielem doktor, obserwacye mikroskopowe zostały zawieszone, pan Bolesław miał na myśli kupienie większego i doskonalszego mikroskopu i rozmaitych pomocniczych narzędzi. W pierwszych miesiącach po ślubie o pracy mowy być nie mogło, odbywano wycieczki do Bielan, w okolice, zjadano podwieczorki, zapoznawano się z krewnemi. Skwojszowie byli może szczęśliwsi, że córkę wydali, niż Bolek, że się ożenił. Był bowiem najmocniéj przekonany, iż popełnił mezaljans, wzdychał nad tym upadkiem. Przed obiadem kieliszeczek nie zdawał mu się szkodliwym, po kawie naparstek likworu także. Czasem gdy się robiło zimno, musiał się czémś zagrzać.

Jednego dnia na Bielanach w restauracyi nastąpiło niespodziane zetknięcie się z Maciórkiem.

Profesor przybył tu z jakimś ze wsi szlachcicem, który chciał klasztor odwiedzić, a po męczącym obchodzie zaszedł z nim coś przetrącić do restauracyi, w któréj siedzieli państwo Tanczyńscy i Skwojszowie, zajadając kurczęta.

Profesor, który słyszał o smutnym losie Bolka, miał go za umarłego i pogrzebionego — osłupiał na widok jego — a gdy uszu jego doleciało wołanie — Żono! Cesiu!! — stanął z oczyma wlepionemi, milczący, niewiedząc co ma zrobić.

Siostrzan to był i w tém położeniu, że kurczęta mógł jeść a butelką wina je podlewać — nie znać go teraz jeszcze —

byłoby nie miéć serca. Maciórek gotów był przebaczyć marnotrawnemu siostrzanowi i przycisnąć go do piersi.

Ale, cóż? siostrzan go widział i udawał że — niezna. Maciórek więc postanowił ignorować go także, a późniéj w mieście dowiedzieć się i przedsięwziąć właściwe środki, aby węzły łączące rodzinę, nie zostały zerwane.

Bolesław ani do brata w początku, ani do wuja dla tego się nie zgłaszał, iż o wcale innéj rodzinie państwu Skwojszom opowiadał, i z tak skromnemi okazami popisywać się nie chciał.

W miesiąc czy dwa jednak, wypadkiem zaszedł do Żaka, gdzie zjadł dobre śniadanie i wyspowiadał mu się z całéj historyi swojéj. Żak właśnie zajęty był rozwodem z żoną i miał na myśli piękną modniarkę, która mu rękę swą już przyobiecała.

Z wujem Maciórkiem spotkali się w ulicy, Bolesław zaczął od gorzkich wymówek, po których przyszło do porozumienia tém łatwiéj, że profesor czcił wszelki sukcess i kłaniał się faktom spełnionym. Uściskał rzewnie siostrzeńca, nie bez nadziei, że u niego kiedyś jeść będzie, tym czasem darząc go moralną nauką od serca.

W niedostatku innéj familii, którą by mógł państwu Skwojszom okazać, przyznał się Bolesław do rodziny po — matce, przyprowadził im profesora i zaprezentował brata. Maciórek od razu sobie pozyskał serce starego Skwojsza, swym charakterem szlachetnym i moralnemi zasadami, jakie wygłaszał. Raz na zawsze proszono go na warcaby wieczorami.

Co daléj? spytacie — niewiem nic nad to więcéj, iż żona

pana Bolesława, wielce do męża przywiązana, boleje nad tém, że już teraz nigdy trzeźwym do domu nie przychodzi. O historyi rodziny Tanczyńskich nawet stary Skwojsz poczyna wątpić, w tak przerozmaity sposób, coraz z nowemi waryantami zięć mu ją opowiada.

Doktor Bazyli, zmienił mieszkanie, a ile razy mowa jest o Bolesławie, mruczy, głową potrząsając: — Czém się skorupka za młodu napoi...

K O N I E C.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Ładny chłopiec

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Ankry
- Alenutka
- Seboloidus
- Wieralee
- Himiltruda
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kr

oki

4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium